

EVELYN ANTHONY

KRYPTONIM
"ALBATROS"

ROZDZIAŁ 1

Korytarz na piętrze wymalowany był na żółto. Przez jedne z półotwartych drzwi Davina zobaczyła jaskrawe zasłony i stolik z doniczką. Nic jednak nie mogło usunąć przenikliwego zapachu więzienia. Poczula go w gardle, gdy tylko przekroczyła małe prywatne wejście, prowadzące do windy i biura naczelnika. Rozpoznała ostrą woń ludzkiego potu, ekskrementów i środków dezynfekcyjnych. Zapach wszystkich więzień na całym świecie. Zapach Łubianki. Zapach więzienia Wormwood Scrubs. Idący obok niej strażnik zatrzymał się przed drzwiami z tabliczką „Gabinet naczelnika”, zapukał i czekał. Usłyszała: „Wejść” i zastanowiła się, jak zwykle, dlaczego w tym zwrocie tak często opuszczano „proszę”, że przestawał brzmieć jak zaproszenie.

Naczelnik był mężczyzną średniego wzrostu, z posiwiałymi włosami, w okularach o ciężkiej oprawie i z tak grubymi szklami, że trudność sprawiało odczytanie wyrazu jego oczu. Uścisnęli sobie ręce, podsunął jej krzesło, zaproponował papierosa i filiżankę kawy. Davina odmówiła i jednego, i drugiego. Przez chwilę przyglądali się sobie przez szerokość biurka. Miał surową twarz o wąskiej szczęce i zadziwiająco muskularną szyję nad starannie zawiązanym pułkowym krawatem.

- Cóż, panno Graham - powiedział - spodziewam się, że zauważy pani w nim duże zmiany.

- Tak myślę - odparła. - To. prawie sześć lat.

- Nie był w formie, gdy przybył do nas. Wyraźnie oklapł fizycznie. Teraz znacznie zeschupłał, dużo się rusza i gimnastykuje. Lubi też majsterkować; zrobił mi na Boże Narodzenie bardzo zgrabne pudełko do cygar.

Patrzyła na uśmiechniętą twarz, ale nic nie odpowiedziała. Peter Harrington. Rękodzieło. Dobry Boże - przemknęło jej przez głowę - co ja tu zobaczę...?

- Czasem nawet trudno myśleć o nim jak o zdrajcy - kontynuował dźwięczny głos. - Jak pani wie, mamy kilku takich jak on. Ogólnie rzecz biorąc zupełnie przyjemni ludzie. Wykształceni, szanują przepisy, można się z nimi porozumieć.

- Oni właśnie tacy są - powiedziała Davina. - Cechą Petera był wdzięk. Czy zachował go nadal?

Odpowiedź poprzedziła króciutka pauza.

- Tak. Tak, sądzę, że można to tak określić. Jest w dobrych stosunkach z personelem. Dogaduje się też z innymi więźniami. Był bardzo podniecony, gdy usłyszał o pani wizycie.

Spojrzała na niego i spytała łagodnie:

- Płakał?

- No, niezupełnie.

Nie podobało mu się ani pytanie, ani ton jej głosu. Pewnie, że był podniecony - pomyślała. - Wie, drań, dlaczego tu się zjawiam. Czekał na to przez sześć lat.

- Kiedy go będę mogła zobaczyć?

Nacisnął guzik wewnętrznego telefonu i powiedział:

- Przysłać zaraz Harringtona na górę. - Wstał i Davina również podniosła się z krzesła. - Chciałbym podkreślić, że nie aprobuję tego spotkania bez świadków, panno Graham.

- Rozumiem to, panie naczelniku, ale wydaje mi się, że moja instytucja wyjaśniła z panem tę kwestię. Zapewniam, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Nie ma też mowy, aby ktokolwiek mógł słuchać tego, co mam mu do powiedzenia.

- Za otwartymi drzwiami gabinetu będzie strażnik - wyjaśnił. - Wejdzie, gdy go pani zawoła.

- Dziękuję - odpowiedziała.

Peter Harrington... Pragnęła, aby naczelnik już wyszedł i zostawił ją na chwilę samą przed tym spotkaniem. Miała paskudne uczucie, że mógłby ich sobie przedstawić i że musiałyby uścisnąć jego rękę.

Harrington, stary przyjaciel, kolega, który zdradził swój kraj w zamian za konto w szwajcarskim banku. Beztronski dowcipniś, który półzartem mówił, że jest w niej zakochany i wydał ją w ręce KGB.

Zmienił się tak bardzo, że przez chwilę naprawdę nie mogła go poznać. Prawie wyłysiał - i to była pierwsza niespodzianka. Łysawy, bezbarwny i rzeczywiście szczupły. Wyglądał dwadzieścia lat starzej.

- Halo, Davy. Dawno się nie widzieliśmy. - Głos był ten sam, alkoholowo - tytoniowy, i oczy - czujne, szydercze, pobłyskujące nienawiścią, jak kamień pod wodą.

- Zostawiam was samych - powiedział naczelnik. Drzwi się zamknęły.

- Siadaj, Peter. Jak się masz?

Skrzyżował długie nogi, lekko poruszając stopą. Miała go całego przed sobą. Starszy, szczuplejszy, naznaczony latami wyroku, ale ciągle Peter Harrington. Dostał duży wyrok. Pozostały mu jeszcze dwadzieścia cztery lata...

- Dziękuję, wszystko dobrze. Czy przyniosłaś jakieś papierosy?

Położyła paczkę, wyjęła dwa papierosy, jednego zapaliła dla niego, drugiego dla siebie. Srebrną zapalniczkę schowała do torebki.

- Bardzo ładna - zauważył. - Prezent?

- Na ostatnie Boże Narodzenie.

- A więc nie od Iwana Groźnego?

Nie drgnęła. Rzuciła tylko lodowate spojrzenie.

- Nie. Wiesz przecież, że on nie żyje.

- Coś słyszałem - mruknął. - A więc nowy przyjaciel? Wyszłaś za męża?

- Nie.

- Zaręczona?

Postawiła torebkę na podłodze i powiedziała:

- Zamknij się, Peter. Chcesz rozmawiać, czy chcesz iść z powrotem na dół? Mam za mało czasu, by go tracić dla ciebie.

- No to dlaczego tu jesteś? Przecież nie przyszedłeś odwiedzić starego kumpla? Nie po sześciu cholernych latach...

- Jestem tu, żeby ubić interes - odpowiedziała.

- Ach! - Wydał ten okrzyk przeciągle i uśmiechnął się: - Myślałem, że to może być coś takiego. Zwolnienie warunkowe, a może nawet ułaskawienie?

- To ostatnia sprawa, o której będziemy mówić - odparła Davina.

- To pierwsza sprawa - rzekł łagodnie - albo w ogóle nie będziemy rozmawiać.

- W porządku. - Wstała, przerzuciła torbę przez ramię. Skoczył na równe nogi w tym samym momencie, a twarz skrzywiło mu przerażenie.

- Na miłość boską, daj mi szansę, Davy...

- Taką samą, jaką ty mi dałeś? - spytała. Gwałtownie uniósł w górę ramiona.

- Nie możesz ciągle mi tego wyrzucać. Wszystko jest fair w naszej cholernej grze, wiesz o tym dobrze!

- Mów ciszej, bo wejdzie tu strażnik. Usiądź, zamknij się i słuchaj, jeśli chcesz, żebym została.

Zauważyła, jak przygarbił się i skulony opadł na twarde, niewygodne krzesło.

- Jakie są te propozycje? - spytał obojętnie.

- Potrzebuję informacji. Chcę, żebyś pogrzebał w swojej pamięci i dał mi parę odpowiedzi.

- Byłem przesłuchiwany przez trzy tygodnie - odparł ponuro. - Powiedziałem Kidsonowi wszystko, co wiedziałem. Obiecał mi lekki wyrok. I dużo mi z tego przyszło...

- Nie powiedziałeś mu wszystkiego - zareplikowała Davina. - Nikt nigdy nie mówi wszystkiego. Coś przemilczałeś, na wszelki wypadek, czy nie? Na wypadek, gdybyś był potrzebny, tak jak w tej chwili.

- Nie pamiętam - odrzekł. - To było tak dawno. Może mi przypomnisz, co to za sprawa?

Decyzja pozostawała w rękach Daviny. Humphrey Grant powiedział jej: „To jest twoje zadanie. Rozgrywasz je sama, bez instrukcji, bez pomocy. Niczego takiego nie będzie, gdy rozpoczniesz działania...”

Decyzja należała do niej, a więc podejmie ją. Nie ma czasu na skomplikowane gry z Peterem Harringtonem ani z nikim innym.

- Mamy w biurze zdrajcę - zaczęła. - I to gdzieś na samej górze. Co wiesz na ten temat?

- Wiesz, Johnie, z przyjemnością myślę o przejściu na emeryturę. John Kidson spojrzał na szefa i potrząsnął głową.

- Nie wierzę w to ani przez chwilę.

- Ależ tak, naprawdę - zaprotestował generał brygady sir James White.

Podniósł rękę i jeden z kelnerów zbliżył się do nich.

- Kawa? Brandy? A, dwa koniaki i dzbanek czarnej kawy; mój gość życzy sobie również cygaro.

Kidson starał się nie okazywać zdziwienia. Generał nie słynął z rozrzutności, gdy zapraszał na lunch kogoś z personelu. Jakby odgadując jego myśli, James White powiedział:

- Dzisiaj czuję się odświeżenie, mój drogi. Dziś mija dokładnie osiemnaście lat od chwili, gdy wstąpiłem do

Służby. Myślałem o tym rano, w drodze do biura. Jakież to były podniecające czasy!

- Tak, w istocie - zauważył Kidson. - Gdy objął pan to stanowisko, panował tu niezły zamęt.

- Trochę bałaganu było. I nastroje były podłe. Tak samo z finansami. Sama Organizacja też nie była w najlepszej formie, gdy Osborn podał się do dymisji. Dużo śmieci trzeba było podmieść pod dywanik. Pamiętam, że moja żona mówiła: „James, to nie jest stanowisko dla ciebie. Ciągłe będziesz deptał po odciskach politykom”. Ona mnie za dobrze zna, w tym cały kłopot... - Roześmiał się lekko. - Ty nie znałeś Osborna, prawda, Johnie?

- Byłem wtedy mało znaczącym urzędnikiem państwowym - odparł Kidson. - Ale oczywiście słyszałem różne pogłoski na jego temat.

- Tak, było dużo gadania. Miał niezbyt udane koneksje w Cambridge. A potem rozpadło się jego małżeństwo. Prawdziwe przyczyny ukryto, ale to nie uciszyło plotek. Zwłaszcza, gdy nasz przyjaciel Philby zmylił pogonie i potem pokazał uśmiechniętą twarz w Moskwie.

Kidson obciął czubek cygara i zapalił je.

- Czy myśli pan, Szefie, że miał jakieś odchyły?

- Seksualne? Tak. I to jest zawsze niebezpieczne. Ale polityczne... - James White przerwał, przechylił głowę lekko na bok. Kieliszek z koniakiem otulił dłonią. - Nie wiem, Johnie. I teraz nigdy już się nie dowiemy. Tyle czasu minęło i takie sprawy lepiej zostawiać w spokoju. Jak ci smakuje cygaro?

- Doskonale, dziękuję.

- Zostało mi jeszcze osiem albo dziewięć miesięcy, jeśli mam się trzymać oficjalnej daty przejścia w stan spoczynku - powiedział generał. Pociągnął łyk z kieliszka. - Muszę pomyśleć o moim następcy.

- Nie wiem dlaczego - odparł Kidson. - Naprawdę, Szefie, nie widzę powodu, aby pan odchodził. A poza tym nie ma nikogo na tyle dobrego, by mógł zająć pańskie miejsce.

Generał nagroził go dobrotliwym uśmiechem.

- To bardzo pochlebnie brzmi, ale nie jest całkiem prawdziwe. Wkrótce skończę sześćdziesiąt pięć lat i mam prawo do ciszy i spokoju. Do spokojnego zajęcia się na przykład ogrodem.

- Nie bardzo widzę pana w roli Kandyda. Zniszczy pana nuda.

- Humphrey myśli, że to będzie on - ciągnął James White. - Nigdy nic nie mówił, ale wie, że czas nadchodzi. Był zastępcą przez tyle lat. Chciałby więc wreszcie wejść w światła reflektorów. - White znowu się roześmiał. - Nie bardzo udane określenie mojej własnej roli... A co ty, Johnie, myślisz o nim? Da sobie radę?

John Kidson przez chwilę zwlekał z odpowiedzią. White czekał, aż się namyśli i jego jasne oczy obserwowały młodszego mężczyznę spod nawisłych białych brwi, tak jakby badały owada pod mikroskopem.

Jeśli chcesz odkryć czyjeś ambicje i pragnienia, spytaj go o zdanie na temat awansu zawodowego innego człowieka. Generał lubił prowokować takie sytuacje i kolekcjonował maksymy o ludzkim zachowaniu. Mógłby nawet opublikować o tym książkę - „Przewodnik dla szpiega”. Podobał mu się ten tytuł - przemawiał do jego poczucia humoru.

Kidson spojrzał na niego.

- Nie sądzę, aby to było właściwe pytanie. Zbyt blisko współpracuję z Humphreym, bym mógł wydać o nim obiektywną ocenę.

Sprytnie - pomyślał James White. - Przekreślił go, nie powiedziawszy słowa.

- Ale ja mogę to zrobić - powiedział głośno. - To ja pracowałem z nim dłużej niż ktokolwiek inny. Jest doskonałym administratorem, błyskotliwie inteligentny i, niezależnie od swego nieszczęsnego podobieństwa do Robespierre'a, jest nieprzekupny. Lecz czy posiada talent przywódcy - organizatora? Nie przesadzę chyba, mój drogi, gdy powiem, że to właśnie był mój największy wkład: organizować ludzi, aby wykonywali dla mnie pracę.

- Ja bym to ocenił wyżej, szefie - powiedział Kidson z uśmiechem.

James White rozlał kawę do filiżanek.

- Czarna bez cukru? No i oczywiście jesteś i ty, Johnie. John Kidson odparł spokojnie:

- Tak, rzeczywiście biorę udział w tym współzawodnictwie. Ale Humphrey na to nie pójdzie. Raczej złoży rezygnację i ja bym go za to nie potępiał.

- Nie zgadzam się - sprzeciwił się generał. - Będzie się dąsał i mógłbyś mieć trudny rok, żeby to ułożyć, ale on jest przede wszystkim głęboko lojalny wobec Służby. On by z tobą współpracował. A wtedy i ty współpracowałbyś z nim, prawda?

- Wie pan, że bym to robił - odpowiedział Kidson. James White postawił kieliszek z koniakiem i lekko pochylił się w jego stronę.

- Jest tu jeszcze jedno wyjście, które rozważam od pewnego czasu. Być może uda się nakłonić do powrotu Davinę.

Tym razem udało mu się zaskoczyć Kidsona.

- Aby przyjęła pańskie stanowisko? Dobry Boże!

- Nie podoba ci się to?

- Tu nie chodzi o to, czy się podoba, czy nie. To dla mnie po prostu szok... Ona skończyła ze Służbą na dobre. Mieszka

razem z Colinem Lomaxem i znalazła sobie pracę w agencji reklamowej. Myślę, że może pan o niej zapomnieć, szefie.

- Szkoda - mruknął White. - Nie mogę spokojnie myśleć o tym, że Davina się marnuje, sprzedając dezodoranty, jedzenie dla psów czy coś podobnego.

Zauważył, że Kidson zeszywniał.

- To jest interes z dochodem dwustu milionów rocznie - powiedział. - Należy do Amerykanów. Właściwie nie ma rzeczy, której oni by nie promowali i reklamowali.

- To prawda - przyjaźnie odparł generał. - Nazywa się to Agencja Arlington? Właściwie to znam nawet dyrektora. To Tony Walden, bardzo imponujący facet. Jestem pewny, że nie daje się Davinie obijać. Ale ona chyba uważa tę pracę za mało ekscytującą.

- Jeżeli wiedział pan to wszystko, to dlaczego nie powiedział pan tego od razu, szefie? - spokojnie spytał Kidson.

- Myślałem, że masz może jakieś świeższe wiadomości o niej. Zadziwiające, jak Colin się po tym wszystkim pozbierał, prawda? Wspaniałe rzeczy lekarze potrafią robić w naszych czasach. A dawano mu tylko kilka miesięcy życia.

- Okazuje się, że operacja była całkowicie udana - Kidson szybko nadał za zmianą tematu rozmowy. - Ale jeszcze trochę potrwa, nim Colin pewnie stanie na nogach.

- Dziwię się, że on i Davina nie pobrali się - zauważył White.

- Ja też - powiedział Kidson. - Ale Charlie mówi, że dla nich lepiej jest tak, jak jest, a ona ma zadziwiający talent do oceniania takiego rodzaju sytuacji.

- Zna swoją siostrę pod tym względem lepiej, niż ja lub ty - odparł White. - Szkoda byłoby, gdyby Davina wyszła za mąż i zamieniła się w kurę domową. To straszna strata. Już lepiej

niech pracuje w reklamie. Dobry Boże! Dochodzi trzecia!
Poproszę o rachunek!

John Kidson wrócił do swego biura, pozostawiając generała, który odjechał samochodem. Był piękny dzień i w St. James Parku roiło się od dzieci i turystów wędrujących wzdłuż jeziora i karmiących kaczki. Takie spacery Kidson lubił od małego; tak jak ubrane w dżinsy i tenisówki dzieciaki, on też stawał nad brzegiem wody i rzucał kawałki czerstwego chleba. Wtedy, tak jak i teraz, odważniejsze kaczki podpływały i chwytaly jedzenie, a stadka ćwierkających wróble otaczały ławki, na których siedzieli urzędnicy, jedząc kanapki w przerwie na lunch. Potem ich miejsca zajmowali zmęczeni turyści; młode pary trzymając się za ręce podążały alejkami, w oddali zaś wieże i dachy Whitehallu migotały między drzewami.

James White odchodzi na emeryturę. Częścią świadomości Kidson wierzył w to; tą częścią, która pragnęła zająć jego miejsce, która dygotała z podniecenia, myśląc o możliwości objęcia stanowiska naczelnika Secret Intelligence Service. Jednakże doświadczenie współpracy z White'em podpowiadało ostrożność. Nie tylko zwykłą ostrożność, ale zdecydowaną niewiarę. Gdy miało się do czynienia z człowiekiem, który przez niemal dwadzieścia lat stał na czele angielskiego wywiadu, nic nigdy nie było takie, jak się wydawało. Czasem bawił się swymi własnymi ludźmi tak, jakby byli przeciwnikami, lub - co jest lepszym określeniem - marionetkami. Uwielbiał manipulować ludźmi; pociągać za sznurki bez ostrzeżenia i patrzeć na posłuszne ruchy. Kidsona też nie zaprosił na lunch, aby rozmawiać o swoim następcy. Nominację na to stanowisko wyda premier, gdy przyjdzie właściwa pora i zdecyduje o niej rekomendacja White'a.

Nie potrzebował też pytać Kidsona o zdanie w sprawie przydatności do roli następcy jego czy Humphreya Granta.

Chciał natomiast dowiedzieć się czegoś o szwagierce Kidsona, Davinie Graham. I to był powód lunchu w Klubie Gwardii. Kidson przeszedł przez mostek nad jeziorem. Davina wycofała się ze Służby; mieszkała z Colinem Lomaxem i wykonywała doskonale płatną, ale i odpowiedzialną pracę. „Wielka strata”, powiedział James White. Chciał, żeby wróciła do Służby; ona zaś odmówiła i odwróciła się od dawnego zawodu i od starych kolegów. Unikała też Johna. Spotykała się od czasu do czasu na lunchu ze swą siostrą Charlie, ale świadomie i stanowczo stawiała barierę między sobą i wszystkimi ludźmi związanymi z jej przeszłością. Kidson początkowo był zdziwiony, trochę urażony, a potem machnął na to ręką. Davina zawsze sprawiała kłopoty. Jego teściowie dawali to do zrozumienia, nie wyrażając jednak głośno żadnych uwag krytycznych o swej starszej córce. Inaczej jego żona, Charlie. Ta nigdy nie potrzebowała cudzej akceptacji, nie demonstrowała agresywności. Jej uroda i wdzięki zdobywały i będą zdobywać w przyszłości wszystko to, czego zapragnie. Po prawie sześciu latach małżeństwa Kidson był ciągle namiętnie zakochany w żonie. Przeszedł przez Birdeage Walk i skręcił w stronę nie rzucającej się w oczy ulicy, prowadzącej do jego biura.

- On był na stanowisku, gdy ja zmieniłem chlebodawców - powiedział Peter Harrington. Davina położyła przenośny magnetofon na stole stojącym między nimi. Wydawał lekki szmer, jakby motyl uderzał skrzydełkami o szyby.

- Skąd o tym wiesz?

- Mój kontakt z zachodnich Niemiec wygadał się kiedyś - odparł. Gładził ręką przerzedzone włosy, oczy miał półprzymknięte w skupieniu. - Robiłem trochę trudności - podbijałem cenę, opowiadałem o wyrzutach sumienia i inne takie bzdury... Jaka to przyjemność rozmawiać z kimś takim jak ty, Davy, z kimś, kto rozumie w pół słowa, o co chodzi.

Jest tu jeden cholerny facet, który stara się namówić mnie, żebym się modlił. Ciągłe powtarza, że wie, dlaczego to zrobiłem i że wcale nie muszę mieć poczucia winy. Jezu Chryste, jedyna rzecz o jaką się obwiniam, to to, że dałem się złapać!

- Wracaj do sprawy - powiedziała Davina - wróć do tego kontaktu z zachodnich Niemiec. Co on ci właściwie powiedział?

- Czekał, niech pomyślę. Niech sobie to dokładnie przypomnę. Ja mu powiedziałem: „Nie podoba mi się twoja strona” - właśnie tak, pamiętam dobrze. To był duży tłusty drań, bardzo przekonujący. A on na to: „Nic pan o nas nie wie. Myśli pan, że jest lojalny wobec swego kraju, utrzymując się z marnych zarobków, podczas gdy inni sprzedają się i bogacą. Opowiada pan o »stronach«, jakby to był mecz piłki nożnej. Niech pan wydorosleje, panie Harrington”. Tak właśnie powiedział: „inni sprzedają się i bogacą”. Przyczepiłem się do tego z oburzeniem. Chciałem wiedzieć, Davy, czy miał kogoś konkretnego na myśli, czy też była to tylko zachęta dla mnie. Nazwałem go kłamcą. Powiedziałem, że nikt w Służbie nie utrzymałby się pięciu minut, gdyby zaczął się bawić w takie gry. Powiedziałem, że i ja tego nie zrobię. Dałem mu dobre wejście i złapał się na to. „Wasza Służba jest najlepszym przyjacielem, jakiego mamy” - powiedział. - „Właśnie dlatego nie musi się pan niczego obawiać. Chłopie, rób tylko to, co chcemy i patrz jak się będziesz bogacił”. Byłem pewien, że miał na myśli to, że SIS jest penetrowane przez nich od góry do dołu. - Przyglądał znowu swoją skąpą czuprynę i wzruszył ramionami. - Wtedy też zgodziłem się współpracować z nimi.

- I nigdy potem o tym nie myślałeś? Nie starałeś się dowiedzieć, czy był to jeden człowiek, czy ogólna penetracja na kilku szczeblach?

- Nie chciałem tego wiedzieć - powiedział stanowczo. - Robiłem, co do mnie należało, ale cały czas odnosiłem wrażenie, że mam za sobą jakieś oparcie.

Davina zmieniła taśmę. Harrington sięgnął po nowego papierosa i zapalił go zapalniczką, którą przed chwilą zostawiła na stole. To był prezent od Lomaxa. Z niechęcią widziała ją w ręku Harringtona.

- Kiedy po raz pierwszy miałeś to uczucie? Wypuścił kłęb dymu i znowu chciwie się zaciągnął.

- To trudno określić. Głównie w Stanach. Czuję się jak figura na szachownicy, którą ktoś przestawia według swojej woli. Ale nie byłem pewien, która strona to robi. Pamiętasz, miałem dwa kontakty? Jeden rumuński, drugi wschodniemiecki.

Davina przytaknęła. Pamiętała to doskonale. Pamiętała, jak spotkała go na korytarzu, gdy przyszła złożyć swój cotygodniowy raport o najważniejszym uciekinierze z Rosji od czasów Olega Pienkowskiego. Peter Harrington był znowu w Londynie po pobycie w Ameryce. Zdegradowany, zepchnięty do działu kadrowego. Opuszczony i sfrustrowany. Było jej go żal. Poszli razem do narożnego pubu na drinka...

- Tak - rzekła. - Mów dalej.

Zawahał się chwilę i potem spokojnie powiedział:

- Nic nie będzie za darmo, Davy. Chcę mieć z tego coś dla siebie, nim powiem ci coś więcej.

Wyciągnęła rękę i wyłączyła magnetofon.

- Masz rację. Pójdę teraz i przemyślę to sobie. Ty też powinieneś porozmyślać. Na przykład o tym, jak długo zostaniesz tu, jeśli odmówisz współpracy. Skontaktuję się z naczelnikiem, gdy będę miała przyjść znowu. - Zgarnęła do torby zapalniczkę. - Papierosy możesz sobie zatrzymać.

Peter wymamrotał ordynarne przekleństwo, które zignorowała. Potem wepchnął papierosy do kieszeni bawełnianej kurtki.

- Kto ci dał tę zapalniczkę? - spytał.

Zobaczyła złośliwość w jego spojrzeniu. Pragnął ją zranić, aby poprawić własne samopoczucie, dodać sobie godności. Zdecydowała się pozwolić mu na to.

- Mężczyzna - odparła. - Dlaczego pytasz? Co cię obchodzi, jakie prezenty dostają na Boże Narodzenie?

- Po prostu ciekawość. - Uśmiechnął się krzywo. - I co, zapomniałaś już o Iwanie?

- Minęło przecież kilka lat - odpowiedziała Davina. Udało się jej zachować spokój; nie zauważył, że ogarniał ją gniew.

- Jaki jest ten nowy? Ciągłe wybierasz ten typ rosyjskiego niedźwiedzia?

- Nie jest podobny do nikogo, kogo mógłbyś znać - odparła.

Podeszła do drzwi i otworzyła je. Do pokoju wszedł strażnik. Poszła wzdłuż korytarza z żółtymi ścianami i ostrym zapachem; zjechała na dół windą i podpisała się przy prywatnym wejściu. Na powietrzu głęboko odetchnęła; ulice tętniły życiem, na sklepach, jak sztandary kryzysu, wisiały wszechobecne i trochę postrzępione ogłoszenia o wyprzedażach.

Samochód miała na parkingu w pewnej odległości od ponurej fasady więzienia. Za wycieraczką znalazła pokwitowanie - kara dla kierowcy za przekroczenie dwugodzinnego limitu. Wyciągnęła papierek w szeleszczącym celofanie i w przyływie niezrozumiałej irytacji zmięła go i rzuciła na drogę. Niech sobie jej poszukają, jeśli chcą pieniędzy! Dwie godziny - to było za mało. To za mało czasu, żeby odkryć brudne warstwy zdrady i kłamstwa, które odkładają się latami. Będzie musiała znowu zobaczyć się z

Peterem Harringtonem i tym razem Peter Harrington powie jej coś więcej.

Gdy wyszła z windy przed drzwiami swego mieszkania przy Marylebone, nie mogła znaleźć w torebce klucza. Ale Lomax będzie na nią czekać. Dzięki Bogu. Nacisnęła dzwonek i drzwi się otworzyły.

- Halo, kochanie - powiedział. - Tęskniłem za tobą.

- Ja także - odpowiedziała i objawszy go za szyję, pocałowała.

- Jak ci dzisiaj poszło?

Siedzieli obok siebie na kanapie i Lomax zajmował większą jej część. Jedną ręką tulił Davinę do siebie, drugą przebierał pasma ciemnorudych, opadających na szyję włosów.

- Lepiej, niż się spodziewałam - powiedziała.

- Nie sprawiło ci przykrości spotkanie z nim?

- Było mi nieprzyjemnie na początku. Przypomniałam sobie, jak kiedyś rozkroiłam ser i zobaczyłam, że wewnątrz się porusza. To samo poczułam, gdy wszedł do pokoju. Ale on chce stamtąd wyjść. Chce tego bardzo, z całej siły. I będzie mówił. Nie tak jak dzisiaj, rzucając mi okruchy, ale tak jak trzeba. Wie znacznie więcej niż to, do czego się przyznaje.

- Chcesz się czegoś napić? Zrobię ci drinka.

- Nie teraz. Później, gdy się wykąpię. Tamto miejsce cuchnie. Zdaje mi się, że wyniosłam ten zapach ze sobą.

Lomax odwrócił jej twarz do siebie.

- Wstrząsnęło to tobą, prawda?

Davina przytaknęła z ociąganiem.

- Trochę. Jak ci poszło na fizykoterapii?

- Bardzo dobrze. Ciężko tam pracujemy. Mówią, że za sześć tygodni będę w połowie tak dobry jak dawniej. Do końca miesiąca mam wydłużyć spacer do jednej mili. Żaden

jogging, tylko dobre silne ćwiczenie w chodzeniu. Plus cała ta reszta.

- Jesteś bardzo cierpliwy, Colinie. Nigdy nie przypuszczałam, że się na to zdobędziesz.

- Nigdy nie sądziłem, że będę miał taki wybór - odparł. - Poza tym nie chcę, żebyś wychodziła za połamańca. Nie sprzeciwiam się, gdy chodzisz rozmawiać z ludźmi takimi jak Harrington, ale nie możesz wplątać się w nic poważnego, dopóki nie będę gotów iść z tobą.

- Nie będę się o to sprzeczać - łagodnie odpowiedziała Davina. - A teraz zrobię sobie kąpiel, ty zaś przygotuj mi whisky z wodą, żebym mogła ją spokojnie popijać, gdy zajmę się gotowaniem.

Miał zielone oczy, niemal zbyt jasne. W ostrym świetle słonecznym wydawały się świeżo wymyte. Gdy patrzył na nią, zapaliły się w nich iskierki.

- Dziś nie będzie żadnego gotowania, moja miła. Otrzymałem po południu małej czek z ministerstwa. Jemy na mieście.

Pomyślała, że był bardzo przystojnym mężczyzną; zauważyła też, że kilka kobiet przyglądało mu się, gdy szli do swego stolika. Kule, które poszarpały go w Meksyku, długie miesiące bolesnej walki o przeżycie i powolny powrót do zdrowia, uszlachetniły jego wygląd. Utracił atletyczną muskularność szyi i ramion żołnierza w świetnej formie fizycznej, ale w wyrazie twarzy, w linii cienkich i zaciętych ust pojawiła się łagodność. Pojawiła się w długich miesiącach rekonwalescencji i po ostatniej operacji, która „uporządkowała” jego poszarpane płuco. Nie chciał się ożenić z Daviną, gdy był przekonany, że został mu niecały rok życia. Teraz ona nie mogła wyjść za niego, dopóki nie doprowadzi do końca tego, co rozpoczęła. Ale tego nie mogła powiedzieć.

Bardzo dumny i wrażliwy, cierpiał na nagłe ataki zazdrości, gdy nie było jej obok niego.

Popewniła fatalny błąd, przedstawiając go Tony'emu Waldenowi. Antypatia zrodziła się natychmiast. Potężny autokratyczny czterdziestokilkuletni magnat uosabiał wszystko to, czym Colin Lomax pogardzał w cywilnym życiu. A dodatkowo pogorszyło sprawę to, że Walden był bardzo przystojnym mężczyzną, promieniującym energią i zdrowiem.

Natychmiast też uświadomiła sobie, że były major SAS, odznaczony Krzyżem św. Jerzego, zmusił Tony'ego Waldena do zajęcia pozycji obronnej. Stanęli naprzeciw siebie w małym saloniku, jak dwa koguty przed walką. I tylko obecność Humphreya Granta zapobiegła jawnemu starciu. Szczupła twarz Granta zdawała się wtedy bardziej szara niż zwykle i jego głos dźwięczał chropawo, jakby ktoś grabił suche liście w alejce.

- Zależy nam, żeby Davina miała to zajęcie jako osłonę. Trzeba wywołać wrażenie, że całkowicie odeszła od dawnej pracy i od wszystkiego, co się z tym wiązało, że mocno osiadła w cywilnym życiu. To uprzejmie z twojej strony, Tony, że chcesz nam w tym pomóc.

Tak więc wszystko zostało uzgodnione w zaciszu jej mieszkania przy Marylebone. Praca w Agencji Arlington, legalna pensja, którą Służba po cichu refunduje Waldenowi przez jedno ze swych zagranicznych kont. Mieszkanie, a w nim kochanek przychodzący powoli do zdrowia po fatalnych zdarzeniach w Meksyku. I jawne zerwanie z dawnym szefem, generałem brygady sir Jamesem White'em.

Głos Lomaxa przedarł się przez łańcuch retrospekcji.

- Daleko odeszłaś ode mnie, kochanie. Jemy razem kolację, pamiętasz?

- Przepraszam, Colin. Myślałam o tym, jak się to wszystko zaczęło. I ty to sprowokowałeś. Ty byłeś pierwszą

osobą, która dostrzegła związek między tym, co się zdarzyło w Meksyku i tym, co się działo w ciągu kilku ostatnich lat. To ty poczułeś, że coś tu śmierdzi.

- Wiem o tym. Ale nie przypuszczałem, że stary nudziarz Grant ciebie wyznaczy do roli myśliwego. Ani też, że sam będę siedział za kulisami. Powinienem zamknąć buzię i siedzieć cicho!

Oboje roześmiali się i chwila napięcia minęła. Ponad stołem sięgnął po jej rękę. Jeden z hiszpańskich kelnerów zauważył to i z uśmiechem powiedział coś do kolegi. - Postaraj się wyzdrowieć i wrócić do formy - powiedziała Davina. I patrząc na niego ponad płomieniem świecy migocącej w szklanym kloszu, dodała łagodnie: - Bardzo cię kocham. Gdy wróciłam dziś do domu, powiedziałam sobie: „Dzięki Bogu, że on tam będzie”. Nie wiedziałabym, co robić bez ciebie, Colinie.

Zarumienił się jak uczeń. Kiedyś na jej oczach zabił jednym uderzeniem człowieka. Uścisnął jej rękę do bólu.

- Nie będziesz miała okazji - powiedział. - A teraz zamówmy coś do jedzenia, moja pani, zanim zmienię zdanie i zabiorę cię do domu, do łóżka.

Tej nocy, gdy Davina i Lomax spali trzymając się w objęciach, gdy Peter Harrington po raz dwudziesty przewracał się bezsennie na swoim pościeli, różowoczerwone światło rodzącego się dnia przeniknęło przez szyby w moskiewskim mieszkaniu i dotknęło obnażonych ciał kobiety i mężczyzny. Leżeli spokojnie i w milczeniu, a słońce wschodziło coraz wyżej i barwiło ich skórę na kolor krwistej czerwieni. Gdy było zupełnie widno, mężczyzna obrócił się do kobiety i powiedział, tak jak Davina do Lomaxa:

- Bardzo cię kocham. Nie mógłbym żyć bez ciebie, Natalio.

Przesunęła paznokciami po jego wargach, potem wsunęła czubek palca w usta, by mógł go ugryźć.

- Kocham cię, Igorze Igorowiczu, tak samo. Nasza miłość jest silniejsza z dnia na dzień. Czy to nie jest cudowne?

Trzymał jej miękkie ciało blisko siebie; jej duże piersi wymykały mu się z rąk, a pożądanie, które w nim budziła, rozlewało się jak płomień, obejmując brzuch i uda już zmęczone miłosnymi uniesieniami. W końcu powiedział to, co mówił jej niezliczoną ilość razy:

- Nataszo, nie opuszczaj mnie nigdy, potrzebuję cię. Ona zaś odpowiedziała szeptem to, co zawsze:

- Jak mogłabym cię pozostawić? Dokąd bym poszła? Jesteś całym moim życiem...

O ósmej mieszkanie było puste. Łóżko pozostało nie zasłane, poduszki rozrzucone na podłodze. Później wszystko będzie uprzątnięte, wszystkie ślady ich obecności usunięte. Kobieta, która wynajmowała mieszkanie, miała w swym paszporcie znak tarczy i skrzyżowanych mieczy - znak KGB. Mieszkania, takie jak to, należały do Służby; korzystali z nich pracownicy KGB i ich rodziny. Nie były zbyt luksusowe, bo i ludzie, którzy tu bywali, należeli do średniego szczebla moskiewskiego KGB.

Mężczynę, który rano opuścił mieszkanie, zabrał czarny zim, wyczyszczony i błyszczący; przypominał dużego żuka, gdy pędził po środkowej, przeznaczonej dla członków Politbiura i najwyższych urzędników partyjnych, części jezdni. Dokładnie o ósmej piętnaście skręcił w jedną z kremlofskich bram, a o ósmej dwadzieścia Igor Borysow zajął swoje miejsce za słynnym biurkiem w pokoju, którego okna wychodziły na plac Rewolucji. Dokładnie o ósmej trzydzieści sekretarka zapukała do drzwi i weszła, niosąc najważniejsze teczki i dostarczone w nocy teleksy. Była bardzo ładną dziewczyną o wdzięcznie zaokrąglonej figurze.

Zachowywała się dyskretnie i z szacunkiem, nie odezwała się, póki nie powiedział, biorąc od niej dokumenty:

- Dziękuję, Nataszo. Opuściła powieki i wyszeptała:

- Dziękuję, towarzyszu generale. Czy mam przynieść herbatę?

- Tak, proszę - odpowiedział nie podnosząc głowy znad papierów.

Na zewnątrz, z wieży kremlowskiej, rozległ się dźwięk kurantów. Oficjalny dzień Igora Borysowa, przewodniczącego KGB, rozpoczął się tak, jak każdy inny. Sekretarka przyniosła mu na srebrnej podstawce szklaną herbatę, z plasterkiem cytryny pływającym na powierzchni jak duże żółte oko. Postawiła ją na leżącej na biurku ognioodpornej płytce. Pił ostrożnie; herbata była gorąca.

- Będę cię potrzebował za godzinę do dyktowania - powiedział.

Żadne z nich nie spojrzało na rząd wymyślnych dyktafonów, stojących na stoliku obok biurka.

- Tak jest, towarzyszu generale.

- Tu jest teleks z Londynu. - Spojrzał na nią, ściągając brwi. - Chciałbym ci go pokazać.

Nieśmiało pochyliła głowę.

- Tak, towarzyszu generale. Chętnie go zobaczę. Znowu nachylił się nad biurkiem, ona zaś - jak zawsze spokojnie - wyszła z pokoju zamykając ostrożnie drzwi za sobą.

Humphrey Grant nacisnął hamulec i samochód zaczął zwalniać, zjeżdżając do krawężnika. Była to cicha ulica na uboczu od ruchliwej Marylebone Road, otoczona eleganckimi domami epoki georgiańskiej, zajmowanymi teraz głównie przez biura prawnicze. Siedział w samochodzie patrząc w boczne lusterko, dopóki nie zobaczył, że Davina skręca za róg w Mansfield Street. Grant nigdy nie żywił specjalnie ciepłych uczuć do kobiet. Jego podkreślana obojętność ukrywała

utajone potrzeby homoseksualne, do których za nic by się nie przyznał. Nie patrzył więc na Davinę jako mniej lub więcej atrakcyjną kobietę, lecz jak na samotną spacerowniczkę, idącą żołnierskim krokiem ze zwiniętą parasolką pod pachą. Począł, aż nadeszła, wtedy otworzył drzwi i Davina wsunęła się do auta. Milczeli, gdy zapuszczał motor i zawracał w szeroką jezdnię Portland Place.

- Pojedziemy do parku - oświadczył Grant.

- Zgoda - powiedziała Davina.

Był jasny ranek; wyglądała przez okna, gdy jechali w stronę Regent's Park. Wiele najpiękniejszych domów Londynu znajdowało się w tej okolicy, strzegąc, jak wartownicy, jej prywatności i odosobnienia. Wspaniałe domy z tarasami zbudowane przez Nasha przed wojną zamieszkiwali bogacze. Teraz ich klasycystyczne fasady były odremontowane i odmalowane, ale piękne pokoje mieściły urzędy, a w oknach, gdy nastawał wieczór, płonęło ostre światło lamp luminescencyjnych.

Davina nigdy nie lubiła specjalnie ani parku, ani domów z tarasami. Zdawało jej się, że są dziwnie posępne. Były jak fałszywy wiejski krajobraz osadzony w sercu miasta. W zimie wydawało jej się, że jest to najbardziej ponura okolica na Ziemi, szczególnie wieczorami, gdy po cienistych alejach przemykali rabusie, kontynuując tradycję swych poprzedników - pieszych rozbójników z osiemnastego wieku.

- Nie jesteś zbyt rozmowna - Grant przerwał milczenie. - Coś się stało?

- Nie, nic. Po prostu myślałam, jak bardzo bym nie chciała mieszkać w tej dzielnicy, to wszystko.

- Nie masz na to zbyt wiele szans - zauważył cierpko. - Chyba że zostaniesz milionerką albo właścicielką jakiejś spółki. Zatrzymamy się tutaj.

Wzdłuż ulicy stały samochody. Samotni kierowcy oczekiwali na spacerujące prostytutki i posyłali im szeptem zaproszenia przez otwarte okna. Patrole policji drogowej polowały na nie w nocy, ale wczesnym rankiem trochę się ich tu włóczyło.

Grant zatrzymał samochód, spojrzął w lusterko, zaciągnął ręczny hamulec, wyłączył silnik i sprawdził, czy stoi na właściwym miejscu. Wszystko to, co robił, było metodycznie przemyślane i irytujące, i zdawało się, że trwa dłużej, niż należy. Davina nie wiedziała, dlaczego tego ranka drażni ją to bardziej niż zazwyczaj.

Otworzyła torebkę i wyjęła papierosa. Grant skrzywił się pod nosem i powiedział:

- Musisz to robić? Samochód potem cuchnie.

- To mi pomaga myśleć - odparła. - Spróbuj otworzyć okno, Humphreyu, albo noś przy sobie odświeżacz powietrza.

Odkręcił okno na kilka cali i zaczął kasłać, gdy zapaliła.

- Widziałam Harringtona - oświadczyła.

Grant nie tracił czasu ani słów na pytania o jego zdrowie. - Czy mieliśmy rację?

- Całkowitą - potwierdziła. - Nawet mu nie drgnęła powieka, gdy zaczęłam mówić o wtyczce na wysokim szczeblu. Powiedział, że istniała już wtedy, gdy on sam zaczął pracować dla Rosjan.

- To by kazało nam cofnąć się o jedenaście lat, jeśli mnie pamięć nie zawodzi - przerwał Grant. - Byliśmy tam wtedy wszyscy: Kidson, Szef, ja i nawet ty.

Davina przesłała mu lekki, złośliwy uśmiech.

- To nie jestem ja - zapewniła.

Nie przyjął tego jako żartu. Odwrócił się gwałtownie na siedzeniu i powiedział:

- To jest możliwe. To mogę być ja, to może być każdy z nas. Jedenaście lat temu... Czy mu wierzysz?

- Tak, wierzę. Jeszcze ciągle uprawia te swoje gierki, ale nie są one już zaskakujące. Przejrzałam go na wylot. Harrington wie, że wśród nas jest zdrajca, on zaś może nas naprowadzić na wiele śladów. Ale będziemy musieli mu za to zapłacić.

- Przypuszczam, że chodzi o wymianę. To jest najbardziej skomplikowany wariant. I nasi przeciwnicy nie mają w rękach żadnego naszego agenta tej samej miary.

- On o tym nie wie - odparła Davina.

- Ale jeśli nie możemy go wymienić, to co mu zaoferujemy?

- Od jak dawna siedzi w Scrubs?

- Najpierw był przez jakiś czas w Brixton, ale na pewno już był w Scrubs, gdy ty z Sasanowem wyjechałaś do Australii. To jest bardzo bezpieczne więzienie.

- Co więc będziemy robić dalej? - spytała Davina.

- Bardzo bezpieczne - kontynuował Grant, ignorując jej pytanie. - Ale nie utrzymało Blake'a... Myślę, że musimy zorganizować jego przeniesienie. Lepiej się zabezpieczyć.

- Ale dokąd? Czy nie będzie to zbyt trudne? Czy nie spowoduje komentarzy w biurze, gdy Harrington zostanie nagle przeniesiony z takiego miejsca jak Scrubs?

- To się da załatwić. Zostaw to mnie.

- Bez wiedzy Johna czy Szefa? - zmarszczyła czoło i wyrzuciła niedopałek przez okno.

- Oczywiście. Robiłem różne rzeczy bez porozumienia z nimi. - Grant nie powiedział tego z przechwałą.

- Nie miałam o tym pojęcia - zauważyła cicho Davina. - Nie zdawałam sobie sprawy, że jesteś tak potężny.

- John i Szef mogą powiedzieć to samo o sobie - odparł. - Od czasu do czasu każdy z nas pracuje za plecami innych. Musisz o tym pamiętać.

- Będę - powiedziała Davina. - Wrócę tam za kilka dni i znowu się z nim zobaczę. Na razie w sprawie przenosin nic nie załatwiam.

- Nie ma pośpiechu - odrzekł Grant. - Będę czekać, dopóki nie zobaczymy, co ma nam do zaoferowania. Chcesz, żebym cię podrzucił na Arlington Place?

Nie wykazywał specjalnego entuzjazmu.

- Nie, dziękuję. Wsiądę na skrzyżowaniu przed parkiem, po prawej stronie. Pójdę i zabiorę swój samochód.

Znowu powtórzył wszystkie czynności zapuszczenia silnika i gdy miał ruszyć, spojrzał na nią, pytając obojętnie:

- Czy ty naprawdę wykonujesz jakąś pracę dla Waldena? Davina patrzyła przed siebie i odparła z tą samą obojętnością:

- Tak, Humphreyu, naprawdę tam coś robię.

ROZDZIAŁ 2

Arlington Place było wąską uliczką w obrębie mili kwadratowej niezwykle prestiżowej powierzchni wokół Marble Arch. Agencja Arlington zajmowała wysoki, pokryty stiukami dom, zbudowany dla kupca herbacianego w połowie osiemnastego wieku. Dom zachował swój oryginalny portyk, fasadę, balustradę; piękne ozdobione okuciami schody wznosiły się z hallu na wyższe piętra; windę umieszczono dyskretnie w rogu. W hallu wejściowym znajdowało się niewiele mebli; recepcjonistka siedziała za stylowym biurkiem i pytała z zawodowym uśmiechem, czego sobie życzą goście. Telefony i intercom nie rzucały się w oczy; czuło się tu atmosferę wytwornej staroświeckiej elegancji i uprzejmości. Wrażenie to szczególnie potęgowało się w kontraście z ulicą.

Nigdzie nie było widać oznak amerykańskiego rodowodu firmy. Nawet centralne ogrzewanie dawało przyjemnie niską temperaturę. Dyrektor nalegał, aby w jego gabinecie i pokojach recepcyjnych zawsze stały kwiaty. Wzdłuż schodów, na eksponowanych miejscach, zawiesił obrazy z własnej kolekcji aby klienci mogli im się przyglądać. Lubił flamandzkie pejzaże, ale klient dostatecznie ważny, który omawiał swoje zamówienie w prywatnym gabinecie, mógł cieszyć oczy wspaniałym rozplomienionym pejzażem Turnera, wiszącym nad kominkiem. Davina mogła oglądać ten obraz ze swego małego biura przylegającego do gabinetu, gdy drzwi, łączące pokoje, były otwarte.

Kiedy po raz pierwszy weszła do prywatnego gabinetu Tony'ego Waldena, wydała okrzyk zdumienia:

- Boże! Jakież to podobne do „Walczącego Temeraire'a”.
Co za wspaniały obraz, panie Walden!

I tym podbiła go z marszu. Walden był dwukrotnie żonaty. Druga żona była tak podobna do pierwszej, że przyjaciele zastanawiali się, dlaczego robił sobie kłopot ze zmianą. Tony

ceniał i wielbił w kobietach piękno, podobnie jak w swym otoczeniu i w tym, co posiadał. Na komercyjnym rynku dostrzegał handlowy potencjał we wszystkich formach wulgarności i wykorzystywał to. Jednocześnie strzegł czystości swoich zasad i systemu wartości. Sprzedawał mydło i środki depilacyjne, pastę do podłóg, papierosy i papier toaletowy, dietetyczną margarynę i szwedzkie samochody. W reklamie swoich wyrobów używał nagości i prymitywnych symboli, aby sprzedawać produkty nie mające nic z tą symboliką wspólnego. Miał niezwykły talent przekonywania ludzi, że pragną właśnie tego, co oglądają w telewizji lub na gigantycznych planszach w mieście. Swą wiedzę o technice sprzedawania zgromadził, gdy chodził po domach i oferował kobietom tanie komplety do makijażu. Finansową bystrość i przenikliwość dały mu studia matematyczne na londyńskiej politechnice, odbywane w czasie wolnym od pracy.

Mówił bez żadnego akcentu środowiskowego; specjalnie się o to starał, aby nie zdradzić swego prawdziwego pochodzenia. Ani obie żony, ani dwoje dzieci nie miały pojęcia, że urodził się w Polsce tuż przed wojną. Tylko Humphrey Grant wiedział, że Walden w latach pięćdziesiątych dostarczył cennych informacji do MI6 o drogach ucieczek z bloku wschodniego.

Usłyszał, że Davina wchodzi do sąsiedniego pokoju. Sam był za biurkiem o ósmej trzydzieści każdego dnia, a w soboty Pracował do lunchu. Waldenowie mieszkali z książęcym przepychem w kamienicy na Grosvenor Square; Tony odmówił zbudowania domu na wsi, symbolizującego jego status społeczny. Nie interesowały go sielskie rozrywki, a zimy w angielskim klimacie były dlań udręką. Gdy robił sobie wakacje, które zresztą zawsze łączył z interesami, to jechał do Kalifornii.

- Davina?

Podeszła do drzwi i powiedziała:

- Dzień dobry, panie Walden. Trochę się spóźniłam, proszę mi wybaczyć.

- Niech pani nie opowiada głupstw. - Miał bardzo sympatyczny uśmiech. - Wie pani, że nie musi przychodzić, jeśli jest to jej nie na rękę. Ładnie dziś pani wygląda. Niebieski to właściwy kolor dla pani.

- Dziękuję.

Odwróciła się, żeby wejść do swego gabinetu. Leżała tam na biurku sterta korespondencji. Davina nalegała, aby jej osłona miała wszelkie cechy prawdziwej pracy. Była zbyt niezależna, żeby brać pieniądze nic w zamian nie dając. Ta postawa obok jej uznania dla obrazu Turnera zrobiła na Waldenie szczególne wrażenie. Nie potrzebował przecież specjalnego pomocnika, miał dwie wysoko kwalifikowane sekretarki. Jedna z nich pracowała tu od dziesięciu lat i uważała się za niezastąpioną. Nazywała się Frieda Armstrong; jej koleżanką była młodsza o sześć lat Chris Collins. Obie urzędniczki zdawały sobie doskonale sprawę, że obecność Daviny w biurze była zbyt duża, uznano jednak, że dyrektor miał osobiste powody, aby ją zatrudnić. W porównaniu z klasycznie piękną panią Walden wybór takiej kochanki zdawał się dziwny. Walden wiedział o tych przypuszczeniach i plotkach. W jakimś sensie nawet bawiło go to, że udało mu się zdezorientować swój inteligentny personel. Pomogło mu to również skupić uwagę na Davinie Graham i zobaczyć ją w kontekście erotycznym. Nie była jego typem. Nie lubił rudych włosów, nie pociągały go bardzo szczupłe sylwetki; doceniał jednak jej wspaniałe nogi. Była w niej jakaś powściągliwość, która go drażniła, i pewność siebie, która powinna go natychmiast zniechęcić. Jednakże żadna z tych cech Daviny nie zmniejszyła jego fascynacji, choć zupełnie nie mógł zrozumieć, dlaczego tak było.

Dawał jej różne prace, jak sobie tego życzyła; jeśli była nieobecna lub się spóźniła - nie robił uwag. Wszystko to zostało uzgodnione i było oczywiste. Kiedy przychodziła do biura, a on wydawał jakieś polecenie, robiła to szybko i starannie. Nigdy też mu nie przeszkadzała ani nie starała się nawiązać stosunków, które wykraczałyby poza granicę uprzejmości wymienianych przez obcych sobie ludzi. Odnosił wrażenie, że zna tylko jego nazwisko i miałaby trudności z opisaniem jego twarzy.

Davina zamknęła drzwi między pokojami i Walden zapomniał o niej w ciągu kilku sekund, skoncentrowawszy się na pracy. Frieda Armstrong wchodziła i wychodziła z gabinetu; dał jej kilka poleceń, a ona przypomniła mu o wyznaczonych spotkaniach, patrząc niechętnie na oddzielne pomieszczenie, z którego ją usunięto, choć jednocześnie podniesiono pensję. O jedenastej, jak co dwa tygodnie, miała się odbyć w długiej sali na drugim piętrze konferencja. Była dwunasta trzydzieści, gdy Walden wrócił do siebie. Był tak zaaferowany, że musiał sięgnąć po kalendarz, by sprawdzić, czy podczas lunchu nie ma jakiegoś spotkania. Przeznaczone nań dwie godziny miał wolne.

Walden nie palił ani nie trzymał w biurze alkoholu. Zawsze jednak miał pod ręką dzbanek z sokiem pomarańczowym i lód. Teraz też nalał sobie soku do szklanki i odetchnął z ulgą. Drzwi się otworzyły.

- Mam dziś wolne popołudnie, panie Walden - powiedziała Davina. - Może mogłabym się na coś przydać?

Popatrzył na nią przez chwilę w zamyśleniu:

- Tak, istotnie, mogłaby pani. Mogłaby mi pani oszczędzić niestrawności po zjedzeniu kanapki w biurze. Zapraszam panią na lunch.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł - odparła.

- Dlaczego nie?

Wzruszyła ramionami. Była zakłopotana, bo czuła, że się rumieni. Do diabła z rudymi włosami i jasną cerą!

- A więc dlaczego nie? Nie ma pani nic do roboty, a ja lubię towarzystwo. Spotkajmy się w barze Harry'ego o pierwszej.

Nie czekając na odpowiedź wyszedł, pozostawiając ją stojącą na progu z uczuciem, że zachowała się śmiesznie i niegrzecznie, i że została zgrabnie przechytrzona.

Ze względu na to, co robił, żeby pomóc, nie mogła teraz nie zjawić się na spotkanie. Bar Harry'ego był częścią znanego od dawna Marks Clubu - ekskluzywnego, drogiego i bardzo popularnego wśród bogatej młodzieży. Davina nigdy tam nie była. Nawet majorzy z wysokimi odznaczeniami nie mogli sobie pozwolić na bywanie w tym klubie. Ponieważ nie miała gdzie zaparkować, spóźniła się pięć minut i w podłym nastroju pozostawiła wóz na żółtej linii. Postanowiła wpisać mandat w koszty operacji. Humphrey zwykle wściekał się na najmniejsze odejście od prawa w rodzaju naruszenia przepisów drogowych. A tu dwa mandaty w ciągu dwóch dni - od Wormwood Scrubs do Mayfair. Ciekawe, co by na ten temat miał do powiedzenia jakiś sprytny analityk w dziale komputerów. .. Weszła do restauracji, gdzie wskazano jej uprzywilejowany stół przy oknie.

Walden wstał z krzesła.

- Nie sądziłem, że pani przyjdzie - powiedział.

- Nie jestem chyba aż tak spóźniona? - Davina usiadła i natychmiast pożałowała swojej odpowiedzi. - Nie chciałam być nieuprzejma - powiedziała. - Bardzo tu ładnie. To miło z pana strony, że mnie pan zaprosił.

- Dlaczego więc robiła pani takie problemy? Jak pani widzi, to bardzo szacowne miejsce.

Rozejrzała się, idąc za ruchem jego głowy. Dostrzegła, że znana z szerokich kontaktów towarzyskich księżna z rodziny

królewskiej zajmuje miejsce przy stoliku w górnej części sali. Davina roześmiała się.

- Dobry Boże, „szacowne” to naprawdę właściwe określenie. Czy zawsze przychodzi tu pan na lunch?

- Tylko gdy podejmuję kogoś bardzo ważnego - odpowiedział.

Miał bardzo ciemne oczy i gdy się uśmiechał, jego wschodnioeuropejskie pochodzenie uwidaczniało się w szerokich kościach policzkowych i dużych ustach.

Jedzenie było włoskie i doskonałe w smaku; Walden zamówił wino, ale, jak zauważyła, pił bardzo mało.

- Jakże miłe - powiedział nagle. - Odkąd pani przyszła, ani przez chwilę nie myślałem o interesach.

- Mam nadzieję, że jest to komplement - odparła Davina. - Z reguły nie odciągamy ludzi od ich pracy.

- Być może dlatego, że swoje zajęcia traktuje pani bardzo poważnie - zauważył. - A jak się to wszystko układa? Czy też nie powinienem pytać?

- Pytać pan może - odpowiedziała spokojnie - ale ja nie mogę odpowiadać.

- Tak, oczywiście, nie może pani. Moje zajęcia muszą się pani wydawać bardzo nudne.

- Jeśli mam być szczerą, wcale tak nie jest. To wszystko jest naprawdę bardzo interesujące. Pańskie analizy marketingowe są błyskotliwe. - Uśmiechnęła się i dodała: - Teraz nareszcie wiem, dlaczego kupuję tyle różnych zbytecznych rzeczy!

- I w tym tkwi cały sekret - Walden nachylił się w jej stronę: - Dobra konsumpcyjna, ktokolwiek wymyślił takie określenie, pomógł mi zrobić majątek. Wszyscyjemy więcej, niż potrzebujemy; palimy, pijemy i odurzamy się chemikaliami, wdychamy codziennie rozmaite zanieczyszczenia. Świat konsumuje sam siebie, zżera żywcem

swoje naturalne środowisko, korzystając z chciwości i głupoty ludzi.

- Dlaczego więc pan to robi?

- Dlatego, że lubię - powiedział wprost. - I gdybym ja tego nie wykorzystał, zrobiłby to ktoś inny. Czy pani nigdy nie wątpi w to, co pani robi?

Davina zapaliła papierosa.

- Niezbyt często. W każdym razie nie teraz.

- Powiedziałem już, że pracuje pani z oddaniem. Ale nie chciałaby pani, abym powiedział, że z fanatyzmem, prawda?

- Nie zrobiłoby mi to różnicy. Teraz pracuję nie dlatego, że wierzę w sens mojej pracy. Jestem przekonana, że trzeba to robić.

- A co z majorem Lomaxem? - to pytanie ją zaskoczyło. - Gdzie on się w tym wszystkim mieści?

- W moim życiu osobistym - odparła.

- Rozumiem. Mieć życie prywatne to chyba bardzo trudne?

- Nie wtedy, kiedy partner rozumie, co się robi. Colin wie, o co tu chodzi.

- Ma pani szczęście - powiedział. - Żeniłem się dwukrotnie. Moja pierwsza żona chciała męża w kapciach, przy kominku, a obecna co wieczór pragnie być w nocnym klubie.

Najsmutniejsze, że choć są do siebie tak podobne, jedyną ich wspólną cechą jest to, że są mną rozczarowane.

- Bardzo to smutnie brzmi - zauważyła - i trochę banalnie, jeśli mogę tak powiedzieć. Ma pan przecież dzieci, widziałam na biurku ich fotografie.

- Dwóch chłopców, bardzo miłe i dobre dzieciaki. Jeden jest jeszcze w szkole, a starszy studiuje na uniwersytecie w Kijowie. Obaj ciężko pracują, żadnych narkotyków, żadnych problemów. Nie mogę się na nich skarżyć.

- A wygląda na to, że właśnie to pan robi - powiedziała z wyzwaniem.

- Jest pani bardzo bystra, Davino. Cały kłopot w tym, że oni mnie nudzą. Widzę jednak, że pani się z tym nie zgadza.

- No cóż, ostatnie minuty lunchu poświęcił pan krytyce swoich żon i dzieci, a pośrednio również swoich interesów, więc dlaczego miałabym się zgadzać. Czy nic nie jest takie, jakby pan chciał, żeby było?

- Owszem - odparł spokojnie. - Wyzwanie jutra. Odebranie zamówienia destylatorni moim największym rywalom w Stanach. Taka sprawa wszystko inne usuwa w cień. Żyję takimi wyzwaniami; to utrzymuje poziom mojej adrenaliny i czyni serce młodym. Ale już czas poprosić o rachunek; mam spotkanie za kwadrans trzecia i ta stara jędra, Frieda, będzie robić w biurze uwagi. To był bardzo udany lunch. Czy i pani tak sądzi?

- Tak, ja także - odparła Davina i uświadomiła sobie, że mówi to z przekonaniem.

Dwanaście dni. Harringtonowi wydały się one latami. Starał się odpędzić niepokój, wspominając, ile biurokratycznych zabiegów związanych było zawsze ze śledztwem. Oczywiście Davina nie będzie mogła zjawić się tutaj szybko. Wyobrażał sobie, jakie się odbywają konferencje, narady z ministrem spraw wewnętrznych, aby uzyskać pozwolenie na regularne widzenia, może nawet na przyprowadzenie Kidsona; widział ponurego Granta, szepczącego coś generałowi, wymagającego, żeby wszystko było wyjaśnione, wciągnięte do teczek w trzech egzemplarzach. Starał się znaleźć różne usprawiedliwienia i żadne z nich nie uspokajało jego rozdygotanych nerwów. - I to właśnie było to, czego chciała ta suka - mówił sobie w zapamiętaniu. Osaczyła go i on wpadł w tę pułapkę.

Zaczął znowu spacerować po celi, czego nie robił przez ostatnie cztery lata pobytu w więzieniu. Czuł się znowu osaczony, niespokojny, nie mógł spać. Jego umysł zestawiał rozmaite warianty, możliwości, ale wszystko odbijało się od tego jej przekłętogo milczenia. Dręczył się myślą, że całe śledztwo zostało odłożone na półkę i nigdy więcej nie zobaczy Daviny. Dwadzieścia cztery lata wyciągały się przed nim w nieskończoność, aż pewnej nocy wpadł niemal w histerię. Stał pośrodku celi, pot spływał mu po całym ciele, a on wygrażał ścianom zaciśniętymi pięściami. Już osiągnął stan pogodzenia się ze swoją sytuacją, rodzaj tępego zapomnienia, w którym dusza pozostaje w uśpieniu, w oczekiwaniu, lecz bez nadziei. Wizyta Daviny znowu mu ją dała, przebudziła go do oczekiwania na wolność. Udręka stawała się nieznośna, gdy nic się potem nie wydarzyło. Stara rutyna rannego wstawania, pracy, czytania, oglądania telewizji w godzinach rekreacyjnych - wszystko to stało się szarpiącą nerwy męką. Za każdym razem, gdy otwierały się drzwi jego celi, zrywał się z miejsca, myśląc, że to wezwanie do biura naczelnika; kiedyś był to tylko jakiś kontroler więzienny, który nie interesował się Peterem.

Trzynastego dnia nie mógł już powstrzymać drżenia rąk. Była piąta po południu, na godzinę przed kolacją, gdy w zamku zazgrzytał klucz i strażnik powiedział: - Wzywają cię na górę.

Peter Harrington miał łzy w oczach, kiedy wszedł do gabinetu naczelnika i zobaczył siedzącą tam Davinę. Szybko zamrugał, żeby tego nie dostrzeżono i nawet zdobył się na pozór pewności siebie, siadając na krześle naprzeciw niej. Ulga, jaką odczuł, była tak wielka, że chciało mu się głośno śmiać. Cokolwiek jednak się zdarzy, ona nie może się dowiedzieć, jak bliski był całkowitego załamania. Papierosa? - zaproponowała.

Powstrzymał nagle pragnienie zaciągnięcia się jednym. Nie mógł ufać swym drżącym dłoniom. Jeszcze nie teraz.

Davina nie traciła czasu.

- Mam dla ciebie nowinę - powiedziała. - Obawiam się jednak, że niezbyt dobrą.

Peter nie mógł kontrolować swoich odruchów. Jego twarz stała się śmiertelnie szara.

- Och... więc przyszłaś zadać cios osobiście, Davy? To miło z twojej strony.

- Śledztwo wisi na włosku - oświadczyła chłodno. - Ja wierzę w całą sprawę, podobnie jak kilka osób w biurze. Wierzę, że zdrajca zajmuje u nas wysokie stanowisko, tak samo wierzą w to oni. Jednocześnie zaś są też silne naciski, aby całą sprawę zatuszować.

- Pewnie, że tak jest - wykrztusił Peter. - A jak, do cholery, może być inaczej, jeśli ta wtyczka wie, że zaczęto węszyć! Kto chce sprawę odłożyć na półkę? To może być wskazówką!

- Ministerstwo Spraw Zagranicznych - odparła. - Nie chcą, aby wyszedł na jaw jakiś skandal. Można tylko zgadywać, kto za tym stoi. Nikt nie mówi wprost, ale ktoś robi wszystko, żeby tę sprawę zostawić w spokoju.

Peter spuścił głowę.

- A więc tak to wygląda. Wiem, co znaczy silna presja. Pracowałem w tej cholernej instytucji dwadzieścia lat! Oni postawią na swoim.

- Niekoniecznie - odpowiedziała spokojnie Davina. - Nie mam zamiaru poddać się bez walki.

- Nigdy tego nie robiłaś. - Jego głos był chrapliwy i cichy. - Ale nie wygrasz z Mandarynami. Nikt nie wygra.

Dawno nie słyszała tego przezwiska, jakiego używano wobec decydentów z kręgów establishmentu. To

przypominało jej o wieku Harringtona i usytuowało go w odległych latach tuż po wojnie.

- Mogę wygrać - stwierdziła - jeżeli uda mi się im pokazać coś, czego nie będą mogli odłożyć ad acta.

Podniósł głowę i zmrużył oczy, skupiając spojrzenie na jej twarzy. Wyraźnie pogorszył mu się wzrok. Sprytna baba - pomyślał - o mało mnie nie doprowadziła do ataku serca. Mój Boże, wyraźnie podupadam na duchu, bo dałem się złapać na ten trik ze złymi nowinami. W tym interesie nie ma żadnego oficjalnego kamuflażu. Ona stara się wykorzystać właściwy moment, i to wszystko. Chce, żebym dał coś za nic...

- Nie musisz mi oczywiście wierzyć - powiedziała Davi - To zależy tylko od ciebie. Mogę stąd wyjść i na tym wszystko się skończy. Ty jednak będziesz musiał odsiedzieć swój wyrok. Nie dwadzieścia cztery lata, bo załapiesz się na jakąś amnestię, ale i tak dostatecznie długo. - Szantaż? - syknął przez zęby. pokręciła przecząco głową.

- Nie. W jakimś sensie przegram tak samo, jak ty. A Służba jeszcze więcej. Potrzebuję cię, Peterze, inaczej nie byłoby mnie tutaj. Ty zaś potrzebujesz mnie. To nie jest szantaż, tylko stwierdzenie faktu.

- Daj mi papierosa - powiedział. - W porządku... Pozwól, że zadam najpierw kilka pytań. Skąd dostałaś cynk w tej sprawie?

Davina położyła magnetofon na biurku, nacisnęła przycisk i zaczęło się nagrywanie.

- To przyszło z zewnątrz. Mieliśmy jednego człowieka, który pracował kiedyś w wojskowości. W ubiegłym roku jeździliśmy razem w pewnej misji. I on zauważył dziwne zbiegi okoliczności. Zaczął przygotowywać raport, wykazujący wszystkie nieścisłości, których przedtem nikt z nas nie dostrzegł. Potrzebne było świeże oko, Peterze. I w końcu to, co mu się udało zrobić, poukładało fragmenty

łamigłówki w całość, z wyjątkiem jednego brakującego kawałka. Ale obraz już jest, tak czy inaczej.

- Jednakże skonstruowany ze zbiegów okoliczności - zaoponował Harrington. - Bez faktów.

- Istotnie - zgodziła się Davina. - Ale sam wiesz, jak często same fakty mogą prowadzić na manowce. Tutaj był cały ciąg wydarzeń, poczynając od Sasanowa, ciebie i mnie.

Harrington zaciągnął się głęboko papierosem, odzyskując panowanie nad sobą. Nawyk i długoletni trening dały znać o sobie i w tej chwili jego myśli już wyprzedzały słowa Daviny. On, ona i Sasanow. Największa rosyjska klęska wywiadowcza dekady. A jednak prawie odwrócona i zneuralizowana. Ale nie dla Daviny Graham - to była oczywista przyczyna. I były jakieś cienie, jakaś szara przestrzeń, która go dręczyła.

- Chciałbym rzucić okiem na ten raport - powiedział. Z wyrazu twarzy Daviny zrozumiał, że nie uzyskał zgody. - - Posłuchaj mnie, Davy - rzekł - nie mam na myśli żadnych numerów. I nic mnie nie obchodzi, kto wygra tę zakichaną wojnę wywiadów. Jedno, czego chcę, to wyjść stąd, przeżyć resztę mego życia w jakimś sympatycznym miejscu, na przykład w Szwajcarii. Mam pięćdziesiąt cztery lata, a czuję się, jakbym miał całą pieprzoną setkę. Pokaż mi ten raport.

- Dlaczego?

- Dlatego, że znam tylko kryptonim „Albatros”. - Podniósł głos: - Gdybym wiedział, kto to jest, powiedziałbym ci w zamian za ułaskawienie. Albo za umowę z Moskwą, jak to zrobiono z Lonsdalem. Nie trzymałbym tej wiadomości dla siebie, nie ciągnąłbym tego z tygodnia na tydzień. Zaczynam tu powoli wariować, zwłaszcza teraz, gdy rozgrzebałaś tę sprawę.

Uwierzyła mu. Uwierzyła rozpaczliwemu załamaniu brzmiącemu w jego głosie, dygocącym palcom, które mięły paczkę z papierosami. Przez ostatnie dwa tygodnie jeszcze

bardziej zeszczupłał. Mówił prawdę. Wiedział, że był ktoś, ale nie wiedział, kto to był. Teraz Peter będzie potrzebny, aby brakujący fragment łamigłówki Colina mógł być odnaleziony i umieszczony na właściwym miejscu.

- Wydobędę dla ciebie kopię raportu - powiedziała. - Przyjdę tu znowu pojutrze. I jeszcze jedno. Nie dziw się, jeśli cię stąd przeniosą.

Przyglądał jej się przez chwilę, a potem chytry uśmieszek przemknął mu przez usta.

- Przeniosą? Do otwartego więzienia?

- Nie wiem - odparła Davina - ale tu jest zbyt krepująco. A więc pojutrze, Peterze.

- Będę tutaj - spróbował zażartować.

- Do widzenia - powiedziała i otworzyła drzwi, aby wpuścić stojącego na korytarzu strażnika.

Frieda Armstrong piła herbatę ze swą koleżanką, panną Collins.

- Jeśli jest coś, co mnie naprawdę drażni, to sposób, w jaki panna Graham przychodzi i wychodzi bez mojej wiedzy! Dzisiaj rano były do niej trzy prywatne telefony, a ja nie mogłam powiedzieć ani gdzie jest, ani kiedy i czy w ogóle będzie w biurze.

- A co, ona nie notuje swoich wyjść w kalendarzu? - spytała panna Collins, biorąc sobie czekoladowe ciastko; uwielbiała słodkie rzeczy.

Frieda bardzo dbała o figurę, ubierała się ze smakiem i panna Collins zazdrościła jej tego.

- Nie, nie notuje - odparła starsza z kobiet z lekką irytacją.

- I to jest takie nieprofesjonalne; myślę, że muszę jej na to zwrócić uwagę.

- Pan Walden mówił, że poszła na spotkanie z klientem - zauważyła panna Collins zadowolona, że wie coś, czego nie wie Frieda.

- Bardzo możliwe, ale nie zostawiła żadnej wiadomości na ten temat. Nie mam pojęcia, dlaczego pan Walden w ogóle przyjął ją do pracy. Jest tu po prostu zbyt wygodna.

Panna Collins popijała swoją herbatę i nic nie mówiła. Myślała dokładnie to samo, co Frieda Armstrong, ale nie śmiała tego powiedzieć. Natomiast głośno stwierdziła:

- Zauważyłam, że zachowuje się bardzo powściągliwie i oschle, nawet wobec pana Waldena.

Frieda spojrzała wojowniczo:

- Cóż, i ja byłam oschła wobec jej znajomych. Jedna z nich powiedziała, że jest jej siostrą; pytała, gdzie ona jest, kiedy wróci i jak można się z nią skontaktować. Zupełnie, jakbym była sekretarką panny Graham lub kimś w tym rodzaju. Powiedziałam, że nie mam o niczym pojęcia i odłożyłam słuchawkę.

- I słusznie - potwierdziła panna Collins. - Ale słyszę dzwonek pana Waldena. Czy mam tam pójść, żeby mogła pani wypić swoją herbatę?

- Nie - odparła stanowczo Frieda. - Sama zobaczę, czego chce.

Spiesznie wyszła z pokoju; panna Collins chwilę patrzyła za nią, a potem sięgnęła po kolejne ciastko. - Biedna Frieda - Powiedziała do siebie - kocha się w nim od lat, a on nigdy nawet nie spojrzał na jej nogi. Na moje zaś zerknął raz czy dwa - uśmiechnęła się do siebie. Wcale nie miała zamiaru naśladować starszej koleżanki: obsługiwać szefa, chronić go przed najmniejszymi kłopotami i niewygodami, i pozwolić na to, aby własne życie przemknęło obok bezpowrotnie. Panna Collins miała przyjaciela i zupełnie określony cel, którym było małe sympatyczne mieszkanie w Fulham i zmiana stanu cywilnego. Przyjaciel poza tym lubił jej pulchne kształty.

W mieszkaniu przy Marylebone zadzwonił telefon. Lomax słyszał dzwonek, gdy otwierał frontowe drzwi. W porę sięgnął po słuchawkę.

- Colin? Tu Charlie. Jak się czujesz?

Przypomniawszy sobie, jaką niechęć w stosunku do niej odczuwał przy pierwszym spotkaniu. A i teraz irytował go ten pewny siebie głos. Piękna, rozpieszczona siostra Daviny, po dwóch rozwodach złączona małżeństwem z Johnem Kidsonem. Najdziwniejsze było to, że podczas ostatnich sześciu miesięcy bardzo ją polubił.

- Wszystko w porządku, czuję się doskonale. Właśnie wróciłem z długiej milowej przechadzki. Nie, wcale nie żartuję. Tak, wkrótce będę jednym z tych facetów, którzy biegają dokoła Hyde Parku.

Jej zaraźliwy śmiech dźwięczał w słuchawce: wesoły, ale raczej zbyt głośny.

- Nie, Daviny nie ma w domu; spróbuj zadzwonić do biura.

Po drugiej stronie przewodu Charlie Kidson powiedziała:

- Już to robiłam. Telefon odebrała bardzo niemiła osoba i opryskliwie oświadczyła, że nie ma pojęcia, gdzie ona jest i kiedy wróci. Powiedz jej, żeby zadzwoniła do mnie. Chcę się umówić na kolację. Tylko nasza czwórka. Bardzo dawno się nie widzieliśmy. Cześć!

Lomax odłożył słuchawkę. Ktoś musi uporządkować sprawy w Agencji Arlington. Nawet Charlie zdziwiła się, choć Colin twierdził, że nie była na tyle bystra, żeby coś podejrzewać. Zdecydował, że musi porozmawiać z Grantem. Nie ma sensu niepokoić Daviny. To było wszystko, co mógł zrobić dla niej i zachować w ich związku swoją pozycję. Raz niemal poświęcił dla Daviny życie i gotów był zrobić to znowu, bardzo ją bowiem kochał. Wolał jednak żyć i być razem z nią. Chciał ją mieć przy sobie, przywiązać dziećmi,

zbudować nowe życie dla nich obojga, życie, w którym cały ten świat kręctw i przemocy byłby tylko wspomnieniem.

Ale sam przecież pomógł jej skonstruować tę sieć, którą teraz trzymała w rękach. Oboje zaś byli zbyt wielkimi profesjonalistami i zbyt byli oddani sprawie, by zrezygnować z operacji. Najpierw należało schwytać zdrajcę, rosyjski

"przeszczep", który rozrósł się w ciele SIS jak złośliwy rak. Mężczyźni i kobiety byli skazywani na śmierć i obozy pracy. Davina cierpiała tortury; niewinna kobieta była dręczona, a potem zabito ją w Meksyku; ich losami kierowała zawsze ta sama sprytna ręka.

Ten człowiek musi zostać zdemaskowany. Wtedy przyjdzie czas, żeby zgłosić prawa do Daviny Graham. Tymczasem zaś należało coś zrobić, aby wyjaśnić sytuację Daviny na Arlington Street. Nie można dopuścić do tego, by ludzie szukający z nią kontaktu, Kidson lub sam generał, zostali odprawieni tak, jak dzisiaj Charlie. Zorientowaliby się szybko, że coś jest nie w porządku. Wykręcił prywatny numer Granta. Była prawie siódma i Davina się spóźniała. Wyglądało na to, że utknęła w jakimś korku na East Endzie.

- Hallo! - głos Granta był drżący. Nigdy nie podawał swego numeru ani się nie przedstawiał, dopóki nie wiedział, kto dzwoni.

- Lomax - Colin był tak samo lakoniczny.

- Co się stało? - Humphrey oczekiwał zawsze najgorszego.

- Nic, z wyjątkiem tego pomysłu z osłoną Daviny. Agencja niezbyt zręcznie z tym sobie radzi. Trzeba to wyjaśnić.

- Porozmawiam z Waldenem - obiecał Humphrey. - Czy Davina już jest? Nie, nie chcę, żeby do mnie dzwoniła. Spotkam się z nią jutro w zwykłym miejscu, jeśli ma jakieś

nowiny. Jeśli coś wie, to zadzwoń ty. Po prostu potwierdź jutrzejsze spotkanie.

W porządku.

Colin wyłączył się. Nalał sobie whisky i odrzucił pokusę zapalenia papierosa. Podeszedł do telewizora i włączył go. Nie oglądał programu, patrzył tylko na migające na ekranie postacie, nie słysząc prawie głosu. Myślami bowiem był bardzo daleko.

Pierwszy ślad pojawił się, gdy studiował dossier Daviny Graham, na długo przedtem, zanim ją spotkał i wyjechali razem do Ameryki.

Colin miał duże doświadczenie w wyszukiwaniu mało istotnych, wydawałoby się, nie związanych z tematem szczegółów. W służbie w jednostkach desantowych, SAS, wytrenował ciało i wyczulił umysł; był zawsze gotowy do walki z wrogiem. Stamtąd przeszedł do zagadkowego świata armii tajnych agentów, którzy penetrowali ERA. To właśnie podczas wykonywania zadań w tej sekcji otrzymał swój Krzyż św. Jerzego. Londyn, gdy go zwerbowano, zdawał sobie sprawę, z jakim człowiekiem ma do czynienia. Rzadka kombinacja brutalnej siły i zręczności, a do tego duży talent do pracy wywiadowczej. Gdy więc oglądał dossier Daviny, jakiś drobiazg utkwiał mu w pamięci i nie dawał spokoju.

Sześć lat temu pułkownik KGB, Iwan Sasanow, uciekł na Zachód. Davina Graham została wyznaczona na jego „opiekuna”; zajęcie to wymagało taktu i cierpliwości, z zasady przydzielano je mężczyznom. Pamiętał komentarze, jakie słyszał wtedy na jej temat. Oddana sprawie, bardzo inteligentna, sprawna w działaniu, powściągliwa w reakcjach. Żadnych mężczyzn w życiu osobistym ani przyjaciół wśród współpracowników. Żadnych znajomych, którzy stanowiliby pokusę bycia niedyskretną. Czytał z zainteresowaniem o jej przeszłości, wracając do początków - zwerbowanie i

szkolenie. I wtedy natknął się na lakoniczną wzmiankę o pracowniku, z którym się przyjaźniła, wkrótce po wstąpieniu na służbę. Peter Harrington. Czasami zabierał nową dziewczynę na lunch, do pobliskiego pubu na drinka. I nic więcej. Kontakt ten był tak powierzchowny, że niemal niewart uwagi. Harrington dostał nominację i został oddelegowany do Waszyngtonu. Minęły dwa, trzy lata i nagle coś drgnęło w pamięci Lomaxa. Gdy Davinie zlecono rolę stróża najważniejszego z dotychczasowych rosyjskich uciekinierów, Peter Harrington został w niełasce odwołany i umieszczony w londyńskim biurze.

Wszystkie konsekwencje tego odwołania były już teraz historią. Sam Harrington, gdy wyjdzie na wolność, będzie miał siedemdziesiąt lat. Myśląc o tym, Lomax czuł nieokreślony niepokój, który nasilał się w miarę czytania dokumentów...

Usłyszał odgłos otwieranych drzwi frontowych i podniósł się, by powitać Davinę. Wszedł do maleńkiego hallu i dziewczyna znalazła się w jego ramionach. Wymienili długie pocałunki, które były bardziej wymowne niż słowa miłości wypowiedane przy takich okazjach. Sasanow kiedyś pomógł wyzwolić się Davinie z jej zahamowań, Lomax nauczył ją czułości i subtelności w akcie fizycznym. Po wypadkach w Meksyku był niemal inwalidą i stąd długi okres seksualnej abstynencji. Teraz, prawie zdrowy jak niegdyś, był namiętym i wymagającym kochankiem, pragnącym ciągle zapewnienia, że nic się między nimi nie zmieniło.

Nie jedli niczego do późnego wieczoru. Davina długo spała w jego ramionach. Obudziła się, gdy przyniósł tacę z jedzeniem. Usiadła i uśmiechnęła się sennie.

- Psujesz mnie, kochanie. Czy wiesz, że jesteś lepszym kucharzem ode mnie?

- Oczywiście, że wiem - odparł z uśmiechem, sadowiając się w łóżku z talerzem w ręku. - Mężczyźni zawsze są lepsi od kobiet, nawet w tak zwanych kobiecych zajęciach. Wszyscy wielcy kucharze byli mężczyznami.

- Jedz swój omlet, wstrętny szowinisto! Jest wspaniały! Gdy skończyli, delikatnie pociągnął ją za ucho i powiedział:

- Ty możesz zrobić kawę. - Później zaś dodał: - Dzwoniła dziś Charlie, chce zaprosić nas na kolację. Będziemy tylko we czworo.

- Chyba trzeba będzie pójść - powiedziała Davina z namysłem. - Nie widziałam Johna od wieków.

- A nie masz ochoty? - spytał Colin.

- Niespecjalnie. Nie chciałabym spotykać się teraz z nikim ze Służby. On zaraz zacznie wypytywać o agencję, czy mi się podoba praca, i takie różne rzeczy.

- Poradzisz sobie doskonale - nie ustępował.

- Nie znasz Johna - lekko pokręciła głową. - Odróżnianie prawdy od kłamstwa to jego zawód. A on nie powinien niczego podejrzewać, dobrze o tym wiesz.

- To nie on - powiedział Lomax powoli. - To nie może być on.

- Dlaczego nie? - Davina odwróciła się do niego. - Szef, Humphrey, John, wszyscy trzej są dostatecznie ważni, żeby brać ich pod uwagę. Jeden z nich jest sowieckim szpiegiem.

- Wątpię, czy to Humphrey, przecież on rozpoczął śledztwo - zareplikował. - Byłoby to przecenianiem własnej wiarygodności.

- A znasz lepszy sposób na to, aby przeszkodzić mi w zdemaskowaniu siebie? - odparła Davina. - To jemu przecież oddałeś swój raport i to on musiał z nim coś zrobić.

- Dałem ten raport jemu dlatego, że to on mnie zwerbował i że mu ufałem, tak jak ufam i teraz. Wiesz, kogo zawsze podejrzewałem.

- Wiem - odpowiedziała Davina. - Jamesa White'a. Chciałabym, żeby to był on. Nic nie dałoby mi większej satysfakcji, niż zdemaskowanie go. Ale ja w to nie wierzę. To jest zbyt oczywiste, zbyt łatwe. Równie dobrze może być John. Dlatego tak boję się odkrycia prawdy.

- Charlie chciała, żebyś do niej zadzwoniła - przypomniał.
- Zupełnie wyleciało mi to z głowy. Przestań się martwić. Wymyślę jakieś usprawiedliwienie, jeśli nie chcesz tam pójść.

Davina zawahała się.

- Nie - rzekła po chwili. - Pójdziemy. Dziwnie by to wyglądało, gdybyśmy nie poszli. Zadzwonię do niej jutro.

- Masz jakieś informacje dla Humphreya? Będzie czekał na ciebie przy Mansfield Street, jeśli zechcesz się z nim zobaczyć.

Znowu się zawahała.

- Nie, raczej nie. Nie sądzę, żebym miała mu coś do powiedzenia w tej chwili. Chcę pokazać Harringtonowi twój raport. Podjęłam tę decyzję, kochanie, ale o tym Humphreyowi ani słowa.

- Dlaczego? - był zaskoczony jej stanowczością.

- Ponieważ on nie wie, że ja mam kopię - odparła łagodnie. - Podjęłam zresztą jeszcze jedną decyzję.

- Boże, miej nas w swej opiece - rzekł. - A to co znowu?

- Jeśli mam to wszystko wykonać dobrze, muszę to robić sama. Nie będę składać Humphreyowi żadnych raportów. Od tej chwili on jest też podejrzany. Tak samo jak John czy sam Szef.

- Humphrey?

Grant podniósł głowę znad papierów.

- Słucham cię, Johnie. O co chodzi?

John Kidson zignorował wyraz niechęci na kościstej twarzy Granta. - Jezu Chryste - powiedział do siebie, zbliżając

się do biurka - on z każdą minutą robi się coraz bardziej podobny do tego cholernego Robespierre'a...

W tym momencie usiłował sobie przypomnieć, kto pierwszy zauważył to podobieństwo i nadał Grantowi ten przydomek, który się przyjął i włókł się za nim wszędzie. "Nieprzekupny" bladolicy. Fanatyk ze skórą barwy serwatki, który wyrznął tysiące ludzi w czasie Wielkiej Rewolucji... Za nic nie mógł sobie przypomnieć autora przezwiska, ale był to na pewno bardzo okrutny żart, choć nie pozbawiony podstaw. Humphrey Grant musiał o tym wiedzieć. Tak jak wiedział o wszystkim, co się działo w tym budynku.

Kidson usiadł na krześle i powiedział:

- Wiem, że jesteś zajęty, tak samo jak i ja, ale nie będę zwracał uwagi na twoje aluzje. Chcę z tobą porozmawiać.

Pióro zostało odłożone, papiery odsunięte na bok, Grant chrząknął z lekkim poirytowaniem.

- O czym mamy rozmawiać? Ja naprawdę jestem zajęty.

- Parę tygodni temu Szef zaprosił mnie na lunch.

- To do niego niepodobne - powiedział Grant. - Nigdy nie wydaje pieniędzy na nikogo z nas. Co się za tym kryło?

- To jest właśnie dokładnie to pytanie, które ja sobie od tamtej pory zadaję - odparł Kidson. - Szef mi coś tam mówił, że w tym roku powinien przejść na emeryturę.

Grant lekko skinął głową.

- Tak jest w istocie. Ale to nic nie znaczy.

- On mówił o swoim następcy - ciągnął Kidson.

Twarz mężczyzny siedzącego naprzeciw była nieporuszona, ale jego ciało niemal niezauważalnie skurczyło się i w oczekiwaniu pochyliło ku przodowi. - Wspominał o tobie, Humphreyu. I pytał, co o tym sądzę.

- To było uderzenie poniżej pasa - powiedział Grant gwałtownie. - Jak mogłeś dać mu obiektywną odpowiedź?

Przecież i ty jesteś w kolejce do tego stanowiska. Mój wiek jest przeciwko mojej kandydaturze.

- Szef nie był ze mną szczery - odrzekł cicho Kidson. - W którymś momencie zasugerował coś, co zbiło mnie z nóg. Nie będę tego przed tobą ukrywał. On powiedział, że myśli o kandydaturze Daviny!

Grant podniósł nagle głowę zaskoczony.

- Kobieta? Kompletna bzdura! Nigdy nie otrzyma nominacji!

Na jego policzkach pojawiły się dwie czerwone plamy. Nigdy nie lubił kobiet. Jego ambicje, żeby zastąpić Jamesa White'a, były oczywiste, ale nigdy nie dyskutowane. Teraz, w przystępie prawdziwej wściekłości, obnażył je. Kidson nie widział go tak rozzłoszczonego w ciągu wszystkich lat wspólnej pracy.

Grant poderwał się zza biurka i zaczął chodzić po pokoju.

- Davina? Do pracy na tym szczeblu? Mój Boże, ależ ten facet ma tupet, żeby wspominać o takiej możliwości! Całe swoje życie pracowałem w Służbie, zrezygnowałem dla niej ze wszystkiego. Jeżeli teraz mnie pominą dla Daviny Graham czy kogoś innego, złożę rezygnację tego samego dnia!

- Poczekaj chwilę - powiedział John Kidson. - Nie sądzę, żeby on to mówił poważnie. Myślę, że był to chwyt sprawdzający moją reakcję.

Humphrey spoglądał na niego złowrogo.

- Mam nadzieję, że nie zechce tego próbować ze mną - powiedział.

- Chciał wybadać, co wiem o Davinie - ciągnął Kidson. - A potem okazało się, że sam wie wszystko najlepiej: gdzie teraz pracuje, kto jest jej szefem. Starał się coś ode mnie wyciągnąć, ale niech mnie diabli wezmą, jeśli wiem, o co mu chodziło... Wciąż powtarzał, że ona się marnuje w tej agencji reklamowej, i biadolił, jaka to wielka strata. To samo zresztą

mówił o ewentualnym małżeństwie z Lomaxem, że taka szkoda, taka strata.

- A więc myśli o niej - Humphrey znowu usiadł za biurkiem. - To znaczy, że naprawdę myśli o tym, co ci powiedział.

- Ale przecież ona odeszła na dobre - przypomniał mu Kidson. - SzeF miał nadzieję wyciągnąć ode mnie jakieś dodatkowe informacje o Davinie. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej mnie to wszystko niepokoi. Właśnie dlatego zdecydowałem, że powinienem z tobą porozmawiać. Do ciebie się w tej sprawie jeszcze nie zwracał? Grant pokręcił głową. - Nie, nawet nie napomknął. O jego odejściu na emeryturę nigdy się nie wspomina. Ja zaś nie pozwalałem sobie na żadne spekulacje na ten temat, ponieważ wiem, że on nie zrezygnuje ze stanowiska, dopóki naprawdę nie będzie musiał.

- Nie myślałem teraz o stanowisku - wyjaśnił Kidson. - Chodzi mi o to, czy wypytywał cię o Davinę.

- Niby z jakiego powodu? Poza biurem nie kontaktujemy się ze sobą. Ty jesteś jej szwagrem, to zupełnie co innego.

- Nie widziałeś jej, odkąd odeszła ze Służby?

- Zrezygnowała, gdy oboje z Lomaxem wrócili z Meksyku - odparł Grant. - Pojechałem do domu jej rodziców, aby spróbować namówić ją do powrotu. Odmówiła stanowczo i jednoznacznie. Lomaxowi dawano kilka miesięcy życia i Davina chciała go pielęgnować. Oczywiście, że nie widziałem jej od tamtej pory.

Szczupłe ramiona Granta uniosły się w górę i opadły w geście zniecierpliwienia.

- Nie mogę się pogodzić z tym, że SzeF knuje coś za moimi plecami - wymamrotał. - Nie mogę uwierzyć, że mógł zrobić coś takiego.

- Jest coś podejrzanego w tej jej nowej pracy - dodał Kidson powoli.

Przez chwilę panowało milczenie; myślał, że Grant nie usłyszał tego, co powiedział.

- Charlie dzwoniła tam raz czy dwa. I zawsze otrzymywała tę samą odpowiedź: Daviny nie ma w biurze. Nikt nie wie, gdzie jest. Ja sam próbowałem wczoraj, też jej nie było. Odniosłem przy tym wrażenie, że kobieta, z którą rozmawiałem, nie spodziewała się jej w pracy.

Humphrey powoli zwrócił wzrok w stronę Kidsona. - Lomex miał rację. Musi jeszcze dziś porozmawiać z Waldenem. Ktokolwiek odbierał telefony do Daviny, powinien być postawiony na baczność...

- Nie wydaje mi się, żeby miało to coś znaczyć - powiedział stanowczo. - To, co ona tam robi, to wyłącznie jej sprawa. Ty jesteś jej szwagrem - powtórzył - dlaczego więc nie zapytasz o to sam?

- W przyszłym tygodniu będą u nas oboje na kolacji - oświadczył Kidson. - Chyba wtedy to zrobię.

Grant uśmiechnął się skąpo.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że twoje słynne „czujniki” wysyłają sygnały z powodu Daviny?

- Jeśli chodzi o ścisłość - odparł powoli Kidson - to właśnie tak jest. Podobnie jest i z Szefem. W czasie lunchu zrobił bardzo znamienne uwagę, że ze wszystkich zajęć na świecie praca w reklamie byłaby ostatnią, którą Davina mogłaby polubić. Mówił, że to dla niej zbyt spokojne zajęcie. I tak chyba jest. Na pewno musiała zauważyć, ile tam naciągania porządnych ludzi i obłudy. I żadne pieniądze nie mogłyby jej skusić. Właśnie tu mi się coś nie podoba. Ona nie wybrałaby sobie takiej pracy...

- Kiedy ludzie opuszczają Służbę, to się zmieniają - rzekł Grant. - Obaj widzieliśmy, że się to zdarza. Zasady etyczne

idą w ką, pieniądze stają się najważniejsze. I tak chyba jest z twoją szwagierką.

- Gdyby ona tak się zmieniła - powiedział Kidson podnosząc się z miejsca - to nie mieszkałaby z Colinem Lomaxem. Nie zapominaj o nim.

- Och, nie zapominam - mruknął Humphrey. - Być może masz rację, Johnie. Daj mi znać, gdy dowiesz się czegoś ciekawego, dobrze?

- Oczywiście - Kidson powiedział to już od drzwi. - Przecież właśnie dlatego przyszedłem tu dzisiaj.

Jeszcze kilka chwil po jego wyjściu Grant siedział bez ruchu. Potem wziął pióro i obracał je w palcach. To wszystko nie szło zbyt dobrze. Kidson i Szeft zadawali pytania. I ten diabelny pech, że Davina była spowinowacana z Johnem, który dzięki temu nie tracił jej z oczu. Davina jako następczyni White'a. Z trudem przełknął gorzką ślinę, która napłynęła mu do ust. Wściekłość i poczucie zdrady. Kidson mógł nie brać tego serio, ale Grant tak. To stanowisko, kiedy się zwolni, powinno należeć do niego. Mógł wyprzedzić Kidsona; chciał i mógł pobić na głowę wszystkich innych ubiegających się o nie, choć w Ministerstwach Obrony i Spraw Wewnętrznych było paru ludzi z odpowiednimi kwalifikacjami. Ale nigdy, nawet w najkoszmarniejszym śnie, nie mógł sobie wyobrazić, że takie stanowisko mogłoby być zaofiarowane kobiecie. Był wściekły, tym bardziej że to on sam wybrał Davinę do tego polowania na największą, od czasów Philby'ego i jego protektora Blunta, zdobycz. Jeśli to się powiedzie, jej pozycja w tym wyścigu będzie równorzędna. Nie wyobrażał sobie, że mógłby kiedyś wejść do gabinetu Jamesa White'a i zastać za jego biurkiem Davinę Graham.

Stephen Wood odwiedzał więźniów od siedmiu lat. Rozpoczął od bywania w Pentonville, więzieniu dla

recydywistów, w londyńskim East Endzie, gdy uzyskał dyplom z socjologii na uniwersytecie w Exeter. Miał dobrze płatną posadę na wydziale ochrony środowiska, jego żona była nauczycielką w szkole podstawowej. Mieli ośmioletniego synka. Wood był pogodnym ekstrawertykiem, zdolnym do przerzucania się ostrymi dowcipami z personelem więziennym i zupełnie niewzruszonym, gdy chodziło o więźniów. Był praktyczny i życzliwy, ale całkowicie pozbawiony sentymentalizmu. Zgłosił się do odwiedzania więźniów w Wormwood Scrubs, gdy wraz z rodziną przeniósł się w tę okolicę. Po dwu latach został przydzielony do Petera Harringtona. Naczelnik więzienia i personel uważali, że Wood jest człowiekiem godnym podziwu, Harrington zaś rad był każdemu, kto mógł go łączyć ze światem zewnętrznym.

Obaj mężczyźni zdawali się być w dobrych stosunkach. Stephen pożyczał Harringtonowi książki o stolarce, która była również jego hobby, na Harringtona zaś wywierała dobry, uspokajający wpływ. Zaczął interesować się więziennymi warsztatami, a potem zapisał się do zespołu rękodzieła. Od ostatnich odwiedzin Wooda minął już prawie miesiąc. Notatka władz więziennych wyjaśniała, że był na zwolnieniu lekarskim z powodu jakiejś wirusowej infekcji. Gdy wreszcie się pojawił, strażnik dyżurny przywitał go jak starego przyjaciela.

- Witam! Miło pana znowu widzieć! Słyszałem, że pan chorował.

- Na szczęście już wszystko w porządku - uśmiechnął się Wood. - Jak się mają obaj nasi podopieczni?

Na oddziale specjalnym był jeszcze jeden człowiek, którego odwiedzał, skazany za napad z bronią w rękę i morderstwo. Miał umysłowość dziewięciolatka.

- Obaj mają się dobrze - odparł strażnik. - Kogo chce pan zobaczyć najpierw?

- Chyba Harringtona - odpowiedział Wood. - Przyniosłem mu parę książek - dodał.

- W porządku, proszę pana.

Strażnik otworzył drzwi i Wood wszedł do środka. Peter Harrington wstał i obaj mężczyźni uścisnęli sobie ręce.

- Proszę mi wybaczyć, że pana nie odwiedzałem. Otrzymał pan ode mnie wiadomość?

- Tak. Czy teraz już dobrze się pan czuje? Wirus to paskudna rzecz, nie ma, zdaje się, na to lekarstwa?

- Istotnie, nie. - Wood usiadł. - Antybiotyki nie działają. Trzeba to po prostu dosłownie wypocić - roześmiał się, a Harrington mu zawtórował. Strażnik słyszał głosy i nie zatrzymywał się dłużej pod drzwiami celi. Zawsze się zastanawiał, o czym rozmawiają tacy faceci z więźniami. Za wyjątkiem zdrajcy Harringtona, wszyscy byli niebezpiecznymi kryminalistami, a dwóch, najbardziej ponurych londyńskich gangsterów, trzymano tutaj w obawie przed próbą ucieczki. Poszedł wzdłuż długiego korytarza, jego kroki pobrzmiwały głośnie echem. Myślał o tym, że za dziesięć minut skończy swój dyżur.

Po godzinie Stephen Wood spojrział na zegarek i podniósł się.

- Przyniosłem panu paczkę - powiedział. Harrington podziękował mu za papierosy. - Mam nadzieję, że książki się panu spodobają.

Harrington wziął je i otworzył pierwszą z brzegu.

- Ta otrzymała nagrodę księgarzy - wyjaśnił Stephen. - To świetna powieść.

- Jest niewątpliwie bardzo długa - odrzekł Peter - ale ja mam dużo czasu.

- Tak nie należy mówić - zwrócił mu uwagę jego gość. - Niech pan zauważy także jasną stronę sytuacji. Ta druga

książka to czytało, jeden z tych thrillerów, które połyka się w ciągu wieczoru.

Harrington otworzył książkę i przerzucił kilka kartek.

- Znam to już, dziękuję.

- Wobec tego przyniosę panu coś innego, gdy przyjdę przyszłym tygodniu. A teraz do widzenia, do wtorku.

Nacisnął dzwonek wzywający strażnika. Po paru minutach drzwi celi otworzyły się i Wood wyszedł.

Chwilę rozmawiał ze strażnikiem z nowej zmiany, po czym powiedział:

- Pójdę teraz zobaczyć się z Fredericksem. Jak on się zachowuje?

- Nie najgorzej - odpowiedział strażnik. - Będzie rad pana widzieć; on jeszcze jest za mało aktywny na zajęciach rekreacyjnych. To typ bardzo zamknięty w sobie. Nigdy nie wiadomo, co on kombinuje. Poczekam trochę przy drzwiach, jeśli pan pozwoli. Tak dla pewności, czy aby nie jest w złym nastroju, jak to mu się często zdarza.

Była siódma trzydzieści, gdy Stephen Wood opuścił więzienie. Wracał do domu metrem. W czasie krótkiej podróży otworzył odrzuconą przez Petera książkę i przeczytał wiadomość napisaną w pośpiechu na skrawku papieru i wsuniętą między stronicę. Była ona zdawkowa: „Otrzymałem pewną propozycję, czekam na instrukcje”.

Wood wyszedł z pociągu i szybkim krokiem podążył do domu na kolację z żoną i synem.

- Davina? Proszę, niech pani przyjdzie na chwilę - powiedział Tony Walden do interkomu. Gdy otworzyła drzwi, przywitał ją swym szerokim uśmiechem. - Nie widziałem pani przez kilka dni, od naszego lunchu.

- Miałam zamiar podziękować - odparła. - Było bardzo przyjemnie. Ostatnio załatwiałam to i owo i gdy ja byłam tutaj, to pana nie było w biurze.

- Proszę usiąść na chwilę - zaproponował. - Dostałem po nosie od naszego przyjaciela Humphreya.

- Och, a dlaczego?

Nie wyglądała na zadowoloną. Bardzo niezależna dama - pomyślał - nie lubi, jak ktoś się wtrąca w jej sprawy.

- Zdaje się, że były do pani telefony i Frieda udzielała zbyt zdawkowych odpowiedzi. Humphreyowi to się nie podobało. Już z nią o tym rozmawiałem i pomyślałem, że powiem także i pani. - Ciemne oczy obserwowały ją z uwagą.

- Co ma pan na myśli, mówiąc „zdawkowe odpowiedzi”?
- spytała Davina.

- Wygląda na to, że wywołały one wrażenie, iż nie jest pani odpowiedzialnym pracownikiem. To właśnie zaniepokoiło Humphreya. Frieda nie wiedziała, gdzie pani jest i kiedy wróci, i takie inne rzeczy. W każdym razie wyjaśniłem jej, o co chodzi.

- Cieszę się - stwierdziła Davina. - Frieda zachowała się nie najlepiej.

- Ona jest zazdrosna - zauważył Walden. - Myśli, że my ze sobą sypiamy.

- Na miłość boską! - krzyknęła Davina. Poczula, że oblewa ją rumieniec zakłopotania. Jak, u licha, ta głupia baba wpadła na taki pomysł? - Mam nadzieję, że tę sprawę wyjaśnił jej pan jak należy!

Ku jej zdziwieniu roześmiał się głośno.

- Nie śmiałbym! - zaprotestował. - Czy sądzi pani, że mógłbym powiedzieć: „Słuchaj, Friedo, nie mam romansu z panną Graham. Ona jest agentem wywiadu. A więc nie irytuj się”. Frieda jest zazdrosna o każdego, kto mógłby zająć jej miejsce. A ponieważ jest pani bardzo atrakcyjną kobietą, to myśli, że jesteśmy kochankami. A w ogóle co, do diabła, znaczy to, co ona myśli, jeśli tylko będzie udzielała

właściwych informacji, kiedy pytają o panią w czasie pani nieobecności w biurze.

- Dla mnie to ma znaczenie - powiedziała gniewnie Davina. - Nie lubię, jak się mnie stawia w fałszywej sytuacji.

- Dla kogoś w pani zawodzie - zauważył ostrożnie - to dosyć zabawne stwierdzenie.

- Mój zawód to jedna sprawa - odparowała Davina - a moje życie prywatne to druga. I nie rozumiem, co zabawnego widzi pan w tym wszystkim. Czy sypia pan ze swymi osobistymi asystentkami?

- Nigdy dotąd nie miałem asystentki - odpowiedział. Davina widziała, że z jakichś powodów dobrze się tym bawił i to jeszcze bardziej ją rozzłościło.

- Ja też mam życie prywatne, moja droga Davino. Kłopot z Frieda polega na tym, że ona nigdy nie była jego częścią.

Gdy rozpoczęła tu pracę, zupełnie nieźle się prezentowała, ale to nie mój typ. Lubię piękne i zupełnie głupie blondynki. A więc nie ma się pani czym martwić. Kiedy znowu pójdziemy na lunch?

- Nie mówi pan poważnie! Po tej całej rozmowie to chyba jasne, że nie pójdziemy!

- Ale o co pani chodzi? - Walden mówił łagodnie, trochę się z nią drocząc. - Czy boi się pani, że major będzie się gniewał? Zaproszę i jego, jeśli pani sobie tego życzy.

- To jest coś, co chciałabym zobaczyć - odrzekła lodowato.

- Myśli pani, że nie znajdziemy wspólnego języka? - rzucił z wyzwaniem. - Mężczyzna czynu przeciwko mężczyźnie pomysłów? Sądzę, że mogłoby to być bardzo ciekawe. On mnie nie lubi, prawda?

- Nie. Nie lubicie się wzajemnie, to widać od razu. A w ogóle wszystko to jest śmieszne. Zawołał mnie pan, żeby powiedzieć o Friedzie i jestem wdzięczna, że to zostało

wyjaśnione. Ja zaś mam przygotować panu wyniki analiz marketingowych, dlatego też, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, pójdę do siebie.

- Mam coś przeciw - powiedział Tony Walden. - Te wyniki mogę otrzymać od tuzina innych osób, które prawdopodobnie przygotowują je ze dwa razy szybciej niż pani.

- Bardzo dziękuję.

- Więc dlaczego nie przestać robić przedstawienia? Podsuwam różne takie zlecenia ze względu na ten pani śmiertelnie poważny stosunek do brania pieniędzy za coś i bycia użyteczną. To ładny gest i wyraz sumienności. Cenię to w pani bardzo, ale to się zaczyna robić nudne. Czy może pani usiąść na pięć minut i pozwolić sobie coś wytłumaczyć?

Davina zawahała się. Nie czuła się zbyt pewnie z tym mężczyzną. Nie знаła tego typu ludzi i nie bardzo wiedziała, jak sobie z nimi radzić. Jeżeli wyszłaby w tej chwili z gabinetu, to, czuła to, Tony Walden i tak byłby zwycięzcą.

Ułatwił jej trochę decyzję, mówiąc: - Proszę.

Na tyle nieuprzejmie, jak tylko mogła, odparła: - Niech będzie - i usiadła z powrotem.

- Pani mnie chyba nie rozumie i nie zna, prawda?

Był to wygodny wstęp i skorzystała z niego.

- Nigdy się nie starałam. Uśmiechnął się z lekka i uznał jej przewagę.

- Ja ze swej strony zadałem sobie sporo trudu, żeby się czegoś o pani dowiedzieć, zanim wyraziłem zgodę na propozycję Humphreya. Jest pani zadziwiającą kobietą; ma pani świetną przeszłość w Służbie. Wiem też o odznaczeniach Lomaxa, ale i o pani wyjeździe do Moskwy. Tak, zasięgnąłem informacji o pani nie tylko u Humphreya. Chciałem wiedzieć, jakiej osobie daję osłonę, zanim zdecydowałem się narazić swoje sprawy, gdyby coś poszło niezgodnie z planem. Jestem teraz szanowanym człowiekiem interesu, ale nie zawsze nim

byłem. Dlatego właśnie zgodziłem się dać pani pracę, by mogła się pani ukryć za tym parawanem. Zawsze trochę tęsknię za dawnymi czasami, kiedy często ryzykowałem.

- Rozumiem - powiedziała Davina. - Pan chyba jednak nie wszystko pojmuje: to nie jest jedna z tych powojennych gier. Powiedział pan, że go nie rozumiem. To wcale nie znaczy, że nie szukałam informacji o panu przed podjęciem pracy w agencji. Wydostał się pan z Polski i przyjechał na Zachód mając osiemnaście lat. Doszedł pan do wszystkiego sam. Pomagał pan również uciekać ludziom, gdy wybudowano mur berliński. Wszystko to wiem i doceniam. Ale to nie znaczy, że wyświadczając przysługę Humphreyowi, ma pan prawo wciągać mnie w sprawy prywatne.

- A dlaczego nie? Dlaczego mam bawić się z panią w jakieś głupie szarady o wynikach analiz marketingowych, gdy mam ochotę porozmawiać z panią po prostu jak z człowiekiem?

- Dlatego, że ja nie mogę - odparła. I nagle poczuła się bardzo niezręcznie. - Ja nie mogę rozmawiać z panem.

- Chce pani powiedzieć, że jestem staroświecki, ponieważ liczę na zaufanie? Nie chodzi mi o informacje - dodał, nim zdołała coś odpowiedzieć - ale o zwykłe ludzkie kontakty w przerwie między przyjmowaniem klientów, rozmowami telefonicznymi, czy w czasie lunchu, gdy jestem wolny od robienia interesów i zabawiania swoich klientów. Nie, naprawdę nie rozumiem, dlaczego pani nie może sobie na to pozwolić.

Davina milczała. Wiedziała, że była na to jakaś odpowiedź, ale w tym momencie nic jej nie przychodziło do głowy.

- Po tym, co pan powiedział, czuję się niewdzięczna i małoduszna - rzekła w końcu. - Ale przecież pan mnie nie potrzebuje do tego wszystkiego. Ma pan żonę i

prawdopodobnie przyjaciółki. To, czego pan oczekuje, powinien pan dostać od nich.

- Mam wszystko - odparł z tym swoim szerokim kpiącym uśmiechem. - To, czego mi brak, to odrobina intelektualnej inspiracji. A pani jest osobą inspirującą. Pani jest dla mnie wyzwaniem i to jest coś, co w pani lubię. Wcale nie chcę wiedzieć, co pani naprawdę robi i na czym ta praca polega. Chcę po prostu czasem porozmawiać, gdy siedzi pani w sąsiednim pokoju, a nie zachowywać się jak manekin. Czy to takie niemożliwe?

- Panie Walden - powiedziała - jest pan wredny. I co u licha mogę odpowiedzieć na cały ten smutny szloch z wyjątkiem: „Tak, ależ oczywiście!” Ale ja tego nie powiem. Wychodzę stąd i mam zamiar poświęcić dwa razy tyle czasu, niż ktoś inny, aby dobrze przygotować te rezultaty marketingu!

Nie obejrzała się za siebie, gdy wychodziła z pokoju, ale usłyszała jego cichy śmiech.

Harrington spędził resztę niedzielnego wypoczynku studiując starannie kopię poufnego raportu Colina Lomaxa. Przeczytał go uważnie, kształtując sobie ogólny obraz sprawy, odświeżając w pamięci zdarzenia, w których odgrywał jedną z głównych ról. Nie martwił się zbytnio tym, co było niezgodne z jego doświadczeniami. Szczegóły konfliktów przedstawione na stronicach maszynopisu wypłyną później i ich analiza zajmie mu dużo czasu. Teraz jego wzrok biegł po tekście, jak łasica w pogoni za rozpaczliwie umykającym królikiem. Jego początkowy kontakt z Daviną. Tu ten sprytny facet nie miał racji. On chciał ją zwyczajnie poderwać - to wszystko. Przystojna dziewczyna warta była zainwestowania - jakiś lunch, parę drinków. Istniała także możliwość wycofania się, gdyby się okazało, że ona nie ma zamiaru się za to zrewanżować. Mądry chłoptaş, nigdy tego nie spróbował.

Dalej - jego nominacja do Waszyngtonu... Uśmiechnął się i przypomniał sobie szybciej, niż przeczytał.

Tam właśnie zaczął psuć sobie opinię, na każdym oficjalnym party zalewając się martini i szkocką. Chwiał się potem na nogach i zataczał na oczach wszystkich. Takie miał rozkazy. Postaraj się, żeby cię odwołali, ale nie na inną zagraniczną placówkę. Wyraźnie szukał niełaski. Człowiek, który pisał raport, zaczął dostrzegać jakieś światełko wśród mroku kłamstw i przekłamań. Odwołanie i degradacja do marnego stanowiska w Londynie postawiło go właśnie na drodze Daviny Graham. Miał rozkaz, żeby nawiązać kontakt.

Odłożył raport na bok. Sądził, że wymyślono to na placu Dzierżyńskiego; myślał też, że właśnie jego zręczna gra przybliżyła go do Daviny, a przez nią do uciekiniera Sasanowa. Teraz jednak zdał sobie sprawę, że to dwie ręce, a nie jedna, ustawiły go w tej pozycji. Kto kazał go odwołać i kto wyznaczył mu pracę w kadrach?

Odpowiedź mogło zawierać tylko jego własne dossier...

Wrócił do raportu, zagłębił się w treść i znalazł drugie niejasne miejsce, jeszcze bardziej podejrzanego niż pierwsze. W Służbie uczono, żeby nigdy nie lekceważyć zbiegów okoliczności; nigdy nie pomijać czegoś tylko dlatego, że nie można tego wytłumaczyć. A w tym przypadku nie było żadnego zbiegu okoliczności. Człowiek, którego wyznaczono do Waszyngtonu na jego miejsce, w ostatniej chwili został wysłany gdzie indziej.

Przypomniał sobie te jasne przyлизane włosy, bystre, małe oczy, usłyszał energiczny głos z odcieniem pogardy dla niżej stojących - jak choćby ten marny pijaczyna Harrington. Spencer - Barr. Bratanek ministra, błyskotliwy absolwent Cambridge i harwardzkiej szkoły menedżerów. Mandaryn w zarodku - taki był Jeremy. Przeznaczony do zajęcia w odpowiednim czasie najwyższych pozycji w establishmencie.

Ale ten doskonały egzemplarz miał wadę, która była widoczna od czubka przylizanej głowy do wypiętego tyłka - myślał z szyderstwem Harrington. Nikt o tym nie wiedział, a gdy się zorientowali, Spencer - Barr był już w Moskwie i stanowił ważne ogniwo w najbardziej niebezpiecznej i ryzykownej operacji, jaką prowadziła SIS od początku zimnej wojny. Lecz ktoś wiedział, co naprawdę robił Spencer - Barr, gdy go posłano do Moskwy. Jak za poruszeniem czarodziejskiej pałeczki, manipulator pojawiał się i znikał. Nawet KGB nie mogłoby skonstruować lepszej pułapki. A to także było zrobione w Londynie.

Harrington zaczął pogwizdywać - ciągle powtarzając kilka taktów starej piosenki Beatlesów. Używał jej w Waszyngtonie jako sygnału rozpoznawczego, gdy spotykał się ze swym łącznikiem w poczekalni lotniska w drodze do Nowego Jorku. Latał tam regularnie co tydzień. Swych radzieckich kontrolerów spotykał co trzeci tydzień, a ponieważ się zmieniali, jedynym znakiem rozpoznawczym było pogwizdywanie tej starej melodii.

O tym, że gdzieś wysoko w hierarchii Secret Intelligence Service znajduje się zdrajca, Peter nie myślał, dopóki Davina nie przyszła po raz pierwszy do więzienia. Kiedy to było? prawie trzy tygodnie temu. A wydawało się to wiecznością. Rzuciła mu koło ratunkowe, które pochwycił i, dzięki Bogu najwyższemu, jego pamięć zauważyła sygnały katastrofy, i zarejestrowała odpowiedź. Zawsze cieszył się doskonałą pamięcią. W SIS była sowiecka wtyczka. Tu nie kłamał, choć miał zamiar to robić, gdyby nie mógł przypomnieć sobie prawdy. Ale nie miał najmniejszego pojęcia, kto to mógł być lub czy była to tylko jedna osoba.

Zapalił papierosa z paczki, którą mu zostawił Stephen Wood. Zabawne, jak to prawda zawsze się opłaca. Większą część życia spędził opowiadając kłamstwa i wysłuchując ich.

Teraz zaś, im więcej prawdy wyjawiał, tym lepiej było dla niego. Dlatego zdecydował, że nie będzie oszukiwał Daviny. Nauczył się szanować jej inteligencję. Trzydzieści cholernych lat - to była zupełnie niezła lekcja. Wykrzywił twarz w grymasie wyrażającym nienawiść i żal nad sobą samym.

Nie wiedział, kim był zdrajca; gdzie się znajdował (a może było ich kilku) - powiedział jej o tym. Prosił o raport, bo bez niego nie mógł ubić interesu. Wcale nie tego, którego ona oczekiwała. Och, nie. Harrington nosił przecież odznakę z tarczą i mieczami. KGB karało zdradę, ale nie zdemaskowanie. Czekало na niego konto w Szwajcarii i spora suma pieniędzy. Brytyjczycy mogą go wypuścić, ale tylko jego sowieccy mocodawcy będą płacić. Musi więc ubić interes z obiema stronami. Stephen Wood już otrzymał wiadomość. Dał więc dowód swej lojalności. Teraz dostanie instrukcje i KGB będzie mogło podjąć w jego sprawie działania. Przecież nie stracili do niego zaufania - nawiązanie kontaktu przez Stephena Wooda zajęło dużo czasu, ale oni byli cierpliwi. Nie znosił Wooda i jego serdeczności, jego manier nauczyciela gimnastyki, zachęcającego chłopców do udziału w grach i zabawach. Kto mógłby pomyśleć, że taki człowiek, zalatujący moralnością klasy średniej, macza palce w mętnej wodzie wywrotowych idei? W ciągu dwóch lat przekazał Harringtonowi tylko jedną wiadomość: „Przyjaciele pamiętaj o tobie. Bądź cierpliwy”. Minęły miesiące i zapomniał już o tym, gdyż uwierzył, że sam został zapomniany. Do chwili pojawienia się Daviny Graham.

Papieros przytył mu palce. Rzucił go więc na łóżko i zaklął. Papiery spadły na podłogę, gdy szukał niedopałka na kocu, wreszcie znalazł go, zdeptał i zaczął po dziecinnemu ssać oparzony palec. Zawsze zachowywał się jak dziecko, gdy był chory lub gdy zdarzyło się coś, co zagrażało jego nielicznym przyjemnościom. Pewnego razu rozplakał się, gdy

pękło pudełko, które robił w więziennym warsztacie. To właśnie robiło z człowiekiem więzienie - pozwalał sobie od czasu do czasu na litość nad sobą. Uważał, że lepiej już zabić nieszczęśnika, niż wsadzić go za kratki na resztę życia i udawać, że to jest humanitarne. Lepiej rąbnąć go w tył głowy, gdy idzie po korytarzu, jak to robiono w Rosji Sowieckiej, niż trzymać pod kluczem, żeby sam się wyniszczał frustracją i rozpaczą. Harrington podniósł maszynopis z podłogi, wygładził stronicę - nadepnął na nie w zdenerwowaniu. Sprawdził, czy na łóżku nie ma jakiejś iskiejki - zrobił się bardzo drażliwy, wręcz obsesyjnie reagował na różne takie drobiazgi. Uspokojony, zapalił nowego papierosa, postawił z boku popielniczkę i w skupieniu znowu zabrał się do czytania. Musiał ratować cenne życie. Nagle przypomniał mu się ten staroświecki zwrot i pomyślał, jaki był trafny. Nadzieja, że będzie mógł cieszyć się życiem na wolności, zależała od tego, co wyczyta z tego raportu.

Igor Borysow obrócił się na krześle i spojrział w okno. Miał przed sobą majestatyczny widok na Mauzoleum Lenina i koniec Prospektu Marksa. To pomagało mu się koncentrować. Za nim stała w milczeniu Natalia. Miał takie szerokie plecy; znała w nich każdy mięsień, jej paznokcie pozostawiły lekkie ślady po obu stronach kręgosłupa. Byli kochankami zaledwie rok. To, co z początku było zwyczajnym seksem, przeistoczyło się w bliskość, w partnerstwo. Natalia często spoglądała na siebie w lustrze i uśmiechała się do twarzy najpotężniejszej kobiety w Związku Radzieckim. Biuro Polityczne składało się z samych mężczyzn, ale kochanka i zaufana osoba przewodniczącego wszechwładnych sił bezpieczeństwa była bardziej wpływowa, niż niektórzy jego członkowie.

Borysow dowodził armią wewnętrzną, liczącą około ćwierć miliona ludzi. Żołnierze wojsk KGB byli wyposażeni

w najnowocześniejszą broń i przechodzili specjalistyczne szkolenie, nawet kosztem wydatków na regularną armię. Byli instrumentem w rękach państwa i mieli za zadanie trzymać ludność pod kontrolą, podobnie jak i generalicję. Siły, którymi dysponował jej kochanek na zewnątrz Rosji, opłatały cały świat. Był nie mniej odpowiedzialny za wywiad radziecki poza granicami kraju, niż za pokorną ludność w jego obrębie. Obok Żerkowa, sekretarza generalnego partii, i prezydenta ZSRR, Igor Borysow był najpotężniejszym człowiekiem w kraju.

Podeszła bliżej i objęła go za szyję. Przykrył jej rękę prawą dłonią i zaczął lekko głaskać.

- I co zdecydowałeś? - spytała go.

- Nie chcę o niczym decydować, jeszcze nie teraz - odpowiedział. - Albatros dobrze nam służył. Niemal za dobrze, bo zaczęto podejrzewać jego istnienie.

- A ten Harrington?

Borysow odwrócił się do biurka, a Natalia usiadła na poręczy jego fotela.

- On nie wie, kim jest Albatros - odparł Igor. - Potwierdzają to jego ostatnie uwagi. Stara się wygrać na czasie, dopóki nie usłyszy czegoś od nas.

- Ale ta kobieta, ta Graham, prowadzi śledztwo - stwierdziła powoli Natalia. - Ona jest bardzo bystra, Igorze. Po tej sprawie w Meksyku ona właśnie wydaje mi się największym zagrożeniem ze strony Anglików. Powiedz, czy nie myślałeś, żeby się jej pozbyć?

Raz czy dwa - potwierdził Borysow. - Nikt nie przypuszczał, że wróci żywa z Meksyku. Myślałem, aby nasłać na nią kogoś, ale podała się do dymisji i sprawa upadła. My zabijemy kogoś z nich, oni zrobią to samo z kimś od nas. Nikt właściwie teraz nie ma z tego żadnych korzyści. Tylko te

dzikusy z Bułgarii mordują swych przeciwników zatrutymi szpicami parasolek.

- Ale jej odejście było pozorowane - zwróciła mu uwagę Natalia. - Zrobiła to po to, aby podjąć próbę zdemaskowania Albatrosa. Jeżeli nie chcesz, żeby to się stało, koniecznie musisz ją unieszkodliwić.

- Ale nie wtedy, gdy mogę ją wykorzystać - odpowiedział Borysow.

Zacząła udowadniać, że przecież próbował już to raz zrobić, ale szybko się zreflektowała.

- Ale jak? Jak możesz ją wykorzystać dla nas? - zapytała.

- Ciągle jeszcze kontrolujemy Petera Harringtona. Ona o tym nie wie. Jeśli Harrington da Davinie to, czego ona chce, to zaczną się przygotowania do jego zwolnienia i zostanie nawiązany z nami kontakt, jak zwykle w takich sytuacjach. Ale nikt z tamtej strony nie wie, że on cały czas komunikuje się z nami. Dlatego też Harrington będzie mógł kierować poczynaniami Daviny Graham, tak jak ja zechcę. W zamian za to otrzyma swoje wymarzone szwajcarskie konto. Nie pomniejszaj jego znaczenia, Natalio. Nasz kontakt mówi, że nie jest już tym człowiekiem, który narobił wielkiego bałaganu, starając się przechwycić Sasanowa. Sześć lat więzienia dobrze mu zrobiło. Schudł i przestał pić, poza tym bardzo pragnie wolności. Będzie walczył o to ze wszystkich sił. Gorliwie zajmie się więc szukaniem Albatrosa, nie zapominaj o tym, bo to jego jedyna nadzieja na odzyskanie wolności. Oczywiście nie powie nam o tym. Będzie oszukiwał po trochu każdą ze stron. Ale ja myślę o czymś, do czego naprawdę będzie przydatny, kiedy już Albatros zostanie zidentyfikowany. Możesz być pewna, że jeśli nie zrobi tego Davina Graham, zrobi to ktoś inny. Podejrzenie jest jak zęby smoka. Im bardziej go drażnisz, tym silniej potwór nimi zgrzyta. Albatros jest spalony - trzeba się z tym pogodzić. To

tylko sprawa czasu, nic więcej. Muszę więc to niepowodzenie odwrócić na naszą korzyść.

- Zrobisz to - rzekła miękko i uśmiechnęła się. - Zawsze ci się to udaje, czy nie zauważyłeś tego dotąd?

Spojrzał na nią i odpowiedział uśmiechem:

- A co ty byś zrobiła, Natalio? Jaki byłby twój kolejny ruch gdybyś znalazła się na moim miejscu?

Czasem bawił się z nią w taką grę - początkowo ją to przerażało. Zbyt inteligentna odpowiedź mogła irytować, a ona już przerobiła pierwszą lekcję, jak wygrywać z mężczyznami: nigdy nie współzawodniczyć, chyba że z góry zakłada się niepowodzenie. Ale też nie mogła robić z siebie naiwnego głuptasa. Powoli przechodziła z pozycji kochanki na pozycję osoby zaufanej, z którą mówił o swojej pracy. A tego nie można było osiągnąć bez szczególnego taktu i wyczucia sytuacji. Teraz też doskonale wiedziała, co należałoby zrobić, ale czekała, aż on pierwszy wpadnie na ten pomysł.

- Starabym się zastąpić Albatrosa kimś innym - powiedziała po chwili namysłu. - Ale nie wiem, jak by to można zrobić.

- Mam już kogoś na widoku - mruknął Borysow.

Zauważył wyraz oczekiwania na jej twarzy i potrząsnął głową. Był człowiekiem o dużej kulturze, szeroko odczytanym; szczególnie chętnie posługiwał się klasycznymi i mitologicznymi porównaniami. Bawiło go, gdy nadawał swym agentom imiona o podwójnym znaczeniu. Albatros, święty ptak, który dbał o bezpieczeństwo żeglarzy. Człowiek, który zabijał albatrosa, skazywany był na noszenie jego zwłok na szyi... Gdy zajął swe obecne stanowisko, zmienił agentom kod imion. Wszyscy jego ludzie rozmieszczeni w Europie Zachodniej nosili imiona ptaków zgodnie ze swymi charakterami i stanowiskiem służbowym. Albatros miał stare, bardzo prozaiczne pseudo nadane mu wiele lat temu, zaraz po

zwerbowaniu. Borysow ochrzcił go imieniem tego wielkiego Ptaka i skrzydła jego rzucały cień na SIS przez długie lata. Teraz zaś nadchodziła chwila upadku Albatrosa. I ktokolwiek to spowoduje, będzie zawsze musiał dźwigać te ciężkie zwłoki...

- Powiem ci wszystko, gdy będę już zupełnie pewien - rzekł do Natalii. - Chcę, aby myśl ta dojrzała. Wyrosłaś na wsi, więc wiesz, kochanie, że nie wolno przeszkadzać roślinom. To, o czym myślę, jest tak odmienne i tak ważne, że wolałbym o tym nie mówić przedwcześnie. Chcę to zatrzymać dla siebie i pozwolić dojrzeć. - Wtedy ci powiem; będziesz pierwszą osobą, która się o tym dowie. Pochyliła się i pocałowała go.

- Rozumiem - odparła łagodnie. - Jesteś geniuszem, Igorze, i to jest wszystko, czego potrzebuję, by cię zrozumieć. Czasem mam ochotę kochać się z tobą tutaj...

Bliskość jej ciała, piersi przyciśnięte do jego ramienia kusiły Borysowa, by przytulić ją i ułożyć na podłodze. Poczował nagły przyływ pożądania. Ale od samego początku ich związku ustalił zasadę: żadnych intymności w biurze. Kiedyś, kiedy się tylko poznali, nigdy nawet nie dotykali swych rąk. Lecz powoli Natalii udało się pokonać tę rezerwę; kładła rękę na jego ramieniu, przypominała, co robili kilka godzin wcześniej w zaciszu mieszkania. Nie miałyby kłopotu ze wstawieniem tutaj jakiejś kanapy, ale byłby to fatalny błąd... Odsunął się od niej gwałtownie i wstał.

- To wszystko, Natalio. Poproszę teraz o herbatę.

Natychmiast wróciła do swej oficjalnej roli, uczucie błyskawicznie zniknęło z jej twarzy i stanęła przed nim z milczącym szacunkiem. Ze zmysłowej kochanki przeobraziła się w usłużną sekretarkę.

Borysow lubił od czasu do czasu demonstrować swą władzę. Podejrzewała nawet, że to podniecało w nim żądze, gdy byli razem.

- Tak, towarzyszu generale. Zaraz ją panu podam - powiedziała spokojnie.

Przyglądał się jej z półuśmiechem, który był wyrazem zadowolenia z siebie. Kochał ją, nie mogąc zupełnie opanować fizycznego pociągu do niej. Rozumiała też w pół słowa, o co mu chodzi, miewała przebłyski zadziwiającej intuicji, którą nauczył się cenić. Zdobyła nad nim wielką władzę... Mógł na to pozwolić tylko tak długo, jak długo będzie w stanie kontrolować ich związek. Tym bardziej podniecające było rozluźnienie tej dyscypliny wewnętrznej, gdy byli tylko we dwoje.

Zastąpić Albatrosa. Jak bardzo była przenikliwa? - zastanawiał się czasami. Ile prawdziwie analitycznych rozważań ukrywały w sobie jej proste stwierdzenia? A może miała większą niż inne kobiety intuicję? Nie miało to jednak większego znaczenia. On był panem i kochankiem; zresztą w tym związku uzupełniali się wzajemnie. Nie wątpił bowiem, że i ona darzy go głębokim uczuciem. On ze swej strony potwierdzał rosyjskie przysłowie, że kocha ją nie tylko lędźwiami, lecz również sercem.

A więc zastąpić Albatrosa. Wyciągnąć cierń z ciała wroga i zastąpić go innym. Była to oryginalna myśl i być może najśmielsza operacja wywiadowcza KGB w ciągu ostatnich dwudziestu lat. O tym na razie nie będzie rozmawiał z Natalią. Poczekaj i pozwól, żeby ziarno zakiełkowało, wtedy dotrzyma swej obietnicy. Później dotrzyma innej, danej Żerkowowi - przywódcy sowieckiego imperium. Opracuje ten plan i przedstawi mu, ten zaś dotrzyma słowa danego Borysowowi. Podtrzyma go i będzie z nim współpracować przeciwko człowiekowi, któremu nie ufają obaj. Przeciwko Jurijowi

Rudzence - ministrowi spraw zagranicznych, przeciwnikowi Borysowa, chciwie zerkającym na fotel Żerkowa. Wrogowie - kapitaliści zawsze są obecni - jak tlen w powietrzu, którym oddychają. Żydzi i dysydenci - to kurz, który drażni nosy i gardła. Ale niebezpieczeństwo, jakim był Rudzenko, trzeba porównać do dwutlenku węgla. Wypuszczony w atmosferę - oznacza śmierć.

- Nie robisz zbyt dużych postępów - zauważył Grant. Parkowali przy wjeździe do Regent's Parku. Ranek był pochmurny, siąpił deszcz i okolica świeciła pustkami - od czasu do czasu przejeżdżało kilka samochodów.

- I proszę cię, nie pal tutaj, nie znoszę dymu w zamkniętym pomieszczeniu! - dorzucił.

Davina zawahała się. Rozważała, czy powiedzieć mu, że mogą wyjść z wozu i pospacerować, czy też ma odłożyć papierosa. Schowała wreszcie papierosy do torebki i powiedziała:

- Jestem zależna od Harringtona. Jeśli chcesz szybkich wyników, musisz mi pomóc.

Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Co masz na myśli mówiąc o pomocy? Nie mogę ryzykować wplątywania się w sprawy tego rodzaju, wiesz o tym doskonale.

- Już i tak jesteś w to wplątany - zauważyła cierpko, zadowolona z takiego początku. - Jesteś związany ze mną, z Colinem i Tonym Waldenem. Jesteś otwarty na oścież, Humphreyu, gdyby ktoś miał ochotę ci się przyjrzeć. A więc nie bądź głupi! Potrzebuję dostępu do biurowej kartoteki.

- To niemożliwe - usta podobne do pułapki zacisnęły się mocno.

- Dlaczego? Przecież ty masz klucze. Mógłbyś mi dać przepustkę do budynku. Nowy strażnik wpuści mnie na pewno.

- Nie zapominaj, że już nie pracujesz z nami - powiedział.
- Nie ma sposobu, żebyś weszła do biura nie zauważona.

- Nie było mnie prawie rok - odrzekła Davina. - Nie powiesz mi, że na nocnej zmianie nie masz jakichś nowych ludzi. I tak to wszystko jest symboliczne. Nocny strażnik na zewnątrz, strażnik wewnątrz budynku, telefon alarmowy i operator przy teleksie. Popatrz na grafik dyżurów, Humphreyu, i wybierz noc, kiedy dyżurują nowi ludzie. Potem daj mi przepustkę i klucz do pomieszczenia kartoteki. Ja już będę się martwić o resztę; nikt się o niczym nie dowie. Jeśli ci oczywiście zależy na czasie. W innym wypadku będę musiała wypytywać Petera Harringtona, jeżdżąc ciągle do Wormwood Scrubs. Decyzja należy do ciebie.

Uruchomił samochód i ruszyli wilgotną drogą; szumiały wycieraczki na szybach.

- Czyje akta cię interesują? Może mnie byłoby łatwiej zebrać potrzebne ci dane? - Wpatrywał się przed siebie, lekko mrużąc oczy.

Davina szybko odwróciła od niego spojrzenie. A więc nie chciał pokazać jej kartoteki. Jak na kogoś, kto martwił się, aby nie odkryto jego powiązań z tą sprawą, sugestia, że skopiuje jej poufne informacje, była niezwykle lekkomyślnością.

- To jest naruszenie zasad działu D - przypomniała mu. - Mógłbyś pójść za to do więzienia. Jeśli boisz się o swoją pozycję, pozwól, żebym to ja zaryzykowała. To ostatecznie moje zadanie.

- Wydanie przepustki i klucza nie jest mniejszym przestępstwem - zauważył.

Dojechali do skrzyżowania prowadzącego na Marylebone Road. Zobaczyła, że Lomax siedzi w samochodzie przy parkometrze.

- Wsiądę tutaj - powiedziała. - Poczekam na twoją decyzję. Nie mam po co wracać do Harringtona, dopóki nie zdobędę więcej informacji.

Zatrzasnęła głośno drzwiczki i spiesznie odeszła. Patrzył w ślad za nią z nieukrywaną niechęcią. Szorstka - to było odpowiednie określenie Daviny. Pozbawiona kobiecości - dodał jeszcze - dlatego że miało to wydźwięk pejoratywny, chociaż piersiaste kobiety napępiały go odrazą. Żeby nie potrzebował jej tak bardzo! Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie widział w niej rywala w walce o posadę po generale. Było mu trudno, rozmawiając z nią, opanować wrogość. Chciała przepustki i klucza. Dobrze więc, niech ją diabli, dostanie jedno i drugie. Ale jednocześnie podświadomie pragnął, aby złapano ją przy wejściu.

ROZDZIAŁ 3

- Kochanie, czy ty też jesteś w kolejce do tego stanowiska?

Ogień na kominku tlił się słabo, John Kidson z żoną patrzyli na żarzące się polana i strzelające od czasu do czasu jęczyczki płomieni. Kidson lubił ciche wieczory spędzane wspólnie, tym bardziej że zdarzały się rzadko, bo Charlie uwielbiała życie towarzyskie. John często był zmęczony, ale nie mógł jej niczego odmówić. Dziś przygotowała doskonałą kolację - ciągle go zdumiewało to, że Charlie w ogóle umie coś zrobić w domu. Teraz właśnie przyniosła mu kawę i koniak i usadowiła się przy nim skulona, jak wspaniałe rudy kot.

Jest taka piękna - myślał, ilekroć patrzył na nią. - Piękna we dnie i w nocy, nawet bez odrobiny makijażu. Doskonały twór Boga. I on, zwyczajny John Francis Kidson, mężczyzna w średnim wieku, bez specjalnych uzdolnień i majątku, ożenił się z nią i uczynił szczęśliwą.

Ich mały synek, ku radości Kidsona, robił się coraz bardziej podobny do matki. Miał te same złotorude włosy i szare oczy. Charlie chciała drugiego dziecka, ale przekonał ją, że z tym należy poczekać. Tłumaczył, że mają jeszcze czas i napomknął, że istnieje możliwość, jakkolwiek bardzo odległa, otrzymania stanowiska po Jamesie Whicie.

- Nie traktuj tego zbyt poważnie - rzekł. - Wspomniałem o tym tylko dlatego, że byłaby to dla nas duża zmiana.

- Myślisz o pieniądzach? Ależ ja mam pieniądze, kochanie! Jesteśmy w zupełnie dobrej sytuacji.

- Wiem, że masz - powiedział łagodnie. - Wiesz też dobrze, że ja nie chcę z nich korzystać. A więc zapomnij o tym, skarbie.

Charlie roześmiała się. Bardzo kosztowne mieszkanie i kolekcja doskonałych współczesnych obrazów były częścią

umowy alimentacyjnej, którą wycisnęła od swego drugiego męża. Dochody z tego przeznaczala na swoje stroje i prezenty dla Johna, część kapitału z myślą o synu dobrze zainwestowała.

John, z typowym dla siebie uporem i dumą, nie chciał korzystać z tych pieniędzy. Nie chciał też uwierzyć, gdy mu mówiła, że jej eks - mąż był przekonany, iż wykpił się bardzo tanim kosztem.

- W porządku, kochanie, nie będziemy znowu wracać do tej sprawy. Chcesz być dużym, silnym mężczyzną w rodzinie, proszę bardzo. Mnie to też odpowiada. - Pochyliła się nad nim i pocałowała go w usta. - Ale chciałbyś dostać to stanowisko, prawda?

John bał się przyznać nawet przed sobą, jak bardzo pragnął stanąć na czele Służby. Od lat akceptował swoją pozycję najlepszego analityka informacji otrzymywanych od agentów, jakiego dotąd miała SIS i jej zagraniczne komórki. Był dumny z rejestru swych dokonań, który istotnie był imponujący. Między nim i awansem zawsze jednak stał Grant. Kidson traktował to jako rzecz nieuniknioną, jednakże po lunchu z Szefem ukryte głęboko ambicje wypłynęły na wierzch, a wraz z nimi mnóstwo refleksji. Czy powinien poważnie traktować słowa White'a, mówiącego o tym, że Grant wcale nie musi automatycznie przejść na zwolnione miejsce? Czy był to przede wszystkim chwyt, skłaniający go do zajęcia stanowiska wobec kandydatury Daviny? Kidson mu nie uwierzył, ale Grant naprawdę tak zrobił. I to go zastanowiło, skłoniło do przemyśleń. Kilka tygodni temu jedli we czworo kolację. Zachmurzył się, przypominając sobie ten wieczór. Charlie stwierdziła, że było bardzo wesoło, ale ona nie zauważa podtekstów. Dla Charlie każde spotkanie towarzyskie było zawsze spektaklem, w którym odgrywała główną rolę, zaćmiewając wszystkich gości. Nawet swoją

siostrę i małomównego Colina Lomaxa traktowała jak widownię, którą należy podbić. Charlie mogła myśleć, że wieczór był udany i wesoły, Kidson wiedział jednak, że Davina Graham była spięta i że Lomax osłaniał ją przed różnymi pytaniami. Zewnętrznie wyglądało to na normalny wieczór - Charlie z jej dźwięcznym śmiechem, Lomax opowiadający szkockie dowcipy, które w miarę upływu czasu stawały się coraz bardziej odważne. I Davina, którą znał tak dobrze i z którą pracował wiele lat, rozmawiająca o wszystkim, tylko nie o ich dawnej wspólnej pracy. Zupełnym milczeniem pomijała także swoje nowe zajęcie. To potwierdziło jego wcześniejsze podejrzenia, że jej praca w Agencji Arlington nie była tym, za co miała uchodzić. Przyglądał się jej i Lomaxowi, ale ich związek okazał się prawdziwy. Lomax był w Davinie bardzo zakochany i ta jego zaborczość nawet nieco śmieszyła. A to, jak reagowała na to niezależna Davina, zdumiewało Kidsona i potwierdzało jego przekonanie o kobiecej niekonsekwencji. Byli oboje parą w całym tego słowa znaczeniu. Jeśli coś było nie tak jak należy, to na pewno nie między Daviną i Lomaxem. Odpowiedzi należało więc szukać gdzie indziej.

- Nie słuchasz mnie, Johnie - powiedziała Charlie z wymówką. - Pytałam, czy chciałbyś dostać tę pracę?

- Tak, chciałbym - Kidson spojrzał na nią z uwagą. - Dałbym sobie za to rękę uciąć. I to jest coś, z czego nigdy przedtem nie zdawałem sobie sprawy. Byłbym diabelnie dobry na tym stanowisku, lepszy niż Humphrey.

Nie wspominał o tym wcześniej, bo drażniło to jego dumę, ale teraz nie wytrzymał.

- Nie mówiłem ci o tym, Charlie, ale właściwie to Szef mi powiedział, że zastanawia się nad rekomendacją Daviny na to stanowisko.

- Ależ to śmieszne! - Charlie wyprostowała się na kanapie. - To nie jest praca dla kobiety. Co za głupi pomysł! Poza tym ona rzuciła Służbę... Co on właściwie sobie myśli?!

- Nie wiem - stwierdził Kidson. - Sądziłem że po prostu zakpił sobie ze mnie lub też próbował w ten sposób dowiedzieć się o niej czegoś nowego, ale Grant sądzi, że on tak myśli naprawdę.

- Dlaczego James White chciałby rozmawiać z tobą o Davinie? A nawet jeśli już, to dlaczego nie spytał wprost? To wszystko nie ma sensu.

- Ja też tego nie rozumiem - powiedział Kidson. - Po prostu czuję, że za tym lunchem i rozmową coś się kryje. W każdym razie Szef wiedział o Davinie wszystko. Rozmawiałem z Humphreym i ten się wściekł. Mój Boże, przecież on oczekuje, że dostanie tę pracę, gdy Szef odejdzie na emeryturę. Nigdy nie sądziłem, że to dla niego tak wiele znaczy.

- On jednak nie byłby tam tak dobry jak ty - powiedziała powoli Charlie. - Nie ma przecież odpowiedniej osobowości, wizji pracy. Jest urodzonym zastępcą i tylko tym.

John przyglądał jej się dłuższą chwilę, a potem pokręcił głową. A jednak za tą piękną buzią krył się bystry umysł. Umieściła Humphreya Granta dokładnie na właściwym miejscu: urodzony zastępca.

- Czy sądzisz, że ja jestem urodzonym przywódcą? - pytanie zadał z wahaniem i lekką kpina.

Charlie spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie, kochanie, nie sądzę. Myślę jednak, że szybko stałbyś się nim, gdybyś poczuł odpowiedzialność. To wszystko, czego potrzebujesz. Kiedy otrzymasz tę pracę, będziesz ją wykonywał jak najlepiej, Grant zaś wszystko popsuje. Poza tym, on jest niezupełnie w porządku, wiesz, o czym myślę. A to nie budzi zaufania, prawda?

- Nie masz podstaw, żeby tak mówić - odrzekł Kidson - ani dowodów.

- Nie potrzebuję dowodów - powiedziała wzruszając ramionami. - On nie znosi dotyku kobiety, czy nie zauważyłeś tego? Gdy podaje rękę, to szybko ją wyrywa, jakby chwycił skorpiona. Wiem, kiedy z mężczyzną jest coś nie tak i co do niego, nie mam wątpliwości. - Zawahała się chwile. - Czy mówiono kiedyś o tym w pracy?

- Na Boga! Nie! - odrzekł Kidson. - On po prostu zawsze wyglądał tak bezpłciowo, i to wszystko.

- A więc dlaczego nie mógłbyś zrobić jakiejś aluzji na ten temat w obecności sir Jamesa? To mogłoby skutecznie wykluczyć Humphreya z wyścigu.

- Charlie - powiedział - zdumiewasz mnie. - Jego pełen dezaprobaty głos brzmiał surowo. - Byłoby to wyjątkowo paskudne, zrobione z myślą o własnej korzyści.

- Tylko wtedy, gdyby to nie była prawda - zauważyła. - Wydaje mi się, że jesteś głupi. Dam głowę, że gdyby on miał coś przeciwko tobie, wykorzystałby to bez wahania. Tak bardzo pragniesz tego stanowiska, więc dlaczego o to nie walczysz?

Nie odpowiedział od razu, bo wprowadziła go w osłupienie. Był również zdumiony swoją reakcją, ponieważ część jego „ja” słuchała tego i zgadzała się z Charlie.

- Dlatego, że nie żyję według praw dżungli - odpowiedział.

- Żyjesz w niej - odparła cicho Charlie. - Nie możesz mieć dwóch kodeksów moralnych, kochanie, nie będąc hipokrytą. Gdybym była na twoim miejscu, nie wahałabym się. Wiem, za chwilę powiesz, iż nie mam żadnych zasad moralnych, ale nie zależy mi na tym. Nawet nie udaję, że je mam. Ty zaś tak robisz, więc najwyższy czas, żebyś przestał. A teraz idę do łóżka, ponieważ się rozgniewałeś. Dobranoc, kochany.

Kopnął polano na kominku, ale nie wystrzeliło płomieniem, tylko na bucie został popiół. Był zły na Charlie, bardzo zły. Nie chciał, aby demonstrowała bezwzględność swego charakteru, o której istnieniu zresztą wiedział. Nie lubił też, gdy mu mówiła, że jest hipokrytą lub że nie ma zasad moralnych. Zupełnie jakby przemawiała do chłopaczka, który nie chce uznać faktów. Pragnął, aby była uległa i kochająca, aby pięknie wyglądała, ale nie chciał, by przypominała mu, że jest siostrą Daviny Graham. Nie chciał tego tym bardziej, że były tak do siebie niepodobne. A jednak od czasu

V do czasu jakby odślaniała się i pokazywała inną twarz. "Żyjesz w dżungli" - ta uwaga dotknęła go boleśnie, bo była prawdziwa. Żył wśród kłamstw i zdrady, z przekonaniem, że to, co robi, musi być koniecznie zrobione - to były jego zasady moralne. I nawet pracownicy KGB nie mogliby się z tym nie zgodzić. Chciał być następcą sir Jamesa White'a. Zona drwiła z niego, że nie walczy o to, czego pragnie. Jeśli nie podejmie walki, to nim wzgardzi. Nie powinien w ogóle jej o tym wspominać. Kobiety nie rozumieją takich spraw. Nie akceptują takich postaw jak lojalność między kolegami, tych granic, których nie można przekroczyć bez względu na korzyści własne.

W tym momencie podniósł głowę i w ciszy pokoju z wyzwaniem w głosie rzekł do siebie: - Ty cholerny kłamczuchu! Nigdy nie uważałeś Granta za kolegę, nawet nie lubisz tego nieszczęsnego bęcwała. On jest twoim rywalem, i Charlie ma rację. Idź i bierz to, czego pragniesz! Potrzebujesz tego, Kidsonie, bardzo potrzebujesz. I zamiast siedzieć tu i osądzać ją, bądź diabelnie rad, że masz po swojej stronie taką żonę jak Charlie.

Poszedł cicho do sypialni, aby nie zbudzić Charlie. Po oddechu poznał, że czuwa. Usiadł na brzegu łóżka, wyciągnął rękę i dotknął ją. Ich palce splotły się w uścisku.

- Przepraszam cię - wyszeptał.

Charlie usiadła i objęła go ramionami. Później, tuż przed zaśnieciem, powiedziała:

- Jeżeli on mówił poważnie o Davinie, to nie musisz powstrzymywać się od walki dlatego, że jest moją siostrą. Dla mnie ty jesteś najważniejszy.

Nocny personel przychodził do budynku przy Queen Anne's Gate o szóstej trzydzieści. Davina odczekała do ósmej i dopiero wtedy, gdy była pewna, że w biurach już nikogo nie ma, podeszła do bocznego wejścia i zadzwoniła. Drzwi otworzył strażnik; podała mu przepustkę z fotografią wystawioną na nazwisko Burgess. Strażnik był uprzejmy, lecz ostrożny. Zanim ją wpuścił, starannie sprawdził podobieństwo ze zdjęciem i podpis Granta.

Weszła do hallu, w którym nic się nie zmieniło. Ta sama wyblakła zielona farba na ścianach, reprodukcje sztychów Bartolozziego i piękne stare lustro nad kominkiem.

- Dziękuję - powiedziała szybko. - Idę na górę. Zobaczę się z dyżurnym.

Zrezygnowała ze skrzypiącej windy i pośpieszyła na piętro. Dyżurny pracownik zajmował mały pokój obok centrali telefonicznej. Nie miała jednak zamiaru tam wchodzić.

Kartoteki były w piwnicach. To był jej cel. Na piętrze obok schowka na szczotki i wiadra były małe drzwi prowadzące na boczne schody. Nie były zamknięte, szybko więc przeszła przez nie, poszła na dół i ominęła hall z dyżurnym strażnikiem. Do pokoju - kartoteki były tylko trzy klucze. James White, Grant i kierownik kartoteki to jedyni ludzie, którzy mogli tam wchodzić o każdej porze. Nie tracąc ani chwili Davina wyjęła trzy teczki. Piwnica była niewidoczna z ulicy, nikt więc nie mógł zobaczyć płonących świetlówek. Dawały wystarczające światło, by nie musiała

używać fleszu przy fotografowaniu dokumentów. Mimo że się śpieszyła, zajęło jej to około pół godziny. Czowała, że drżą jej lekko ręce.

Wyszłam z formy - pomyślała. Zbyt wiele czasu spędziła w spokoju rodzinnego domu w Wiltshire, pielęgnując Colina i wierząc, że ta strona jej życia została zamknięta raz na zawsze.

Wreszcie skończyła. Z pośpiechu upuściła na podłogę jedną z teczek. Było to dossier Jamesa White'a i gdyby nie ta niezręczność, nie zauważyłaby, przeglądając potem fotokopie, że część dokumentacji została z teczki usunięta. Na każdym górnym lewym rogu stronicy był numer seryjny, który odpowiadał kodowi komputera chroniącego informacje. Marginesy górny i dolny były szerokie na trzy cale, a numer seryjny widniał przy samym górnym brzegu arkusza. Zdawała sobie sprawę, że kierowała soczewkę aparatu na środek stronicy, w ten sposób nie zauważyłaby ich niewłaściwej kolejności. Zwróciła na to uwagę dopiero wtedy, gdy teczka upadła. Dostrzegła różnicę liczby przebiec w wydruku między początkowymi i końcowymi stronicami. Spojrzała na zegarek. Ponad pół godziny, prawie czterdzieści minut.

A więc z tą teczką coś robiono. Jak więc wyglądają pozostałe, Granta i Kidsona? Wszystkie miały luki i to więcej niż w jednym miejscu. Czasem brakujące sekwencje obejmowały kilka lat, czasem nie było jednej stronicy. Zebrała potrzebne materiały i wstawiła te czki na miejsce. Tylko milczący komputer w rogu pokoju miał zakodowane wszystkie te informacje, które ktoś tak gorliwie pragnął ukryć. Ale bez kodu nie można go było uruchomić. Zgasła światła i wyszła, zamykając za sobą drzwi na klucz. Ktoś ją uprzedził i postarał się, żeby niczego nie mogła znaleźć.

Chyba że przez dłuższy czas dokonywano starannego doboru materiału, aby zmylić szukających informacji. Nie miała pojęcia, jakiej metody użyto. I gdyby nie jej drżąca ręka

i upuszczona teczka z aktami, w ogóle by się nie dowiedziała o oszustwie.

Ciekawe, choć pozbawione teraz sensu, będzie sprawdzenie, jak się udały fotografie. Poszła w górę bocznymi schodami i wyszła na drugim piętrze. Przez szklane drzwi pokoju dyżurnego sączyło się światło, słyszała dochodzące stamtąd głosy. Szybko prześlizgnęła się obok i zbiegła głównymi schodami do hallu. Pokazała przepustkę wartownikowi, który otworzył boczne wejście i wypuścił ją na ulicę - było to małe przejście, prowadzące do Birdeage Walk. Używali go tylko wtajemniczeni. Przypadkowy turysta, gdyby się na nie natknął, byłby zachwycony kamienną ścieżką i domami stojącymi na tej osiemnastowiecznej ślepej uliczce.

- Spójrz, kochanie, czy to nie Davina?

Kidson prowadził i to Charlie zauważyła siostrę, wychodzącą z pasażu i zmierzającą pośpiesznie w stronę koszar.

- Boże mój - powiedział zwalniając - tak, to ona, ale co, u diabła, może robić w tej okolicy?

Obserwował ją w tylnym lusterku i widział jej plecy - zatrzymała się przy zaparkowanym samochodzie, otworzyła go i usiadła za kierownicą.

Co mogła robić w biurze? - Niemal zadał sobie to pytanie głośno.

- Kochanie, jeśli nie będziesz uważał, przejedziesz na czerwonym świetle - zwróciła mu uwagę Charlie. - Dlaczego nie miałyby pójść do biura? Tyle tylko, że teraz jest zamknięte.

- Rzeczywiście, nie ma powodu... - Już odzyskał panowanie nad sobą. Uśmiechnął się do żony. Jechali na kolację z przyjaciółmi. Davina powinna czekać, aż zapadnie ciemność. Wyraźnie wyszła z wprawy... - Istotnie, nie ma

żadnego powodu - powiedział raz jeszcze. - Ten cholerny Parliament Square, zawsze tu są takie korki!

- Nic się nie stanie, jeśli się trochę spóźnimy - oświadczyła Charlie. - Nigdy nie siadają do stołu przed wpół do dziesiątej. Nie znoszę tej hiszpańskiej pory kolacji.

Wyjęła lusterko z torebki, sprawdziła swój bezbłędny makijaż i poprawiła pasemko włosów nad czołem. Kidson nie odzywając się pokonywał ścisk na jezdni. Charlie zauważyła, że i w ciągu całego wieczoru był niezwykle milczący.

- Nic nie ma - powiedziała Davina. - Wszystko, czego szukaliśmy, zostało usunięte.

- Co dowodzi ponad wszelką wątpliwość, że jesteśmy na właściwej drodze - zauważył Lomax. - Brakujące fragmenty dotyczą Harringtona, Sasanowa i zdarzeń w Meksyku. Ten łajdak musi mieć związek z dwiema sprawami; to, co zrobił, miało na celu usunięcie dowodów świadczących, że je sabotował. Lub co najmniej starał się to zrobić.

- Komputer - przerwała Davina. - W nim powinno być wszystko.

- Nie liczyłbym na to - odparł Colin. - Ktokolwiek fałszował akta, może mieć również dostęp do komputerowego kodu. Usunięcie części zapisu z pamięci nie jest zbyt trudne. Wydaje mi się, że, chcąc, aby wyglądało to na pomyłkę komputera, musieli fałszować dane w aktach przez ponad sześć lat.

- A więc, co u licha ja mam teraz zrobić? - spytała Davina. - Humphrey wie, że interesowały mnie teczki z aktami. On jest jednym z podejrzanych. Tak oczywistym, że nawet przez chwilę w to nie wierzę. John nie ma klucza, ale łatwo mógł znaleźć pretekst, by tam pójść. W ciągu dnia zawsze jest tam urzędnik. Nie mógłby więc siedzieć przy komputerze, gdybyś miał rację. Ale przez wiele lat mógłby

manipulować zawartością teczek. No i jest jeszcze James White.

- Który mógł używać komputera, bo ma do niego dostęp - stwierdził Lomax. - Nie mamy na to jednak żadnych dowodów. Chyba że się mylę i że niczego nie usunięto z pamięci komputera. Być może fałszowano tylko akta...

- Dlatego, że miały być sprawdzone - skończyła za niego Davina. - Co oznaczałoby, że to Humphrey, czyż nie tak? Spreparował je, wiedząc, że mam przyjść... Mój Boże, już mi się wszystko poplątało! Mam w głowie taki zamęt.

- Zobaczmy, czego brakuje - zaproponował Colin.

- Ty zobacz - podniosła się. - Ja zrobię kawę. Gdy wróciła, powiedział powoli:

- Przeglądałem to wstecz. Zmiany są wprowadzane już przed twoim wstąpieniem do Służby. Znalazłem około pół tuzina dat i numerów seryjnych, które nie występują w kolejności. To dotyczy dokładnie czasów poprzednika naszego brygadiera - Osborne'a.

- Podejrzewano go - powiedziała powoli Davina. - To dlatego odszedł na emeryturę. Nic mu jednak nie udowodniono, nie było nawet dochodzenia, ale krążyły pogłoski, że to on pozwolił uciec Philby'emu.

- A więc kimkolwiek jest ta wtyczka, była już tam, zanim ty i Harrington zaczęliście pracę w wywiadzie; prawdopodobnie pojawiła się jeszcze w czasach Osborne'a.

- To by wykluczało Humphreya - powiedziała. - Zwerbował go sir James.

- Ale zostaje Kidson - Lomax sięgnął po filiżankę z kawą.
- Co myślisz o tym?

Wstała i niespokojnie zaczęła spacerować po małym pokoiku.

- To nie może być on.

- Dlaczego nie? Czy dlatego, że ożenił się z twoją siostrą?

- Nie mów głupstw, Colinie, to nie ma z tym nic wspólnego. Ja znam Johna. W porządku, wiem, że i jego należy brać pod uwagę, ale nie myślałam o tym poważnie.

- Cóż, wydaje mi się, że jednak powinnaś - odparł Lomax.
- A to dlatego, że miał wszelkie możliwości działać jako podwójny agent. Był tam dość wcześnie. Skończył Cambridge, prawda? Tak, tu oto mamy: „wykształcenie - Rugby i King's College. Cambridge". Rozpoczął studia w 1946, zaraz po wojnie. W tych czasach komuniści byli bardzo aktywni w tym środowisku przy werbowaniu agentów.

- Brzmi to tak, jakby każdy, kto studiował w Cambridge, stawał się sowieckim szpiegiem - powiedziała Davina z irytacją. - John nie był tam równocześnie z Philbym, Burgessem czy Bluntem. Jest znacznie młodszy.

- Przypuszcza się, że werbowaniem zajmował się jeden z wykładowców - powiedział Lomax. - I mogę się założyć, że był tam jeszcze i w czasach Kidsona... Kochanie, wiem, że nie chcesz tego słuchać, ale jednak musisz. Pozwól zadać sobie jedno pytanie, a potem zamilknę. Gdybyś myślała, że Kidson jest winien, co byś zrobiła?

Davina zapaliła papierosa. Nie chciała teraz wspominać swego męża Iwana Sasanowa, ani tej nocy, gdy został zabity. Chciała odpowiedzieć Lomaxowi uczciwie i obiektywnie. Jeśliby myślała o Sasanowie i wszystkich, którzy także cierpieli, to dla równowagi musiałaby pomyśleć o szczęściu Charlie i jej synka, Fergususa. Ale to nie byłoby w porządku. Decyzja, którą podejmie, musi być uzależniona wyłącznie od jej zawodowej lojalności i patriotyzmu.

- Jeśli to jest John - powiedziała po dłuższej chwili - to zrobię dokładnie to samo, co zrobiłabym, gdyby to był Humphrey lub James White. Wydam go władzom.

- Tak właśnie myślałem - powiedział ostrożnie Colin. - I będziesz miała rację. Ten osobnik, kimkolwiek jest, nie miał

w stosunku do ciebie żadnych skrupułów. A teraz, moja miła, widzę, jak jesteś zmęczona i zmartwiona, rozważ więc kilka moich uwag. Nie mów nic Grantowi o tych teczkach. Oddam mu jutro klucz i powiem, że pracujemy nad materiałami. Nie będę mu robił żadnych nadziei. Pozwól mi także porozmawiać z Harringtonem, gdy pójdziesz tam znowu. Teraz zaś usiądź wygodnie i posłuchaj. Wpadł mi do głowy pewien pomysł.

- Dlaczego, u licha, chcesz spotkać się z Tonym Waldenem, Jamesie?

Generał zauważył wyraz niechęci na twarzy żony i uprzejmie wyjaśnił:

- Bo to jest bardzo interesujący mężczyzna, moja droga. Wiesz o tym, że urodził się w Polsce?

Nie - odparła Mary White. - Wszystko, co o nim wiem, czerpię z działu plotek towarzyskich w „Mail”. I dlatego wydaje się być ostatnią osobą, z którą należy mieć coś wspólnego!

Nie powinnaś zwracać uwagi na te głupstwa o jachtach i playboyach latających prywatnymi samolotami. To po prostu podnosi gazetom nakład. Wiem, że bardzo niechętnie spędzisz dodatkowy dzień w Londynie, ale obiecuję ci, kochanie, że będzie to całkiem zabawne. Spojrzała nań uważnie i odparła cierpko:

- Jamesie, znowu zaczynasz swoje sztuczki. Jestem twoją żoną od trzydziestu lat i doskonale wiem, że nie będzie to ani zabawne, ani że nie będę z tego zadowolona. Po prostu ty chcesz się spotkać z tym człowiekiem i dlatego tam idziemy. Ale jeżeli mam radzić sobie z panią Walden, to musisz mi kupić nową suknię na ten wieczór!

- Zrobię to z przyjemnością - odparł śmiejąc się. - Masz zupełną rację, Mary. To interesy, szczególnie oczywiście. Mogę nawet tę suknię włączyć do wydatków służbowych.

Mary White również się roześmiała. Doskonale się rozumieli. Mimo że prowadziła bardzo bezpretensjonalne życie w domowym zaciszu w Kent, była bardzo inteligentna, bystra i doskonale w wielu sprawach zorientowana. Jako młoda dziewczyna była wyjątkowo ładna, ale James White nigdy by się nie ożenił z osobą głupią. Jego współpracownicy nie posiadaliby się ze zdumienia, gdyby wiedzieli, jak wiele służbowych spraw omawiał z żoną.

- A cóż cię tak interesuje w Waldenie? - spytała go. James White założył ręce pod głowę i wyciągnął nogi w stronę ognia na kominku. Wieczory kwietniowe często bywały chłodne.

- Wiesz, że Davina Graham pracuje u niego?

- Skąd mogę wiedzieć? Nic o tym nie mówiłeś. Co za dziwna praca dla niej. Nie wyobrażam jej sobie zajmującej się handlem.

- Ani ja - zauważył White. - W ogóle nie mogę jej sobie wyobrazić w takim środowisku. Co innego, gdyby to było wydawnictwo lub coś w tym rodzaju. Davina nie jest typem kobiety, która dobrze się czuje w zgiełku życia. Jakoś nie widzę jej na milionerskim jachcie. A ty?

- Ja też nie potrafię - odparła żona. - Ale nigdy jej zbyt dobrze nie znałam. Bardzo zamknięta w sobie, była chyba nawet taka jako dziecko, prawda? Co innego Charlie!

Oboje uśmiechnęli się na wspomnienie tego imienia. Zнали kapitana Grahama i jego rodzinę od wielu lat. Była to znajomość przerywana częstymi pobytami za granicą, lecz zawsze z łatwością odnawiana, bez względu na długość przerw. I to właśnie James White zaobserwował ukryte możliwości inteligentnej, introwertycznej Daviny Graham i zaproponował jej pracę w wywiadzie.

- Tak, Charlie nadawałaby się znakomicie - potwierdził. - Zdumiewające, jak doskonale dobrali się z Johnem. Osobiście oceniałem, że wytrwa w tym nie więcej niż pół roku a potem

znowu wyskoczy z kimś nowym. Okazuje się, że nigdy nie zrozumie kobiet.

- Mam nadzieję, że ci się to uda - odparła jego żona. -

Jeżeli już cięśniesz mnie do Londynu na spotkanie z Waldenem, to może powiesz mi przynajmniej, jaki jest tego powód?

- Naprawdę to sam jeszcze nie wiem - odparł. - Jest parę rzeczy, które mnie w tej chwili interesują, i właśnie kontakt Daviny z człowiekiem takim jak Tony Walden jest jedną z nich.

- A te inne sprawy? Czy coś mi o nich powiesz?

- Nigdy nie miałem przed tobą sekretów, moja droga. Oprócz tajemnic państwowych, oczywiście, ale moja emerytura nie jest niczym takim.

- Nie masz najmniejszej ochoty przejść na emeryturę - oświadczyła Mary White stanowczo - a więc nie opowiadaj głupstw.

- Możliwe, możliwe, że nie. - Uśmiechnął się i wyciągnął nogi w stronę ognia. - Ale dopiero niedawno zdałem sobie sprawę z tego, jak bardzo John Kidson chce zająć moje miejsce. O Boże, to już po jedenastej: czas spać!

- To jest mu potrzebne - stwierdziła Mary. Wstała, zaczęła porządkować gazety i ustawiać na tacy filiżanki po kawie. - Charlie jest kosztowną żoną.

- Nie sądzę, aby to było powodem - odparł generał. - Myślę, że ambicja, nad którą starał się zapanować przez wszystkie te lata. Idź na górę, ja zgaszę światło i wszystko pozamykam - dodał.

Pozamykał dokładnie drzwi i sprawdził, czy okna były domknięte.

Zaaranżowanie spotkania z Tonym Waldenem wymagało różnych zabiegów. Mieli wspólnego przyjaciela - starego

współwłaściciela jednej z szacownych firm maklerskich w City.

James przymówił się i przyjaciel zorganizował obiad w Londynie, zapraszając również Waldenów. Myślał ciepło, że w takich sytuacjach Mary była niezawodna. Nie znosiła wprawdzie Londynu i tego rodzaju trywialnego, doskonale sytuowanego towarzystwa, jakie zasiądzie na tym przyjęciu, ale miał nadzieję, że wybierze sobie ładną suknię i będzie się dobrze w niej czuła. Uwaga o zapłacie była oczywiście żartem, bo już był najwyższy czas, żeby sprawiła sobie coś nowego.

Zgasili światła w sypialni, ale James White jeszcze długo nie mógł zasnąć. Nie pozwalał sobie na wspomnienia, chyba tylko gdy dotyczyły spraw teraźniejszości. Zawsze chwalił się, że jest najmniej sentymentalnym człowiekiem na świecie. Jego wrogowie, a nawet i niektórzy z przyjaciół, obstawali z kolei przy tym, że jest najbardziej pozbawionym skrupułów i serca zwierzchnikiem brytyjskiego wywiadu od czasów jego twórcy z epoki elżbietańskiej - Walsinghama.

Tej jednak nocy, leżąc bezsennie w ciemnościach z Mary skuloną u jego boku, James White świadomie wracał pamięcią do przeszłości. Świetną karierę wojskową zakończył przedwcześnie, gdy pracował w Ministerstwie Obrony. Zaproponowano mu tam objęcie Secret Intelligence Service. Przejął to stanowisko, a wraz z nim zdemoralizowany zespół i bałagan po człowieku podejrzanym o sympatyzowanie z Sowietami. White uśmiechnął się lekko, przypominając sobie ten ranek, gdy objął urząd mieszczący się w domu przy Queen Anne's Gate. Gdyby pozostał w armii, mógłby dosłużyć się generalskiej rangi. Pobory w SIS były niezłe, podobnie jak i emerytura. A przecież wcale nie był człowiekiem bogatym. Zgodził się tak szybko, że wprowadził w zdumienie ludzi, którzy mu tę pracę zaproponowali. Mandaryni - jak ich wtedy

nazywano - sami poruszali się znacznie bardziej dostojnym krokiem. Armia pożegnała go z żalem i w wieku czterdziestu siedmiu lat rozpoczął nowe życie w świecie tajemnic i intryg. Był jednak przekonany, że doskonale się do tego nadaje. Miał wrodzoną skłonność do politykowania i wiedzę daleko wykraczającą poza horyzonty przeciętnego oficera jego rangi. Władał biegle trzema językami, a z egzaminów w akademii sztabu otrzymał najwyższe noty, jakie tam postawiono w ciągu dwudziestu lat. Był bardzo zdolnym i sprytnym człowiekiem z pewnym szczególnym odchyleniem osobowości, którego nikt, nawet najbliższa mu osoba - jego żona - nie rozumiał. Zresztą on sam trudem doszedł do zrozumienia istoty tego skrzywienia, choć bardzo się starał. A ono właśnie ukształtowało całe jego życie.

White lubił kłamać. Uwielbiał wprawiać ludzi w zakłopotanie, oszołamiać i wprowadzać w błąd. Kłamstwa kochał tak jak alkoholik kocha picie, a gracz hazard. I nic nie mógł na to poradzić. Czasem mówił, że w każdym człowieku jest ukryta jakaś główna sprężyna, która utrzymuje go przy życiu i nim kieruje. Jeżeli ona pęka, wtedy człowiek umiera. Jego sprężyną była namiętność do okłamywania, zwodzenia. Gdy odejdzie na emeryturę, ona pęknie. Ale czy to się musi stać? Dopóki nie nadejdzie chwila ostatecznej decyzji, dopóty może jeszcze manipulować słabościami i ambicjami dwóch ludzi, którzy mają nadzieję zająć jego miejsce i kształtować przyszłość. A poza tym jest jeszcze Davina Graham. Na myśl o niej lekko westchnął. Schwytywanie przez KGB, śmierć Sasanowa, poronienie - pomimo tych wszystkich ciosów pozostała sobą. Raz już odchodziła ze Służby, ale udało się nakłonić ją do powrotu. Teraz znowu wycofała się, lub przynajmniej tak mówiła. Zrezygnowała z tej pracy, by pielęgnować kochanka, który stał na progu śmierci. Tyle że jednak nie umarł, a nawet po poważnej operacji szybko wracał

do zdrowia. Ona zaś zajmowała stanowisko osobistej asystentki byłego polskiego uciekiniera, który dorobił się majątku, przekształcił w samozwańczego Anglika i władał potężnym imperium reklamowym.

Wycofała się... James White nie wierzył w to. Ktoś znowu wykorzystywał Davinę tak samo, jak poprzednio robił to on. Miał więc zamiar dowiedzieć się, kto to był. Instynkt podpowiadał mu, że ma to związek z Tonym Waldenem. Doszedłszy do takiego wniosku, zapadł wreszcie w sen.

Nocna zmiana schodziła ze stanowiska, gdy przychodziła dzienna. Strażnik pełniący służbę wewnątrz budynku zdejmował płaszcz z wieszaka, przygotowując się do wyjścia, gdy zbliżył się do niego John Kidson. Wartownik go nie znał, pracował bowiem w tym urzędzie niewiele ponad trzy miesiące, ale rozpoznał w nim kogoś, kogo prywatnie nazywał „kierownictwem”.

- Dzień dobry. Jak widzę, skończył pan służbę?

- Dzień dobry, panu. Właśnie przekazałem zmianę.

- Ach tak, rzeczywiście. To ja jestem dziś wcześniej. Czy widział pan wczoraj wieczorem pannę Graham?

Kidson zadał to pytanie w niezwykle uprzejmy sposób; uśmiechał się i wyglądał tak, jakby to było pytanie zupełnie oczywiste. Strażnik zawahał się.

- Nie, proszę pana. Nie było tu żadnej panny Graham. Znam z nazwiska wszystkich. A jeśli już o tym mowa, to czy mógłbym zobaczyć pańską legitymację?

Kidson roześmiał się.

- Oczywiście, że pan może. - Wyciągnął szary kartonik z fotografią i podpisem. - Proszę się nie obawiać, podpisałem się w książce, gdy wszedłem...

Patrzył z życzliwością, a jego oczy mówiły; „Wcale cię nie sprawdzam, stary, wiem, że dobrze wykonujesz swą pracę”.

- Dziękuję panu. A jeśli chodzi o pańskie pytanie...

- O Boże - powiedział do siebie Kidson. - Pewnie teraz zapyta o mój samochód. Głośno jednak rzekł: - Tak, panna Graham. Czy nie przychodziła tu wczoraj wieczorem? Około dziewiątej.

- Przychodziła panna Burgess, do dyżurnego. Odpowiedź brzmiała oficjalnie i jakby z usprawiedliwieniem.

- Miała przepustkę i wpisała się do książki. Przy wejściu i wyjściu.

- A więc chyba się omyliłem - powiedział Kidson, wzruszając ramionami. - Sądziłem, że przyjdzie tu panna Graham. Młoda blondynka. Niemal mrugnął porozumiewawczo. - Bardzo przystojna. Z trudem można by jej nie zauważyć.

- Kiedy mam dyżur, zauważę każdego, kto przychodzi, proszę pana.

Niech to szlag trafi! - jęknął do siebie Kidson. Ale w tej chwili jego wiara w ludzką głupotę znów wróciła.

- Panna Burgess na pewno nie była blondynką. Włosy miała takie jakby rudawe.

- A, to zdecydowanie ktoś inny - odparł obojętnie Kidson.
- Założę się, że dyżurny był rozczarowany.

Odpowiedź była zdawkowa, wypowiedziana niechętnie. Tego rodzaju żartów nie robili wyżsi rangą urzędnicy ani całe to drańskie kierownictwo, czy jak ich tu jeszcze nazywali na tej nowej posiadzie. Strażnik nigdy się nie spoufalał i nie lubił, gdy się do niego zwracano w ten sposób.

- Nic o tym nie mogę powiedzieć, proszę pana. Przepraszam, ale muszę już iść do domu, jestem spóźniony dziesięć minut i obawiam się, że nie zdążę na autobus.

- Dziękuję bardzo, do widzenia. - Uprzejmie odpowiedział Kidson.

Z przekartkowaniem książki nocnych wejść i wyjść nie miał kłopotu. Były w niej rutynowe podpisy. Strażnicy, operatorzy centrali telefonicznej i teleksu, pracownik dyżurny. I jeden prawie nieczytelny zakrętas. Postarała się, żeby zmienić swoje ostre i wyraźne pismo. To był nie tyle podpis, co lekkie pociągnięcie pióra z podkreśleniem u dołu.

Ty suko - rzekł w myślach. - Ty kłamliwa, obłudna dziwko! Co, do diabła, znowu kombinujesz?

Odpowiedź była dziecinnie prosta: współzawodniczy o stanowisko White'a. Na własną rękę prowadzi jakąś grę, która pozwoli jej uzyskać przewagę nad nim i Grantem. Zawsze lubił Davinę. Cenił jej profesjonalizm, szanował prawość, która była jej cechą szczególną i jako pracownika operacyjnego, i jako człowieka. Ale nigdy nie myślał o niej jak o kobiecie, nigdy nie kojarzył jej ze swoją piękną żoną, choć płynęła w nich ta sama krew; więcej nawet - nie chciał widzieć między nimi żadnego podobieństwa. Kochało ją dwóch mężczyzn, ale Kidson za nic w świecie nie mógł pojąć dlaczego. Teraz jednak zrozumiał, że można ją było nienawidzić z taką siłą, która dławiała w gardle.

Po wejściu do swego gabinetu uporządkował listy i notatki, rzucił okiem na dzisiejszy plan dnia, który mu przygotowała sekretarka, i spostrzegł, że nie może się skupić. Czy powinien pójść do Humphreya i ostrzec go? Odsunął fotel i odetchnął głęboko. Czy nie nazbyt wiele przypisywał faktowi, że Charlie zauważyła swą siostrę wychodzącą z owego zaułka?

Odrzucił myśl, że podpis w książce mógł być fałszerstwem,

Ponieważ był przekonany, że osoba panny Burgess nie istnieje. Ale nagle nazwisko to coś mu przypomniało. Naturalnie, była kiedyś panna Burgess, pracowała jako sekretarka i odeszła jakieś trzy, cztery lata temu - nie pamiętał

dokładnie. Nie mógł sobie przypomnieć, jak wyglądała. Określenie włosów jako rudawe było nieprecyzyjne i stanowiło tylko zaprzeczenie twierdzenia, że kobieta była blondynką. A w ogóle cała ta sprawa mogła być wyłącznie rezultatem jego nadmiernej podejrzliwości. Tak chyba było. Spojrzał na zegarek. Może jeszcze zdąży zobaczyć dyżurnego, nim ten wyjdzie do domu. Strażnicy zawsze zmieniali się trochę wcześniej niż pozostały personel.

- Jim?

- O, dzień dobry panu.

- Nie mieliście w nocy żadnych kłopotów?

- Nie, dyżur przebiegł spokojnie. Gdy ja mam służbę, to na pewno nie będzie ataku atomowego.

- Miło to słyszeć. Ale, ale, czy widziałeś pannę Burgess? Miała tu wstąpić wczoraj wieczorem.

Zobaczył, że jego rozmówca pokręcił przecząco głową i żołądek podjechał mu do gardła. To był jego najlepszy sygnał alarmowy.

- Nie, wczoraj wieczorem nikt nie przychodził. Było śmiertelnie nudno - młody człowiek miał sympatyczny uśmiech i nienaganne maniery.

Kidsonowi nie było do śmiechu, ale zmusił się do tego.

- Nie martw się; pewnego dnia doczekasz się swego przydziału podniecenia. Najlepszą zaś częścią tej ekscytacji będzie budzenie szefa o trzeciej nad ranem!

Wrócił do swego pokoju. A więc jego podejrzenia były słuszne, intuicja nie zawiodła, jak zawsze, gdy sprawy zaczynały przybierać niewłaściwy obrót. Davina weszła do budynku ze sfalszowaną przepustką, której nie mogła wystawić sama. Siedział bez ruchu przy biurku, dopóki nie przyszła sekretarka. Zdecydował, że nie powie nic Humphreyowi; niech on sam dba o siebie. Tylko częściowo słyszał to, co do niego mówiono, zadawał sobie bowiem ciągle

to samo pytanie: Czego szukała Davina? Gdzieś podświadomie znał już odpowiedź. Kartoteki. Tylko Grant i generał mieli klucze do tego pokoju...

- Panie Kidson? Przepraszam, czy chce pan wysłać jakąś odpowiedź w tej sprawie?

- Przepraszam, Jane - powiedział - nie uważałem. Powtórz to jeszcze raz, dobrze?

To na pewno generał, to on stał za tym wszystkim, bawiąc się w jedną z tych swoich pokrętnych gier, przedstawiając ludzi, jak figurki na szachownicy. Wykorzystywał również Davinę, ale przeciwko komu?

Postanowił odsunąć od siebie wszystkie te myśli. Kosztowało go to wiele wysiłku. Przez resztę dnia pracował z uporem i skupieniem. Kiedy jednak przyszedł do domu, wiedział, że musi o tym powiedzieć Charlie. Jeżeli bowiem podejmie z Daviną walkę o władzę, to jego najsilniejszym sojusznikiem będzie jej własna siostra.

- Dłużej tego nie będę robić - stanowczo stwierdził Peter Harrington. - Przeczytałem ten drański raport tyle razy, że mogę go recytować przez sen, i utknąłem. Tak zresztą jak i wy!

- Być może - powiedział Lomax. - Ale ja w ciągu sześciu miesięcy uczyniłem sporo spostrzeżeń, które uszły waszej uwadze. Teraz potrzebuję faktów i niech pan nie mówi, że pan ich nie zna. - Pochylił się ku Harringtonowi. - Może pan sobie odgrywać ten numer „Ja nic o tym nie wiem” przed Daviną, ale ze mną to nie wyjdzie. Nie jestem człowiekiem cierpliwym, Harrington, a poza tym nie lubię ludzi pańskiego pokroju.

Davina stała odwrócona plecami i wyglądała przez okno gabinetu naczelnika więzienia.

- A kim, do cholery, pan właściwie jest?! Taki trochę bardziej szanowany rewolwerowiec, nic więcej!

- Jeśli pan tak uważa - spokojnie powiedział Lomax.

Harrington rozpoznał ten typ człowieka. Twardy i bezlitosny. Widział takich po obu stronach barykady. Czuł się zaniepokojony, ale nie chciał tego pokazać.

- Kiedy otrzymuje pan swoje cholerne rozkazy, to może pan jedynie, zgadzając się, odpowiedzieć: „Sir”, więc niech się Pan nie wyżywa na mnie!

- Davino, nic mu nie powiedziałaś?

Odwróciła się i podeszła do nich. - Nie - rzekła do Lomaxa. - Sądziłam, że trzeba z tym trochę poczekać.

- Co mi miała powiedzieć? - spytał Harrington. Serce zaczęło mu tłuc jak oszalałe. Spoglądał to na nią, to na niego, przeklinając w duchu oboje. Łajdacy, chłodni, bezwzględni łajdacy...

- Oficjalne śledztwo zostało ostatecznie zamknięte - rzekła Davina. - Zrezygnowali z twojej pomocy, Peterze.

Skulił się na krześle i jęknął głucho:

- O, Chryste, nie...

- Ostrzegałam, że tak się stanie - ciągnęła dalej. - Nie chcąc, żeby całą sprawę odłożono ostatecznie na półkę potrzebowaliśmy rezultatów, i to szybko.

Spojrzał na nią i spytał, powoli cedząc słowa:

- A więc dlaczego dziś tutaj jesteście? I co on tu robi?

- Zdecydowaliśmy się sami prowadzić tę sprawę - odparła. - Twoi Mandaryni, jak ich nazywasz, chcą wszystko dokładnie zatuszować i zapomnieć. Ale ja nie chcę. Ja chcę dosięgnąć tego człowieka, który im pomógł zabić Iwana. Ty zaś chcesz stąd wyjść, prawda, Peterze?

- Nie - odparł szyderczo. - Skądże, lubię tu siedzieć; nawet para dzikich pieprzonych koni stąd mnie nie wyciągnie.

- Licz się ze słowami - powiedział łagodnie Lomax.

- Przestań więc odgrywać swoje sztuczki - oświadczyła Davina. - Musisz z nami współpracować.

- Czego właściwie chcecie - zwrócił się do niej. - Co to ma znaczyć: „współpracować”?

- To znaczy, że powiesz nam wszystko, co wiesz - odparł Lomax. - A my pociągniemy to dalej. Jediną obietnicą, jaką od nas otrzymasz, jest to, że możesz skończyć u swoich brudnych kompanów z tamtej strony. Jeśli ci ta propozycja nie odpowiada, nie przyjdziemy tu więcej.

- Daj papierosa - wymamrotał Harrington.

- Nie.

Harrington wlepił wzrok w Lomaxa, a potem spojrział na Davinę.

- Nie możecie mi pomóc, gdyż nie stoi za wami Służba. Jeśli oni się wycofali, oznacza to koniec wszystkiego.

- Pomyśl jednak o tym - odparła beznamiętnie. - Ja tu wrócę.

- Jak ci się podoba - powiedział Harrington. Nie podniósł wzroku, gdy wychodzili z gabinetu; strażnik wszedł, żeby go odprowadzić do celi.

Harrington potrzebował odpowiedzi na jedno pytanie. To pytanie mogło określić, czy będzie wolny bez grosza, czy też spędzi resztę życia w dostatku w jakimś miłym szwajcarskim kantonie. Ile mógł powiedzieć Davinie Graham o Albatrosie? Czy Albatrosa można było zastąpić? Cały ten problem zebrał w kilka linijek i nabazgrał na marginesie osiemdziesiątej trzeciej strony w książce o okuciaczce wykonanych przez Grinnlinga Gibsona, którą mu przyniósł Stephen Wood.

Kiedy Wood wychodził tamtego wieczoru, Harrington powiedział:

- Czy nie mógłby pan przyjść znowu w następny piątek? Czuję się ostatnio trochę osamotniony. Ucieszyłaby mnie dodatkowa wizyta:

- Bardzo mi przykro, że tak się pan czuje - odpowiedział ze współczuciem Wood. - Jestem pewien, że da się to

załatwić; pomówię o tym w biurze. Czy chce pan, żebym coś przyniósł? Ma pan co czytać?

- Dziękuję, wystarczy mi. Ale jeśli znajdzie pan coś zabawnego, to bardzo proszę. Lubię satyrę, wszystko, z czego można się choć trochę pośmiać.

- Nowa książka Davida Nivena - szybko wtrącił Wood. - Kupiłem ją sobie. Na pewno przy niej poprawi się panu nastrój. Uśmiełem się również, czytając inną jego powieść: "Bring on the Empty Horses". Tak czy inaczej zobaczymy się w piątek. Jestem pewien, że to się da załatwić. - Za drzwiami celi powiedział w zamyśleniu do strażnika: - Wie pan, wydaje mi się, że Harrington wpadł w lekką depresję. Lituje się nad sobą samym. Poproszę o jedną dodatkową wizytę. A jak się ma mój drugi podopieczny?

- Tak sobie, średnio - brzmiała odpowiedź. - Zawsze lepiej się czuje po pańskich odwiedzinach.

Otwierając drzwi drugiej celi strażnik myślał o tym, jaki z tego Wooda przyzwoity gość. Nigdy nie opuści odwiedzin, przyjazny wobec więziennego personelu w odróżnieniu od innych, którzy podkreślają dystans. Ludzie pokroju Stephena Wooda robią wiele dobrego. On sam nigdy by złego słowa nie powiedział o takim człowieku.

- To, co mówisz - nalegał Humphrey - znaczy, że masz zamiar zrezygnować.

- Jeśli tak to widzisz, to istotnie - Davina odwróciła się i gniewnie spoglądała przez okno samochodu. Czuła, że jeśli jeszcze chwilę popatrzy na tę kępę trawy i gazon w Regen's Parku, zacznie krzyczeć.

Humphrey wyglądał i zachowywał się jak człowiek głęboko i szczerze czymś wstrząśnięty.

- Ależ tam jest ktoś, wiemy to wszyscy z raportu Lomaxa! Jak możesz tu siedzieć i mówić mi, że nie będziesz kontynuować dochodzenia?!

- Dlatego, że nie jestem już niczego pewna - odparła. - Colin sugeruje, że mamy w Służbie „kreta”. Wiem doskonale, jak to wszystko zgrabnie się układało, ale niczego więcej nie mogę znaleźć, Humphreyu! Nie ma najmniejszego dowodu! Akta niczego nie wyjaśniły.

- Harrington - przypomniał jej - Harrington przecież potwierdził, że Sowieci kogoś nam podesłali.

- Harrington - rzekła kwaśno - powiedziała by wszystko, żeby tylko stamtąd wyjść. Ale, gdy go przyparłam do muru, nie mógł niczego dowieść. Cały czas tylko mówił, że nim manipulowano. To nie ma sensu, Humphreyu. Tracę tylko czas. Jeśli tam naprawdę ktoś siedzi, to jest doskonale ukryty, a ja nie mogę go zdemaskować. Nie myśl jednak, że się poddam, wcale nie mam zamiaru!

- Doskonale - wyrzucił z siebie to słowo i znowu je powtórzył. To było jedno z jego irytujących przyzwyczajzeń. - Doskonale. Dajmy sobie z tym spokój. - Pochylił się i otworzył drzwi samochodu. Był spięty i wściekły.

Davina wysiadła i pochyliła się ku niemu.

- Dzięki, Humphreyu. Na szczęście mam niedaleko. Szarpnął drzwiczki i zamknął je z trzaskiem; odjechał ostro dodając gazu. Davina stała przez chwilę i patrzyła w ślad za samochodem. Szczerze zagniewany czy rad w głębi duszy, że udało mu się uniknąć zdemaskowania? To była bardzo paskudna sytuacja. Colin miał rację - albo powinna tę sprawę prowadzić sama, albo zrezygnować. Dzięki Bogu, że miała w nim oparcie.

- Davina?

Nie słyszała, że samochód zatrzymał się przy niej - szła wolnym krokiem, myślami będąc daleko od tego miejsca. Tony Walden wychylił się z okna i zawołał do niej raz jeszcze. Zatrzymała się zdumiona jego widokiem. Jechał dużym niebieskim mercedesem.

- Och, hallo, panie Walden.

- Proszę wsiąść, podwiozę panią - powiedział.

Zawahała się. Nagle poczuła się zgnębiona i zmęczona samotnym spacerem.

- Bardzo dziękuję - odpowiedziała.

Tony był zręcznym kierowcą, dodał więc gazu i samochód pomknął naprzód, a później wyjechał z parku. Od chwili, gdy wsiadła, nie odezwał się ani razu. Davina zwróciła się do niego pierwsza:

- Sądziłam, że ma pan kierowcę.

- Dlaczego? Myśli pani, że jestem zbyt nadęty, żeby prowadzić samochód? Bardzo lubię to robić. Denerwuję się, kiedy za kierownicą siedzi ktoś inny. Ale dlaczego jest pani taka przygnębiona i spaceruje samotnie ze spuszczoną głową? Nigdy pani takiej nie widziałem.

- Rozmyślałam - odpowiedziała.

- A więc nie były to zbyt radosne myśli - rzekł Walden. Nie odezwała się; patrzyła przez szybę i spostrzegła, że kierują się w stronę Marble Arch oraz że przejechali zakręt prowadzący do Arlington Place.

- Czy nie jedzie pan do biura? - spytała szybko.

- Nie. Mam spotkanie z bardzo ważnym klientem w Kensington Palace Gardens. Byłoby miło, gdyby zechciała mi pani towarzyszyć.

- Nie mam chyba wyboru - stwierdziła.

- Może pani wyskoczyć, gdy zatrzymamy się na światłach. Ale to spotkanie może także panią rozweselić. Co pani wie o Arabach?

Zupełnie nic. Z wyjątkiem tego, że są bogaci. - To była również pierwsza rzecz, jakiej się o nich dowiedziałem - powiedział. - Ale druga jest również prosta: Nie należy oczekiwać, że będą podobni do kogokolwiek, z kim już miało się do czynienia. Trzeba odłożyć wszystkie doświadczenia w

interesach i kontaktach społecznych na bok i zaczynać od samego początku.

- Wygląda na to, że wie pan na ich temat raczej sporo - zauważyła Davina.

Zaczęła już trochę przychodzić do siebie. Walden miał rację mówiąc, że jest przygnębiona. Sam zaś zarażał innych swoim wrodzonym optymizmem. Odczuła to i, wbrew sobie samej, była mu za to wdzięczna. Im więcej mówił o tym arabskim kliencie, tym mniej pamiętała o okropnym uczuciu pustki i odosobnienia, jakie ogarnęło ją po rozstaniu z Humphreym Grantem.

- Rzeczywiście, dużo wiem o człowieku, z którym mam się spotkać - zgodził się Walden. - Jest to jeden z najpotężniejszych ludzi na Środkowym Wschodzie. Młodszy syn księcia, ale bardzo przez ojca faworyzowany; pełen entuzjazmu dla Zachodu, który jest wzorem dla zmian, jakie chciałby wprowadzić w swoim kraju. Robi to nie wywołując konfliktu ze starszymi braćmi. Wszyscy oni są muzułmanami, w każdym razie u siebie w domu.

- A co ma z tym wspólnego agencja? - spytała Davina.

- Prowadzi dyskretną kampanię promocyjną tego kraju, żeby przyciągnąć doń uwagę publiczną - odpowiedział. - Programy telewizyjne, artykuły w pismach, prezentacja w znaczących magazynach ilustrowanych. Wszystko to ma pokazać drogę królestwa do współczesnego świata. Szpitale, technologia, szkoły, transport, no, wie pani, cały ten zestaw. Piękne hotele, jedna z największych na świecie hut aluminium, wieżowce wśród palm. Czy to pani nie pociąga?

- Raczej nie - uśmiechnęła się lekko. - Jest to świat zbyt męski, aby mnie interesował. Ja chyba nigdy nie marzyłam o szejku na pustyni.

- Nawet bym się tego po pani nie spodziewał. Ale niech mi pani powie, jaki mężczyzna mógłby porwać panią w siną dal?

- Nie mam pojęcia - odrzekła. - Nad porywanie przedkładam samotny spacer.

- Nie jest pani romantyczna. Wielka szkoda. - Rozejrzał się dokoła, śmiejąc się z jej zakłopotania.

Davina natychmiast zajęła pozycję obronną.

- Panie Walden... - zaczęła, ale przerwał jej w tej samej chwili.

- Proszę, nie tym tonem. Niech mi pani pozwoli pozartować, to mi pomaga skoncentrować się na ważnych sprawach. Na przykład na moim arabskim księciu.

- Cieszę się, że mogę spełnić rolę lekkiej rozrywki - powiedziała - ale nie lubię, jak się mnie traktuje jak głupiutką dziewczynkę.

- Znaczy to, że nie lubi pani flirtu - stwierdził spokojnie. - To coś zupełnie nowego. Większość znanych mi kobiet oczekiwałyby właśnie tego.

- Ale teraz pan wie, że to mnie nie bawi - oświadczyła Davina. - Tu jest zakręt do Kensington Palace Gardens.

- A tak, rzeczywiście - mruknął Walden. - Zauważyłem go, naturalnie. Ależ pani lubi rządzić, moja droga. I ładnie to pani robi. O, proszę spojrzeć, tu jest ambasada sowiecka.

- Wiem o tym. Zawsze myślę, jak ją nieodpowiednio usytuowano: w okolicy znanej jako Millionaires Row!

- Świadczy to o tym, że wierzy pani w te nonsensy o równości - zauważył. - Ale jesteśmy na miejscu. Proszę pamiętać: jest pani moją sekretarką. Książę to światły i czarujący człowiek, ale nie oczekuje niczego, poza „Dzień dobry, wasza wysokość” lub „Do widzenia, wasza wysokość”. W jego kraju kobiety ciągle jeszcze znają swoje miejsce w społeczeństwie i nie biorą udziału w rozmowie.

Davina wysiadła z samochodu i podążyła za Waldenem do wnętrza wspaniałego domu. Nie wiedziała, czy ma się cieszyć, czy żałować tego, że przyszła z nim tutaj. Wprowadzono ich do obszernego salonu, ze złoceniami na suficie i gigantycznym kryształowym żyrandolem, który płonął światłem, mimo że na zewnątrz był słoneczny dzień.

Wszystko w tym pokoju było olbrzymich rozmiarów: aksamitna sofa wygodnie mogła pomieścić dziesięć osób, w głębi pokoju stał nowoczesny czerwono - złoty fotel przypominający tron, na podłodze leżały najpiękniejsze perskie dywany, jakie kiedykolwiek widziała. Arabski służący spytał poprawną angielszczyzną, co ma podać, gdy będą oczekiwać na Jego Wysokość, herbatę czy soki owocowe. Walden, nie pytając Daviny, poprosił o herbatę. Była lekka i aromatyczna, odrobinę gorzka. Czas mijał, Walden spojrzał na zegarek.

- Jak długo jeszcze? - zaczęła Davina, ale on położył palec na usta.

- Proszę zapamiętać lekcję numer jeden - powiedział łagodnie. - Oni wszyscy mają mnóstwo czasu. To my ciągle się spieszymy.

Siedzieli ponad godzinę, kiedy wreszcie ksiązę wszedł do salonu. Był to niski mężczyzna, nawet przystojny - smagły, z błyszczącymi ciemnymi oczami i mocno zakrzywionym nosem, który nadawał mu wygląd drapieżnego ptaka. Nosił europejskie ubranie, ale na głowie miał charakterystyczny biały zawój z czarno - złotą opaską, wskazującą przynależność do rodziny panującej. Uścisnął rękę Waldena, Davinie rzucił krótkie obojętne spojrzenie i lekko skinął głową, gdy mu ją przedstawiono. Przez następną godzinę siedziała i słuchała. Dwukrotnie Walden poprosił ją o zanotowanie czegoś - udało się jej nawet coś nabazgrać na okładce kalendarza. Zastanawiała się, czy Arab zauważył, jak nieodpowiednio

przygotowana była do pełnienia zadań sekretarki. Wchodziła w świat nowy i obcy dla niej; po raz pierwszy też zobaczyła na własne oczy, co właściwie uczyniło Tony'ego Waldena szefem największej agencji reklamowej w Europie. Był pełen szacunku wobec swojego klienta, lecz nie służalczy; własne opinie i poglądy wygłaszał taktownie i jasno. Umiał się również z godnością wycofać, jeśli nie zyskiwały aprobaty. Ale przede wszystkim słuchał. I to nie pośpiesznej wypowiedzi o interesach. Książę opowiadał o swoim kraju i jego potrzebach i przedstawiał Waldenowi własne oczekiwania i życzenia wobec Agencji Arlington.

Nagle, bez wstępów, rozmowa przekształciła się w dyskusję o wyścigach konnych. Książę był zapalonym graczem. Walden znał imiona jego koni i gonitwy, które wygrały. Davina była pewna, że wiedział również, kiedy jego konie przegrywały, ale ten wątek nie był oczywiście poruszany.

Walden zmienił temat, aby spytać o zaawansowanie robót przy budowie nowego pałacu księcia na obrzeżach stolicy. Mówił o wspaniałości tej budowli, z zapałem podkreślał jej nowoczesność i dbałość o wygodę oraz piękno otaczającego ją pustynnego pejzażu; przypominał, jak bardzo był zadowolony, mogąc oglądać królewskie sokoły i ich ćwiczenie. Jakby mimochodem zapytał o dwa ulubione ptaki księcia. Ani razu też nie wciągnął do rozmowy Daviny, nie zauważał nawet jej obecności, z wyjątkiem dwukrotnego polecenia robienia notatek.

W końcu książę wstał, uścisnął Waldenowi rękę, ten zaś skłonił mu się lekko. Davinę zaś pożegnał bezosobowym skinieniem. Oboje opuścili dom i wyszli po schodach na słoneczne podwórze. Walden nie otworzył przed nią drzwiczek samochodu. Usiadł za kierownicą i powiedział:

- Proszę wybaczyć moje zachowanie, ale straciłbym twarz, gdybym posadził panią pierwszą.

- To nie ma znaczenia - Davina spoglądała na dom. Zauważyła, że firanka w oknie na parterze poruszyła się, jakby ktoś za nią stał. - Wydaje mi się, że ktoś na nas patrzy - powiedziała.

- O, na pewno tak - odparł, zapuszczając motor. - Tu wszędzie jest pełno goryli. Ten, który nas wpuścił i przyniósł potem herbatę, pod tą swoją luźną szatą był uzbrojony po zęby. Również księżę nie był z nami sam, zawsze towarzyszy mu ktoś z ochrony.

- Nie widziałam tam nikogo.

- Nie zaglądała pani za ten piękny chiński parawan, prawda? Na pewno znalazłaby pani za nim dwóch ludzi z naładowanymi pistoletami. Księżę nie porusza się z obstawą, jak robią to niektórzy synowie panujących. Lubi uchodzić za człowieka Zachodu, ale jest nim akurat tak samo, jak pani arabską nałożnicą z haremu.

- Nie mógł pan wymyślić lepszego porównania - ucięła krótko. - Ale w każdym razie ubił pan swój interes.

- Moja droga... - zobaczyła, że znowu uśmiecha się w charakterystyczny dla siebie sposób. - Powiedziałem przecież, żeby pani odrzuciła swoje zachodnie wzorce. Jak na razie, zgodziliśmy się tylko na prowadzenie rozmów. On wie, ile będzie kosztowała taka reklama. Nie ma też zamiaru się śpieszyć, ponieważ nigdy nie robi niczego, dopóki Allah nie wyrazi swojej woli. A Allah wyraża wolę, kiedy jest we właściwym nastroju. Taki nastrój może trwać kilka minut, rzadko dłużej niż godzinę. Arabowie szybko się nudzą i, jeśli im się na to pozwoli, pozostają nienagannie uprzejmi, ale nigdy więcej pani ich nie zobaczy. Bardzo mi zależy na tym zamówieniu; mogę dostarczyć księciu wszystko, czego chce. Ale też muszę odczekać, aż przyjdzie ten jeden właściwy

moment, aby podsunąć mu kontrakt do podpisania i, co najważniejsze, nie mogę w tym czasie robić nic innego. Po prostu muszę być na miejscu i cierpliwie czekać.

- A co z tego będzie miała agencja? - spytała Davina.

- Chodzi o sumę dwóch i pół miliona dolarów płatną w czasie piętnastu miesięcy. Czy zdaje sobie pani sprawę, że jest prawie wpół do pierwszej. Chętnie bym poszedł na drinka.

- Może mnie pan wysadzić, wrócę do Arlington Place taksówką - powiedziała.

- Dlaczego? - Zatrzymał się na czerwonym świetle z nieoczekiwaną gwałtownością, aż Davina mocno szarpnęło do przodu.

- A cóż to za nie cierpiące zwłoki sprawy czekają na panią, że nie może mi pani towarzyszyć chociaż przez pół godziny? Spędziłem całe przedpołudnie poruszając się jak po szkle i teraz spodziewa się pani, że pójde na drinka sam?

- Chwileczkę, ja niczego się nie spodziewam ani oczekuję. To pan oczekuje, że będę mu dotrzymywać towarzystwa - zaprotestowała Davina.

- A pani tego nie chce. Jest pani znudzona i ma mnie dosyć, prawda? Woli pani wrócić i plotkować z Friedą Armstrong?

- Jestem z kimś umówiona na lunch - powiedziała w końcu, niechętna wszelkim wyjaśnieniom.

- Rozumiem. Ten pani przyjaciel, major z kamienną twarzą?

- Mój przyjaciel, major z kamienną twarzą. On nie lubi, kiedy się spóźniam.

- Czy pani nie ufa?

Davina nie odpowiedziała. Miała się spotkać z Colinem w pubie w pobliżu Arlington Place o pierwszej.

- Jedziemy do Connaughta, postawię pani szampana. On może poczekać pięć minut.

- Nie lubię szampana - odparła łagodnie Davina. - Ale mimo to bardzo dziękuję.

- No to może pani patrzeć, jak ja będę pił - oświadczył Tony Walden i dodał gazu.

Dziesięć minut później prowadził ją pod ramię do stolika pod oknem w Barze Connaught.

- Jest pan jedynym człowiekiem, jakiego dotąd spotkałam, który potrafi, w taki czy inny sposób, postawić mnie w sytuacji bez wyjścia - stwierdziła nagle Davina. - Nie chciałam tu przyjść, spóźnię się na spotkanie, ale, niech to diabli, jestem tutaj!

- To sprawił mój urok osobisty - odrzekł Tony i skinął na kelnera.

- To raczej pańskie natręctwo - odparowała.

- Dwa kieliszki szampana - poprosił i dodał: - Kiedy spotkałem panią pierwszy raz, powiedziała pani, że to jej ulubiony napój. Wtedy, w pani mieszkaniu, w obecności Humphreya i majora. Dlatego też nie zwróciłem uwagi na te głupstwa, jakie mówiła pani w samochodzie. Proszę wziąć oliwkę, są bardzo smaczne.

- Nie będę udawać, że nie lubię szampana - powiedziała Davina. - Tak naprawdę, panie Walden, wygląda pan na zmęczonego. Zaczynam myśleć, że jednak jest pan normalnym człowiekiem!

- Miło mi to usłyszeć - odrzekł. - To właśnie dlatego chciałem tu przyjść razem z panią. Czy pani wie, że zmusza mnie pani do walki o każdy drobiazg?

Rzeczywiście wyglądał na zmęczonego; oczy miał podkrążone - nie dostrzegła tego, gdy wsiadała do samochodu.

- Czasem, po udanej transakcji, pojawia się nagle uczucie ogromnego zmęczenia, słabości - powiedział z namysłem. - W dniu, w którym ten kontrakt będę miał w kieszeni, wpadnę

chyba w depresję. Zawsze tak ze mną jest, gdy wygram batalię. Zna pani to uczucie?

- Nie. Kiedy odnoszę sukces, zachowuję się zupełnie inaczej: wpadam w euforię, podniecenie. W depresję wpędzają mnie niepowodzenia.

A więc coś się nie udało, gdy spotkałem panią dziś rano? - zadał to pytanie bardzo ciepło.

Spojrzała na niego i odparła:

- Nie wiem, ale sądzę, że Humphrey Grant będzie do pana dzwonić.

Spojrzenie, jakie jej rzucił, było szybkie i przenikliwe; odstawił swój kieliszek na stół.

- A co mi powie?

- Że w związku ze mną nie musi pan dłużej stwarzać pozorów - odrzekła. - Nie miałam zamiaru mówić o tym, ale wygląda na to, że powinnam. Był pan dla mnie nie tylko bardzo dobry, ale również służył niezwykłą pomocą. Chciałabym za to bardzo podziękować, od siebie.

- Rozumiem. A więc to, co chciał osiągnąć Humphrey Grant, nie udało się, czy tak? I ja już nie jestem potrzebny. Zwolnienie mogę dać pani jutro rano.

- Dziś po południu, jeśli można - powiedziała.

- Czy nie chciałaby pani pracować dla mnie dalej?

- Ja nie pracuję dla pana - odparła. - To nie była żadna praca.

- Ale mogłaby być - wyjaśnił. - Chyba że nie lubi pani agencji albo mnie. Sprawiałem pani sporo kłopotów, prawda?

Popatrzyła na niego z uwagą i nagle powiedziała:

- Tak, to prawda. Zrobił mi pan zamęt w głowie, a ja tego nie lubię. Ale, jeśli mam być szczerą, to również bardzo mi się to wszystko podobało.

- A więc powiem przyjacielowi Humphreyowi, żeby nie zwracał sobie głowy - odrzekł Walden. Nie dał jej czasu do

zastanowienia się nad odpowiedzią, gdyż spojrzął na zegarek i oświadczył z teatralną emfazą: - O, Boże! Już dawno minęła pierwsza! Lepiej niech pani biegnie, bo surowy major zagrozi mi pistoletem. Portier zawoła pani taksówkę. Zauważyłem kogoś, z kim powinienem porozmawiać... Witaj, Jack! - zawołał. - Jak się masz, mój stary. Świetnie wyglądasz...

Słyszała jego głos pełen ciepła i humoru i pomyślała: - Chryste, przecież on cały czas musi grać jakieś role. To ogromny ciężar i napięcie. Colin będzie wściekły, jeśli się dowie, że byłam tu z nim.

Już siedząc w taksówce wzruszyła ramionami, jak gdyby polemizując z Lomaxem. Dlaczego niby miałoby się to mu nie podobać? Nic się przecież nie stało. Walden czuł się samotny i wyczerpany, potrzebował kogoś, żeby porozmawiać. Oczywiście, że odejdzie z agencji. A gdy to się stanie, nie będzie już żadnego powodu, aby się kiedykolwiek jeszcze spotkać z Waldenem.

Był czwartek. Poranne niebo nad Moskwą zaciągnęły chmury, od czasu do czasu padał drobny deszcz i ulice lśniły wilgocią. Osiem złotych kopuł cerkwi Wasyla Błogosławionego błyszczały w deszczu. W wielkim pokoju, mieszczącym na pierwszym piętrze nowoczesnego budynku za kremlowskim murem, odbywało się posiedzenie Biura Politycznego Dziewięciu mężczyzn siedziało wokół ciężkiego stołu; to oni odpowiadali za wszystkie dziedziny życia Związku Radzieckiego. Transport, komunikacja, finanse, sprawy zewnętrzne, armia, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, bezpieczeństwo wewnętrzne i cała potężna, rozciągnięta nad światem sieć rosyjskiego wywiadu. Przewodniczący posiedzenia, sekretarz generalny partii, siedział przy owalnym stole na poczesnym miejscu. Żerkow był silnie zbudowany, z potężnymi ramionami rosyjskiego chłopca, dużą głową i głęboko osadzonymi oczami, zupełnie

pozbawionymi wyrazu. Po jego prawej stronie zasiadał protegowany genseka, wszechwładny Igor Borysow, młody jak na członka Politbiura, nie lubiany i niechętnie widziany przez wielu obecnych. Oddzielony dwoma miejscami, na lewo od Żerkowa siedział minister spraw zagranicznych, Jurij Rudzenko, i rysował profile w rozłożonym na stole notatniku. Był to chudy, wysoki mężczyzna z obwisłymi wusami; ciemne włosy, choć miał już lat sześćdziesiąt osiem, tylko lekko przyprószyła siwizna. W jego żyłach płynęła podobno krew albańska - dowodziła tego smągła cera i ostre rysy, a także ciemne oczy o zdecydowanym spojrzeniu, teraz zakryte ciężkimi powiekami. Rudzenko był wielkim admiratorem Stalina i wyrazicielem starej, przedwojennej idei komunizmu. Rozmowy z Zachodem o ograniczeniu zbrojeń lub rozbrojeniu uważał za zdradę, a jego stosunek do dysydentów i Żydów oraz wszystkich ruchów na rzecz praw człowieka przypominał Żerkowowi najgorsze lata stalinowskiego terroru, kiedy to sam - jako młody, ambitny człowiek - wkroczył na niebezpieczną arenę sowieckiego życia politycznego.

Dzisiejszy porządek obrad został już wyczerpany. Żerkow siedział jeszcze przez chwilę, raczej tylko słuchając i przyglądając się swym odpoczywającym współpracownikom.

W pewnym momencie rozległ się głośny wybuch śmiechu: stary „żelazny” generał Gagarin wesoło reagował na jakąś pieprzną anegdotę. Rudzenko spojrział w tamtą stronę z grymasem niechęci. Gdyby on był sekretarzem generalnym, nikt by sobie nie pozwalał na takie zachowanie. Żerkow szturchnął Borysowa łokciem:

- Gagarin usłyszał ten kawał od kierowcy z Charkowa - zauważył, i jego ciężka twarz rozjaśniła się uśmiechem. - Zjedź dziś ze mną kolację, Igorze. Przyjdź o dziewiątej - odsunął swoje krzesło od stołu, dając znak, że posiedzenie zostało zakończone.

Rudzenko zgarnął swoje notatki i wyszedł w towarzystwie swoich stronników. Byli ludźmi starych zasad, uważali się za obrońców czystości ideologii. Rudzenko stał się ich przywódcą teraz, gdy zmarł dawny strażnik zasad marksizmu, Anatol Bramański. Wszyscy oni nie robili tajemnicy ani ze swych poglądów, ani z łączącej ich więzi. Jedyną bowiem rzeczą, na którą nie mógł sobie pozwolić nawet Jurij Rudzenko, było wzbudzenie podejrzeń w sekretarzu generalnym. Zresztą on nie intrygował potajemnie, lecz jawnie walczył o swoje zasady polityczne i przekonania.

Żerkow przyjął zaproszenie do złożenia wizyty w Niemczech Zachodnich; Rudzenko i jego sojusznicy sprzeciwiali się temu. Twierdzili, że będzie to wyglądało na zabiegi o względy Niemców w związku z wprowadzeniem stanu wojennego w Polsce. Borysow wystąpił z logiczną i druzgocącą repliką przeciwko przemówieniu Rudzenki, obalając je punkt po punkcie. Przypomniał ministrowi, że nie miał racji, domagając się bezpośredniej interwencji Rosjan. Polska rozwiązywała swoje wewnętrzne problemy w sposób dogodny dla Rosji, lecz bez udziału choćby jednego żołnierza Armii Czerwonej. Reszta świata mogła oskarżać i potępiać Związek Radziecki, ale nie miała dowodów interwencji, stąd bezzasadność tych krzyków. Polskę należy zostawić własnemu losowi. Porządek zostanie tam wkrótce przywrócony i nasze interesy będą znowu bezpieczne - wszystko to bez środków ekstremalnych, które sugerował minister Rudzenko. Mądra polityka towarzysza Żerkowa znowu wygrała, istotnym zaś jej punktem jest oddzielenie RFN od ich zachodnich sojuszników, na ile jest to możliwe. Wizyta u kanclerza RFN stanowi część tego planu i nikt nie uzna jej za wyraz słabości.

Rudzenko i jego poplecznicy zostali przegłosowani i członkowie Politbiura poparli decyzję Żerkowa. Zaproszenie

na prywatną kolację było nagrodą dla Borysowa. W zaciszu kremlofskiego apartamentu gensek wyrazi swoje podziękowanie; będzie się mówiło o sprawach, o których nikt inny nie powinien wiedzieć.

Tego wieczoru Borysow wrócił do domu bardzo wcześnie. Poinformował żonę, że ma ważne spotkanie, a gdy powiedziała co o tym myśli, w nagłym przypiływie irytacji i poczucia winy oświadczył, że idzie na kolację do Żerkowa.

Żona rozpromieniła się i próbowała skłonić go do rozmowy na ten temat, ale przerwał jej mówiąc, że musi się wykapać, przebrać, a więc nie ma czasu. Nie chce przecież, żeby się spóźnił, prawda? I tak nie mógłby z nią rozmawiać - nic nie rozumiała, była ograniczona i głupia. Powierzać swe myśli mógł tylko Natalii, która znała reguły świata, w jakim żył i pracował. W chwilę później wsiadł do zima i kierowca odwiózł go do Kremla.

W odróżnieniu od swego poprzednika, Żerkow nie używał starego pałacu jako prywatnego mieszkania; na ten cel przeznaczył ostatnie piętro w budynku, gdzie mieściły się biura państwowe. Sam urodził się w kołchozie na Ukrainie i wyrósł w warunkach, gdzie się ciężko pracowało i jadło bardziej niż skromnie. Teraz, siedemdziesiąt dwa lata później, żył pośród wspaniałych nowoczesnych mebli i prywatnej kolekcji obrazów impresjonistów, a jego żona stroiła swe pulchne ciało w drogie i eleganckie suknie paryskie. Nie mieli dzieci i prywatną część życia spędzali w pięknym mieszkaniu, z którego okien rozciągał się wspaniały widok na miasto; korzystając z licznych przywilejów, jakie dawała ogromna władza, Borysow zdawał sobie sprawę, że zaproszenie tutaj było nie tylko szczególnym wyróżnieniem, ale i wyrazem zaufania.

Kolacja była skromna i niewymyślna. Pani Żerkow czyniła honory domu, przy stole usługiwał milczący

umundurowany członek ochrony osobistej genseka. Patrząc na niego Borysow przypomniał sobie żołnierzy Pułku Preobrażeńskiego, którzy strzegli carów rosyjskich od czasów Piotra Wielkiego.

Czasy się zmieniają - pomyślał - ale Rosja pozostaje ta sama. Jako dobry znawca historii Rosji, Borysow, w odróżnieniu od arcyputyńskiego ideologa Rudzenki, dostrzegał wiele wspaniałych momentów w przedleninowskiej przeszłości kraju.

Pili wódkę pod zimne zakąski, a potem pod gorący rosyjski kapuśniak. Żerkow pił z widoczną przyjemnością, podsuwając butelkę w stronę gościa, zanim jeszcze zdążył to zrobić usługujący im żołnierz. Współczesny władca Rosji lubił dobrze zjeść i wypić. Gustował w młodych krymskich winach i ostro przyprawionej duszonej baraninie. Rozmowa przy stole toczyła się wokół spraw ogólnych; poczciwa gospodyni miała niewiele do powiedzenia, ale zastępowała to ciepłym macierzyńskim uśmiechem i demonstrowaniem szczerego przywiązania do męża; przypominała teraz drobne wydarzenia z ich młodości. Borysow wiedział, że łączyła ich mocna i prawdziwa więź uczuciowa. Przeżyli wspólnie trudne lata i niebezpieczeństwa, jakie towarzyszyły Żerkowowi w jego ambitnej wspinaczce na szczyty władzy. Pani Żerkow mogła pozwalać sobie na paryskie suknie, ale najzręczniejszy krawiec nie potrafił zmienić jej twarzy rosyjskiej chłopki. Borysow pomyślał o swojej żonie i pozazdrościł Żerkowowi tego małżeństwa.

Gdy kolacja się skończyła, pani Żerkow wstała od stołu i pożegnała się.

- Pozostaniemy tutaj - zwrócił się Żerkow do ordynansa. - Przynieś kawę po turecku i koniak. - Do Borysowa zaś powiedział: - Tęsknię za starym kuchennym stołem i szumiącym samowarem, ale to, co jest, musi nam wystarczyć.

- Podziwiam pański gust w malarstwie - rzekł Borysow.

- Najbardziej lubię Renoira - wyjaśnił Żerkow. - Napętnia mnie spokojem; oglądanie jego obrazów to jak przebywanie w dobrym śnie. Manet jest silniejszy, nie ma tej łagodności. Nie znoszę van Gogha - szaleństwo niemal krzyczy z jego płócien.

- Jednak ma pan dwa obrazy van Gogha - stwierdził Borysow.

Starszy mężczyzna wzruszył ramionami:

- To tylko po to, żeby sprawić przyjemność Annie; ona je lubi. Nie przepada zaś za Picassem, z wyjątkiem płócien okresu błękitnego, dlatego trzymam go w swoim biurze. Lubię sztukę współczesną, ale tak trudno ją kolekcjonować, opinie o niej są bowiem niezwykle kontrowersyjne. Od dwóch lat czekam na bardzo dobrego Francisa Bacona, ale właściciel ciągle nie chce go odsprzedać. To Amerykanin - wyjaśnił i zachichotał. - Nie chcieliby, żeby dostał się tutaj - stwierdził. - Postaw butelkę na stole, Iwanie, i możesz iść spać. Dobranoc.

Ordynans zaszalutował, stając na baczność. Gwardia była najlepszą częścią armii. Nie darzyła też specjalną miłością oddziałów Borysowa. W pokoju przez chwilę panowała cisza; obaj mężczyźni w milczeniu popijali mocną gęstą kawę i opróżniali pierwsze kieliszki koniaku.

- To jest właśnie ta różnica między nami - odezwał się nagle Żerkow. - Ja wierzę w świat współczesny, a Rudzenko go nienawidzi. Ja wierzę, że czynimy postępy, lecz wyprzedzając wrogów, powinniśmy się od nich dużo uczyć i wykorzystywać te nauki. On zaś nie dostrzega niczego dobrego po roku 1953.

- Ani też przed 1917 - zauważył Borysow. - Najchętniej widziałby Rosję z okresu między śmiercią Lenina i Stalina, skamieniałą jak mucha w kawałku bursztynu.

- Tak - westchnął starszy mężczyzna. - Kiedy umarł Braminski, pałeczka przeszła w ręce Rudzenki. Niestety,

pasuje do niego jeszcze lepiej niż do Bramińskiego. Twoje dzisiejsze wystąpienie, Igorze, było zrobione bardzo zrecznie. Ale Rudzenko nigdy ci nie wybaczy, że przedstawiłeś go jako doktrynera szaleńca. W przyszłości również, gdy tylko zaczniesz mnie atakować, niszczyć jego reputację jako odpowiedzialnego polityka. Twoje dzisiejsze przedstawienie sytuacji w Polsce to majstersztyk. Byłeś równie subtelny, co okrutny.

- Wolałby pan, żebym się zmienił? - zapytał Borysow.

Sojusz między nimi umocnił się zaraz po objęciu przez Borysowa władzy nad KGB, podczas pierwszego niepowodzenia tej organizacji. Nigdy też nie zapominał rady, jaką mu dała Natalia, gdy stanął w obliczu katastrofy.

- Powiedz mu prawdę. Idź do niego jak do ojca - radziła.

Zrobił więc dokładnie tak, jak mówiła; tak samo teraz powiedział, jak syn ojcu:

- Czekam na pańską krytykę, Piotrze Piotrowiczu. Oczy pod ciężkimi powiekami spojrzały leniwie. Pierwsza butelka koniaku była prawie pusta, ale wzrok miał bystry, taksujący.

- Nic nie będę krytykował, ale mam pewną sugestię. Więcej subtelności, więcej okrucieństwa. Atakuj tak często, jak tylko da ci szansę. Sprawy powinny dojść do punktu kulminacyjnego przed jesiennym posiedzeniem Rady Najwyższej.

Borysow odstawił kieliszek i pomyślał, że nie powinien starać się dotrzymać kroku Żerkowowi. Nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał.

- Jeżeli tak pan myśli, to zrobię wszystko, co w mojej mocy - powiedział. - Ale dlaczego? Przecież kryzys wewnętrzny w tej chwili byłby bardzo nie na rękę? Polska...

- Ekspłoduje przed końcem tego roku! - przerwał ostro Żerkow. - I to jest właśnie to, na co czeka Rudzenko; to, co stara się zainicjować. On ma sporo sojuszników w stalinowskiej klice w Polsce, którzy zechcą obalić

Jaruzelskiego. A wtedy, mój drogi Igorze, Rudzenko wyciągnie rękę po władzę. Moim kosztem.

Pochylił swoją dużą głowę do przodu, krótka szyja przypominała szyję żółwia wyglądającego ze skorupy.

- Twoim zresztą także. Nie utrzymasz się na swoim stanowisku nawet przez miesiąc, jeśli Rudzenko zwycięży. Nie ręczę również i za twoje życie, podobnie zresztą jak i za swoje. On wróciłby do starych, znanych metod. Proces przed sądem wojskowym, publiczne wyznanie winy i pif - paf! - strzelił głośno palcami, naśladując odgłos wystrzału.

- On nie może wygrać - oświadczył Borysow. - Gdybym spodziewał się, że takie niebezpieczeństwo istnieje... - zatrzymał się w porę. Dostrzegł grymas na starej przebiegłej twarzy siedzącego naprzeciwko Żerkowa, który powiedział sceptycznie:

- I cóż byś zrobił, Igorze Igorowiczu?

- Powstrzymałbym go - odparł spokojnie Borysow. - I powstrzymam, włos panu z głowy nie spadnie. - Nie zdawał sobie nawet sprawy z gwałtowności, jaka brzmiała w jego głosie. Nić wzajemnej szczerzej sympatii pogłębiała się między obu mężczyznami i Borysow powiedział ściszym głosem: - Jestem pańskim człowiekiem, niech go pan pozostawi mnie.

- To właśnie mam zamiar zrobić - usłyszał w odpowiedzi. - Ale jeszcze nie teraz, mój synu.

Ostatnie dwa słowa zawisły na chwilę w powietrzu; Borysow poczuł nieoczekiwane łyzy wzruszenia pod powiekami i gwałtowne bicie serca. „Mój synu”. Doskonale rozumiał, co to oznacza dla jego przyszłości.

- Powiem ci, kiedy - znowu usłyszał głos Żerkowa, spokojny i dźwięczny. - Nie jestem stalinistą, nie chcę nurzać się we krwi moich towarzyszy. - Przerwał na chwilę i potem dodał: - Nie wydam ci tego rozkazu, dopóki nie będę musiał, zapewniam cię. Ale wiem, że nie mam wyboru.

- Skąd? Jak? - Borysow czuł się na tyle pewny siebie, żeby zadać to pytanie. - Skąd pan to wie, Piotrze Piotrowiczu?

- Dlatego, że coś odkryłem - odpowiedział Żerkow. Wstał od stołu, poruszając się powoli lecz pewnie. - Za chwilę ci wszystko wyjaśnię.

- Przypuszczam, że powinienem oczekiwać, iż w końcu stracę Davinę - stwierdził w zamyśleniu James White. - Ale wie pan, jak to jest: takie osoby traktuje się jako coś pewnego.

Tony Walden popatrzył na niego przez stół.

- Czyżby? Ja tak nie sędzę, sir Jamesie - powiedział.

- No, ona przecież pracuje u pana zaledwie kilka miesięcy, a moją sekretarką była dwanaście lat - dodał White. Jej odejście było dla mnie wielkim wstrząsem. Powiedz mi, Anthony, czy jej się naprawdę podoba praca w reklamie?

- Tony - poprawił go Walden. - Tak, myślę, że lubi tę pracę. W każdym razie mam taką nadzieję.

White uśmiechnął się do niego mile.

- Najwidoczniej masz zamiar ją zatrzymać - mruknął. -

Wielka szkoda. Ale ja będę próbował namówić ją do powrotu.

- Proszę próbować, oczywiście - odparł z obojętnym wyrazem twarzy Walden.

Wrogość między nim i Jamesem Whitem zrodziła się w momencie spotkania. Gospodarz przyjęcia, który zrobił grzeczność White'owi organizując je, przeklinał ich obu w duchu za to, że zepsuli mu wieczór. Nigdy dotąd nie widział Tony'ego Waldena nastawionego tak agresywnie. Zazwyczaj na takich towarzyskich spotkaniach promieniował wdziękiem, szczególnie gdy gośćmi były jakieś ważne osobistości. Tym razem wcale nie był czarujący. Oponował przeciwko wszystkiemu, co mówił James White, a gdy podniesiono w rozmowie przy kawie i cygarach temat jego asystentki, Daviny Graham, zrobił się niezwykle drażliwy. Wyglądało na to,

jakby sir James umyślnie prowokował go do rozmowy na ten temat. Jego uwagi stawały się coraz bardziej łagodne, ale i coraz bardziej prowokujące, a towarzyszył im stale uśmiech, który sam w sobie był już zniewagą. Zwracał się do Waldena tak, jakby mówił do kogoś bardzo głupiego, komu trzeba ustępować i pobłażać.

Pan domu zdecydował się wreszcie wtrącić do rozmowy i poprawić atmosferę.

- Ta dama musi być prawdziwym skarbem - powiedział wesoło. - Sam mam u siebie uroczą dziewczynę, pracującą w zastępstwie. Ani odrobiny rozumu w głowie i wszystko trzeba jej powtarzać dwa razy. Dziękuję Bogu, że moja stała sekretarka wraca z urlopu w przyszłym tygodniu! Tony, a jak ci idą rozmowy z księciem? - próbował zmienić temat rozmowy.

- Z jakim księciem? - zainteresował się sir James, a usłyszawszy nazwisko, spytał: - Masz zamiar coś reklamować dla niego, Anthony?

- Jego kraj - odparł Walden. - I po raz drugi proszę, sir Jamesie, zwracać się do mnie per Tony.

- Przepraszam - usprawiedliwił się White - ale nie znoszę skracania dobrych, chrześcijańskich imion.

- To mnie nie dotyczy - odpowiedział Walden - ponieważ jestem Żydem.

O, Boże - jęknął w duchu pan domu - muszę to wreszcie przerwać.

- Myślę - oświadczył głośno, wstając z krzesła - że możemy przyłączyć się do dam. Julia nie lubi zbyt długo sama bawić pań.

White'owie pożegnali się przed północą, wyjaśniając, że jadą do domu w Kent. Oboje wylewnie dziękowali za uroczy wieczór; sir James specjalnie postarał się o to, aby podejść do Waldena i uścisnąć mu rękę.

- Jak to miło, że nareszcie mogliśmy się spotkać - powiedział. - Proszę przekazać Davinie serdeczne pozdrowienia, a może bardziej właściwe byłyby wyrazy szacunku - odszedł szybko, zanim Walden mógł coś odpowiedzieć.

- No i cóż, warto było? - spytała męża Mary White, gdy usiedli w samochodzie.

- Tak, myślę, że tak. Nie bawiłaś się dobrze, kochanie?

Wydawało mi się, że byłaś trochę znudzona.

- Śmiertelnie - odparła. - Z wyjątkiem tych momentów, kiedy pojedynkowałeś się z tym Waldenem. On jest jakiś dziwny, nie sądzisz?

- Wiem, co o nim myśleć - odrzekł sir James - ale chciałbym wysłuchać, dlaczego ty uważasz, że on jest dziwny. Waldenowi dobrze się powodzi i to się rzuca w oczy: zegarek od Cartiera i takie inne rzeczy. Jest agresywny, zawsze gotowy do walki... - White jakby zapomniał, że pytał żonę o opinię. - I wcale nie jest taki uprzejmy, jak się spodziewałem. Ale dlaczego dziwny?

- Dlatego, że nie jest gładki - podkreśliła Mary. - Ludzie takiego pokroju zawsze się starają; wdzięk osobisty jest niezbędnym dodatkiem w ich interesach. On wygląda właśnie jak taki człowiek, sam to zauważyłeś. Mimo wszystko jednak jakoś niezupełnie mi pasuje do tego modelu. Wspomniałeś, że urodził się w Polsce, lecz nie wiesz dokładnie gdzie.

- Powiedział, że jest Żydem - zauważył White. - Zastanawiam się, czy książę Ahmed wie, że zatrudnia u siebie Żyda?

- No nie, Jamesie, chyba nie masz zamiaru zaszkodzić temu biedakowi w interesach tylko dlatego, że niepokoisz się o Davinę! - oświadczyła pani White, naciskając gaz. - Chyba, że będę musiał - odpowiedział spokojnie. - Walden był bardzo drażliwy, gdy mówiło się o niej, nie sądzisz?

- Obaj byliście tacy sami - odparła Mary.

- Ja mam swoje powody - odrzekł sir James. - Davina była jednym z moich najlepszych agentów. Miałem w stosunku do niej wielkie plany. A ona zachowała się bardzo nieładnie, i to już drugi raz.

- Wyobrażam sobie, że Davina mogłaby to samo powiedzieć o tobie - zwróciła mu uwagę żona. - Myślę, że Walden był przewrażliwiony na jej punkcie, jeśli oczywiście jest ona tylko jego asystentką. Wydawał się traktować wszystko bardzo osobiście.

- Tak było w istocie. - Generał uśmiechnął się w ciemności. - Ma również bardzo piękną żonę...

- Piękną i tępą jak stary nóż - rzuciła Mary White. - Ona należy do jego wyposażenia i nic więcej, tak jak ten zegarek od Cartiera.

- Hmm... Nie wiem, czy w ciągu całego wieczoru zamienili ze sobą choć słowo. Wyposażenie... z pewnością to określiłaś, kochanie.

W głębi duszy był zdania, że Mary raczej zbyt surowo oceniła panią Walden. Teraz, gdy poznał Tony'ego Waldena, przekonał się, że jego instynktowna nieufność wobec nowej pracy Daviny Graham była słuszna. Coś się działo. Znał ją też zbyt dobrze, aby przyjąć oczywiste, zdawałoby się, wyjaśnienie, że ma romans z Waldenem. Davina nie była typem kobiety, która wiązałaby się z dwoma mężczyznami równocześnie. Wiedział także, co czuła do Colina Lomaxa. Przyjęła doskonale płatną posadę, która zupełnie nie odpowiadała jej zainteresowaniom. Tak samo jak mężczyzna, u którego pracowała. Self - made man; obcy, typ zdobywcy, na którego wspomnienie konserwatyście White'owi cierpła skóra. Davina była wyszkolona do życia w konspiracji, tajemnicy, nigdy więc nie mogłaby się dobrze czuć w krzykliwym świecie reklam, jakim była Agencja Arlington.

Należała do jego świata, przywiązana do jednej z nitek, które trzymał w swoim ręku. Dlatego też on, James White, da panu Anthony'emu Waldenowi lekcję dobrych manier, żeby nie ruszał tego, co doń nie należy! Generał wygodnie zagłębił się w siedzeniu i drzemał, dopóki samochód nie zatrzymał się przed domem.

- Myślę, że ucieszy się pan nowiną, panie Harrington - powiedział naczelnik więzienia. - Opuszcza nas pan.

Harrington przyglądał mu się chwilę i wreszcie powiedział:

- Opuszczam? A dokąd się udaję, sir?

Poczuł, że nagle zmiękły mu kolana. Opuszcza... A Davina powiedziała, że sprawę odłożono na półkę...

Znowu usłyszał głos naczelnika.

- Shropwith. Otwarte więzienie, w bardzo ładnej okolicy. To dobry znak i szansa warunkowego zwolnienia. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nie wysyła tam więźnia, jeśli nie nosi się z zamiarem zwolnienia warunkowego. Muszę też powiedzieć, Harrington, że wydałem o panu dobrą opinię.

- Dziękuję, sir - Harrington już odzyskał panowanie nad sobą. Udało mu się nawet przyjaźnie uśmiechnąć. - Nie mogę powiedzieć, że żałuję, iż stąd odchodzę, ale zostawiam tu przyjaciół, których mi będzie brak. Chciałbym panu podziękować za wszystko, co pan zrobił, żeby mi pomóc w resocjalizacji. Nigdy tego nie zapomnę.

- Na tym polega moja praca - odparł naczelnik. - Pomagać człowiekowi wrócić na właściwą drogę. Niech pan, proszę, przyjmie jedną radę. Znam naczelnika w Shropwith, to bardzo poczciwy facet, ale prowadzi swój zakład opierając się na zaufaniu. Jeśli ktoś go raz zawiedzie, już nigdy więcej nie otrzyma drugiej szansy. A więc niech się pan trzyma przepisów, Harrington. W każdym razie zobaczymy się jeszcze przed wyjazdem.

- Kiedy mają mnie przenieść? - Harrington był spięty, lecz nie mógł ukryć w głosie nuty oczekiwania. Wyjdzie. Oto czeka na wyjście ze Scrubs, gdzie nigdy nie miałyby szans na żaden skok... Otwarte więzienie w Shropwith... Miał ochotę głośno się roześmiać.

Przeniosą pana w końcu tygodnia - wyjaśnił naczelnik. - A dziś wieczorem będzie pan miał gościa: przyjdzie pan Wood. Zawiadomiliśmy go, że opuszcza pan nasz zakład, on zaś zapytał, czy może specjalnie przyjechać, żeby się pożegnać.

- Tak - rozpromienił się Harrington. - Tak, jego też mi będzie bardzo brakowało. Jeszcze raz dziękuję, sir. Zabrano go z powrotem do celi, a naczelnik rozmyślał chwilę, zanim zaczął czytać codzienny raport z czterech bloków więziennych. Dziwne, że człowiek typu Harringtona stał się zdrajcą. Nie jest przecież żadnym fanatykiem. Raczej prosty, spokojny mężczyzna o zręcznych rękach. Być może podczas sześciu lat pobytu w więzieniu dokonała się w nim jakaś wewnętrzna przemiana. Miał nadzieję, że tak było; wierzył w to, że i on sam w jakiejś mierze spowodował w nim tę zmianę.

- Szkoda mi będzie pana stracić - powiedział Stephen Wood. - Lubiałem te nasze spotkania.

- Ja również - rzekł głośno Harrington, myśląc o obecności strażnika na korytarzu. - Ale Shropwith nie jest znowu tak daleko. Może będzie mógł pan tam przyjechać któregoś dnia.

- Nie jestem pewien - Wood pokiwał głową z powątpiewaniem. - To jednak spory kawałek drogi. Dziś musiałem się z panem zobaczyć. - Przyniosłem nową książkę Davida Nivena. Czytając ją śmiałem się do rozpuku.

- Dziękuję - Harrington wziął od niego książkę, niedbale otworzył okładkę i... na chwilę zaniemówił. „Nasi przyjaciele zorganizowali przeniesienie. Wydostaną cię” - przeczytał.

- Chyba pan tego nie zna? - spytał Wood z niepokojem.

- Nie, nie znam. Ale teraz nie ma sensu, żeby mi ją pan pożyczał, ponieważ za kilka dni opuszczam to więzienie. Mam nadzieję, że na nowym miejscu mają jakiś warsztat stolarski. Zrobię coś dla pana na pamiątkę.

- Mówią, że to dobre miejsce - powiedział z powagą Stephen Wood. - Jeśli będzie się pan zachowywał tak jak tutaj, na pewno wezmą pana pod uwagę przy zwolnieniach warunkowych. Taką wersję właśnie słyszałem. Może więc nie będzie pan musiał odsiadywać całego wyroku. To w każdym razie budzi nadzieję.

- Tak, istotnie - rzekł Harrington. Chwilami, gdy słuchał tego namaszczonego głosu, wypowiadającego takie słuszne uwagi, zastanawiał się, czy aby mu się nie przyśniły książki i przekazywane w nich wiadomości. Teraz wpatrywał się wprost w brązowe oczy Wooda, chcąc przekazać mu wiadomość: „Spójrz, na miłość boską! Spójrz na mnie, przecież obaj wiemy, kim jesteś. Nikt niczego nie zobaczy, kiedy na mnie po prostu spojrzysz”. Ale nie było żadnej odpowiedzi. Nic się nie zmieniło; pospolita twarz nie zmieniła wyrazu, oczy nie drgnęły, irytujący głos mówił dalej.

- Nie wiem, kogo będę odwiedzać, zamiast pana. Mam nadzieję, że okaże się nim jakiś sympatyczny gość. Osobiście bardzo lubiłem te nasze cotygodniowe pogaduszki. Teraz już chyba będę musiał się zbierać, powiem tylko panu „Szczęśliwej drogi”. Życzę wszystkiego najlepszego.

Wyciągnął rękę, którą Peter uścisnął. Wszystkie znane językowi angielskiemu banalne zwroty, oprócz „Bóg jest miłością” i „Panowie, poprawcie ubranie przed wyjściem”, zostały użyte. To właśnie Churchill powiedział o jednej z mów Attlee: Szkoda, że nie wysłuchiwał przez cztery lata Stephena Wooda... Szczęśliwej drogi! Jezu Chryste... Peter prawie chichotał. Wood opuszczając celę, popatrzył na Harringtona przez ramię z wyrazem nagany w oczach. Drzwi

się zatrzasnęły, w zamku zazgrzytał klucz i więzień został sam. Śmiał się aż do łez.

- Colinie, jego nie ma! Przenieśli go! - krzyknęła z sypialni Davina.

Ciągle trzymała słuchawkę telefonu w ręce, choć połączenie zostało przerwane. Lomax szybko podszedł do drzwi.

- Co takiego? Przeniesiono? Dokąd?

- Do otwartego więzienia w Shropwith. Przed chwilą rozmawiałam z naczelnikiem!

- Poczekaj moment - rzekł powoli Lomax. - Poczekaj, to nie ma żadnego sensu. Powiedziałaś przecież Grantowi, że nie udało ci się niczego znaleźć. Dla niego ta sprawa została zakończona; również dla Harringtona. Dlaczego więc, na miłość boską, miano by go teraz przenieść?

- Humphrey musiał nacisnąć jakąś sprężynę - odparła po chwili. - Ministerstwo Spraw Wewnętrznych po prostu zadziało. Tak mogło być, ale przecież Grant nigdy nie mówił o przeniesieniu Harringtona ze Scrubs! A jednak ktoś zaaranżował. Ktoś wy dostał Harringtona ze specjalnie strzeżonego więzienia i przeniósł do otwartego. To oznacza jedno: będzie wypuszczony na wolność.

Lomax podszedł i usiadł na łóżku obok Daviny.

- Dotychczas Humphrey był jedyną osobą, która orientowała się, że jeździsz do Harringtona - powiedział łagodnie.

- Skąd możemy to wiedzieć - odparła. - Już niczego nie możemy być pewni. Grzebano w teczkach z aktami. Teraz przeniesiono Harringtona, aby go uwolnić, bo to jest właśnie to, co się stanie, Colinie! Peter zniknie, a my stracimy najlepszą szansę zdemaskowania tego parszywego drania. Musimy koniecznie coś zrobić!

- Tak, musimy - potwierdził stanowczo. - I to bardzo szybko.

- Colinie - powiedziała Davina - znam ten wyraz twarzy i wiem, o czym myślisz. To się nie uda!

- Sądzę, że mogłoby się udać - wyjaśnił. - Jeżeli Harringtona mają przechwycić i uwolnić, to wcześniej zrobimy to my, czyli dokładniej: ja. Nie ma innego wyjścia i ty o tym wiesz.

- To ryzykowne. Ryzykowne dla ciebie - dodała, spoglądając na niego. - A poza tym pomysł zrobienia czegoś takiego bez oficjalnej zgody góry... - Zawahała się i wreszcie stwierdziła: - Złamiemy prawo, i to mi się nie podoba.

- Posłuchaj, kochanie - Lomax pochylił się ku niej i wziął ją za rękę. - Mówiliśmy o tym wszystkim przed spotkaniem z Harringtonem, prawda? I zgodziliśmy się, że jeżeli ty masz odszukać tego zdrajcę, to nie możesz współpracować z nikim. Nie możesz nikomu ufać. Zrozumiałaś to już wtedy, gdy dostrzegłaś fałszowanie akt. Mógł być za to odpowiedzialny ten sam człowiek, który cię tam posłał. Albo twój szwagier czy nawet sam Szef tej całej cholernej instytucji. Takiej sytuacji nie można zaakceptować. Jedyne wyjście to ta, którą proponuję.

- Abyśmy sami uwolnili Harringtona? Colinie, jeśli coś nam się nie uda, wsadzą nas do więzienia z maksymalnym wyrokiem!

- Ciebie nie wsadzą - oświadczył ze spokojem. - Nie będziesz brała udziału we włamaniu do więzienia. Twój udział to praca szarych komórek, kochanie. Mnie zostaną mięśnie. Z tym nie będzie żadnego problemu - lekko uściśnął jej rękę. - Przecież chcesz go znaleźć? Nie masz ochoty się poddać, prawda?

- Wiesz dobrze, że nie!

- A więc przestań się o mnie martwić.

- Ty chyba jesteś zadowolony, że trafiła ci się taka okazja? - spytała Davina.

- Wydaje mi się, że tak - potwierdził. - Już dostatecznie długo siedziałem beczynnie, przydadzą mi się więc jakieś mocne wrażenia.

- Boże, miej nas w swej opiece! Czy powiesz mi, jak masz zamiar to zrobić?

- Nie, nie powiem - pokręcił głową stanowczo. - Im mniej będziesz wiedzieć, tym lepiej. - Zauważył wyraz jej twarzy i uśmiechnął się. - Będziesz siedziała spokojnie w domu i grała rolę słabej kobietki, aż wszystko będzie zrobione!

- Ty naprawdę jesteś stuknięty na punkcie męskich przywilejów - oświadczyła. - Dzięki Bogu!

W pubie panował hałas. Colin przepchnął się do baru i zamówił dwie whisky. Powietrze było gęste od dymu i ludzkiego potu, z szafy grającej wydobywały się dźwięki muzyki. Musiał przeciskać się między stolikami, żeby dojść do swojego, który znajdował się przy drzwiach, oddalony od reszty.

- Dzięki - powiedział mężczyzna, biorąc od niego kieliszek.

Był starszy od Lomaxa, krępej budowy, o silnym karku, z krótko przystrzyżonymi ciemnymi włosami i złamanym nosem. Colin musiał kilkakrotnie telefonować do starych kolegów pułkowych, teraz emerytów, aby go odnaleźli. Nazywał się Fraser, dosłużył się w armii stopnia kapitana, potem zaś przeszedł w stan spoczynku i otworzył własny interes.

- Dawno się nie widzieliśmy, prawie trzy lata - zwrócił się do Lomaxa.

- Cztery - poprawił go. - Odszedłeś zaraz po tym, jak nas wysłano do Irlandii.

- Rzeczywiście, masz rację - Fraser uśmiechnął się. - Nie wyszedł ci na zdrowie ten wyjazd, stary druhu, chociaż i tak miałeś szczęście.

- Do pewnego stopnia - stwierdził Lomax. - Wycofałem się do cywila i wpakowałem w jeszcze większe kłopoty, niż te, jakie miałem w pułku.

- Co za kłopoty? - Fraser zapytał spokojnie.

- Legalne kłopoty - odparł Colin. - I ciągle w nich siedzę. To właśnie o nich chciałem z tobą porozmawiać. Ale najpierw wypijmy i opowiesz mi, jak ci leci.

- Mam niezły interes - odpowiedział Fraser. - I bardzo dobrych pracowników. Wszystko faceci najwyższej klasy, niezwykle przyzwoici, zresztą, sam rozumiesz, muszą tacy być.

- Ten cholerny świat całkiem zwariował - zauważył Lomax. - Rabunki, porwania; w dawnych dobrych czasach włamywacz, gdy go ktoś spłoszył, uciekał. Teraz wali cię w głowę żelaznym łodem. Zajmujesz się bankami czy tylko prywatnymi przedsiębiorstwami?

- Głównie jubilerami - odpowiedział Fraser. - Hatton Garden. Moi chłopcy eskortują kupców do biur i z biur a także na comiesięczne zakupy w Diamond Corporation. Prowadzimy samochody i jeśli ktoś otrzymuje wartościową przesyłkę, to pilnujemy go, dopóki nie opuści biura i nie dojedzie bezpiecznie do domu. W ubiegłym roku jeden taki nieszczęśnik znalazł w swoim mieszkaniu parę ponurych drabów, którzy tam się na niego zaczaili. Związali żonę i córkę, zabrali mu klucze od biura i sejf, a potem zbili do nieprzytomności po prostu, ot tak, dla zabawy.

- Wszystko się we mnie gotuje, kiedy czytam o takich zdarzeniach - Lomax skrzywił się z obrzydzeniem. - Stare kobiety, dzieciaki, każdy, kto nie potrafi się obronić, staje się łatwą ofiarą. Boże drogi, gdybym ja był sędzią...

Fraser uśmiechnął się.

- Ty z łatwością byś przeszedł próbę - powiedział. - To był właśnie mój największy problem, gdy zacząłem rozkręcać interes. Musiałem być pewien każdego pracownika. Paru łobuzów prześlizgnęło się do służb ochronnych na początku ich działalności. Można było nieźle zarobić na dostarczeniu cennych informacji o przedsiębiorstwach itd. Ale szybko ich zrobiliśmy czystkę, chociaż dopiero po tym, jak dokonano kilku poważnych rabunków i pracownik Securicornu poszedł do szpitala z diabelnie ciężkimi obrażeniami głowy. Ten rodzaj pracy jest bardzo specyficzny, wymagający wzajemnego zaufania. Jeden człowiek ochrania drugiego, a także jego rodzinę. Pracownicy muszą się czuć zaangażowani, bo chronią nie pieniądze, lecz ludzi. - Pochylił się nad stolikiem: - Większość z nich, to chłopcy z naszego pułku.

- Właśnie na to liczyłem - odpowiedział cicho Lomax. - Potrzebuję pomocy.

- Jakiego rodzaju?

- Daj mi trzech ludzi, najlepszych, w znakomitej kondycji fizycznej.

- A co to właściwie znaczy: „legalne kłopoty”? Muszę wiedzieć, zanim powiesz coś więcej - Fraser wysączył resztę swej whisky.

- Służba państwowa - odpowiedział Colin. - Cywilny dział tego, co robiliśmy kiedyś razem.

- Dlaczego więc przychodzisz po pomocników do mnie? - Fraser przyglądał mu się uważnie.

Major Colin Lomax, odznaczony Krzyżem Św. Jerzego. Zwolniony z armii jako inwalida po wypadku z bombą - pułapką w Irlandii Północnej. Cóż, nawet człowiek z taką przeszłością może zejść na złą drogę...

- Dlatego że muszę wyciągnąć z więzienia pewnego faceta - odpowiedział Colin. - I nie można tego zrobić

oficjalnie, ani też nie może być to przypisane wydziałowi, dla którego pracuję.

Fraser odsunął od stołu swoje krzesło.

- Nie wygląda mi to na pracę dla mnie. Będziesz musiał spróbować z kimś innym.

- Nie ufasz mi?

- Tego nie powiedziałem. Nie podoba mi się ten pomysł, to wszystko.

- Tu nie chodzi o żadne pieniądze - wyjaśnił cicho Lomax.

- Nawet gdyby chodziło, nie byłoby różnicy - stwierdził ostro Fraser. - Prowadzę legalne, zarejestrowane biura ochrony mienia. Nie jesteśmy żadnymi tam drańskimi najemnikami do wynajęcia. Wybacz, Colin, nie interesuje mnie to.

Już chciał wstać i wyjść, kiedy Lomax wyciągnął z kieszeni i położył przed nim mały brązowy kartonik ze sztucznego tworzywa. Fraser zawahał się, potem podniósł go, obrócił napisem do góry.

- Pamiętasz je? - spytał Lomax. - Mówiłem ci, że sprawa jest legalna.

Fraser odsunął kartonik w jego stronę. Okazicielem tej specjalnej legitymacji był upoważniony do uzyskania pomocy od wszystkich służb wojskowych lub korpusu dyplomatycznego. Tych legitymacji używało się rzadko.

- Wybacz, Colin, ale musiałem mieć pewność - powiedział wolno.

- Zupełnie słusznie. Możesz przynieść drugą kolejkę - Lomax uśmiechnął się chowając legitymację.

- Z przyjemnością - odparł Fraser. Wrócił po chwili z dwoma drinkami. - Zdaje mi się, że mam odpowiednich ludzi. Dwóch z nich znasz. Sierzanci. Hicks i Sutton, pamiętasz ich?

- Oczywiście - odpowiedział Lomax. - Dlaczego odeszli z wojska? To byli dobrzy żołnierze.

- Pożenili się - wyjaśnił Fraser. - A to nie służba dla żonatyh. Pracują u mnie od samego początku. Jest jeszcze jeden chłopak, eks - komandos, Simpson. On też ci się przyda. Co mi możesz powiedzieć, czy też jest to robota bez wyjaśnień, w rodzaju „wejdz i wyjdź”?

- Mogę ci tylko zdradzić, gdzie jest to więzienie, nic więcej. Otwarte więzienie Shropwith w Lancashire, pięć mil za Shropwith.

- Wystarczy. Na jak długo potrzebujesz moich ludzi?

- Od osiemnastego do dwudziestego. Przyjdę po ciebie w środę i zobaczę się z nimi, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Ty wprowadź ich krótko w sprawę, ale nie mów za wiele. Szczegóły zadania podam im sam, gdy będziemy na miejscu.

- W porządku - rzekł Fraser. - Nie zawiedziesz się na nich. Ale i ty pamiętaj, że odpowiadasz za nich głową!

- Śmiali zwyciężają! - Lomax podniósł swą szklaneczkę do góry i w milczeniu wypili pod swoją pułkową dewizę.

ROZDZIAŁ 4

- Davina? Słuchaj, jestem tuż za rogiem, może zjadłybyśmy razem lunch?

Telefon Charlie zaskoczył Davinę. Chociaż miała pozostać w agencji jeszcze tylko przez tydzień Walden nieoczekiwanie zawałił ją pracą. Wpadał co jakiś czas do biura, ale odmawiał wszelkich rozmów na temat jej rezygnacji. Ponieważ nie bardzo miała czym się zająć, Lomax bowiem wyjechał, pozwoliła mu zwyciężyć w tej rundzie i skoncentrowała się na pracy. Teraz zawahała się przez moment, ale zaraz powiedziała:

- Dobrze, dlaczego nie, gdzie się spotkamy?

- Przyjdę po ciebie - szybko rzuciła Charlie. - Będę około pierwszej.

Davina nie miała ochoty iść z siostrą na ten lunch. Nie była, jak to sama określała, „osobą do lunchu”; wydawało jej się to stratą czasu, zwłaszcza kiedy miała dużo pracy. Sarkała również na wysokie ceny w restauracjach średniej klasy, na podłe jedzenie i panujący tam hałas. Nie chciała jednak zrobić przykrości Charlie. Przeszły obie długą drogę - od wrogości do przyjaźni, którą Davina bardzo ceniła. Nie miały wprawdzie ze sobą nic wspólnego, ale przecież były siostrami. Odkąd Charlie wyszła za mąż, a i Davina znalazła swoje szczęście, zrodził się między nimi jakiś specyficzny rodzaj uczucia. Nie widziały się od tego wieczoru, kiedy byli z Colinem u nich na kolacji.

Za dziesięć pierwsza sprzątnęła biurko, poszła do garderoby dla personelu, żeby poprawić włosy i makijaż. Była przyzwyczajona do reakcji otoczenia na widok Charlie i już od dawna nie zwracała na to uwagi. Ale Iwan przekonał ją, że i ona jest atrakcyjna, a Lomax ją w tym utwierdził.

Kiedy wróciła do biura, zobaczyła, że jej siostra już przyszła i rozmawia z Tonym Waldenem.

- Davina, nie powiedziałaś, że masz taką piękną siostrę!

Czy ona zawsze panią tak ukrywa, pani Kidson?

Charlie zachichotała radośnie - bardzo lubiła pochlebstwa.

Trzeba przyznać - pomyślała Davina kwaśno - że przynajmniej nie udaje skromności.

- Jemy razem lunch - oświadczyła i Walden, odwróciwszy się od Charlie, powiedział:

- O, to wspaniale. A może mógłbym zaprosić was obie? Nim zdążyła zaprotestować, Charlie zrobiła coś tak bardzo

dla niej nieoczekiwanego, że tylko popatrzyła ze zdziwieniem.

- To bardzo miło z pana strony, panie Walden, ale może innym razem, dziś mamy do omówienia różne sprawy rodzinne. Chętnie przyjmę zaproszenie kiedy indziej, dobrze? - i roześmiała się tym swoim zmysłowym śmiechem, który mężczyznom mącił w głowach.

- Będę o tym pamiętać - odpowiedział Walden i dodał po namyśle: - Zaprosimy chyba również Davinę.

Na ulicy Charlie lekkim skinieniem ręki zatrzymała natychmiast taksówkę. Zawsze miała tę magiczną zdolność łapania taksówek, zdobywania stolików w restauracjach, miejsc w samolotach i rezerwacji w hotelach, podczas gdy reszta śmiertelników czekała, stała w kolejkach i bez skutku protestowała. Wydawało się, że życie zawsze rozpoznaje zwycięzców.

- Dokąd jedziemy? - spytała Davina.

- Do Claridge'a - odparła Charlie.

- Charlie, na miłość boską, nie bądź śmieszna. Nie mogę sobie na to...

- Ja mogę, kochanie - przerwała siostrze w pół zdania. - Otrzymałam dziś rano spore dywidendy od alimentów Edwarda, zrobimy więc sobie ucztę. Poza tym idziemy do baru, a nie do restauracji. W restauracji zawsze siedzą teraz

jacyś okropni ludzie, bo dobre towarzystwo nie może sobie pozwolić na te ceny. O, już jesteśmy na miejscu. Dobrze, możesz zapłacić za taksówkę, Davy - i przyjaźnie pogłaskała Davinę po ramieniu.

W słynnym barze Causerie, gdzie stał wspaniały wielki stół z potrawami, które klienci sami wybierali, zajęły stolik pośrodku sali. Charlie zamówiła wino. Spojrzała na Davinę i powiedziała:

- Rozluźnij się i baw się dobrze, Davy. Naprawdę otrzymałam dziś rano przyzwoity czek. Mam ochotę to uczcić, a poza tym przecież nie widzimy się zbyt często, czyż nie tak?

. - To prawda - zgodziła się Davina, czując się niewdzięczna i winna. - Z tym lunchem to był świetny pomysł. Mogłaś jednak pozwolić Waldenowi, żeby nas zaprosił. Nie chciało mi się po prostu wierzyć, że mu odmawiasz.

- Prawda, że to niepodobne do mnie: odrzucić zaproszenie takiego atrakcyjnego mężczyzny? - stwierdziła Charlie. - Ale dzisiaj jakoś nie miałam ochoty, żeby się dzielić tobą z kimkolwiek. Wymyśliłam ten numer o sprawach rodzinnych, bo nic innego nie przyszło mi akurat do głowy.

- Już dość długo nie byłam w domu - zauważyła Davina. - Jak się mają rodzice? Muszę się do nich wybrać w najbliższym czasie.

- W domu wszystko w porządku - zapewniła Charlie. - John i ja byliśmy u nich na lunchu w ubiegłym tygodniu i zabraliśmy ze sobą Fergususa. Mama za nim szaleje. Pytali o ciebie i Colina; powiedziałam im, że widzieliśmy się z wami i że macie się dobrze. Wiesz, oni są do niego bardzo przywiązani.

- Wiem - odparła Davina. - Byli dla niego tacy dobrzy w czasie rekonwalescencji. On jest w typie ojca. Przypuszczam, że znowu pytali, kiedy się pobierzemy.

- Nie „kiedy”, lecz „czy”. Powiedzieliśmy, że nie wiemy. A właściwie to dlaczego nie wyjdiesz za niego, Davy? Zrezygnowałaś już z tych zajęć w stylu „płaszczka i szpada”, masz doskonałą pracę. A tak nawiasem mówiąc, to ten Tony Walden jest szalenie pociągający. Dlaczego więc nie chcesz się ustabilizować? Jestem pewna, że Colin tego pragnie.

- Jesteśmy szczęśliwi i w takim układzie - odrzekła Davina. - Zresztą nie będę już długo pracować u Waldena.

- Dlaczego? Przecież zarabiasz tam majątek! Nie mów, że cię zwalniają, kochanie, jesteś najbardziej pracowitą kobietą, jaką ta ziemia kiedykolwiek nosiła!

- Zawsze traktujesz mnie, jakbym była komputerem, Charlie. Nikt mnie nie zwalnia. I prawdopodobnie nie odejść stamtąd.

Była zła na siebie, że to stwierdzenie tak się jej wymknęło. Jeszcze bardziej denerwowała ją sugestia siostry, że wahała się z powodu Tony'ego Waldena. Szalenie pociągający. Charlie tak to mogła widzieć, bo był właśnie w jej typie.

- Jak się ma John? - zapytała głośno.

- Jest trochę spięty. Dużo się tam mówi o emeryturze sir Jamesa. Ty, oczywiście, nie mogłaś o tym słyszeć, po tym jak się zwolniłaś. On powinien odejść, zgodnie z przepisami, pod koniec tego roku.

- Nie odejdzie - rzuciła Davina krótko. - Kocha to robić. Nie wytrzymałby pięciu minut bez popychania ludzi na lewo i na prawo.

- John myśli, że jednak odejdzie - powiedziała Charlie. - I wiesz, Davy, są znaczne szanse, że John otrzyma to stanowisko.

Miała bardzo piękne oczy: ciemnoszare, ogromne. Patrzyły teraz na siostrę ze słodką niewinnością.

- Czy to nie byłoby wspaniałe? Nie wydaje ci się, że byłby doskonałym Szefem?

Davina przez chwilę nie odpowiadała. John Kidson jako następca na stanowisku naczelnika SIS. Jeden podejrzany idzie na emeryturę, a drugi zajmuje jego miejsce...

- A co z Humphreym?

- Och, sir James dał Johnowi do zrozumienia, że nie mógłby go rekomendować. Wiesz co, Davino? Myślę, że ty mogłabyś otrzymać to stanowisko, gdybyś nie odeszła.

- Nawet za milion lat - odparowała Davina. - Nigdy dotąd nie było kobiety na tym szczeblu i na pewno nigdy nie będzie.

- Ale czy chciałabyś tego? Tylko przypuśćmy.

- Nie. Mogę odpowiadać za siebie samą, to jasne. Jednak ktokolwiek zastąpi sir Jamesa, będzie posyłać ludzi do brudnej roboty. Ta strona pracy, szczerze mówiąc, wcale by mi się nie podobała. Myślę, że również dotyczy to Johna.

- On nie miałby nic przeciwko temu - stwierdziła Charlie.

- W końcu ktoś to musi robić. To samo można przecież powiedzieć o generale w wojsku.

- Właśnie dlatego nie chciałabym również być generałem. Jeśli John tego pragnie, to mam nadzieję, iż to osiągnie. Ale gdybym była tobą, nie stawiałabym zbyt wiele na to, co mówi ten człowiek.

- Nienawidzisz go, prawda? - spytała Charlie. - Dlaczego? Dlaczego, jeśli pracowałaś z nim przez tyle lat? Czy z powodu Iwana?

- On pozwolił mu umrzeć - powoli odpowiedziała Davina.

- Kiedy już przestał być potrzebny, sir James odstawił go na bok i pozwolił zabójcom wpaść na trop. Nigdy mu tego nie wybaczę, powiedziałam mu to zresztą. Ale to nie wszystko. Nie chodzi tylko o mnie. Chodzi także o sposób, w jaki myśli i

czuje, czy raczej... nie czuje. On nie ma serca dla nikogo. Byłabym bardzo ostrożna na miejscu Johna, jeśli James robi aluzje tego rodzaju. Na pewno ma w zanadrzu jakiś plan i, możesz mi wierzyć, niekoniecznie najkorzystniejszy dla Johna!

- A więc nie żałujesz, że odeszłaś stamtąd? Czasem się nad tym zastanawiałam - powiedziała Charlie.

- Nie musiałam tego zrobić. To był mój wybór. Miałam po prostu dosyć. Nie wiedziałam też, ile życia pozostało Colinowi. Chciałam być przy nim, Charlie.

- Wiem o tym - odparła siostra. - Ale nigdy nie chodziłaś zobaczyć się ze starymi przyjaciółmi?

- Nie mam starych przyjaciół. Z wyjątkiem Petera Harringtona, który zapraszał mnie do pubu raz i drugi. Przedtem, zanim oddał mnie w ręce KGB. Nie chodziłam tam, nie. Po co? Charlie, przepraszam cię, ale patrz, która godzina. Biurko mam zawalone robotą, a jest już wpół do trzeciej.

- Jeżeli stamtąd odchodzisz, to dlaczego martwisz się spóźnieniem? - rozsądnie zapytała Charlie.

- Dlatego, że ten szalenie pociągający mężczyzna płaci mi szalenie pociągającą pensję - oparła.

Zostawiła Charlie przy stoliku i wyszła. Bez powodzenia czekała na taksówkę. Nie był to udany lunch.

Borysow trzymał w ręku poufną depeszę. Petera Harringtona przeniesiono. Depesza stwierdzała konieczność uwolnienia go i wywiezienia z Anglii, zanim przekaze jakieś informacje Davinie Graham. Operacja uwolnienia może być zorganizowana w Wielkiej Brytanii, jak tylko wyrazi zgodę. Rozważał to przez chwilę. Na razie nie wzywał Natalii; rozpatrywał ze zwykłą sobie dokładnością wszystkie aspekty sprawy. Albatros rozpaczliwie usiłuje zapewnić sobie bezpieczeństwo, ale on już zdecydował, że użyteczność Albatrosa wyczerpała się. Wystarczy, że Anglicy coś

podejrzewają; prędzej czy później trafią na ślad i chociaż odkrycie prawdy może wymagać znużonego dochodzenia i długiego czasu, to każdy podejrzany będzie odsunięty od poufnych spraw, dopóki nie dowiedzie się jego niewinności. Tak więc Albatros zbliżał się do końca swej pracy dla KGB. Peter Harrington otrzyma należną zapłatę za swoje usługi: uwolnienie z więzienia i raj w Moskwie. Obaj agenci mieli zabezpieczone wsparcie i pomoc Borysowa - KGB nigdy nie porzucało swoich sług, nawet jeśli zostali przyłapani na gorącym uczynku. Karano tylko odstępstwo i zdradę.

Nie wolno dopuścić do zdemaskowania Albatrosa; jego odejście nie powinno rzucać się w oczy, musi także umożliwić przyjęcie jego następcy. Nie można pozwolić, aby Harringtona skłoniono, przekupstwem czy przymusem, do wydania Albatrosa. Zgodzi się więc na uwolnienie go z tego otwartego więzienia. Włączył interkom i powiedział:

- Przyślijcie do mnie majora Rakowskiego.

- Tak jest, towarzyszu generale. - Odpowiedział mu głos Natalii.

Spędził z majorem dziesięć minut. Poinformował go krótko, nie wdając się w szczegóły - to była sprawa jego podwładnych. Gdy Borysow wydał polecenia, major zadał tylko jedno pytanie:

- Jak szybko mamy to zorganizować?

- Natychmiast - odpowiedział. - Macie do dyspozycji wszystkie środki.

Major zaszalutował i wyszedł, a w kilka chwil później do gabinetu weszła Natalia. Zbliżyła się do niego nieśmiało. Jej jasne włosy tworzyły wokół głowy puszystą, złotawą aureolę. Podeszła do fotela i lekko dotknęła jego ramienia.

- Potrzebujesz czegoś? - spytała miękko. Borysow podniósł wzrok i powiedział:

- Na to, czego mi potrzeba, muszę poczekać do wieczora.

- Bardzo się stęskniłam za tobą - odparła z uśmiechem Natalia. - Nie gniewaj się na mnie, proszę. Wiem, że nie powinnam o tym mówić tutaj.

- Ja też tęskniłem za tobą - odrzekł. Wyciągnął rękę i pogładził jej bluzkę. - Dziś wieczorem będziemy razem, obiecuję ci to.

- Widziałam wychodzącego majora Rakowskiego - zauważyła. - Wyglądał bardzo zdecydowanie, tak jak człowiek, który ma coś ważnego do zrobienia. Szedł właśnie takim krokiem. - Cicho zachichotała: - Powiedziałam mu dzień dobry", ale on mnie nawet nie zauważył.

- Miał co innego na głowie - powiedział łagodnie Borysow. - Ważne sprawy. Powiem ci o nich dzisiaj wieczorem.

- Cieszę się na to - wyszeptała.

Wyszła z gabinetu, a Borysow patrzył w ślad za nią. Ból, jaki sprawiała mu ta miłość, był trudny do zniesienia.

W Shropwith ograniczenia dla więźniów były minimalne. W większości wykonywano prace ogrodnicze i rolnicze; nie było cel ani wysokiego muru wokół spacerownika. Więźniowie mieszkali w barakach, każdy w swojej celi; pilnował ich jedynie mąż zaufania z czerwoną opaską na rękawie.

Jedzenie nie było lepsze niż w Scrubs, co zdziwiło Harringtona.

- Mają do dyspozycji wszelkie jarzyny, całą produkcję tych cholernych szklarni, więc można by oczekiwać, że coś z tego powinno trafić do kotła - skarżył się innemu więźniowi. Wyjaśniono mu, że wszystko sprzedaje się na miejscowym targowisku. Harrington ugryzł się w język, żeby nie rzucić cierpkiej uwagi o wykorzystywaniu ich jak niewolników. Nie znał nikogo w Shropwith i nikomu nie ufał, a jego kontakty z nowym dyrektorem potwierdziły ostrzeżenie, jakiego udzielił

mu poprzedni. Obecny dyrektor wierzył, że jeśli ludzi traktuje się fair i czyni się ich odpowiedzialnymi, to i oni zachowują się honorowo. Jednak niech Bóg ma w swej opiece tego, który by nadużył tego zaufania! Harrington postanowił być wzorowym więźniem. Pocieszał się myślą, że nie potrwa to długo. Ale jak długo, na rany Chrystusa, i kiedy?! Nie miał teraz żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym. Nie było też następcy tego nudziarza Stephena Wooda, który przynosił mu książki i rozmawiał z nim z tą swoją koszmarną dobroduszością. Ani jednego słowa wyjaśnienia, tylko ta obietnica. Trzeba jednak przyznać, że jego pracodawcy dotrzymywali swoich obietnic. Wszystko, co miał zrobić, to podporządkować się bez reszty prawidłom gry i być gotowym do działania, kiedy otrzyma sygnał.

Bezsenne noce próbował wypełniać wymyślanymi planami swojej ucieczki. Więźniowie pracujący w szklarniach byli pilnowani tylko przez jednego wartownika, który starał się być na tyle niewidoczny, na ile to było możliwe. Ci, którzy odsiadywali długie wyroki i dobrze się zachowywali, pracowali w polu bez oficjalnego nadzoru, jedynie pod okiem mężów zaufania. Nie było tam żadnych drutów ani przeszkód uniemożliwiających ucieczkę. Poza tym co tydzień organizowano im wyjazdy do Shropwith. Przebierali się wtedy w zwykłe cywilne ubrania, a zarobione w więzieniu pieniądze mogli wydawać w miejscowych sklepikach. Jeździli do miasta zwykłym autobusem. Na miejscu pozwalano im chodzić dwójkami, pod warunkiem że zjawią się przy autobusie o wyznaczonej godzinie. Kto spóźnił się choć pięć minut, pozbawiony był tego przywileju na cały miesiąc.

Harrington otrzymał możliwość zobaczenia świata po dwóch tygodniach pobytu w Shropwith. Jego towarzyszem był pracownik służby więziennej ubrany po cywilnemu. Peter był uznany za więźnia specjalnej kategorii i nie miał pozwolenia

na poruszanie się bez stałej opieki. To pierwsze wyjście nie było zbyt wesołe. Stwierdził, że jest zdenerwowany i czuje się niepewnie, nie umie wybrać papierosów i czekoladowych batonów w supermarkecie. Realizowanie czeku sprawiło mu taki kłopot, że miał chęć się rozplakać.

Opiekun był życzliwy, rozumiał, jakie wrażenie wywiera na człowieku, który siedział zamknięty w więzieniu o zaostrzonym rygorze, takie nagłe zetknięcie się z wolnością. Widywał ludzi, którzy odwracali się i uciekali ze sklepów, a potem stali drżący na ulicy i prosili, żeby ich zaprowadzić z powrotem do autobusu. Współczuł Harringtonowi, obserwując jego trzęsące się dłonie i wyraz przerażenia w oczach. Mocno wierzył w zreformowany system karny, w którym surowy reżim, stałe zamknięcie i twarda dyscyplina, zostaną zastąpione przez zakłady w rodzaju Shropwith.

- Chodźmy już, podaj po prostu te rzeczy i zapłać za nie - szepnął do Petera. - Nikt na ciebie nie patrzy. Idź, nie ma się czym przejmować.

Harrington opanował się, zapłacił, wziął swe skromne zakupy w plastikowej torbie i szybko wyszedł.

Później, gdy drugie i trzecie wyjście dodały mu pewności siebie, zdecydował, że supermarket jest odpowiednim miejscem, z którego powinni go uprowadzić na wolność. Minał miesiąc, już się właściwie „urządził” - jak to określał naczelnik. Jego pierwszy opiekun przywiązał się do niego. Siadywali razem w autobusie w drodze do miasta i rozmawiali o serialu „Pot Black”, który cieszył się wśród więźniów i personelu dużą popularnością.

- Tak - Harrington przekonywał samego siebie w samotne noce - przyjdą po niego, gdy będzie w miasteczku. Już na pewno teraz go obserwują, ustalają dokładnie, co do sekundy, rozkład zajęć. Nie będą używać przemocy - żadnego zamieszania i zwracania uwagi. Tylko błyskawiczny ruch, aby

go odseparować - na przykład jakoś zaplanowana przepychanka w supermarkecie, a potem oczekujący na ulicy samochód i wyzwolenie. Na pewno zrobią blokadę dróg, a więc nie samochód osobowy, może ciężarówka lub furgonetka ze schowkiem. Albo nawet helikopter - to byłoby najlepsze, żadnych szans dla pogoni. Zaczął się pocić na samą myśl o tym. Już nie chciał helikoptera. Zbyt długo siedział w zamknięciu i jego nerwy domagały się czegoś bardziej znajomego - czegoś takiego jak samochód. Nie znosił wysokości, a poza tym to wyglądało zawsze, jakby człowiek był zawieszony na końcu sznurka, bez żadnego oparcia, z wyjątkiem podłogi pod nogami i plastikowej bańki nad sobą. Nienawidził tej cholernej wysokości. Davina zaś bała się zamkniętych pomieszczeń... Tego nie chciał pamiętać. Musi to wyrzucić z pamięci. W końcu przeżyła wszystko. Przeżyła na tyle dobrze, że mogła wyjechać do Australii z tym swoim Rosjaninem i wyjść za niego za mąż. Oni nie skojarzyli Albatrosa z zabójstwem Sasanowa przez KGB. Słyszał o tym i uśmiechał się z satysfakcją. To właśnie było coś, co mógłby jej powiedzieć. To był trop, który by doceniła. Obok innych śladów, o których nie powiedział. Teraz nie będzie musiał mówić niczego - ani jej, ani temu tęponosemu Szkotowi. Powiedzieli, że dochodzenie zostało odwołane. Cieszyli się, widząc, jak on cierpi i wyniszcza się. Będziesz musiał zgodzić się współpracować i powiedzieć nam wszystko albo pozostaniesz tutaj przez następne dwadzieścia parę lat..." Krztusił się po nocach milczącym śmiechem, myśląc o tym. Chwilami ogarniała go niemal histeria, gdy wyobrażał sobie jej frustrację, rozczarowanie. Tak bardzo chciała pomścić śmierć Sasanowa, ale jednak szybko znalazła sobie kogoś innego... Myśli Petera stawały się obsceniczne, gorzkie. Czasem wydawał się sobie niezupełnie normalny. Ale to już

długo nie potrwa. Albatros ulokował go w odpowiednim miejscu, Moskwa zaś zrobi resztę.

Natalia nigdy nie wyglądała bardziej pociągająco. Odgarnęła włosy, które opadały jej na plecy i ramiona, ponętne ciało okrywała sukienka z cienkiego jedwabiu, obcisła i podkreślająca kształt piersi i ud, gdy się poruszała.

Przygotowała Borysowowi kolację i napełniała raz po raz kieliszek winem. Zapach, jaki roztaczała wokół siebie, był przenikliwy, a jej dotyk sugestywny. Patrząc na nią Borysow odczuwał rosnące pożądanie. Zbliżyła się do niego szepcząc namiętnie i rozpinając jednocześnie jego koszulę, dotykała go rękami, które były zręczne i wrażliwie reagowały na najmniejsze drgnienie jego ciała. Zabrał ją do sypialni i tam się kochali. Potem drzemała z głową na jego ramieniu, a on leżał wpatrując się w sufit i przesuujące się po nim cienie. Kiedy się obudziła, zapaliła światło i uśmiechnęła się do niego z zadowoleniem.

- Jesteś najlepszym kochankiem na świecie - powiedziała.
- Najsilniejszym... najwspanialszym... - Przyniosła mu kieliszek wina i włożyła do ust zapalonego papierosa. Zwinęła się na łóżku obok niego.

- Obiecałeś mi opowiedzieć o majorze Rakowskim - przypomniała.

- Tak, rzeczywiście - zgodził się Borysow. - Powiedziałaś, kochanie, że szedł zdecydowanym krokiem. Miałaś rację, jak zwykle zresztą. Dałem mu bardzo ważne zadanie do wykonania. Jeśli je dobrze wypełni, czeka go awans.

- A co takiego ma zrobić?

- Uwolnić jednego z naszych agentów z brytyjskiego więzienia - odparł. - Harringtona, wiesz o kim mówię.

. - Och, ale czy Brytyjczycy nie przesłuchiwali go z powodu Albatrosa? - zapytała. - Czy próba uwolnienia go nie jest nazbyt niebezpieczna?

- Mniej niebezpieczna, niż pozwolić, aby SIS dowiedziała się, kto jest Albatrosem - odparł.

- Sam jednak powiedziałaś, że chcecie go kimś zastąpić. Mówiłeś, że przestał już być użyteczny, ponieważ prędzej czy później zostanie zdemaskowany.

- Twoja pamięć zawsze mnie zadziwia - szepnął czule. Gładził delikatnie palcem jej policzek. - Pamiętasz każde słowo, jakie wypowiadam. I tym razem masz rację. Mam zamiar zastąpić Albatrosa... we właściwym czasie. W odpowiednim czasie umieszczę innego agenta na jego miejscu. Chciałabyś wiedzieć, kto to będzie?

- Jeżeli zechcesz mi to zdradzić - wyszeptała. Oczy jej błyszczały z ciekawości.

- Powiem ci - odparł łagodnie Borysow - jeżeli ty też coś mi powiesz. Od jak dawna szpiegujesz mnie z polecenia Rudzenki?

Twarz Natalii zrobiła się śmiertelnie blada, przymknęła szeroko otwarte oczy, jakby miała zemdleć. Borysow wstał. Dziewczyna pozostała w łóżku półkłęząc i spoglądała na niego. W końcu powiedziała:

- Igorze, o czym ty mówisz? - Przewrzenie zmieniło jej głos w zduszony jęk.

- Jesteś szpiegiem Jurija Rudzenki - stwierdził ze spokojem Borysow. - Jedną z tych licznych dziwek, które trzyma pod ręką, żeby mu donosiły. Kiedy cię zwerbował, Natalio? Po tym, jak zaczęłaś u mnie pracować, czy przedtem? Powiedz mi. Niczego nie staraj się ukrywać. Zmusił cię, tak? Szantażował? Powiedz mi, jak to się stało?

Mówiąc to wszystko ubierał się. Otworzyła usta i zwilżyła wyschnięte wargi. Widział, jak nerwowo usiłuje przełknąć

ślinę. Na białej szyi widać było mały czerwony ślad - tam, gdzie w czasie miłosnych uniesień lekko ją ugryzł.

Łzy zaczęły jej płynąć po twarzy.

- Kazał mi to robić - wykrztusiła. - Groził mi. Po - wiedział, że ukarze całą moją rodzinę, jeśli odmówię...

Łzy płynęły już teraz strumieniem. Borysow nigdy nie widział takiej obfitości łez. - Niobe - pomyślał beznamiętnie - której łzy stały się rzeką...

Zsunęła się z łóżka i zbliżyła do niego, potem uklękła i objęła go za nogi.

- Przebacz mi... przebacz mi, Igorze najdroższy. Nie chciałam tego, byłam tak przerażona, nie wiedziałam, jak ci o tym powiedzieć... Przebacz, błagam! Zabij mnie, jeśli chcesz, ale powiedz, że wybaczasz mi...

Borysow pochylił się i pomógł jej wstać.

- Ubierz się - powiedział spokojnie.

Zrobiła, jak kazał. Drżała tak silnie, że nie mogła sobie poradzić z guzikami przy sukni. Borysow nalał sobie wina i popijał w zadumie.

- Rudzenko ci nie groził - przemówił wreszcie. - Twoja rodzina nie była w niebezpieczeństwie. Nie zdradziłaś mnie ze strachu. Zostałaś zwerbowana pięć lat temu przez jednego z moich współpracowników, który był człowiekiem Rudzenki. Wyjechałaś na szkolenie do Taszkientu, kiedy miałaś dziewiętnaście lat. Taszkient nie jest miejscem, gdzie można się spodziewać szkoły dla szpiegów i prowokatorów. Właśnie dlatego tam ją założono. Uczyli cię, jak dogadzać mężczyznom, prawda? Jak zbierać i zapamiętywać informacje, jak być doskonałą sekretarką... Jak kłamać, schlebiać i zdobywać zaufanie swojej ofiary. Osiągnęłaś doskonałe wyniki, Natalio. Podstawili cię, żebyś mnie omotała, i to ci się udało. Czy chodziło o pieniądze? Odkładali

je dla ciebie? Jestem ciekawy, powiedz mi, dlaczego to zrobiłaś?

Stała przed nim ze ściśniętymi rękami i twarzą spuchniętą od płaczu. Przez chwilę myślał, że znowu upadnie mu do nóg, by prosić o przebaczenie.

Nagle wyprostowała się. Drżącą dłonią wytarła oczy, odgarnęła splecione włosy, zaczerpnęła tchu.

- Czy mogę się napić? - spytała. Skinął twierdząco:

- Nalej sobie.

Odwróciła się do niego plecami i powiedziała:

- Zachowałam się jak tchórz. To był szok. Zaskoczyłeś mnie. A poza tym zalecano mi, że mam się załamać, jeśli zostanę zdemaskowana... Na wszelki wypadek, gdybyś mi uwierzył. Dlaczego zgodziłam się pracować dla Rudzenki?

Dlatego że wierzę w jego Rosję, Igorze, a nie w twoją. Oto dlaczego.

- Jesteś stalinistką? - zapytał.

- Jestem stalinistką - wypila wódkę do dna. - Kochałam cię jako mężczyznę - dodała łagodnie. - Pracowałam przeciwko tobie jako komuniście, który zdradził rewolucję. To wszystko, co mam do powiedzenia. A teraz, jak sądzę, odeślesz mnie na Łubiankę.

- Nie - odparł Borysow. - Nie aresztuję cię. Rudzenko nie może się dowiedzieć, że jego agentka została zdemaskowana.

Strach znowu pojawił się na jej twarzy. Borysow pomyślał nagle z wściekłością, że wygląda okropnie szaro i ta złość zdumiała go. Był zadowolony, że wkrótce będzie mógł opuścić to mieszkanie, bo bał się, że traci panowanie nad sobą.

- Co masz zamiar zrobić? - spytała.

- Mam zamiar powiedzieć ci to, co chciałaś wiedzieć - odparł i wstał z krzesła. - Nazwisko człowieka, który zastąpi Albatrosa. - Powiedział jej i podszedł do drzwi. - Ale tym razem już nie będziesz mogła przekazać tego Rudzence. - Za

otwartymi drzwiami zobaczyła dwóch mężczyzn. Borysow usłyszał jeszcze krzyk strachu, gdy wchodzili do środka. Zamknął drzwi i pozostawił ją z nimi.

Natalia umarła o trzeciej nad ranem. Podczas gdy jeden z mężczyzn trzymał ją mocno, drugi wmusił w nią dwadzieścia tabletek nasennych i trzy czwarte butelki wódki. Pilnowali jej, dopóki nie straciła przytomności. Po godzinie jeden z nich sprawdził tętno, skinął głową do kolegi i obaj wyszli do przyległego pokoju.

Później zobaczyli, że zakrztusiła się wymiocinami, co stało się bezpośrednią przyczyną jej śmierci. W milczeniu opuścili mieszkanie, prześlizgnęli się obok przejścia, przy którym siedziała stara stróżka. Widziała ich, jak wchodzili i wychodzili, ale w jej zeszycie wejść nie było żadnego zapisu.

Pokazano jej znaczek z tarczą i skrzyżowanymi mieczami - znała jego znaczenie.

Kiedy następnego dnia znaleziono Natalię martwą, uznano, że to samobójstwo. Borysow po raz pierwszy od roku poszedł po pracy wprost do domu, do żony.

Posłał Żerkowowi prywatne podziękowania za ostrzeżenie o agencji Rudzenki i uznał sprawę za zakończoną. Przez długi czas chodził milczący i pochmurny, kilka razy płakał w samotności. Natalia nie żyła, a on ją nadal kochał.

- Najpierw powiedziała, że odchodzi, a później jakby się i z tego wycofała - stwierdziła Charlie Kidson. - Miałam wrażenie, że nie chciała rozmawiać ani o tej pracy, ani o Tonym Waldenie. Nawet się zaczerwieniła, kiedy ją spytałam, z jakiego powodu nie chce wyjść za Colina.

- Czy coś u nich jest nie w porządku? - John gwałtownie uniósł głowę.

- Davy nic takiego nie powiedziała - Charlie wzruszyła ramionami. - Wiesz przecież, jaka ona jest. Nie znosi skomplikowanych sytuacji: żyć z Colinem i interesować się

kimś innym. Myślę jednak, że jest do niego przywiązana. Jeśli stamtąd odchodzi, to co to może znaczyć, Johnie?

- Nic ważnego. Z wyjątkiem tego, dokąd pójdzie potem. Podejrzewam, że trafi z powrotem do Służby, żeby odwalić za Szefa brudną robotę. Zaprzeczyła, że kiedykolwiek wracała do Anne Yard, to zaś dowodzi, że coś ukrywa.

- Zrobiła dziwną uwagę, że nie ma żadnych przyjaciół - dodała Charlie. - Tylko Peter Harrington zabierał ją na kieliszek do pubu, zanim oddał w ręce KGB. Jest bardzo zgorzkniała, kochanie, i nie umie tego ukryć. Nawet nie chciała słuchać o tym, że mogłaby dostać tę posadę po Szefie. Wyrażała się zresztą o tym bardzo kwaśno. Zasugerowała też, że i tobie nie podobałoby się wysyłanie ludzi na ryzykowne zadania, tak właśnie to powiedziała.

- Zawsze była nadwrażliwa i reagowała przesadnie - zauważył Kidson. - Na ciebie, na rodziców, na samą siebie, a potem na Sasanowa. Nienawidzi Szefa. Mówi, że nie ma przyjaciół w Służbie. Po piętnastu latach pracy! Co to do cholery, znaczy? A czy nigdy nie pomyślała, że to mogła być jej wina?

- Myślę, że i Colin tu jej nie pomaga - rzekła nagle Charlie. - On też jest taki zakompleksiony, wiesz zresztą sam. Wszyscy ci wojskowi specjaliści zachowują się tak samo: z pogardą wobec każdego, kto nie należy do ich małego zamkniętego świata. Wydaje mi się, że Davina z Colinem siedzą i psioczą na sir Jamesa i Służbę; przy okazji na pewno tobie i mnie też dostaje się ładna porcja. Już widzę Davinę, jak wraca do domu i opowiada o mojej rozrzutności. Wiesz kochanie, nie sądzę, że ona zerka na tę posadę. Nie przeczę, że prawdopodobnie może nad czymś pracować, zawsze przecież lubiła takie pokrętne sytuacje, taka już była. Nie wydaje mi się jednak, że może być poważnym przeciwnikiem dla ciebie. Jest zbyt urażona, aby mogła być brana pod uwagę.

Kidson przez chwilę nie odpowiadał.

- Taka jest, właśnie taka - powiedział. - Urażona przez duże U. Wchodzi do biura ze sfalszowaną przepustką, a tobie mówi, że nie była nawet w pobliżu. Ona wyraźnie na kogoś poluje i ktoś jej to polecił. Zdecydowałem się, Charlie. Mam zamiar wziąć tego przekłętą byka za rogi. Pójdę się zobaczyć z Szefem i powiem mu, na co się natknąłem. Jeżeli on się posługuje Daviną, żeby mi zaszkodzić, to dam mu do zrozumienia, że wiem o tym. Jeżeli on tego nie robi, a robi to Humphrey... no cóż, umacnia to moją pozycję. Tak czy inaczej rzucę mu wyzwanie. I Davinie też!

Charlie przez jakiś czas nie odpowiadała, przyglądała się tylko mężowi. Był podniecony, kręcił się niespokojnie w fotelu, jakby nie mógł usiedzieć dłużej na jednym miejscu. Ta utrata równowagi była zupełnie nie w jego stylu; zawsze był taki opanowany, łagodny nawet, gdy przebywał w domu. Obserwowała go w kilku kryzysowych sytuacjach, włącznie z tymi okropnymi dniami w Meksyku. Zauważyła, że od tamtego wieczoru, gdy zobaczyli Davinę wychodzącą z uliczki prowadzącej do biura, stał się szczególnie spięty.

- Ona na kogoś poluje.

Charlie wstała i nalała sobie białego wina. Niemal obojętnie rzuciła przez ramię:

Czy myślisz, Johnie, że może polować na ciebie? Drgnął, jakby go ktoś uderzył, i powiedział:

Co, u licha, chcesz przez to powiedzieć?

- Chodzi mi o to, czy ona ciebie inwigiluje - odpowie - działa spokojnie Charlie. - Znam ciebie dobrze; nie jesteś zaniepokojony tylko sprawą stanowiska po Szefie. Powiedziałam ci, że ona nie jest tym zainteresowana. Nie przyjęłaby go, nawet gdyby jej proponowali. A więc czego się boisz?

John wstał z fotela i powiedział:

- Charlie, przestań, dobrze? Nie masz pojęcia, o czym mówisz, więc przestań!

- W porządku - odparła wzruszając ramionami. - Ale ja wiem o wiele więcej, niż możesz sobie wyobrazić. Jeżeli masz jakieś kłopoty, pragnę ci pomóc i chcę, żeby mi się to udało, to wszystko.

- Cóż, to ładnie z twojej strony, kochanie - powiedział gniewnie. - Jeśli pracuję dla Rosjan, to nie masz nic przeciw temu. To mi chciałaś powiedzieć?

- Jeśli to robisz - odparła - to mam coś przeciwko temu i byłoby lepiej, gdybyś mi o tym powiedział.

- Na miłość boską! - krzyknął na nią i nagle się pohamował.

Wpatrywała się w niego ze spokojem. Nigdy w swoim życiu nie podniósł ręki na kobietę, a teraz był tego bliski.

- Myślę, że lepiej się stanie, jeśli nie będziemy mówić na ten temat - stwierdził. - Muszę wyjść na chwilę. Nie wracaj już więcej do tego, kiedy przyjdę do domu, dobrze?

- Nie będę, jeśli to cię tak irytuje - oświadczyła Charlie. - Nie spóźnij się na kolację, przygotowałam coś dobrego - podeszła z powrotem do sofy i usiadła.

Wychodząc, mocno trzasnął drzwiami. Charlie wolno popijała wino. Nigdy przedtem nie kłócili się naprawdę. Nigdy też nie widziała go tak rozgniewanego. Czuła, że za tym kryje się coś więcej. Czy był to strach? Czy było to rozczarowanie, że mogła w niego zważyć i powiedzieć o tym głośno? Czy zbulwersował go jej brak zasad moralnych? Nie знаła odpowiedzi na te pytania, ale o jednym była przekonana, gdy tak siedziała czekając na jego powrót. Była szczęśliwa i zakochana, miała dziecko i udane małżeństwo. Davi - na stanowila dla nich zagrożenie. Należało więc temu zapobiec.

Kiedy John Kidson wrócił z długiego spaceru z przystankiem w pubie, była tak słodka i chętna do zgody, że zaczął się natychmiast usprawiedliwiać.

Colin Lomax zatrzymał się w motelu odległym o dwanaście mil od Shropwith. Dwa pierwsze dni spędził na studiowaniu położenia samego miasteczka i głównych dróg prowadzących do autostrady. Odwiedzał puby i w jednym z nich nawiązał rozmowę z barmanką, w innym zaś z sympatycznym małżeństwem. Powiedział, że myśli o osiedleniu się w okolicy i założeniu niewielkiego interesu. Ogląda puste pomieszczenia sklepowe. Interesują go też antyki, bibeloty - nie za drogie, do szybkiej sprzedaży. Jego rozmówcy byli zafascynowani. Chwalił ich miasteczko i cały okręg; wymyślił sobie żonę i dwoje małych dzieci, a potem stwierdził, że jedyne, co go niepokoi, to bliskość otwartego więzienia. Małżeństwo - Jim i Wendy, ze wszystkich sił starało się go uspokoić. - To doskonałe miejsce - zapewniali - nie było dotychczas ani jednego wypadku, żeby jakiś uciekinier włamał się do czyjś domu lub w inny sposób przestraszył mieszkańców. Więzień, który uciekł ostatnio, przez dwa dni wędrował po okolicy i w końcu sam wrócił do zakładu. To nie był ośrodek, w którym siedzieli sprawcy przestępstw seksualnych czy znani kryminaliści.

- A jak wygląda ochrona więzienia? - Lomax zdawał się być nie do końca przekonany.

Rozmówcy stwierdzili, że w istocie prawie nie istniała. Bardziej dokładnie wyjaśniła to barmanka.

- Nie, kochasiu - rzekła - oni przyjeżdżają tu raz w tygodniu autobusem, robią zakupy i wracają. Nawet nie mógłbyś powiedzieć, że to więźniowie, gdybyś ich widział, jak sobie spacerują. Są z opiekunami, z którymi są często zaprzyjaźnieni, poza tym noszą własne ubrania.

Colin znalazł również skwerek, przy którym parkował więzienny nieoznakowany autobus. Obserwował, jak wysiadła pierwsza grupka więźniów, podzieliwszy się na dwójki i trójki. Spędzili w miasteczku około godziny. Ustalił, że przyjeżdżali w trzech grupach, w tej ostatniej był Peter Harrington. Lomax szedł za nim, starając się, aby go nie zauważył towarzyszący Peterowi mężczyzna, który ubrany był w zwyczajny sweter i dżinsy, ale jego budowa, chód i sposób, w jaki wskazywał Harringtonowi drogę do sklepu, świadczyły, że jest to pracownik służby więziennej. Lomax starannie odnotował czas ich przybycia i odjazdu.

Po kilku dniach przeniósł się z motelu do małego pensjonatu, wyjaśniając, że jest pośrednikiem handlowym; dwa dni później wprowadził się. Wreszcie zatrzymał się w głównym hotelu i zadzwonił do Daviny.

- Mam już cały „rozkład jazdy” - powiedział. - To będzie łatwiejsze, niż myślałem.

- Dzięki Bogu! - w jej głosie dźwięczało zaniepokojenie. - Czy możesz o tym porozmawiać?

- Raczej nie - odparł. - Po prostu chciałem, żebyś wiedziała, że nie będzie tu żadnych „mocnych przeżyć”, więc nie potrzebujesz się niepokoić. Jak się czujesz, najmilsza? Tęsknisz za mną?

- Tak - odpowiedziała - tęsknię. Kiedy wrócisz do domu?

- Pod koniec tygodnia. Jeszcze się chcę upewnić, czy dokładnie wszystko zaobserwowałem. A co ty porabiasz?

- Pracuję - odparła. - Po raz pierwszy uczciwie zarabiam na swoją pensję.

- Już wkrótce nie będziesz musiała tego robić - powiedział Lomax po krótkim milczeniu. - Zobaczymy się w sobotę. Bywaj, kochanie.

Davina odwiesiła słuchawkę. Żadnych „mocnych przeżyć”. Poczwała wielką ulgę, gdy to powiedział. Colin nigdy

nie przesadzał i nigdy nie kłamał. Najbardziej prawdopodobny człowiek, jakiego spotkałam - pomyślała Davina i uśmiechnęła się. Ale nietaktowny. Bardzo za nim tęskniła; małe mieszkanie stało się puste, a wieczory ciągnęły się bez niego w nieskończoność. Davina przygotowała malutką gościnną sypialnię - posłała łóżko dla Petera Harringtona. Ostatnim miejscem, gdzie policja mogłaby go szukać, byłoby służbowe mieszkanie SIS.

Kiedy zamykała drzwi, zadzwonił telefon. W słuchawce usłyszała szorstki i nieprzyjemny głos Humphreya Granta:

- Chciałbym zobaczyć się z tobą i majorem Lomaxem - powiedział.

- A po co? - spytała. Lomax mówił, że wróci w sobotę.

Musiała więc do tego czasu jakoś Granta powstrzymać. - Pojawił się pewien problem - ciągnął Grant. - Harrington.

- To już nie jest nasza sprawa - odpowiedziała. - Mówiłam ci, że się wycofałam.

- Wiem - głos miał coraz bardziej zagniewany. - Wiem, że to właśnie zrobiłaś. Ale w rezultacie twojego idiotycznego polecenia, on został przeniesiony do otwartego więzienia i teraz Szef chce wiedzieć, dlaczego to się stało. Ty i major Lomax macie złożyć wyjaśnienia.

- To nie ma nic wspólnego z Colinem - oświadczyła - i ty dobrze o tym wiesz.

- Był razem z tobą, kiedy ostatnio widziałas się z Harringtonem - odburknął Grant ze złością. - Bez zezwolenia. A więc należą się jakieś wyjaśnienia.

- To, co powiedziałaś, znaczy, że Szef chce zobaczyć się ze mną - ucięła Davina. - Dlaczego więc sam do mnie nie zadzwonił?

- Dlatego że cała ta cholerna sprawa zwała się na moją głowę - odpowiedział Humphrey podniesionym głosem. -

Twój szwagier zaczyna rozrabiać. Moim zdaniem rozegrałaś tę całą rzecz fatalnie!

- Masz coś jeszcze do mnie, bo odkładam słuchawkę? - zapytała.

- Tak. Skontaktuj się z Szefem. On chce zwołać spotkanie i ja też mam tam być.

Połączenie zostało przerwane.

Davina zapaliła papierosa. „Cała ta cholerna sprawa zwała się na moją głowę”. John Kidson zaczyna rozrabiać. Trzeba osłaniać Lomaxa pod jego nieobecność. Mogła pójść bez Colina, spotkać się z sir Jamesem i stawić mu czoła sama. Jeśliby zaczął atakować, to miała broń, która mogła być skuteczna w obronie. Również użyta przeciwko Kidsonowi i Grantowi. Nagle poczuła przyływ gniewu. Siedziała pogrążona w myślach, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Zawahała się, a potem podeszła i otworzyła je szeroko. Na progu stał Tony Walden.

- Dobry Boże! - krzyknęła. Czy mogę wejść?

- Tak, oczywiście, że tak. Czy coś się stało?

- A czy musiało się coś stać? - powiedział i uśmiechnął się. - Czy nie mogę po prostu wstąpić od znajomych na drinka? Czy też twój przyjaciel wyrzuci mnie za drzwi?

Stał w malutkim przedpokoju lekko odwrócony od niej. Zobaczyła, że twarz ma poważną. Wyglądał na spiętego i zmęczonego.

- Colina nie ma w domu - odparła Davina. - Wejdz, zrobię nam coś do picia.

Siedział pochylony do przodu, z rękami między kolanami, i przypatrywał się jej, gdy podawała whisky. Sobie nalała szklaneczkę wina.

- Powinienem przynieść ze sobą szampana - powiedział.

- A co świętujemy? - spytała.

- Zawsze piję szampana, kiedy przegrywam - odrzekł spokojnie Tony Walden. - Dziś jednak zadowolę się whisky.

Davina usiadła obok niego.

- Tony, co się stało? Co masz na myśli, mówiąc „przegrywam”?

- Zamówienie księcia - odparł.

- Och, nie, to niemożliwe! Jak mi przykro! To tak wiele znaczyło dla ciebie! - wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia.

Popatrzył na nią i uśmiech przemknął mu po twarzy.

- Jesteś bardzo dobra, ty mi współczujesz naprawdę.

- Naturalnie że tak - odpowiedziała zdziwiona. - A czego oczekiwałeś? Ale powiedz mi, co się właściwie wydarzyło? Co poszło nie tak jak należy?

- To jest właśnie najgorsze - odpowiedział powoli. - Przegrać mogłem w każdej chwili. Tłumaczyłem ci, jak to jest z Arabami: nie możesz na nic liczyć, póki nie jedziesz do domu z kontraktem w kieszeni. Ale tym razem było inaczej. Dziś rano otrzymałem wiadomość, że ksiązę zdecydował się zlecić zamówienie innej agencji.

- Bez żadnych wyjaśnień? Nie mogę w to uwierzyć!

- Ja mogę - odparł. - Ale w samym sposobie załatwienia sprawy było coś takiego, co mnie zaniepokoiło, coś wrogiego, a oni są niezwykle uprzejmi. Ksiązę sam jest bardzo taktowny i zawsze chwali się swymi zachodnimi manierami. Mam tam pewne dojskie, Davino. Zawsze trzeba mieć kogoś wewnątrz, kto może być pomocny w różnych sprawach. To sporo kosztuje, ale... No więc skontaktowałem się i powiedziano mi, co się stało. Straciłem kontrakt, ponieważ księciu zwrócono uwagę, że robi interesy z Żydem.

- O mój Boże. To obrzydliwe!

- Naprawdę obrzydliwe jest to - powiedział cicho - że zrobiono to z premedytacją. Ktoś mi poderznął gardło. I nie

był to nikt z moich konkurentów. Mój kontakt był tego zupełnie pewien. Załatwiono to w formie półoficjalnej. Książę wiedział doskonale o moim żydowskim pochodzeniu, ale gdy oświadczone to publicznie, nie miał wyboru. Kto mógłby nienawidzić mnie tak bardzo, żeby posunąć się do czegoś takiego?

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała. - Tony, bardzo mi przykro, naprawdę. Czy będziesz mógł dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat? Czy nie mógłbyś jeszcze czegoś w tej sprawie zrobić?

- Nic - odparł. - Ale to jest niedobry precedens. Mamy dużo klientów ze Środkowego Wschodu. Jeżeli się rozniesie, że jestem persona non grata, moi amerykańscy koledzy nie będą tracić czasu. Kto mógłby chcieć mnie zrujnować, Davino?

- Nie wiem. I nie wiem, jak się tego dowiedzieć. Powiedziałeś, że zrobiono to półoficjalnie, więc może należy pójść wprost do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i poprosić o wyjaśnienia?! Może oni dowiedzą się, kto to był; w końcu prowadzenie interesów z tą częścią świata jest dla nas niesłychanie ważne. Pomyślę o kimś, kto mógłby zapytać w twoim imieniu.

- Znam większość tych ludzi - odrzekł. - Mógłbym narobić szumu, ale myślę, że przyniosłoby to więcej szkody niż pożytku. Widzisz, ja nie zaliczam się tak zupełnie do establishmentu. Naturalizowany w Anglii polski Żyd nie znajdzie wielu sojuszników w Whitehallu.

- Nie mów tak - poprosiła. - Niedobrze mi się robi.

- A więc mam rację, prawda? Popatrzyła na niego i odpowiedziała:

Tak, obawiam się, że masz.

Nie mogłem zdobyć się na pójście do domu - westchnął. - Pracowałem cały dzień i nie myślałem o tym, bo miałem dużo

pilnych spraw, które wymagały załatwienia. Ale kiedy wyszedłem z biura, nie mogłem pójść do domu.

- To bardzo smutne - powiedziała Davina. - Jesteś pewien, że twoja żona nie będzie tego tak samo przeżywać, jak ty?

- Moja żona będzie przeżywać, ponieważ straciłem dużo pieniędzy. Ona myśli, że robienie pieniędzy jest jedyną rzeczą, która coś znaczy w interesach. Zupełnie nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo ważna dla mnie jest ta druga strona. Ten cios w plecy. Właśnie dlatego nie mogę dziś jej nic powiedzieć. Zresztą nie sądzę, żebym jej w ogóle o tym kiedyś powiedział. Czy masz jeszcze trochę whisky?

- Dużo. Colin nie pije niczego innego. Daj mi swoją szklanekę.

- Nie mogłem dziś wybrać lepszego miejsca niż twoje mieszkanie - zauważył. - Postanowiłem zaryzykować nawet to, że twój wojskowy przyjaciel wyrzuci mnie na ulicę. Po prostu musiałem ci powiedzieć, co się wydarzyło.

Davina wróciła na miejsce obok niego.

- Wyjechał na kilka dni - wyjaśniła. - Czy nie powinieneś jednak zadzwonić do domu?

- I co powiedzieć? - spytał Tony Walden.

Zapadła chwila milczenia. Och, ty cholerna idiotko - pomyślała Davina. - To dlatego, że on dziś wygląda, jakby go obito i że ty dobrze znasz to uczucie...

- Powiedzieć, że nie będziesz na kolacji - zaproponowała. - Zrobię ci coś tutaj, jeśli zechcesz.

- Chciałbym bardzo - odpowiedział prawie niedosłyszalnie.

Tylko trzech mężczyźni byli potrzebni do porwania Petera Harringtona. Jeden miał prowadzić samochód ze Shropwith w kierunku Ashton, gdzie powinna oczekiwać furgonetka, do której przesiądą się Harrington i jego wybawca. Pozostali

mieli jechać dalej, wprost na lotnisko w Manchesterze. Zaplanowano to tak, aby dostarczyć Harringtona do samolotu odlatującego o godzinie piątej do Dublina, gdzie miał być ukryty w bezpiecznym miejscu. Przywódca operacji miał duże doświadczenie w tym, co ludzie Borysowa nazywali "przeprowadzkami". „Przeprowadził” wiele osób, niektóre wbrew ich woli; planował wszystko niezmiernie starannie, według ścisłego harmonogramu. Sam wybierał sobie pomocników, sam im płacił, oni zaś znikali aż do chwili, kiedy ich znowu potrzebował. Nikt tu nigdy nie zadawał żadnych pytań i nie widywał się z innymi, z wyjątkiem pory wykonywania zadań. Przywódca był znany po prostu jako Sam. Miał liverpoolski akcent i nieokreślony wygląd, tak często spotykany u ludzi z celtyckim rodowodem: piaskowej barwy włosy, jasne oczy, słabe zęby tłoczące się w wąskich ustach. Miał szczupłe, znakomicie wytrenowane ciało, jego odruchy zaś zdradzały specjalne wyszkolenie w oddziałach morskich komandosów. Był karnie zwolniony z wojska po pięciu latach odsiadki za kradzież. Nie miał żadnych uprzedzeń w wyborze kontaktów ze światem podziemnym. Organizował porwania, szantaże i morderstwa dla każdego, kto gotów był zapłacić. Prowadził mały garaż i warsztat naprawczy w zachodnim Londynie, mieszkał z żoną i czwórką dzieci w ładnym domku jednorodzinny z garażem. W domu nigdy nie mówił akcentem z Liverpoolu.

Spędził trzy tygodnie w pobliżu Shropwith obserwując rutynę więziennych zajęć i cotygodniowe wypady do miasteczka. Sporządził trasę przejazdu i wypróbował ją sam, by wiedzieć, jak to wygląda w praktyce. Na dwa tygodnie przed planowaną „przeprowadzką” Harringtona, sam sprawdził cały plan operacji, realizując wszystkie jego elementy. Kiedy przyleciał z powrotem z Dublina do

Londynu, następnego ranka wysłał raport, że wszystko jest gotowe.

Jedyną rzeczą, której nie mógł zrobić, było zawiadomienie zainteresowanego. Ale telefon do Stephena Wooda rozwiązał i tę kwestię.

- Och, jaki kłopot! - powiedział do żony, kiedy odłożył słuchawkę. - Muszę przejechać się w przyszłym tygodniu do więzienia, do jednego z moich chłopców. Obawiam się, że przyjdzie mi tam zanocować.

Mam nadzieję, że to nic poważnego - odparła zaniepokojona żona. Niezmiernie szanowała oddanie męża tak zwanym „chłopcom”.

Jeden z nich prosił, żebym przyjechał - powiedział. - To właśnie był telefon od naczelnika więzienia. Biedaczysko, wylądował w szpitalu i zdaje się, że nie jest z nim najlepiej.

- A gdzie on jest? - spytała. - Czy to jeden z twoich stałych podopiecznych, mój drogi? - Znała z nazwiska więźniów, których odwiedzał od roku, i zawsze o nich wypytywała.

- To Davies - odparł. - Siedzi za napad rabunkowy. Był w Scrubs, ale przenieśli go do Walton. Zawsze wpadał w tarapaty, ale skoro prosił o odwiedziny, to muszę tam pojechać. Przykro mi, że to popsuje nasz wieczór u rodziców, ale środa to jedyny dzień, kiedy mogę to zrobić.

- Nie ma znaczenia, kochanie - odpowiedziała. - Wytłumaczę, że odwiedzimy ich innym razem.

Wood zawsze mówił o swej matce i ojcu „rodzice”. Jego żona dzieliła z nim troski o starszych ludzi, dzieci i kryminalistów wyrzuconych poza nawias życia społecznego. Nigdy by więc nie przyznała się sama przed sobą, że odwołanie wieczoru u teściów sprawiło jej wielką ulgę.

Wood pojechał do Shropwith rannym pociągiem. Godziny wizyt w więzieniu wyznaczono od siódmej wieczorem, po

kolacji. Spędził przyjemny dzień wędrując po starej części miasta, wszedł do kościoła z zabytkową normańską wieżą, z radością zwiedził malutkie muzeum z interesującym zbiorem miejscowego rękodziela. Nigdy bowiem nie przepuszczał okazji zobaczenia jakichś historycznych przedmiotów, gdy odwiedzał nieznanne miejsca. O siódmej przyjechał do Shropwith i przedstawił swoje dokumenty więziennemu urzędnikowi.

Peter Harrington oglądał telewizję, kiedy zawiadomiono go, że jakiś pan Wood przyszedł się z nim zobaczyć. W podnieceniu przewrócił kubek z kawą, więc dyżurny nalegał, żeby wytarł podłogę, zanim wyjdzie spotkać się ze swoim gościem.

Stephen Wood pozostał przez godzinę. Mówił cały czas banały, podczas gdy Harrington wiercił się i skręcał z niecierpliwości, czekając na przekazanie książki. Jak się czuje na nowym miejscu? Rzeczywiście dobrze wygląda, a może nawet przybrał na wadze? Trzeba na to uważać; najgorszy okres to Boże Narodzenie i Wielkanoc, o tym wiedział z doświadczenia - zawsze się je za dużo w czasie wolnym od pracy, a jeszcze jak są dzieci, przychodzą rodzice z wizytą. Czy dalej zajmuje się stolarką? Czy nie zapomniał swojej obietnicy zrobienia jakiejś pamiątki? Bardzo ceni sobie różne rzeczy, które chłopcy podarowali mu przez te lata...

Harrington wpatrywał się w niego z udręką, mieląc w ustach jakieś odpowiedzi. Nie było książki. Ale jednak miał coś ze sobą w papierowej torbie. Gdy wreszcie zbierał się do odejścia, podsunął torbę Harringtonowi.

- Tyle tu gadałem, żeby dbać o figurę - powiedział - a sam przyniosłem czekoladki.

Roześmiał się swoim okropnym, serdecznym śmiechem, a Harringtonowi zdawało się, że wszyscy obecni w recepcji

zamilkli i patrzyli tylko na nich. Wziął niebieskie pudełko z różami namalowanymi na wierzchu.

- Dziękuję bardzo - powiedział. - Dziękuję, bardzo je lubię. - Wstał i tak się śpieszył, żeby pozbyć się swego gościa, że z całej siły uderzył się kolanem o krawędź stolika.

- To ładnie z pana strony, że zechciał pan przyjechać - dodał.

- O, to żaden kłopot. I tak musiałem być w tych stronach, żeby odwiedzić ciotkę, która choruje. Cóż, ma prawie osiemdziesiąt dwa lata, więc przypuszczam, że należy się tego spodziewać. Jeśli znowu będę w tej okolicy, wpadnę na trochę. Cieszę się, że pan dobrze wygląda i przyzwyczał się do nowego otoczenia. To dobre miejsce, prawda?

- O, tak - odpowiedział głośno Harrington. - Wydaje mi się zupełnie dobre. A więc do widzenia.

- No to na razie - odrzekł Stephen Wood. Podali sobie ręce. - Mam nadzieję, że się znowu kiedyś zobaczymy.

Harrington nie otworzył pudełka, dopóki nie poszedł do łóżka. Wtedy ściągnął celofanowe opakowanie i podniósł pokrywkę. Wiadomość znajdowała się na pasku papieru, na którym podany był numer pakowacza. „Środa, 19, 13.45 przy wejściu do supermarketu”. Zmiał papierek w małą kulkę i połknął ją. Potem zaczął jeść czekoladki.

Spotkał Jamesa White'a... Davina obudziła się nagle. Właściwie cały czas drzemała, zasypiając na krótko, więc skoro świt była już na poły rozbudzona. Walden usnął w bawialni; zostawiła go tam i poszła do łóżka. Spotkał Jamesa White'a na obiedzie ze dwa tygodnie temu. Nie mówił o tym specjalnie dużo, a tylko wspomniał starszego pana, który wypytywał o nią natarczywie. Zauważył także jego widoczną niechęć, kiedy mówił o jej pracy u siebie.

- Zachowywał się złośliwie - przypominał sobie Tony Walden. - Miałem wrażenie, że jest wręcz wściekły, iż go

zostawiłaś i poszłaś pracować do agencji. Nic nie robił, tylko cały czas wsadzał mi szpilki, aż mu odpowiedziałem niegrzecznie.

Davina odparła, że ma nadzieję, iż był bardzo niegrzeczny. Mechanizm jednak wtedy nie zaskoczył, dopiero o czwartej nad ranem łańcuszek skojarzeń połączył się i dotarł do jej świadomości; wtedy obudziła się gwałtownie: Kto chciałby nie dopuścić do podpisania przez Waldena kontraktu z księciem? Wiedziała tylko o jednej osobie - dostatecznie złośliwej i dostatecznie wpływowej, która mogła to zrobić.

I w tym momencie całkowitej świadomości, gdy zapaliła światło, wiedziała, że był to James White. Podciął korzenie Agencji Arlington. Ale dlaczego? Podejmować takie poważne kroki przeciwko człowiekowi tylko dlatego, że się nie spodobał lub że się go nie lubi? Albo dlatego, że zatrudnił u siebie jego byłą współpracownicę? I to było to, naturalnie. Coś, co wiązało się z nią i skłaniało White'a do takich szczególnie bezwzględnych i złośliwych działań przeciwko komuś, kogo się spotkało zaledwie raz.

- A to łajdak - powiedziała na głos i zrzuciła z siebie kołdrę. - To on to zrobił, oczywiście, że on!

Otworzyła drzwi i weszła do bawialni. Nie spodziewała się zastać tu jeszcze Tony'ego. Światło było zapalone, czytał książkę, siedząc pod małą lampą w ciemności pokoju. Był bez marynarki i butów. Kiedy weszła, upuścił książkę na podłogę.

- Zaglądałem, żeby ci powiedzieć „dobranoc”, ale już spałaś, więc nie chciałem cię obudzić. Nie masz nic przeciwko temu, że jeszcze tu jestem?

- Nie - odpowiedziała Davina. - Zrobię nam kawę. Mam ci coś do powiedzenia, Tony. Zdaje się, że wiem, dlaczego straciłeś swój kontrakt.

Poszedł za nią do kuchni; czuła, że jest tuż obok i lekko się odwróciła. Wziął ją w ramiona i pocałował.

- Dziękuję ci za wczorajszy wieczór - powiedział.

Davina nie odsunęła się od niego, poprosiła tylko:

- Nie rób tego, Tony. To jest nie fair.

- Wobec majora? - zapytał.

- Nie fair wobec mnie - odrzekła.

- Chciałbym się z tobą kochać - stwierdził Walden.

- Przykro mi, ale nie.

Skinął głową i puścił ją.

- Będę próbował znowu - powiedział. - Bardzo cię lubię.

- Może pomyślisz inaczej, kiedy ci powiem, co się, moim zdaniem, wydarzyło - ostrzegła go Davina. - Jesteś zdenerwowany i zmęczony, i będziesz zły na siebie, kiedy zobaczysz mnie znowu w biurze. Pozwól, że zrobię tę kawę.

- Jesteś mi potrzebna - oznajmił jej Walden. - Jesteś mi tak samo potrzebna, jak twemu wojskowemu przyjacielowi. Prawdopodobnie bardziej. I nic tego nie może zmienić. A więc wypijmy tę kawę. Lubię siedzieć w kuchni. Nasza wygląda jak kajuta statku kosmicznego, tyle w niej różnych urządzeń. Jestem zadowolony, że się nie złościsz: to już coś.

- Ale dlaczego miałyby to zrobić? - spytał Tony Walden. - Na Boga, dlaczego wysiłałyby się, żeby mnie wykończyć? To nie ma żadnego sensu!

- Ma jednak sens - odparła Davina. - Znam Jamesa White'a. To, co zrobił, miało zupełnie określone motywacje. Bardzo się boję, że ja jestem tego przyczyną. Dlatego postanowiłam zrobić wszystko, żeby to naprawić.

Pokręcił głową.

- Nic nie będziesz mogła zrobić - odparł. - On jest bardzo wpływowym człowiekiem i do tego niebezpiecznym. Nie wolno ci zrobić niczego nieprzemyślanego, to nie jest twoja wina.

- Ja za to odpowiadam - twierdziła stanowczo. - Cholerny Humphrey wpakował cię w tę sprawę osłony dla mnie i ja nie

mogę pozwolić, żebyś cierpiał z mego powodu. Sam powiedziałeś, że mógłbyś zostać wypchnięty z rynku przez Amerykanów. Wszystko, co zrobiłeś i osiągnąłeś w agencji, może zostać zniszczone. Jamesowi White'owi nie ujdzie to na sucho. Mam się z nim spotkać. Ściślej mówiąc, to on chciał się ze mną widzieć, więc pójdę tam i zaaplikuję mu największy wstrząs, jaki kiedykolwiek przeżył.

Była zarumieniona z gniewu, miała bardzo zdecydowany wyraz twarzy i oczy błyszczące z oburzenia. Zaczął się zastanawiać, jak mógł kiedykolwiek myśleć, że obie jego żony, blondynki, są pięknosciami.

- Co ty właściwie znaczysz dla tego człowieka? - zapytał.
- Czy ta wrogość powstała na tle zawodowym?

- On pozwolił umrzeć mojemu mężowi - oznajmiła niespodziewanie. Zapadła chwila milczenia.

- Nie wiedziałem, że byłaś mężatką. Możesz mi o tym opowiedzieć? - spytał Tony Walden.

- Był Rosjaninem - odrzekła. - Pracował dla nas. Nie będę wdawać się w szczegóły, ale był dla nas niezmiernie ważny. Powiedział wszystko, co wiedział. Wiesz, Tony, na pewno nie przesadzę, jeśli stwierdzę, że to on ocalił Bliski Wschód od zagarnięcia go przez ZSRR. Kochałam go - dodała z prostotą.

- Wyjechaliśmy do Australii i tam się pobraliśmy. Dostał bezpieczną posadę i nową tożsamość. Obiecano nam, że nic nie może się zdarzyć, że nigdy go nie odnajdą. Za to był odpowiedzialny James White. Ale kiedy wycisnął z Iwana wszystko do końca, przestało go to obchodzić. Tamci więc włożyli bombę do jego samochodu i zabili go. Ja byłam wtedy w ciąży. Straciłam dziecko.

- O, Boże - szeptał Walden. - Co za historia, przepraszam cię!

Wyglądał na bardzo zmieszanego. Przez chwilę jej się zdawało, że w jego oczach pojawiły się łzy. Wiedziała, że tak było, kiedy wytarł nos i zakasłał.

- Tony - powiedziała łagodnie - nie powinnam ci tego mówić. To stało się tak dawno temu. Ale ja nigdy nie pozwolę tej świni o tym zapomnieć. Wróciłam do pracy tylko z jednego powodu: żeby walczyć z KGB i człowiekiem, który zaplanował śmierć Iwana. Na złość Jamesowi White'owi, a nie z jego powodu. Dałam mu to zresztą do zrozumienia. A potem odeszłam, właśnie wtedy, kiedy myślał, że pokornie wróciłam do zaprzęgu i znowu będę chodzić, jak mi każe. To właśnie go tak ubodło. Nie chciał, żebym odeszła z własnej woli. Zraniło to jego paskudną dumę, bo lubi przedstawiać ludzi jak pionki na szachownicy; ten człowiek jest pozbawiony uczuć i nie zwraca uwagi także na uczucia innych. To ja jestem tą jedyną osobą, która plunęła mu w twarz i on tego nigdy mi nie zapomni. Dlatego odegrał się na tobie, bo umożliwiłeś mi odejście ze Służby i niezależność. Ale pożałuje swojego kroku. No, a teraz dlaczego nie miałbyś sobie zrobić kąpieli i pomyśleć o wiarygodnej wymówce, zanim pójdziesz do domu?

- Nie muszę o niczym myśleć - odparł Walden. - Często spędzam noce poza domem. Moja żona nie martwi się o to tak długo, jak długo ma wszystko, czego chce.

James White sam odebrał telefon, kiedy usłyszał nazwisko Daviny.

- Dzień dobry - wydawał się zdziwiony. - Jak to miło znowu cię słyszeć.

- Humphrey powiedział, że chciał się pan ze mną widzieć - oświadczyła. - Dzwonię, żeby umówić się na spotkanie.

- Cieszę się, że tak szybko to zrobiłaś - powiedział. - Kiedy możesz wyrwać się na chwilę z twojej nowej pracy?

- Mam najbardziej wyrozumiałego szefa na świecie - odpowiedziała. - Wystarczy go tylko o to poprosić.

- W takim razie, czy jutro o trzeciej odpowiadałoby ci? Major Lomax mógłby przyjść również.

- Nie załatwiam spotkań innym osobom - odparła krótko.
- Musi to pan sam z nim uzgodnić. Ja będę w biurze jutro o trzeciej.

James White usłyszał sygnał i uśmiechnął się. Mógł sobie wyobrazić, jaka była zła. Znał doskonale ten głos, ten ostry ton, kiedy gotowała się do ataku. Jedno pociągnięcie za sznurek i Humphrey poruszył się. Teraz Davina odczuła szarpnięcie. Jeśli chodzi o Johna Kidsona... White na chwilę przymknął oczy. Kidson nie potrzebował motywacji, zrobiła to jego własna ambicja. Ambicja i niepokój. Jedynie bardzo zaniepokojony człowiek zaczyna działać, ponieważ bardziej boi się bezczynności, niż ceni cierpliwość. Zaniepokojony i agresywny. To bardzo niepodobne do Johna Kidsona, który pracował z nim tyle lat. Davina przychodziła do biura, używała sfalszowanej przepustki, a jej tak zwana praca w Agencji Arlington nie była niczym innym, jak zasłoną dymną. Czy pracowała z oficjalnym błogosławieństwem? - pytał Kidson. Czy też robiła coś na własną rękę, a jeśli tak, czy nie powinno się jej powstrzymać?

Kidson był bardzo gwałtowny, najwidoczniej podejrzewał, że jego szwagierka w jakiś sposób gra przeciwko niemu. Aluzja generała o możliwości zajęcia jego miejsca przez Davinę padła na podatny grunt. Koneksje rodzinne nie powstrzymają Kidsona od walki o to, czego pragnął. Nie powstrzyma to również i Daviny. Żałował, że musiał odsunąć spotkanie o jeden dzień. To było coś, na co czekał, aby móc zobaczyć swych współpracowników zwaśnionych i zadać im złośliwe pytania. Humphrey już zachowywał się jak motyl przekłuty szpilką, trzepocący skrzydełkami. Jego związku z

przeniesieniem Petera Harringtona ustalić nie było trudno, gdy tylko sir James usłyszał o decyzji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Bardziej interesująca wydawała się rola Daviny. Takie też będą jej wyjaśnienia przyczyn wizyty w biurze, co zresztą sam sprawdził zaraz po tym, jak ją Kidson oskarżył. W książce nocnego dyżurnego istotnie widniało nazwisko panny Burgess. Nic prostszego, jak zapytać o dawną sekretarkę i dowiedzieć się, że pracuje w brytyjskim konsulacie w Johannesburgu na bardzo odpowiedzialnym stanowisku.

A więc jutro o trzeciej po południu. Z niecierpliwością oczekiwał tego spotkania.

ROZDZIAŁ 5

Mężczyzna, znany jako Sam, zaczął kompletować swój zespół. Przyjechali pociągiem i zatrzymali się w dwóch różnych pensjonatach na tej samej ulicy, a potem spotkali się w hotelowym barze ze swym przywódcą. Lomax pił drinka, kiedy się pojawili. Z powodu wczesnej pory bar był jeszcze stosunkowo pusty. Zwrócił na nich uwagę z przyzwyczajenia: patrzył na ludzi, ponieważ nauczono go obserwować i zauważać to, co było dziwne, inne. Właściwie w zachowaniu trzech przybyłych mężczyzn nie było nic niezwykłego, poza tym że unikali się wzajemnie, stojąc przy barze. Lomax skończył swoją whisky, zdecydował się zjeść kanapkę i pójść do kina - w „Classicu” dawano dobry western. Nie lubił samotnych wieczorów, gdy czas włókł się nieznośnie. Bar zaczął się wypełniać; przepchnął się, aby zamówić jeszcze jednego drinka, a także dlatego, że był ciekawy; stanął obok trójki, która zwróciła jego uwagę. Jednym z nich był jasnowłosy mężczyzna około czterdziestki z lisią twarzą. Bardzo silny i wysportowany - dało się to zauważyć z bliska.

- Podwójną „Black and White”, proszę! - rzucił Lomax do barmana.

- ...dobra, zobaczymy się jutro - dosłyszał szept wypowiedziany z szerokim akcentem ze Scouse. Grupka się rozpadła; mężczyźni jeden za drugim opuszczali bar. Ostatni wyszedł ten z lisią twarzą. Zatrzymał się, aby wrzucić dziesięć pensów do automatu z owocami, ale nie miał szczęścia; potem zniknął na ulicy. Lomax odnosił wrażenie, że zatrzymał się umyślnie; wziął swoją whisky i kanapkę z szynką do stolika. Kilku stałych gości uśmiechnęło się do niego, jeden poprosił, aby przysiadł się do niego. Nie mógł odmówić, choć była to ostatnia rzecz, na jaką miał ochotę. Nie podobało mu się to małe, odegrane przy barze przedstawienie. Nie podobał mu się też jasnowłosy mężczyzna z jasnymi oczami - było w nim coś

takiego, co budziło niepokój. Poruszał się w sposób znany i Lomaxowi - lekko unosząc pięty, gotowy rzucić się do akcji, gdyby coś się wydarzyło.

Film nie sprawił mu przyjemności i wyszedł z sali przed końcem. Następnego dnia była środa. Jutro miał poczynić ostatnie obserwacje co do sposobu rotacji więźniów przybywających do miasta. Później chciał przejść całą zaplanowaną trasę i następnego wieczoru wrócić do Londynu. Przyjechałby z powrotem dzień wcześniej, niż to zapowiedział Davinie.

Dzień był targowy. Na placu stało pełno straganów, na których oferowano wszystko: od sprzętu domowego do owoców, jarzyn i gotowej konfekcji. Lomax zatrzymał się przy stoisku, na którym sprzedawano ręcznej roboty srebrną biżuterię. Chciał kupić jakiś prezent dla Daviny. Wybrał ładny pierścionek z dwiema złączonymi dłońmi pod serduszkami. Miał nadzieję, że będzie pasował. W chwilę potem zobaczył, że więzienny autobus skręcił za róg i zaparkował na swoim miejscu. Na moment przystanął udając, że ogląda buty na sąsiednim straganie. Właściciel zachęcał, podkreślając, że to „prawdziwa skóra”, „spód i wierzch - wszystko z prawdziwej skóry”.

Zobaczył wysiadającego z autobusu Petera Harringtona i natychmiast usunął się z pola widzenia, pozostawiając sprzedawcę plastikowego obuwia w osłupieniu. Harrington był w cywilnym ubraniu: w jakiejś bezbarwnej sportowej, za luźnej marynarce, koszuli z odpiętym kołnierzykiem i apaszką na szyi. Twarz miał szarą i spiętą. Lomax szedł za grupą, zachowując bezpieczną odległość. Harrington ze swoim towarzyszem odłączyli się od pozostałych. Był to ten sam pracownik więzienia, z którym widział go poprzednio. Zauważył, że Harrington spojrział na zegarek i coś powiedział do tego drugiego, a ten się roześmiał. Obaj szli przez

targowisko, minęli kilka rzędów stoisk niczego nie kupując. Lomax podążał za nimi, tak jak zamierzał to zrobić dziesięć dni później, gdy będą z nim jego ludzie.

- Co jest tam dalej? - spytał Harrington.

Była dopiero pierwsza piętnaście, miał więc jeszcze pół godziny.

- Używane książki, jakieś drobiazgi. Raczej sporo tandety - odparł pracownik więzienia. - Chcesz to oglądać?

- Czemu nie? Może znajdę sobie jakieś czytała. Po ile są?

- Pięć pensów, trzy pensy. Dobra, przejdźmy się i zobaczmy, co tam jest.

Harrington miał w kieszeni osiemdziesiąt pensów. Umyślnie przedłużał czas, oglądając jakieś chińskie figurki i kawałki połamanej sztucznej biżuterii, leżącej na talerzu z kartką: „Każda sztuka dziesięć pensów”. W końcu rzuciwszy ukradkowe spojrzenie na zegarek, kupił podniszczoną książkę o pieszych wędrówkach po Walii.

- Chciałbym pójść do supermarketu - powiedział - i kupić trochę firmowych herbatników. Mam nadzieję, że ich jeszcze nie rozprzedali.

- W porządku - odparł opiekun. - Ale musimy się pośpieszyć.

- Chcę tylko kupić te ciastka - szybko wtrącił Harrington. Udało mu się smutnie uśmiechnąć, gdy dodał: - Nie zostało mi pieniędzy na coś innego.

Lomax zauważył, że zmieniają kierunek, i ukryty w potoku ludzi podążył za nimi. Przepchnął się nieco bliżej, gdy dochodzili do wejścia. W tej samej chwili zobaczył mężczyznę o lisiej twarzy.

Stało się to tak szybko, że Harrington nawet nie mógł powiedzieć, co rozdzieliło go z towarzyszącym mu opiekunem. Nie widział mężczyzny, który wpadł wprost na

wartownika, wbijając mu łokieć w żołądek i uderzając kantem dłoni w kark. Poczuł, że chwycono go za ramię i odepchnięto na bok. Z trudem łapiąc oddech, zaskoczony szybkością incydentu, został pociągnięty w boczną uliczkę tak prędko, że o mało się nie przewrócił. Drzwiczki samochodu otwarły się i niemal dosłownie wrzucono go do wnętrza. Mężczyzna, który wskoczył za nim, popchnął go na podłogę wozu, który już nabierał szybkości.

Lomax przepychał się z wysiłkiem w ślad za nimi; zdążył tylko zobaczyć odjeżdżającą zieloną cortinę i jej numer rejestracyjny. Nie tracąc ani chwili odwrócił się i roztrzając przechodniów, pobiegł do swego samochodu. Zaklął otwierając kluczykiem drzwiczki, bo ta ostrożność kosztowała go teraz bezcenne sekundy, przeklinał samego siebie za to, że był za daleko, by przeszkodzić porwaniu.

Harrington przepadł wprost sprzed jego nosa. Uprowadzono go. Teraz błyskawicznie oddalał się od miasta, podczas gdy jego opiekun leżał na ziemi nieprzytomny i nikt nie podnosił alarmu. Davina miała rację - Albatros przygotował Harringtona do porwania. Cholerni przeciwnicy dotarli do niego pierwsi.

Harrington zaczął drzeć. Skulony na podłodze samochodu czuł się podle. Uniósł nieco koc, jaki na niego narzucono, i spojrzał w twarz mężczyzny, który go uprowadził. Był bardzo brutalny. Harrington czuł ogromne napięcie, które mogło skończyć się niepotrzebnymi łzami.

- Zwymiotuję, jeśli będę tak leżeć dłużej - powiedział.

Jasne oczy spojrzały w dół i zlustrowały otoczenie samochodu ze wszystkich stron. Znajdowali się na otwartej drodze prowadzącej do Ashton. Wokół było pusto.

- Okay - powiedział Sam. - Usiądź na chwilę. Ale kładź się od razu, jak tylko ci powiem.

Harrington podniósł się niezręcznie, zdyszany. Usiadł na siedzeniu, zsuwając się możliwie najniżej, gdy mijał ich jakiś samochód.

- Chryste Panie - wykrztusił - ale to było tempo! Rzeczywiście działasz błyskawicznie!

Sam przytaknął.

- Nigdy nie kręcę się na próżno - odparł. - Słuchaj, nie mogę z tobą rozmawiać, rozumiesz? Miałem wykonać robotę, ale poza tym niczego nie chcę o tobie wiedzieć, jasne?

- Chciałem ci tylko podziękować - wymamrotał Harrington.

- Dobrze, już to zrobiłeś. Teraz trzymaj gębę na kłódkę i, jak cię popchnę, padaj!

- Dokąd jedziemy? - nalegał Harrington. - Muszę to wiedzieć.

Sam rzucił mu krótkie spojrzenie.

- Zamknij się - powiedział.

Odwrócił się, aby spojrzeć w tylne okno. Za nimi jechały dwa samochody osobowe i duża ciężarówka. Oddalili się bezpiecznie od Shropwith; furgonetka, do której mieli się przesiąść, oczekiwała ich w zatoczce przy drodze w odległości sześciu mil. Harrington siedział skulony w rogu. Dreszcze powoli mijały, na ich miejsce pojawiło się uczucie euforii i silne pragnienie rozmowy z tym ponurym drabem siedzącym z drugiej strony.

- Masz papierosa? - spróbował na początek. Mężczyzna sięgnął do kieszeni, rzucił mu na kolana paczkę papierosów i tanią zapalniczkę. Nie odezwał się. Harrington zaciągnął się głęboko. Wydostał się. Dotrzymali słowa. Co za organizacja - nigdy nie zawodzą swoich ludzi! Powiedzieli, że zadbają o niego, i jak Boga kocham, zrobili to! On też niczego nie powiedział. Niczego, poza jednym pieprzonym imieniem - kryptonimem, które nic nie znaczy: Albatros. Zagrałem ci na

nosie, panno Davino Graham. To wszystko, co będziesz o nim wiedziała. Nie zdawał sobie sprawy, że śmieje się głośno do siebie. Mężczyzna spojrzał na niego, skrzywił się i odwrócił, koncentrując uwagę na szosie.

Cholerny pomylenieć i to jego rzenie! Odbiło mu - jak to mówiło się w starych filmach z Jamesem Cagneyem. Podróż z nim do Dublina nie zapowiadała się zabawnie. Sięgnął ręką, wziął z powrotem papierosy i zapalniczkę.

Harrington nie był przygotowany na popchnięcie.

- Na dół - usłyszał warknięcie i stoczył się na podłogę.

Z tyłu zbliżał się biały fiat, który przemknął obok, podczas gdy Harrington leżał na podłodze zwinięty w kłębek.

- Zostań tam - powiedział Sam. - To już niedaleko.

Miał chęć zaprotestować, ale zdecydował, że nie warto. Był wolny. Wolny! I to było najważniejsze.

- Spóźnia się - zauważył Humphrey Grant.

- Nie wszyscy są tak punktualni jak ty, drogi kolego - zauważył sir James White. - Pamiętam, jak przyjeżdżałeś z Cambridge z Philipem, i zawsze byłeś na śniadaniu punktualnie co do minuty. On zaś zupełnie nie miał poczucia czasu, biedny chłopak.

Grant nie odpowiedział. Nie lubił, gdy mu przypominano przyjaźń z jedynym, już nie żyjącym, synem White'ów. Wolał zapomnieć o swych uniwersyteckich czasach. Sir James też nie wspominał o tym od lat. Teraz był w złym nastroju; Grant rozpoznał tę, nie wróżącą nic dobrego, żartobliwość. Im bardziej Szeff stawał się rozbawiony, tym groźniejsze było uderzenie. Odwrócił się i zaczął ponuro wpatrywać się w okno. Rzadko kiedy czuł się tak niepewny, niemal obnażony, pod spojrzeniem tych chłodnych błękitnych oczu. Raz jeden - pomyślał - zwróciłem się do niego jak do ojca. Jakim głupcem byłem myśląc, że można mu ufać. Jak nie zdawałem sobie sprawy z barier, które istniały między nami; nie wiedziałem o

długich latach podwójnego życia, o utracie mej tożsamości, o plątaninie kłamstw, przez którą miałem brnąć - o ofierze z całego mego życia. I wszystko to zaczęło się w Cambridge, gdy zaprzyjaźniłem się z jego synem.

Odwrócił się słysząc otwierające się drzwi, ale to był tylko Kidson. Kiedyś utrzymywali przyjazne stosunki, jako bliscy współpracujący ze sobą koledzy, doceniający swoje odmienne umiejętności, tak potrzebne w ich pracy. Teraz panował między nimi chłód i podejrzliwość. Sukcesja po Jamesie Whicie leżała między nimi jak klejnot, który można ukraść lub jak broń, po którą należy sięgnąć. On i Kidson nie byli już przyjaciółmi.

- Dzień dobry - powiedział Kidson. - Dzień dobry, Szefie.
- Rozejrzawszy się dodał: - Myślałem, że Davina też przyjdzie.

- Pewnie utknęła w korku. Powinna tu być lada chwila. Zapalił sub rosa. Grant zastanawiał się, czy podejdzie bliżej, aby wypuścić dym na niego, wiedział przecież, jak tego nie znosił. W jego uśmiechu czaiło się okrucieństwo, siwe brwi uniesione były pytająco.

- Prawie konferencja: cała wasza trójka razem. Jak za dawnych czasów, gdy zjawi się Davina. Otóż i ona!

Wszyscy odwrócili się, gdy weszła do gabinetu. Z głową wysoko podniesioną - stanęła z rozwiniętym sztandarem bojowym.

- Dzień dobry - powiedziała.

- Mówiłem, że musiały być korki - zauważył sir James - i dlatego się spóźniłaś.

- Przede wszystkim zwolniłam się ze swego biura, więc proszę, przystąpmy do rzeczy możliwie bez zwłoki. Chciał mnie pan widzieć? - zwróciła się do Jamesa White'a.

Jej opryskliwość została wynagrodzona: uśmiech zniknął z jego twarzy. Odparł kwaśno, wyraźnie zirytowany:

- Wszyscy jesteśmy zajęci, a ty kazałaś na siebie czekać. Myślę, że lepiej będzie, jeśli usiadziemy.

Zajął swoje miejsce za wielkim mahoniowym biurkiem. Kidson i Grant usadowili się w fotelach. Davina stała dalej. Przełożyła dużą brązową kopertę pod lewe ramię.

- Davino - zapytał White - w jakim celu odwiedziłaś Petera Harringtona?

- Wypełniałam polecenie - odparła spokojnie. Kidson podniósł wzrok i wpatrywał się w nią.

- Czyje polecenie, jeśli mogę zapytać? Przecież wycofałaś się ze Służby.

- Wycofałam się ze Służby właśnie po to, aby je wykonać - odpowiedziała. - I to wszystko, co mam do powiedzenia.

- Humphreyu - rzekł James White - ty spowodowałeś przeniesienie Harringtona do otwartego więzienia. Davina odwiedzała go za twoją wiedzą. Czyż nie tak?

Grant spojrział na swe szczupłe dłonie splecione kurczowo na kolanach i odpowiedział:

- Tak, istotnie tak było.

Davina nie patrzyła na niego. Nie miała zamiaru go obwiniąć.

- Johnie - James White zwrócił się do Kidsona - myślę, że ty też masz mi coś do powiedzenia.

Kidson nie wahał się. Od razu zaczął oskarżycielskim tonem:

- Widziałem Davinę wychodzącą z Anne's Yard pewnego wieczoru, jakiś miesiąc temu. Mogę zresztą podać dokładną datę: dwudziestego kwietnia o godzinie dwudziestej czterdzieści pięć. Zainteresowało mnie to, bo wiedziałem, że wycofała się ze Służby i ciągle podkreślała, że nie chce mieć z nią nic wspólnego ani z nikim z dawnych współpracowników. Takie w każdym razie odniosłem wrażenie, gdy spotkałem ją kilka tygodni wcześniej w rodzinnym gronie. Następnego

ranka spytałem o to wartownika. Kobieta odpowiadająca jej rysopisowi była w budynku, podpisała się w książce nocnego dyżurnego nazwiskiem Iris Burgess, która tam niegdyś pracowała, i przedłożyła przepustkę na to samo nazwisko. Sprawdziliśmy to dokładnie. Okazało się, że Iris Burgess jest w Johannesburgu.

- Czy to prawda, Davino, weszłaś do budynku ze sfalszowaną przepustką?

Wyjęła spod pachy brązową kopertę i trzymała ją przed sobą jak tarczę.

- Tak - odrzekła bez emocji. - Zrobiłam to.

- Zgodnie z poleceniem? - Pytanie zostało zadane łagodnym tonem.

- Na moją prośbę - odparła.

A kto wydał ci sfalszowaną przepustkę? Pokręciła odmownie głową.

Ja to zrobiłem - odezwał się Humphrey Grant. - Ja też dałem jej klucz do pomieszczenia z tajnymi dokumentami.

W pokoju zapanowała cisza. Nikt się nie poruszył ani nie odezwał. Wszyscy czekali, aż przemówi James White.

- Ty i Davina działaliście potajemnie. Musicie mieć jakieś uzasadnienie tego zachowania, które w innym wypadku należy określić jako naruszenie przepisów. Chciałbym je usłyszeć.

Davina czekała na tę chwilę. Zanim Humphrey zdołał powiedzieć cokolwiek, podeszła do biurka i położyła przed sir Jamesem brązową kopertę.

- Wyjaśnienie znajduje się tutaj - rzekła. - Falszowano tajne dokumenty w teczkach personalnych na przestrzeni około piętnastu lat. Informacje wielkiej wagi, pozwalające na wyciąganie ważnych wniosków, zostały usunięte z teczek, aby ukryć to, co starałam się tam znaleźć.

Spojrzała na Humphreya Granta. Spóźnił się o sekundę, by ukryć zdumienie. Kidson zrobił się purpurowy i wracał do siebie powoli. Tylko James White pozostał nieporuszony.

- A co starałaś się znaleźć? - zapytał.

- Albatrosa - rzuciła między nich to imię jak granat. - I chcę wam wszystkim zwrócić uwagę, że jestem tego diabelnie blisko. Do widzenia.

Podeszła do drzwi, nie spojrzawszy na żadnego z nich, otworzyła je i mocno zatrzasnęła za sobą. Pierwszy wybuchnął Kidson:

- Co, u diabła, ona sobie wyobraża? Szefie, trzeba ją zatrzymać! Sprowadzić tu z powrotem; przecież nie może powiedzieć nam czegoś takiego i potem odejść, jak gdyby nigdy nic!

Sir James nie poruszył się.

- Humphreyu - powiedział spokojnie - sędzę, że zaskoczyła cię w równej mierze, jak mnie i Johna. Nic nie wiedziałeś o tych teczkach?

Trupioblada twarz Granta uniosła się lekko.

- Chciała je zobaczyć - odrzekł. - Potem powiedziała, że nie zawierają żadnych dowodów - wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł nos. - Właśnie po tym, jak je obejrzała, zrezygnowała z prowadzenia dalszego śledztwa.

- Co znaczy, że ci nie ufa - zwrócił uwagę Kidson.

- Nie ufa również tobie, Johnie, ani mnie - podkreślił sir James. - Albatros: kryptonim osoby lub operacji. Dlaczego wzięłaś się za to, Humphreyu, za naszymi plecami? Wydaje mi się, że powinieneś to wyjaśnić w pierwszym rzędzie.

Grant odchrząknął. Po chwilowym wstrząsie już przyszedł do siebie i najpierw odpowiedział na wyzwanie rzucone przez Kidsona.

- Po tym co zaszło w Meksyku, otrzymałem raport od majora Lomaxa. Był to raport poufny, sporządzony przez

człowieka, który nie spodziewał się żyć dłużej niż sześć miesięcy. Nie pokazał go Davinie, lecz dał go mnie. Raport był alarmujący. Jako nowy człowiek w Służbie Lomax zobaczył to, co ludzie tacy jak my przeoczyli. Zobaczył całą serię złowieszczych zbiegów okoliczności wskazującą na to, że na najwyższym szczeblu pracuje zdrajca. Oznacza to, że jeden z nas, nawet pan Szefie, może być sowieckim agentem. Chciałbym podkreślić - dodał cierpko - że Lomax ze swymi podejrzeniami zwrócił się do mnie. Ja z kolei zwerbowałem Davinę jako jedyną godną zaufania osobę, zdolną zdemaskować wtyczkę, czyli „kreta”.

Jej rezygnacja z pracy u nas była częścią zasłony dymnej. Udała się do Harringtona, który potwierdził, że wewnątrz Służby jest rosyjski agent i że był tam od lat. Wyjawiał jej też ten kryptonim: Albatros. Chciał wytargować sobie wolność, ale nie powiedział nic więcej. Częścią umowy miało być przeniesienie go ze Scrubs, jako wstęp do wymiany lub uprowadzenia. Zacząłem to organizować, zanim Davi - na zarzuciła całą operację, stwierdziwszy, że niczego nie może znaleźć. Byłem wściekły i zdumiony jednocześnie. W końcu podjąłem poważne ryzyko, starając się znaleźć zdrajcę.

- Tak jest w istocie - zamruczał James White. - Ale co interesuje mnie szczególnie, to to, że Davina najwidoczniej przestała ci ufać po obejrzeniu akt. Nie staram się ciebie dotknąć, Humphreyu, ja tylko stwierdzam fakt. Davina zdecydowała się pracować dalej na własną rękę, co oznacza, że dołączyłeś do nas jako ewentualny podejrzany. I również tobie, Johnie, nie okazała zaufania. A przecież należałoby przypuszczać, że powinna to zrobić: jesteś jej szwagrem, co przed chwilą wypomniał ci Humphrey.

Nie w tym przypadku - rzucił gniewnie Kidson - gdy zasugerowano jej, że ja mógłbym być Albatrosem.

Czy implikujesz, że cię oskarżyłem? - odezwał się Humphrey podniesionym głosem.

- Nie wiem, co zrobiłeś - odpowiedział Kidson. - Ale cokolwiek to było, to i tak odbiło się rykoszetem w twoją stronę. Znalazła dość, aby cię podejrzewać, zatrzymując dla siebie informację o fałszowaniu akt. I, nawiasem mówiąc, to ty wyciągnąłeś Harringtona z więzienia o zaostrożnym rygorze. Czy to było przed, czy po tym, jak Davina oświadczyła, że wycofuje się ze sprawy.

Humphrey odwrócił się do niego plecami i powiedział do Jamesa White'a:

- Przeniesienie było pierwszą częścią umowy z Harringtonem. Wydałem odpowiednie instrukcje Ministerstwu Spraw Wewnętrznych. Zazwyczaj, jak wiecie, takie sprawy wymagają trochę czasu. Jednak tym razem zadziałali szybko i Harrington przybył do Shopwith, zanim miałem okazję, by rzecz odwołać. Ale to była moja wina, przyznaję.

- Czy zwykle drańskie „niedbalstwo” nie byłoby lepszym słowem? - warknął Kidson.

- Wystarczy! - James White znalazł się między nimi, gdy obaj wstali gotowi do konfrontacji. - Uspokój się, Johnie. I ty, Humphreyu, także. Wszyscy jesteśmy podejrzani, zgodnie z opinią naszej koleżanki. I jeśli przed chwilą powiedziała prawdę, jeden z nas wkrótce będzie zdemaskowany. Możemy siedzieć i czekać, aż bomba podłożona przez Davinę Graham wybuchnie u naszych stóp, albo też sami rozpocząć śledztwo. Myślę, że pierwszym posunięciem powinno być sprowadzenie Petera Harringtona z powrotem w bezpieczne miejsce. Drugim zaś przestudiowanie tych dokumentów i sprawdzenie, co w nich znalazła Davina. - Gdy zadzwonił telefon wykrzyknął z irytacją.

- Powiedziałem Phyllis, żeby mnie z nikim nie łączyła. - Słuchał przez chwilę i rzucił ostro: - Dobry Boże, kiedy to się stało?

Kidson i Humphrey spojrzeli na siebie. Sir James odłożył słuchawkę.

- Cóż - powiedział - to zmienia wszystko. Harrington uciekł.

John Kidson złożył teczkę z dokumentami, wstał i powiedział powoli:

- Udało ci się to spieprzyć, Humphreyu, nie sądzisz? Wątpię, czy bez niego Davina lub ktokolwiek inny znajdzie Albatrosa. Zabiorę to ze sobą, Szefie, i dokładnie przestudiuję.

Kiedy wyszedł, Humphrey podniósł się. Wyprostował swe długie, chude ciało ostrożnie, jakby bojąc się, że gwałtowny ruch może złamać którąś z kończyn.

- Idę zrobić to samo - powiedział. - Po tym jak Kidson starał się rzucić na mnie podejrzenie, zwrócę na niego szczególną uwagę.

Lomax włączył trzeci bieg i pomknął do przodu, aby prześcignąć cortinę. Widział jedną głowę na tylnym siedzeniu i nikogo obok kierowcy. Nie spojrzął na samochód, który wyprzedzał - wszystko, co go interesowało, zobaczył we wstecznym lusterku. Było niezmiernie ważne, żeby nie zdawali sobie sprawy, że są śledzeni - dlatego właśnie wyminął ich z taką szybkością. Odjechał na znaczną odległość, bez przeszkód obserwując samochód w lusterku. W odległości kilku mil nie było też żadnego skrzyżowania. Dał sygnał światłami, aby cortina go wyprzedziła, i skierował się do stacji obsługi. Kiedy to robił, minął po wewnętrznej szarą furgonetkę z napisem „Hudson Garden Center”. Jeden z mężczyzn, którego widział w hotelu w Shropwith, siedział za kierownicą. Lomax nie zatrzymał się przy stacji obsługi, objechał dokoła dystrybutory i popędził za furgonetką. Cortina

jeszcze ciągle była w tyle. Teraz to już nie miało znaczenia, wiedział bowiem, jaką rolę spełni furgonetka. Harrington przesiądzie się, aby przebyć w niej drugą część podróży. Lomax nieco zwolnił, pozostawiając jeden samochód między sobą i furgonetką, i wkrótce zobaczył migotanie lewego światła, gdy zbliżyli się do zatoczki na obrzeżu szosy. Szybkie spojrzenie do tyłu upewniło go, że samochodu z Harringtonem jeszcze nie widać. Z takim ładunkiem będą dokładnie przestrzegali ograniczeń szybkości.

Szara furgonetka zahamowała. Lomax zjechał do zatoczki. Działał teraz zgodnie z rozwojem wydarzeń. W wozie z Harringtonem było dwóch mężczyzn, w furgonetce zaś jeden. W barze widział tylko trzech. Miałby paskudnego pecha, gdyby ktoś jeszcze był ukryty wewnątrz wozu, ale tego nie zakładał. Wysiadł teraz z samochodu i poszedł w kierunku furgonetki.

Kierowca go zauważył. Zobaczył mężczyznę w dzinsach i swetrze, który idąc zapalał papierosa. Lomax zatrzymał się i zastukał w szybę. Kierowca nie powinien otwierać okna; miał rozkaz czekać w zatoczce i siedzieć ze spuszczoną głową, póki nie podjedzie cortina. Ale wyglądałoby to diabelnie podejrzanie, gdyby ktoś zapukał w okno z niewinnym pytaniem i on nie otworzył. Opuścił więc szybę i powiedział:

- Tak, koleś?

- Masz lewarek? - zapytał Lomax. Przesunął ręką po klamce i ta się poddała. Kierowca nie zamknął się. To było postępowanie nieprofesjonalne. - Złapałem paskudną gumę w tylnym kole.

- Niestety, nie wożę ze sobą - kierowca pokręcił głową. Kiedy drzwi zostały otwarte, kierownica przeszkadzała mu w ruchach. Pięść Lomaxa wylądowała dokładnie na podbródku kierowcy. Za tym ciosem nastąpiło uderzenie brzegiem dłoni po karku. Nie był to cios śmiertelny, ale

kierowca zgiął się i stoczył na siedzenie obok. Lomax zamknął drzwi, szybko rozejrzał się dokoła, ale nie zobaczył nic, oprócz przemykających samochodów. W każdej chwili teraz mogła się pojawić cortina. Musiał skorzystać z tej wariackiej szansy i zająć miejsce kierowcy w nadziei, że mężczyźni z cortiny zrobią to, co on zrobiłby na ich miejscu: przekażą „bagaż” bez podchodzenia do furgonetki i zbędnych pogaduszek z kierowcą. Ściągnął z głowy nieprzytomnego mężczyzny firmową czapkę z daszkiem i włożył ją. W bocznym lusterku zobaczył cortinę. Jej pasażerowie dostrzegli zaparkowany samochód. Wiedział o tym, bo spostrzegł, jak zwolnili, a potem dodali gazu, sygnalizując jednocześnie, że skręcają w lewo. Musieli trzymać się swego planu. Wyobrażał sobie, jak ten z lisią twarzą klnie w duchu, zastanawiając się, dlaczego na poboczu stoi pusty samochód. Prawdopodobnie sądzi, że kierowca gdzieś się załatwia. Cortina wjechała w zatoczkę i zahamowała. Lomax siedział bez ruchu, wpatrując się w boczne lusterko. Zobaczył, jak się otwierają tylne drzwi i wychodzi z nich mężczyzna. Przeszedł na drugą stronę; Lomax przeniósł wzrok na lewe lusterko i dostrzegł wyślizgującego się, zgiętego wpół Harringtona, niewidocznego z szosy. Ten z lisią twarzą ruszył naprzód i Lomax stracił go z oczu. Jeśli podejdziesz do drzwi kierownicy, nie będzie szans na blefowanie. Otworzył je i czekał w gotowości napięty do ostatnich granic.

Mężczyzna, zwany Samem, zerknął na Harringtona. Ten, schylony nisko, skrył się za samochodem. Jedno szybkie spojrzenie na szosę upewniło Sama, że w ruchu nastąpiła jakaś przerwa - nie widać było żadnego samochodu. Gwałtownie pomachał ręką i Harrington, wyprostowawszy się, podszedł do furgonetki. Tylne drzwi były otwarte; Sam wepchnął Harringtona i wskoczył za nim, a potem zamknął drzwi. W ścianie było małe okienko, dające skąpe światło, w którym

widać było zarys głowy kierowcy. Sam uderzył w okienko dwa razy, głowa poruszyła się i w sekundę później furgonetka ruszyła, kierowana ostrożnie na szosę. Sam wyciągnął kieszonkową latarkę, odnalazł torbę podróżną i popchnął ją w stronę Harringtona, który siedział skulony na podłodze.

- Przebierz się w to - powiedział.

Harrington rozpakował torbę przy świetle latarki. Ciemnoniebieski garnitur, biała koszula, ciemny krawat, czarne półbuty. Zastanowił się, skąd znali jego rozmiary, ale zaraz przypomniał sobie pokój na placu Dzierżyńskiego mieszczący komputer, w którego pamięci znajdowały się wszystkie szczegóły dotyczące każdego pracownika KGB i całej obsługi.

- Dokąd jedziemy?

Sam odpowiedział spoza kręgu światła latarki.

- Lotnisko w Manchesterze. Wybierasz się w podróż służbową. Tam w kącie masz aktówkę. Za godzinę będziemy na miejscu. A co to, u diabła!

Furgonetka zaczęła zwalniać, on zaś nie miał możliwości porozumienia się z kierowcą, mógł tylko walić w okienko. Wstał i silnie stuknął w szybę. Głowa z lekka się obróciła, dłoń wskazała na lewo. Zaczęli hamować. Sam wypluł potok przekleństw zrodzonych w koszarach Marynarki Królewskiej w Portsmouth. Furgonetka stanęła. Harrington wymamrotał do niego w półmroku:

- O co chodzi, na Boga?!

- Zamknij gębę! - usłyszał w odpowiedzi. Sam już był przy drzwiach, otwierając je trochę. Syknął przez zęby do osoby, która mignęła na zewnątrz. - Dlaczego, do ciężkiej cholery, stanęliśmy! Spóźnimy się na samolot!

Tylne drzwi otworzyły się i Lomax wskoczył do środka.

Teraz nie było to takie łatwe jak z kierowcą. Przeciwnik został wprawdzie zaskoczony, ale jego reakcje były równie

szybkie, jak Lomaxa. Pierwszy potężny cios wylądował na żołądku, ale mięśnie miał twarde jak kamień, więc się nie zwinął. Prawą nogą kopnął Lomaxa w udo, mijając krocze tylko o parę centymetrów. I właśnie wtedy Lomax zorientował się, że ma przed sobą przeciwnika tak samo wyćwiczonego jak i on. Będzie musiał zadać cios, który zabija.

Użył starego chwytu z Glasgow - ataku głową, z tą różnicą, że w ostatniej chwili uniósł ją gwałtownie do góry, aby trafić ofiarę w podbródek. Uderzenie i kąt uniesienia były bezbłędne. Kręgi szyjne Sama trzasnęły, jak nadgniła gałąź.

Harrington został zepchnięty do tylnej części furgonetki. Skurczył się na podłodze, dygocąc jak zbity pies. Usunął się z zasięgu tego huraganu, zasłaniając się przed ramami pięści i nóg. Kiedy jeden z nich padł na podłogę, nie był pewien, czy był to jego wybawca, czy napastnik. Znowu leżał w mroku; drzwi były zatrzaśnięte. Furgonetka ruszyła. Nic nie widział, bo nie mógł znaleźć latarki. W końcu odnalazł ją w kącie, ponieważ potoczyła się po wąskiej podłodze, gdy wóz skręcił w prawo. Rzucił się ku niej, chwycił i mocował się z włącznikiem, dopóki snop żółtego światła nie padł na ciało mężczyzny o włosach barwy piasku. Leżał na plecach, z głową skreconą w prawo tak, jakby szyję miał wypchaną szmatami. Harrington od razu zrozumiał, że to zwłoki. Odwrócił się i zwymiotował w ciemnym kącie. Dotarło do jego świadomości, że wprowadził go ktoś inny. Agent sowieckich mocodawców leżał tu ze złamanym karkiem. Kto, na miłość boską, siedział teraz za kierownicą i dokąd go wiozł? Uronił kilka łez, pociągając rozpaczliwie nosem. Furgonetka znowu skręciła. Zdawał sobie sprawę, że hałas na szosie jakby odpłynął. Samochód zwolnił i wreszcie stanął. Harrington leżał w swoim kącie odrętwiały, czekając, aż otworzą się drzwi i ktoś mu powie, co się stało.

Gdy się otworzyły, zamrugał powiekami i cofnął się.

- Wychodź - powiedział Lomax. - Uważaj, bo wsadzę ci kulę.

Harrington schylił się i wysunął na zewnątrz, potknął się, ponieważ zapomniał o jednym stopniu. Lomax chwycił go mocno i trzymał w pozycji pionowej.

- Ty?! - szepnął z niedowierzaniem Harrington, szeroko otwierając usta ze zdumienia.

- Tak, ja. Idź do tego białego wozu. Usiądź na przednim siedzeniu i nie próbuj żadnych sztuczek.

Wrócili do tej samej zatoczki, przy której przesiadł się do furgonetki. Lomax zauważył, że kierowca zaczyna odzyskiwać przytomność. Sporo czasu upłynie, zanim będzie mógł wyjść i zajrzeć do wnętrza wozu. Tymczasem on i Peter Harrington będą już daleko. Kiedy kierowca odnajdzie ciało swego współnika, postara się jak najstaranniej pozbyć zarówno zwłok, jak i samochodu - dla własnego bezpieczeństwa. Nikt, poza KGB, nie będzie też świadom tego, że całej operacji uwolnienia więźnia dokonał ktoś inny.

Lomax usiadł obok Harringtona i powiedział nie patrząc na niego:

- Masz dwie możliwości. Możesz zyskać coś dla siebie albo też będziesz głupcem i znajdziesz się z powrotem w więzieniu. Tylko że tym razem będzie to Oddział „D” w Parkhurst. I szybko stamtąd nie wyjdiesz. Ja nie mam przy sobie broni, więc decyzja należy wyłącznie do ciebie.

- Co to wszystko znaczy? - odezwał się powoli Harrington. - Dokąd mnie zabierasz?

- W bezpieczne miejsce, gdzie będziesz sobie siedział i opowiadał o Albatrosie. A potem, wbrew mojej opinii, Davina dotrzyma umowy i pozwoli ci się skontaktować z twoimi sowieckimi przyjaciółmi. Jeśli to cię nie urządza, zatrzymamy się przy najbliższym posterunku policji.

Harrington spojrział w okno. Czuł się słaby i pokonany. Znasz tę cholerną odpowiedź - warknął przez zęby. - Jedźmy!

Lomax uruchomił samochód i skręcił na szosę. Na następnym zakręcie zjechał z autostrady. W tym czasie na drogach prowadzących ze Shropwith ustawiono już policyjne blokady.

Tego popołudnia Davina nie widziała się z Waldenem. Nie było go w biurze. Nie chciała, pytając o niego, budzić niezdrowej ciekawości Friedy Armstrong. Pracowała z furją, życząc sobie, aby pracy było jeszcze więcej. Ciągłe jeszcze wszystko w niej się gotowało na myśl o krzywdzie, jaką wyrządzono Waldenowi. Jedyłą rekompensatą był wyraz twarzy White'a w chwili, gdy rzuciła mu swoje wyzwanie. Był to oczywiście blef, bo dopóki nie będzie miała Harringtona w rękę, nie ma szans na zdemaskowanie Albatrosa.

Jeden z tych trzech mężczyzn, z którymi spotkała się dzisiaj w biurze, był szpiegiem i zdrajcą. Odpowiedzialnym za śmierć i współpracę z wrogiem na przestrzeni wielu lat; był Judaszem, którego kupiono za... Za co? Za pieniądze, jak ewangelicznego imiennika? Albo za polityczne idee? Gdyby mogła odnaleźć motyw, byłaby bliżej człowieka. Wszystkie akta były teraz do wglądu, mogli domyślić się ręki, która tak się trudziła. Otwarta była również możliwość współpracy z Harringtonem. Davina zdecydowała się iść swoją drogą, póki nie zdemaskuje Albatrosa i nie pokaże jego prawdziwej twarzy. Zdawała sobie sprawę, że mogło to być niebezpieczne, ale akceptowała ryzyko. Warto było zmusić ich do jakiegoś działania.

Późnym popołudniem rozboleła ją głowa. Skończyła już swoją pracę; w pokoju obok ciągle nikogo nie było. Pomyślała o Waldenie, współczując mu z powodu pustego życia i tego, że pociechy musiał szukać u obcego człowieka. Podjęta przezeń próba seksualnego zbliżenia nie niepokoiła jej. Z tym

sobie zawsze dawała radę. Kochała Colina, a rozwiązłość jej nie pociągała. Ale było w Waldenie coś boleśnie obnażonego, czego nie mogła zignorować. Odważny, pewny siebie, błyskotliwie inteligentny mężczyzna, którego rozpierała energia i pomysły. A przy tym samotność, której nie dawało się ukryć za tymi sukcesami i pieniędzmi.

Zamknęła biurko i zjechała na dół windą. Szła na parking, mieszczący się na tyłach Arlington Place, gdy zobaczyła nagłówek w gazecie: „Zdrajca ucieka”. Kupiła więc ją, wiedząc, co tam przeczyta. Peter Harrington znikł z otwartego więzienia w Shropwith. Zwinęła gazetę, wsiadła do samochodu i odjechała do domu. Oboje z Lomaxem spóźnili się. KGB dotarło tam przed nimi.

Weszła do mieszkania przy Marylebone, położyła klucze stoliku w przedpokoju i ponownie otworzyła gazetę. Czowała w sobie pustkę i zmęczenie. Drzwi od bawialni otworzyły się i zobaczyła stojącego w nich Colina.

- Och, Boże - powiedziała - wiesz, co się stało?

- Tak - podszedł do niej i lekko pocałował. - Wejdz, kochanie. Mamy gościa.

Przeszła obok niego i dostrzegła siedzącego na sofie, z drinkiem w ręku, Petera Harringtona.

- Cóż, jestem tutaj - powiedział. - Nie tam, gdzie chciałem, ale jednak lepsze to niż miejsce, gdzie byłem. Miło cię znowu zobaczyć, Davy. - Pociągnął łyk ze szklanki i uśmiechnął się. - Major nie pocałował mi szkockiej - zauważył. - Pierwszy kieliszek po sześciu latach. Jestem zupełnie ululany.

Davina stała wpatrując się w niego, a potem zaczęła się śmiać, padając w ramiona Colina Lomaxa.

Jestem bezpieczny. Wyciągnęli go w samą porę. Wiedziałem, że mnie nie zawiodą. Albatros. Nie lubił tego kryptonimu i jego posępnych konotacji, ale nosił go tak długo,

że mógł śmiać się z tego zabobonu. W ostatnich miesiącach uśmiechał się z coraz większym trudem, zwłaszcza gdy nie był sam. Śledztwo. Straszne słowo, którego używał w stosunku do innych. Świadomość tego, jak pracuje cała ta maszyna, tylko pogarszała sprawę. Był w stanie wymienić tuzin przykładów, gdy inni ludzie podejrzani o zdradę byli śledzeni i schwytani, nie mając najmniejszego pojęcia, że ich czas się skończył. Ale z nim tak nie będzie. Teraz był nieosiągalny. Niebezpieczeństwo uderzyło jak poryw wichury i tak samo nagle opadło, on zaś mógł iść dalej przy cichej pogodzie. Jego ludzie w Moskwie odpłacili się za lata wiernej służby szybką akcją. I Harrington otrzyma swoją nagrodę.

Dla Harringtona to znacznie lepiej, że nie miał okazji do zdrady. Moskwa by mu tego nie wybaczyła. Teraz będzie fetowany i uhonorowany i choć jest takim marnym człowiekiem, będzie traktowany jak bohater.

Gdy przyjdzie moja kolej, nie chcę tego. Nie ucieknę na wygnanie. Przejdę na emeryturę i spędzę resztę życia w kraju, który kocham i któremu służyłem tak, jak uważałem za słuszne. Kiedy umrę, mój nekrolog będzie zamieszczony w „Timesie”. Wyjaśni on, jak służyłem społeczeństwu, wyliczając wszystkie moje zasługi. A cała prawda zejdzie ze mną do grobu. Moja prawda, moje przekonania. I żałobnicy, stojąc przy wieńcach, nic nie będą wiedzieli... Nawet ci, których kocham gorąco, też się nigdy nie dowiedzą.

Melancholia zajęła miejsce uczucia ulgi. Spróbował się z tego otrząsnąć, zniecierpliwiony własną pobłażliwością wobec tych rozpamiętywań o śmierci, tak nie na czasie w obecnej chwili. Napięcie było dużo większe, niż sobie wyobrażał. Jedną sprawą to puszczać psy gończe cudzym śladem: to w swojej pracy bardzo lubił. Co innego zaś czuć, jak depczą tobie po piętach. Ta przeklęta baba! Dlaczego nie została

zabita w Meksyku, dlaczego nie padła ofiarą bomby w Australii?

Siedział nieruchomo myśląc, że gdyby Harrington nie został uwolniony, to trzeba by było coś zrobić z Daviną Graham, zanim zanadto zbliży się do niego.

Teraz, na szczęście, można o tym nie myśleć. Włożył kopertę, którą zostawiła, do swojej teczki i wyszedł do domu.

Jurij Rudzenko studiował poufne sprawozdanie z sekcji zwłok dziewczyny. Przeprowadzono ją poprzedniej nocy, przed kremacją. Samobójstwo za pomocą środków nasennych i alkoholu. Zwrócił uwagę na treść żołądka; udusiła się, pozostając nieprzytomna. Na ramionach były ledwo widoczne sińce, na szyi ślad po miłosnym ugryzieniu, pozostawiony na parę godzin przed śmiercią. Kilka drobnych zadrapań na czaszce - jakby ciągnięto ją za włosy. Robią tak - pomyślał - aby uniknąć widocznych siniaków, na wypadek gdyby się opierała. Słabe przekrwawienia wokół nosa świadczyły, że użyto siły. Ścisnęli jej nozdrza, żeby otworzyć usta. A potem włali wódkę z pigułkami.

Odłożył ponury dokument na bok. Ten ślad na szyi dowodził, że była z Borysowem. Sekcja wykazała także, że tej samej nocy odbyła stosunek płciowy. Borysow spał z nią, a potem oddał w ręce oprawców. Rudzenko skrzywił się z niesmakiem.

W sprawach seksu był tak samo świętoszkowaty, jak polityce. Nienawidził i pogardzał zepsuciem młodszego i okolenia, a także słabościami starych towarzyszy w rodzaju Żerkowa. Widział korodowanie żelaznych ideałów i altruistycznego oddania się sprawie marksizmu - leninizmu, które przenikało jak trucizna w życie sowieckiego społeczeństwa i krajów bloku wschodniego. Jedynie Niemcy Wschodnie pozostały nie tknięte tym moralnym rozkładem, który osiągnął swoje apogeum w Polsce. Religia - to godne

pogardy oszustwo, przeznaczone do przekupywania narodów obietnicami szczęścia po śmierci! Rudzenko nienawidził wszelkich religii. Drażniła go myśl o otwartych jeszcze w Związku Radzieckim cerkwiach, nawet jeśli modliły się tam tylko staruszki i trochę młodzieży o zmaconych umysłach. Dążył w swojej ojczyźnie do zniszczenia nieprzejednanych muzułmanów, do zdławienia małych grup baptystów, którzy opierali się polityce państwa i służyli jako materiał propagandowy dla Zachodu. Marzył o oczyszczeniu ze zgnilizny moralnej i światopoglądowej, jaką widział dokoła, i przywróceniu krajowi starych, niezłomnych zasad, przy których każdy kompromis był karany jak zdrada. Nigdy nie bał się Stalina. Miał czyste sumienie, a tylko winni czegoś musieli się ukrywać, gdy zatrzymywało się na nich spojrzenie Żelaznego Męża. Jurij Rudzenko pomagał sporządzać wykazy ofiar wielkiej czystki w armii. Przyklaskiwał rzezi Ukraińców, gdy odmówili przyjęcia wytycznych pięciolatki. Był świadkiem przesłuchań, procesów i egzekucji z wewnętrznym przekonaniem człowieka, który niszczy zarazę.

Wierzył także, że tylko powrót do przeszłości uratuje Związek Radziecki i świat przed zwycięstwem Ameryki. Dlatego też uważał, że wojna jest nieunikniona jako niezbędny element rewolucji światowej. Pierwsza wielka wojna poprzedziła triumf bolszewizmu. Wojna globalna zrodzi świat, w którym stare, zgniłe wartości zostaną zniszczone, a na ich miejsce pojawi się zdyscyplinowane społeczeństwo z wizji Lenina.

Odsunął od siebie, raport. Nie czuł dla dziewczyny ani odrobiny współczucia. Właściwie jej nie znał - tylko jako twarz w biurze Borysowa i źródło ważnych informacji. Bez Natalii pozostawał odcięty od myśli swoich wrogów. Tego będzie mu bardzo brakowało, lecz jej śmierć i cierpienia nic dla niego nie znaczyły.

Jak ją zdemaskowano? To w tej chwili było istotne. Miał swoich agentów w pobliżu Borysowa w KGB, tak jak Borysow miał ludzi w jego ministerstwie. Wszyscy patrzyli na ręce wszystkim, to rozumiało się samo przez się. Ale on musi się dowiedzieć, kto zadenuncjował Natalię.

Borysow będzie potrzebował nowej sekretarki. Rudzenko sądził, że tym razem wybierze mężczyznę. Wrzucił raport do maszyny niszczącej papiery. Dziewczyna została spalona, a jej prochy rozsypane. Nie będzie już nigdy więcej myślał o Natalii.

Furgonetka z ciałem Sama wjechała na złomowisko we wschodniej części Londynu. Tam spotkał ją trzeci członek „zespołu”, który jechał zieloną cortiną, po tym jak opuścili ją Sam i Harrington. Odbyła się narada; wieczorem zapadła decyzja. Drzwi furgonetki zostały starannie zamknięte i w rannych godzinach wóz odjechał na złomowisko. Tutaj przyjaciel załatwił umieszczenie go za pomocą dźwigu na szczycie czterdziestopięciostopowego zwału zardzewiałych, rozbitych samochodów - wraków po wypadkach, opuszczonych rzechów, nie nadających się do naprawy. Złożono ją na górze dostatecznie wysoko, by pogoda szybko mogła pozbawić ją farby, a ciało wewnątrz rozłożyć się niezauważenie. Załatwiwszy to, dwaj mężczyźni rozeszli się każdy w swoją stronę. Bez Sama, zdecydowali, będzie bezpieczniej nigdy więcej nie podejmować wspólnej pracy.

- James? - Mary White odłożyła wieczorną gazetę, gdy jej mąż wszedł z małego przedpokoju do bawialni. Spędzali w Londynie dwa wieczory tygodniowo, ale raczej wbrew jej woli. White twierdził, że dojeżdżanie z Kent jest zbyt męczące, a ona nie lubiła zostawiać go bez opieki.

- Widziałeś gazetę? Ten nieszczęsny człowiek zbiegł!

- Tak, moja droga, wiem o tym. Tego rodzaju informacji nie czerpię z prasy - stwierdził.

- Nie musisz być wobec mnie szorstki - odparła żona. Nigdy nie przyjmowała pokornie humorów męża, a on lubił ją właśnie za to. - Jestem pewna, że to cios dla ciebie, ale nie ty jesteś za to odpowiedzialny. Weź sobie sherry, już ci nalałam.

Sięgnął po szklaneczkę i usiadł obok niej.

- To ja za to odpowiadam - rzekł stanowczo. - Ten cholerny głupiec, Humphrey, przeniósł Harringtona do otwartego więzienia.

- Co takiego? Bez twojej wiedzy?

Usadowił się wygodnie na kanapie i popijał powoli swoją sherry. Nagle wydał się bardzo zmęczony.

- Zaczął wsadzać nos w nie swoje sprawy - powiedział cicho. - Wbrew zasadom. Zupełnie nie w stylu Humphreya.

Mary White odłożyła gazetę. Instynkt podpowiadał jej, że wydarzyło się coś naprawdę poważnego.

- Jamesie, co masz na myśli, mówiąc o „wsadzaniu nosa”?

- Wygląda na to, że przedstawiono mu dowody, iż na górze jest zdrajca - odpowiedział. - Zdecydował się zaufać Davinie i zaczęli prowadzić ciche śledztwo. Częścią tych poczynań było spotkanie Daviny z Harringtonem. Chciała namówić go do współpracy. W zamian za to zorganizowano przeniesienie Harringtona do Shropwith. Możesz sobie oczywiście wyobrazić, w jakim celu.

- Po to, by mógł się stamtąd wydostać - odrzekła. - I zrobili to bez twojej wiedzy?

- Davina złożyła rezygnację, aby móc pracować na własną rękę. Bez niczyjej kontroli - odparł. - Załatwiła sobie tę posesję u Waldena, aby wywieść nas w pole. Jak się temu przyjrzeć bliżej, zrobiono to raczej niezgrabnie. Humphrey dał sygnał do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych o przeniesieniu Harringtona, a to zbiegło się z upozorowanym zaniechaniem śledztwa przez Davinę i zawiadomieniem o tym Humphreya.

- Wielkie nieba, a dlaczego ona to zrobiła? - przerwała Mary.

- Najwidoczniej znalazła dość dowodów, by myśleć, że kretem może być również on. Poza Johnem Kidsonem i mną, oczywiście.

Żona przyglądała mu się uważnie i wreszcie chrząknęła ze zniecierpliwieniem.

- Co za kompletna, przeklęta bzdura! Nigdy nie słyszałam czegoś podobnego! Powinieneś natychmiast się go pozbyć. A tę młodą damę zdecydowanie ustawić na właściwym miejscu. Jak oni śmieli!

Mary nigdy nie klęła, chyba tylko w wyjątkowych sytuacjach i to słowo „przeklęta” było czymś niezwykłym. Uśmiechnął się do niej i powiedział:

- Mary, moja droga, tam naprawdę jest zdrajca. Spędziłem całe popołudnie przeglądając dowody znalezione przez Davinę. Nie ma żadnej wątpliwości. Ktoś działał przeciwko interesom Służby przez ostatnie piętnaście lat lub coś koło tego. Albo też zrobiono wszystko, by tak to wyglądało. Ten wariant też wziąłem pod uwagę.

- Powiedz mi o tym - rzekła. Przestała się już na niego gniewać; teraz się niepokoiła. - Przyniosę ci jeszcze jedną sherry - dodała i zrobiła to pośpiesznie.

- Davina dotarła do dokumentacji różnych spraw na najwyższym szczeblu. Także tych realizowanych w dość odległej przeszłości. Wszystkie akta noszą ślady manipulacji. Brak, na przykład, całych działów. I zrobiono to bardzo zręcznie. Widzisz, ona zaczęła fotografować niektóre dokumenty i gdyby nie była tak inteligentna i spostrzegawcza, nie zauważyłaby, że perforowana numeracja stronic nie występowała w kolejności. Na fotografiach tego nie byłoby widać. Numeracja jest bowiem umieszczona wysoko, z daleka od tekstu. Mnie też odkrycie tego zajęło trochę czasu.

- O Boże! - rzekła Mary po chwili milczenia. - To okropne. Co masz zamiar zrobić?

- Jeszcze nie wiem - odparł. - Ucieczka Harringtona prawdopodobnie przecięła to śledztwo. Podał on Davinie tylko kryptonim: „Albatros”. Prawdopodobnie wiedział dużo więcej, ale teraz jest już w drodze do Moskwy. Przechwycili go w samą porę.

- Czy to nie wygląda dziwnie, że właśnie Humphrey mu pomógł? - spytała cicho.

- Nie, jeśli weźmiemy pod uwagę, że oboje z Daviną pracowali nieoficjalnie. Umożliwienie Harringtonowi ucieczki byłoby częścią umowy, jaką by z nim zawarli. Tylko że takiej umowy nie było, przynajmniej o ile się orientuje Humphrey. Biedak, jest teraz w bardzo niezręcznej sytuacji. - Postawił na stole pustą szklaneczkę: - Tak samo zresztą i Kidson. Jak widzisz, i on jest podejrzany. Ja nie jestem Albatrosem. - Uśmiechnął się i dodał: - Cieszę się, że nie zapytałaś mnie o to, ale nie jestem. I nie sądzę, by był nim Humphrey. Był tak nieprawdopodobnie niezręczny w całej tej sprawie. Tak więc pozostaje tylko Kidson. Spojrzała na niego i powiedziała:

- Nie tylko Kidson. A co z Daviną Graham? Skąd wiesz, że to nie ona?

- Nie wiem - przyznał. - Nie wiem niczego, dopóki tego nie udowodnię. Ale taka myśl przyszła mi do głowy. Choć nie traktuję tych podejrzeń bardzo poważnie. Moja droga, ja mam nosa do wykrywania oszustw i rzadko się mylę. Davina poszukuje, tropi, pamiętaj o tym. Prawdopodobnie sądzi, że to ja okażę się Albatrosem. - Roześmiał się głośno. - Jaka będzie rozczarowana, kiedy dopadnę go pierwszy.

- Charlie? Gdzie jesteś?

- Tutaj, kochanie - krzyknęła z góry. - Kładę Fergiego do łóżka. Chodź do mnie.

Szybko przebiegł po schodach i wszedł do pokoju dziecinnego. Charlie urządziła go w stylu, jak to określiła, uniseksu, odpowiedniego zarówno dla chłopca, jak i dziewczynki. Jasnożółty kolor z plamami „jabłkowej” zieleni. Był to uroczy pokój; wydawał się pełen słońca nawet w najbardziej pochmurne dni. Dziecko leżało w łóżeczku, wymachując nóżkami. Charlie nie uznawała zawijania w koce lub kołderki. Fergus Kidson miał na sobie ciepły pajacyk; zawsze się rozkopywał, dopóki nie zasnął. John zbliżył się do żony, objął ją ramieniem i pocałował.

Czy nie robi się coraz bardziej podobny do ciebie? - Powiedziała.

- Nie, kochanie, i cieszę się, że tak nie jest. To skóra zdjęta z ciebie: rude włosy i wszystko inne. Wspaniały człowieczek, spójrz, jak się uśmiecha!

- To nie uśmiech, ma wzdęcia - zażartowała Charlie. - Wróciłeś dziś wcześniej.

- To był szalony dzień, chcę ci o nim opowiedzieć. Czy Teresa jest dziś w domu?

Belgijska studentka, która pomagała w pracach domowych, prowadziła ożywione życie towarzyskie. John czasem miał wrażenie, że to ona powinna im płacić za pilnowanie dziecka.

- Tak, jest. Czy gdzieś wychodzimy?

- To byłoby cudowne - powiedział i uścisnął ją. - Chodźmy na kolację do tej restauracji nad Tamizą, ma ostatnio dobrą prasę. Jest taki piękny wieczór, można będzie posiedzieć na tarasie.

- Doskonale, dlaczego nie? - Charlie lubiła takie spontaniczne wypadki. - Przebiorę się w coś ładnego.

Przytrzymał ją przy sobie jeszcze przez chwilę.

- Wyglądasz pięknie i teraz - powiedział. Charlie pochyliła się i pocałowała synka.

- Bądź grzeczny - przykazała mu - i zaraz zaśnij. Mamusia i tatuś wychodzą. Czy mamy coś do uczczenia, kochanie?

- Tak - odparł - mamy. Opowiem ci o tym, gdy się będziesz ubierać.

Z restauracji był widok na Tamizę. Zdecydowali się usiąść w środku, zamiast na zewnątrz pod markizą, gdyż od rzeki wiał wiatr i John obawiał się, że Charlie może się zaziębić. Kolacja była doskonała; zamówił dobry claret, a Charlie zrobiła wszystko, aby dorównać jego nastrojowi. Był zadowolony, że tylu ludzi jej się przyglądało; czuł się dumny, że należy do niego, a inni mężczyźni mogą tylko patrzeć i mu zazdrościć. Charlie uśmiechała się znad filiżanki z kawą. Miała najbardziej prowokacyjny, uwodzicielski uśmiech na świecie. Pragnął wrócić do domu i pójść z nią do łóżka.

- A więc teraz nie ma się o co martwić - powiedziała. - Dzięki Bogu, kochanie. Wyglądasz dziś zupełnie inaczej.

- I tak się czuję - potwierdził. - Wszystko się znakomicie ułożyło. Humphrey skompromitował się, działając za plecami Szefa. To, że zdrajca, taki jak Harrington, miał możliwość ucieczki, też wpisuje się na jego konto. A twoja siostra, wybaczone, Charlie, naprawdę dziś zadarła ze staruszką. Nigdy już chyba nie pozwoli jej przekroczyć progu biura, nawet gdyby o to błagała.

- A więc sądzisz, że masz przed sobą wolną drogę - powiedziała.

Mogła sobie wyobrazić z jego opowiadania wejście i wyjście Daviny. Bardzo się teraz różniła od tamtej zakompleksionej, nieśmiałej kobiety, którą Charlie potrafiła zmusić do odwrotu jedną pogardliwą uwagą.

- Wiem, że tak jest - stwierdził. - Musiało tak się stać.

Tamci dwoje zaprzepaścili swoje szanse. Zostałem na placu boju sam jeden. To wszystko zawdzięczam tobie,

kochanie. To ty zmusiłaś mnie do zrozumienia, jak bardzo pragnę tego stanowiska.

- Na początku raczej się złościłeś - przypomniała. - Powiedziałeś, że nie mam żadnych zasad moralnych. To było bardzo nieładnie - zachichotała cicho.

- Bo ich nie masz - odparł. - Jesteś prawdziwą Ewą. Zrywasz jabłka i zmuszasz tego biednego głupca, mężczyznę, żeby zjadł je razem z tobą. Przez całe lata wmawiałem sobie, że osiągnąłem w Służbie wszystko. Ty zmusiłaś mnie do spojrzenia prawdzie w oczy. Chciałem objąć stanowisko po Szefie, ale nie byłem przygotowany do walki o nie.

- Jednak od tamtej chwili walczysz z zapalem - zauważyła. - Czy chciałeś rzucić podejrzenie na Humphreya, kiedy zasugerowałeś Szefowi, że Harrington został celowo przeniesiony do więzienia otwartego?

Kidson zmarszczył brwi.

- Nie powiedziałem tego z rozmysłem. Tak po prostu wyszło. To przecież on załatwił przeniesienie Harringtona i nic tego faktu nie zmienia.

Charlie wyciągnęła rękę z papierosem po ogień.

- Czy myślisz, że to on jest kretem? Nie mogę zachować powagi, kiedy słyszę, jak to nazywacie. Czy to naprawdę może być on?

- Teraz nigdy się nie dowiemy - odparł Kidson. - Harrington był kluczem do sprawy. To dlatego Rosjanie przechwycili go z takim pośpiechem. Zazwyczaj przed wymianą odbywają się długie targi. Ostatnim superagentem, którego wyciągnięto z więzienia, był Blake, lecz stało się to dawno temu. Nie sądzę, kochanie, aby to miało teraz jakieś znaczenie. - Rzeczywiście? Szpieg to chyba ktoś bardzo ważny - mówiąc to Charlie spochmurniała.

Pokręcił przecząco głową.

- To niezupełnie tak - wyjaśnił. - Jeśli ktoś postawiony tak wysoko, jak przypuszczalnie Albatros, zaczyna być podejrzany, to natychmiast odsuwa się go od wszelkiej działalności. Jest to zwyczajna procedura. Philby został wyłączony z chwili, gdy zaczęto go przesłuchiwać. Nic nie robił przez dwa lata, dopóki nie uciekł z Bejrutu, bo znowu się zrobiło wokół niego gorąco. MacLean i Burgess prysnęli przed śledztwem. Osborn, dawny dyrektor SIS, był ogólnie uważany za sympatyka Rosjan, jeśli nie za ich współpracownika. Odszedł na emeryturę i zmarł we własnym domu, w ślicznej małej wiosce w Sussex. Wszystko to robi się po dżentelmeńsku i obie strony przestrzegają tych zasad.

- Nie bardzo mi się to podoba - rzekła Charlie gwałtownie. - Ja bym nie pozwoliła, żeby osoba, która zdradziła swój kraj, wymknęła się, i żeby wszyscy udawali, że nic się nie stało, bo już przestała to robić.

- Charlie - zganił ją Kidson - mówisz zupełnie jak twoja siostra. Kłopot z kobietami polega na tym, że mają krwiożerczą naturę. Mężczyźni są większymi realistami. W porządku, więc co byś ty zrobiła? - zadał to pytanie półzartem.

- Strzelałabym do nich - odparła, a jej wielkie szare oczy zwęziły się.

Kidson był wyraźnie zaskoczony tą odpowiedzią.

- Nie wieszalabyś ich? - zapytał.

- No, dobrze, wieszalabym. Wybacz, Johnie, ale nie mogę tak obojętnie traktować kogoś, kto stał się zdrajcą. Może jestem staroświecka, ale tak właśnie czuję. Jeśli chodzi o mnie, to nie znajduję dla nich usprawiedliwienia.

- Cóż - powiedział kręcąc głową - mam szczęście, że nie jestem Albatrosem!

- Nie bądź głuptasem, kochanie. Weź rachunek. Mam ochotę iść wcześniej do łóżka.

Przez chwilę patrzył na nią i wyciągnąwszy pod stolikiem rękę zacisnął na jej kolanie.

- Ja także - powiedział.

Gdy zostali sami i odwrócił się, by ją rozebrać, zapytała nieoczekiwanie.

- Nie sądzisz, że to jest sir James?

Kidson podszedł bliżej i rozpiął jej suknię. - Nie wiem - odparł. - Nie wiem i, szczerze mówiąc, w tym momencie nic mnie to nie obchodzi. Kocham cię... Charlie zapomniała o innym pytaniu, które miała zamiar mu zadać i oddała się wyłącznie szczęściu bycia kochaną. Był wspaniałym kochankiem, pełnym wyobraźni, ekscytującym. On też nauczył ją, że gdy dwoje ludzi się kocha, w dawaniu jest tyle samo przyjemności, co i w braniu.

Charlie spała z wieloma mężczyznami, ale John Kidson był jedynym, włączając obu poprzednich mężów, który panował w łóżku. Spała, zmęczona i szczęśliwa, obejmując go ramionami, z twarzą przyciśniętą do jego policzka. On zaś przez długi czas nawet się nie zdrzemnął. Umysł miał tak jasny, jak zmęczone i nasycone było jego ciało.

Humphrey Grant nie miał ochoty wracać do siebie i siedzieć samotnie całą noc. Wyszedł z biura i ruszył spacerem przez St. James Park. Po lewej stronie rozciągało się srebrzyste jeziorko, po którym pływały kaczki. Gazony z kwiatami były doskonale utrzymane i czekały na wiosnę. Robiono też przygotowania do defilady Gwardii Królewskiej w dniu urodzin królowej. Anglia silnie przywiązana do tradycji, do ceremoniału, w głębi serca pozostawała niezmienną. Zastanawiał się, czy w tym tkwiła tajemnica. Trzymać się mocno tego, w co się wierzy, przestrzegać zasad pomimo krytyki i ośmieszania. Ignorować nowe tendencje i wstrząsy...

Szedł powoli, z głową wysuniętą do przodu; wysoki, chudy, z przygarbionymi ramionami - typowy urzędnik jednego z ministerstw w drodze do domu. Ciemny garnitur, skromny krawat, nawet niepotrzebny parasol niesiony jak laska i teczka w lewej ręce. Okrążył park i doszedł do wspaniałego w swej przesadności pomnika królowej Wiktorii na początku Mall. Zwykły dla tego miejsca tłum wędrował wokół ogrodzenia pałacu w nadziei na co? Chronieni przed natarczywością turystów gwardziści stali na posterunkach za ogrodzeniem. Policjant na dużym kasztanku przejechał obok, w drodze do stajni w Hyde Parku. Był to typowy majowy wieczór, gdy utrzymuje się ładna pogoda i ludzie zapełniają ulice, spacerując i zwiedzając.

Humphrey skręcił w dół Buckingham Palace Road, myśląc o swym pustym mieszkaniu i kolacji, na którą składały się kanapki. Czasem oglądał telewizję, niekiedy zaś zabierał pracę do domu. Dla odprężenia czytywał powieści detektywistyczne. Żył życiem samotnika, całkowicie zamkniętego w sobie, i nigdy dotąd przeciwko temu się nie buntował. Był to jego własny wybór. Nie potrzebował przyjaciół. Miał swoją pracę. Teraz po raz pierwszy od wielu lat wszedł do pubu przy Victoria Street i zamówił piwo.

- Czy mogę się przysiąść?

Uniósł wzrok i zobaczył młodego mężczyznę, który z wahaniem zatrzymał się obok wolnego krzesła przy jego stoliku.

- Tak - odparł szorstko. - Nie jest zajęte.

- Często pan tu przychodzi? - chłopiec wyraźnie miał chęć z kimś porozmawiać.

Humphrey zdecydował się szybko wypić piwo i wyjść.

- Nie - odparł.

- Nigdy tu przedtem nie byłem, dopiero co przyjechałem do Londynu. Strasznie tu obco, prawda?

Nie miał ochoty dać się wciągnąć do rozmowy, ale jednak to zrobił. Chłopiec wyglądał sympatycznie, mógł mieć dwadzieścia kilka lat. Robił wrażenie zagubionego, łaknącego przyjaźni - zupełnie jak zabłąkany psiak. Nieoczekiwanie Humphreyowi zrobiło się go żal. Trafiło do niego to słowo "obco".

- Tak - zgodził się. - Wszystkie miasta są takie, tak przynajmniej sędzę. Skąd przyjechałeś?

- Z Ipswich - odparł chłopak. - Chciałem rozejrzeć się za pracą. W domu jest ciężko. - Przez chwilę wyglądał na zasmuconego, a potem dodał: - Na razie nie miałem szczęścia, ale będę szukać dalej. Musi się przecież coś znaleźć.

- Masz jakiś zawód? - zapytał Humphrey.

Tyle się mówiło i pisało o problemie bezrobocia wśród młodzieży. Nie zdawał sobie sprawy ze znaczenia tej kwestii, dopóki nie zobaczył wyrazu twarzy chłopaka.

- W domu pracowałem na budowach - powiedział. - Ala teraz nic się nie buduje. Zresztą wziąłbym cokolwiek. Nie należę do tych, co kapryszą i przebierają... Skończył swoje piwo. Pusty kufel stał przed nim i Humphrey wiedział, że nie stać go na następny. Podniósł się i powiedział:

- Idę po jeszcze jedno piwo, zamów sobie coś na mój rachunek.

Podszedł do baru, odprowadzony pełnym wdzięczności spojrzeniem chłopaka. Biedaczysko - pomyślał w oczekiwaniu na piwo. - Bez pracy, bez perspektywy znalezienia czegokolwiek. Co, do diabła, skłoniło go do przyjazdu do tego cholernego miasta? Wpadnie tylko w jakieś tarapaty. Wrócił do stolika i usiadł.

- Gdzie się zatrzymałeś? Zauważył wyraźne wahanie.

- U przyjaciela... Ma pan może papierosa?

- Nie - Humphrey skrzywił się z niesmakiem. - Nie znoszę tego, jeśli mam być szczery.

- To nieważne - odparł chłopak. - Nie muszę palić. To dodatkowy wydatek. - Uśmiechnął się. - Nie przeszkadza panu, że z nim rozmawiam? Chodziłem przez cały dzień; to tak miło z kimś porozmawiać.

Humphrey odstawił piwo i lekko pochylił się na krześle.

- Tak - powiedział - tak, masz rację. Jadłeś coś dzisiaj?

- Jeszcze nie - wzruszył ramionami. - W każdym razie piwo zapełnia żołądek.

- Ja także nie jadłem - powiedział ze zdecydowaniem Humphrey. - Dlaczego nie miałbyś pójść ze mną i coś przegryźć. Wieczorem nie mam nic do roboty. Tam, trochę dalej, jest przyzwoita restauracja.

Chłopak zawahał się, ale Humphrey dodał życzliwie:

- Ja zapraszam. Chodźmy.

Opuścili razem pub i spędzili wieczór w Steak House. Humphrey wysłuchał opowieści o rodzinie chłopaka, o tygodniach poszukiwania pracy w rodzinnej miejscowości i rozpaczliwej decyzji przyjazdu do Londynu. Młody człowiek nie skarżył się i nie utyskiwał. Wyrażał to wszystko z bezpośredniością dziecka, ze spokojną prostotą i pogodą, które Humphrey ocenił jako rozczulające i godne uznania. W towarzystwie chłopaka zrobiło mu się jakby cieplej. Zapłacił rachunek. Po wyjściu na ulicę zatrzymali się. Chłopak zakłopotany kręcił się niespokojnie, drepcząc w miejscu, a potem powiedział:

- Bardzo dziękuję. To było wspaniałe. Chyba się już nie zobaczymy?

Humphrey wiedział to od chwili, kiedy chłopak przysiadł się do niego: Byłem sam przez dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat tłumienia w sobie wszystkiego tylko dlatego, że się wstydzilem. A w końcu, co mi to dało? Kiedyś podjął decyzję, która zmieniła bieg jego dotychczasowego życia. Decyzję trwania w kłamstwie do końca swoich dni. Teraz podjął

decyzję, która znowu mogła zmienić wszystko - i nagle przestał się tym martwić.

- Słuchaj, Ronnie, jeśli nie masz dokąd pójść, czemu nie pójdziesz ze mną? Mam zapasowe łóżko.

Chłopak uśmiechnął się radośnie, z lekka się zarumienił i powiedział:

- Miałem nadzieję, że pan to zaproponuje.

Sklep jubilerski na Grafton Street miał nad sobą mieszkanie. Interes został założony na początku dziewiętnastego wieku; była to staroświecka firma prowadzona od pokoleń przez jedną rodzinę. Specjalizowała się w pięknej starej biżuterii i specjalnie wyselekcjonowanych sztukach irlandzkiego srebra z okresu georgiańskiego. Ojciec zmarł dziewięć lat temu i na czele firmy stał teraz najstarszy syn. Z pochodzenia byli holenderskimi Żydami; w ostatnim pokoleniu dwaj synowie poślubili irlandzkie dziewczęta i odeszli od żydowskiej ortodoksji. Dzieci wychowywali w katolicyzmie. Ciemnowłosi, o oliwkowej skórze, mówili nosowym akcentem z Dublina, syn zaś, który przejął firmę po śmierci ojca, był zagorzałym nacjonalistą i popierał IRA. Jego przejście na stronę terroryzmu spowodowane było niechęcią i pragnieniem przynależności do kraju, w którym się urodził. Zaczął nienawidzić bogate rodziny anglo - irlandzkie, które robiły interesy z ojcem i kazały mu wyczekiwać na zapłacenie rachunków, ponieważ był tylko starym Żydem. Nienawidził ich za pogardę dla Irlandczyków z jego żoną włącznie, za długi ciąg krzywd, jakie oni znosili, przypominały mu bowiem cierpienia Żydów. Z obrzeży działań nacjonalistycznych Philip Gold stopniowo dorósł do marksizmu, a potem do jednej z grup IRA, a związek z nimi znacznie wykroczył poza dawanie pieniędzy i przekazywanie informacji.

Mieszkanie nad sklepem oddał na punkt kontaktowy. Było to idealne miejsce do ukrywania zbiegów. Wielu z nich tam

właśnie przeczekiwało obławy, kiedy to przeczesywano ubogie dzielnice, zamieszkane przez republikanów, i domy jawnych sympatyków. Nikt nie podejrzewał istnienia kryjówki w kamienicy stojącej na jednej z najelegantszych ulic handlowych Dublina. Rewolwerowcy i zamachowcy w trakcie ucieczki spędzali tu wiele dni, nim zdołano ich bezpiecznie przemyścić przez granicę. Dwukrotnie sam Gold otwarcie zawiózł swoim mercedesem poszukiwanych mężczyzn na prom i nikt nawet nie mrugnął okiem. Teraz mieszkanie było przygotowane na przyjęcie nowego przybysza. Gold nie zadawał pytań, zakupił tylko zapas jedzenia, napojów i gazety.

Wyznaczony dzień przyjazdu gościa minął i nikt się nie zgłosił. Następnego ranka, bardzo wcześnie Gold odebrał telefon.

- Coś poszło nie tak, jak ustalono. Przesyłka nie przybyła wczoraj wieczorem. Nie wiem teraz, kiedy mam jej oczekiwać.

- Nie ma sprawy - odpowiedział Gold. - Przyjmę ją, kiedy nadejdzie. Tylko daj mi znać.

Gazety dublińskie przyniosły wiadomość o ucieczce sowieckiego agenta z zakładu karnego. Oczekiwano, że w parlamencie zostaną postawione pytania, dlaczego to zdrajcę przenosi się z więzienia o zastrzonym rygorze do zakładu otwartego. Gold czytał to wszystko i wyciągnął własne wnioski. Następnego wieczoru dubliński kontakt, który czekał, żeby przejąć Harringtona, zawiadomił swego sowieckiego łącznika, że łańcuszek został gdzieś przerwany i że on nie może spędzić jeszcze jednego dnia, kręcąc się po porcie lotniczym. Londyńscy organizatorzy operacji muszą zająć się wyjaśnieniem, co się właściwie wydarzyło. Było bardzo prawdopodobne, że tam właśnie zdecydowano, żeby odczekać trochę w bezpiecznym miejscu przed przerzutem do Irlandii. - To możliwe - zgodził się urzędnik z sowieckiej ambasady.

Wszystko było możliwe. Ale niezbyt prawdopodobne, zwłaszcza że nie przysłano wiadomości odwołujących przygotowania na terenie Irlandii. Goldowi polecono, by zapomniał o wizycie, zrezygnowano z obserwacji lotniska, a do Stephena Wooda została wysłana pilna depesza.

Przyjechał w niedzielę po południu i spotkał się z zaniepokojoną żoną Sama. Nie, powiedziała mu, nie miała od męża żadnej wiadomości, odkąd wyjechał tydzień temu. Tak, miał jakąś pracę - sprowadzenie samochodu z północy. Ale zawsze w takich sytuacjach dzwonił do domu. Ostatni telefon odebrała w poniedziałek. Mówił wtedy, że spodziewa się wrócić w środę rano. Od tego czasu ani słowa. Myślała nawet, żeby pójść na policję... Wood zapewnił ją, że nie ma powodu do podejmowania tak drastycznych kroków. Po prostu chciał się dowiedzieć, czy jej mąż jest w domu, ale skoro gdzieś tam pracował, to zajrzy do Sama kiedy indziej. Podał jej fałszywe nazwisko, został na herbacie i cały czas mówił i mówił - o dzieciach, o wykształceniu, o wpływie ostrej zimy na ogródki - dopóki nie zaczęła myśleć, że chyba będzie krzyczeć, jeśli on nie wstanie i nie wyjdzie. Na odchodnym raz jeszcze powiedział, żeby się nie martwiła. Wyraził także przypuszczenie, że Sam mógłby się rozgniewać, gdyby się dowiedział, iż chodziła na policję i z jego powodu robiła zamieszanie... W rezultacie wstrzymała się ze zgłoszeniem zaginięcia przez kolejne cztery dni.

Wood pojechał do domu metrem i zatelefonował, podczas gdy jego żona robiła w kuchni kolację.

- Przesyłka się zawieruszyła. Zawiadom kwaterę główną...

Odwiesił słuchawkę i poszedł pomagać żonie nakrywać do stołu. Świącie wierzył, że domowe obowiązki winny być dzielone między całą rodzinę.

- No, a teraz, gdy przespałeś całą noc i dostałeś coś na kaca - powiedziała Davina - przystąpmy do rzeczy.

Peter Harrington spojrział na nią zaczerwienionymi oczami. Co za krowa - pomyślał, czując tępy ból głowy, trochę tylko złagodzony dwiema aspirynami i czarną kawą.

- Czuję się strasznie słaby - zaprotestował.

- Poczujesz się słabszy, gdy przyjdzie Colin i zobaczy, że znowu chcesz zyskać na czasie - odpowiedziała spokojnie. - A ty, Peterze, nie masz czasu.

- Co, do diabła, ma to znaczyć? - warknął na nią. - Nowe pogrożki? Ty jesteś prawdziwym aniołem w ludzkiej...

- W tej chwili już wiadomo, że zaginałeś - przerwała Davina. - Każdy agent KGB w Londynie będzie cię szukać. I na to właśnie chcesz postawić, prawda? Tylko że jeśli cię znajdą, nie będzie to z korzyścią dla ciebie.

- A dlaczego nie? - był opryskliwy, bo Lomaxa nie było w pokoju.

- Dlatego, że nie wyjdiesz z tego żywy - odparła cicho. - Colin tego dopilnuje. Powiedz mi to, co chcę wiedzieć, a obiecuję ci, że odstawimy cię do twoich przyjaciół.

- Nawet za milion lat - rzekł. - Nie zrobisz tego nawet za milion lat. Kiedy wyciśnięcie mnie jak gąbkę, oddacie policji. Nie powiem niczego.

Davina zapaliła papierosa i podała mu. Gest ten wprowadził go w zakłopotanie. Zawahał się przez chwilę.

- Dam ci godzinę na przemyślenie wszystkiego - powiedziała bardzo spokojnie. - Potem albo zaczniemy poważnie rozpracowywać Albatrosa, albo podniosę słuchawkę i w twojej obecności zadzwonię na policję.

Wyszła z pokoju; usłyszał, jak zamknęła drzwi na klucz. Żałował teraz, że pozwolił sobie na taką ilość whisky poprzedniego wieczoru. Było mu niedobrze i każdy dźwięk

podrywał go z miejsca. Blefował, i ona o tym wiedziała. Aby sobie ulżyć, zaczął ją wyzywać.

Zaciągnął się papierosem, wstał i zaczął nerwowo chodzić po pokoju. Myślał o ucieczce, ale odrzucił ten pomysł. Nie miał ani pieniędzy, ani miejsca, żeby się ukryć. Nie wiedział też, gdzie mieszka Stephen Wood. Jego fotografia była we wszystkich porannych gazetach. Zostałby pochwycony przez pierwszego policjanta, który by mu się uważniej przyjrzał. Skończył papierosa, zgasił go i rzucił na palenisko pod elektrycznym palnikiem. Niedopałek raził oczy w tym tak bardzo uporządkowanym pokoju. Był to głupi, małostkowy gest, ale wyraził ostatni akt sprzeciwu - wiedział o tym dobrze. Albatros. Dobrze, da tej suce informacje, ale tylko tyle, żeby sama znalazła ofiarę. Przynajmniej będzie mógł zatrzymać dla siebie ten ślad, na który on sam wpadł po wielu przemyśleniach. Jeśli będzie dostatecznie bystra, to wyciągnie w końcu ten ostateczny wniosek. Zdecydował się na działanie pozytywne, na utwierdzenie siebie i zarzucenie pasywnej roli więźnia. Podeszedł do drzwi i zawołał, używając zdrobnienia „Davy”, którego, o czym dobrze wiedział, nienawidziła. Weszła za chwilę.

- Słucham?

- Bierzmy się do roboty - powiedział. - Przydałoby mi się jeszcze trochę kawy.

Mówił do mikrofonu; ból głowy mu przeszedł i czuł się rozluźniony, niemal pewny siebie. Niezdecydowanie - ot, co było przekleństwem więźnia. Teraz, gdy już podjął decyzję, nastrój mu się polepszył. Zaczął być z siebie zadowolony i spokojnie przedzierał się przez labirynt zagadek, strzegących Albatrosa.

- Wstąpiłem do Służby w sześćdziesiątym trzecim - powiedział. - Zmieniłem barwy dziesięć lat później. On już wtedy był tam dobrze zainstalowany. Wrażenie, jakie

odniosłem w Szwajcarii, było takie, że on znajdował się na swoim miejscu od dawna. To zaś prowadzi nas do poprzedniego dyrektora SIS, starszaka Osborna. Był on zdecydowanym sympatykiem, jednym z reliktyw wojny, który widział Rosję jako naszego sojusznika jeszcze długo po rozpoczęciu zimnej wojny. Osobiście nie uważam, że miał jakieś kontakty z przeciwnikami, ale mógł okazywać pomoc przez przymykanie oczu na pewne sprawy lub przez niepodejmowanie działań, gdy to robić należało... Myślę, że był bardziej czymś w rodzaju „towarzysza podróży”, niż aktywnym podwójnym agentem. Sądzę, że to właśnie wtedy pojawił się Albatros.

- Za wiedzą Osborna? - wtrąciła się Davina. - Czy zdajesz sobie sprawę, że to oczyszcza z podejrzeń Szefa?

- Tak, wiem - odpowiedział Harrington. - Ale nie możesz pozwolić, żeby twoje uprzedzenia miały wpływ na śledztwo. Bez względu na to, jak bardzo chcesz, żeby to był on, ja w to nie wierzę. Sądzę, że Albatros został wprowadzony za czasów Osborna. Sympatyczny, liberalnie myślący facet, może z jakimiś seksualnymi odchyleniami... - Przerwał. - Humphrey przyszedł do Służby zbyt późno, czy nie tak? - podjął znowu. - A co z twoim szwagrem, Kidsonem? Czy nie był bystrym, młodym człowiekiem, który z uniwersytetu poszedł wprost do Ministerstwa Spraw Zagranicznych?

- Tak - odpowiedziała Davina. - Tak było. Ale swoich podejrzeń nie opierasz na żadnych dowodach, tylko na osobistych opiniach.

- To prawda. Ty jednak możesz to sprawdzić. Znasz przecież wszystkie okoliczności wstąpienia do Służby Humphreya i Szefa: zobacz więc, czy coś opuściłem.

- Kiedy zauważyłeś oznaki istnienia Albatrosa po raz pierwszy?

- Po ucieczce Sasanowa. Wcześniej już były jakieś sygnały, przede wszystkim wpadka całej siatki rumuńskiej w siedemdziesiątym pierwszym. Zajmowali się tym Humphrey i Kidson. Humphrey zwerbował rumuńskiego emigranta i wysłał go do jego kraju. Kidson przesłuchiwał go, po powrocie. Szef zdecydował spróbować jeszcze raz. Człowiek został aresztowany dzięki dyskretnemu sygnałowi, a potem już zdjęto całą grupę naszych agentów. Dla mnie to robota Albatrosa. Mógłby to jednak być każdy z nich trzech. Sprawa Sasanowa była zupełnie inna. To tu właśnie możemy zidentyfikować jego robotę, bo przecież w tym zawodzie wszyscy mamy swoje własne metody działania, czyż nie tak, Davy? Twoją pracę rozpoznałbym wszędzie. Instrukcje otrzymałem będąc w Stanach. Brzmiały one: postaraj się, aby cię odwołano ze złą opinią. Udało mi się to, jeśli sobie przypominasz.

- Doskonale to pamiętam - odpowiedziała Davina.

- Kto zdecydował, że mam być przeniesiony do kadr? Wiedziałem, że był to krok do przedwczesnej emerytury, zupełny koniec kariery, ale to umożliwiło mi również bezpośredni kontakt z tobą. A na to właśnie czekałem. Kto zdecydował sprowadzić mnie do Londynu, zamiast wepchnąć na boczny tor albo wprost wylać ze Służby, bo tak się właśnie Powinno stać. Był to Albatros. Dowiedz się, kto rekomendował takie postępowanie. Nie chodzi mi o to, kto je zaakceptował, ale właśnie rekomendował. To będzie twój pierwszy ważny trop.

- Założmy, że zrobiła to ta sama osoba? - Znowu Szef? - uśmiechnął się złośliwie. - Możesz mieć rację. Ale równie dobrze, jeszcze raz to podkreślam, mógł to być Humphrey albo Kidson. Szef nie podejmował wszystkich mniej ważnych decyzji i to, co należy zrobić z pijakiem, który się wystawia na pośmiewisko, z łatwością mogło być w gestii jednego tych z

dwóch. A poza tym mamy jeszcze naszego przyjaciela Spencer - Barra, mego następcę w Waszyngtonie. Davina spojrziała na niego i spytała:

- A co on ma z tym wspólnego?

- Dlaczego nie otrzymał miejsca „opiekuna” przy Sasanowie? Czy zadawałaś sobie kiedyś to pytanie?

- Nie - przyznała. - Szef podjął decyzję. Uznał, że kobieta będzie dla Iwana bardziej odpowiednia i polecił mi tym się zająć. To burzy inne twoje teorie, prawda? Jeżeli to zlecenie coś znaczyło, to w takim razie był to James White i nikt inny. Humphrey sprzeciwiał się ze wszystkich sił mojej kandydaturze. I nie sądzę, żeby pytano Kidsona o zdanie w tej sprawie.

- Ale nie wiesz na pewno - podkreślił Harrington. - Pozostaje fakt, że Spencer - Barr pracował dla CIA. Jeśli Albatros to podejrzewał, to poruszyłby niebo i ziemię, żeby powstrzymać go od zetknięcia się z Sasanowem. I nie zdemaskowałby go również, bo praca na dwa fronty zawsze ma dla przeciwników swoje plusy. Taśma się skończyła, więc Davina założyła nową.

- Nie mogę cię zrozumieć, Peterze - powiedziała. - Mówisz o przeciwnikach, jakbyś sam nie był jednym z nich. Byłeś przecież oficerem KGB, a mówisz tak, jakbyś stał po drugiej stronie.

- Jeśli chcesz, żebym ci odpowiedział - rzekł - to nie włączaj magnetofonu. Nie jestem po żadnej stronie, tylko po swojej. Płacili mi, a ja dawałem im to, czego chcieli.

- Rozumiem - sięgnęła, aby włączyć zapis.

- Nie, nie rób tego - krzyknął Harrington. - Właśnie, że nic nie rozumiesz! Myślisz, że w życiu wszystko jest tylko białe i czarne? Dobrzy chłopcy przeciwko złym, jak w westernie, gdzie wyrzutki zawsze są ubrane na czarno? Jesteś cwana, nie mogę zaprzeczyć, ale nie umiesz się pozbyć tego

skautowskiego stosunku do życia. Myślisz, że jeśli przeszedłem na stronę Moskwy, to muszę zaraz być komunistą. Wielkie ideały w marnym ciele, czy coś takiego, prawda?

- Nie, to nie tak - odparła lodowato. - W tobie, Peterze, nie ma niczego, poza egoizmem i chciwością. Po prostu zastanawiałam się nad tym, jak widzisz sam siebie, i nic więcej'. Nie jesteś jednym z nich, to oczywiste. Ale i nie jednym z nas. Coś w rodzaju nieosoby. Czy mogę już włączyć taśmę? - Idź do diabła! - warknął niechętnie.

Taśma szumiała przez chwilę w panującej ciszy. Nieosoba. To go dotknęło, tak zresztą, jak tego oczekiwała. „Rozgniewaj tego drania raz i drugi - radził Lomax. - Coś mu się wymknie, kiedy straci panowanie nad sobą...”

- A więc - podjęła rzeczowo - oprócz Spencer - Barra kto jeszcze? Pożar miał na celu wyeliminowanie nas obojga, prawda? To była twoja robota?

Przytaknął, ciągle jeszcze rozdrażniony.

- Ja wskazałem, gdzie się ukrywacie, resztę zrobiła grupa operacyjna. Albatros nie ryzykowałby włączania się do akcji, ale wmieszał się w coś innego - przerwał, a Davina czekała w milczeniu. - Myślę - zaczął znowu - że naprawdę ujawnił swe istnienie w Australii. Jeśli chcesz go zdemaskować, Davy miła, to szukaj tego, kto wsadził w mapę chorągiewkę w miejscu, gdzie byliście oboje z Iwanem.

Zarumieniła się lekko; Harrington wiedział, że zdobył punkt. Nie lubiła przecież takich wspomnień. Nie chciała też mówić o tym wieczorze, gdy samochód wyleciał w powietrze, a Iwan Sasanow zmarł w jej ramionach...

- Chcesz powiedzieć, że Albatros poinformował ich, gdzie jesteśmy? - zapytała.

- Nie było innej drogi, by was odnaleźć. Zostaliście przecież wysłani z kraju w tajemnicy. Już widzę, co myślisz: zastanawiasz się, kto poza Szefem mógł o tym wiedzieć.

- Nikt - odparła Davina stanowczo. - Potwierdzają to dokumenty. Nikt nie wiedział: ani Humphrey, ani John. Tylko Szef. - Przerwała i po chwili powiedziała głucho: - Należy wątpić, by im to podsunął sam, ze względu na ryzyko w razie niepowodzenia. Oskarżyłam go o to, że nie zaopiekował się Iwanem, jak należało, choć w istocie zrobił wszystko, co było możliwe: oczywiście tu, ze strony londyńskiej, abyśmy pozostali w ukryciu.

- A więc robisz jeden krok w jego stronę, a potem się cofasz - zauważył Harrington. - Mówisz, że ze strony londyńskiej byliście zabezpieczeni, a co w takim razie z bezpieczeństwem na miejscu, w Australii?

- Nic - odparła z goryczą. - To właśnie dlatego obciążam go odpowiedzialnością za to, co się wydarzyło. Nie mieliśmy ochrony, żadnych specjalnych zabezpieczeń wokół domu, nic! Oni wykonali swój ruch, gdy byli do tego gotowi, a człowiek, który plan opracował, stanął w nagrodę za to na czele KGB!

- Tego nie wiedziałem - mruknął Harrington. - Nie będzie zadowolony, gdy się dowie, co mi się przydarzyło. Ciekaw jestem, ile czasu zajmie mu odnalezienie mego śladu?

- Miejmy nadzieję, że wystarczająco dużo, abyśmy mogli załatwić naszą sprawę. - Australia... czy myślisz, że ktoś oprócz Szefa wiedział o tym?

- Albo wiedzieli, i w tym przypadku White czekał, aż będzie bezpiecznie dać im cynk, albo też ktoś inny sam wpadł na trop. Ciekawy problem, prawda?

- Tak - odrzekła Davina powoli. - Dałeś mi najlepszą w świecie motywację do dalszych poszukiwań. Przesłucham to sobie i zobaczę, czy czegoś nie pominęliśmy.

Wiadomość dotarła do Borysowa, gdy miał już wychodzić z biura. Harrington zniknął w drodze na lotnisko w Manchesterze. Zniknął również jego towarzysz. Pozostali ludzie biorący udział w akcji ukryli się. Czynione są wysiłki, aby ich odnaleźć. Rezultaty poszukiwań zostaną przekazane teleksem do Moskwy, jeśli się uda, w ciągu dwudziestu czterech godzin. Borysow zadzwonił do żony i powiedział, że wróci do domu później. Głos na drugim końcu przewodu wywołał w nim grymas niechęci. Kiedy? Dlaczego? I czy może być pewna, że on pracuje? Mocno trzasnął słuchawką. Wspomnienie Natalii czało się, aby atakować przy każdej okazji. Nie myślał o jej śmierci ani o przyczynach, które ją spowodowały. Pamiętał tylko ciepło jej ciała, zręczne pieśczoćy, ale przede wszystkim to poczucie więzi, tę możliwość dzielenia się sprawami zawodowymi. Bardziej niż do fizycznej bliskości tęsknił do przyjaźni i partnerstwa. Seks - to była sprawa prosta, łatwo osiągalna, ale po akcie fizycznym, gdy kobiety odchodziły, pozostawał wyjałowiony i samotny. Jego nienawiść do Rudzenki miała teraz jeszcze jedną, głęboką przyczynę. Rudzence zawdzięczał to, że podesłał Natalię, która dała mu szczęście, ale później, gdy okazała się dwulicowa, zmusił się, aby ją zniszczyć jak pluskwę...

Wysłał do ambasady w Londynie serię zaszyfrowanych depesz. Instrukcje były zwięzłe: znaleźć ludzi, którzy pomagali naszemu agentowi w akcji. Należy ich przesłuchać. Natychmiast rozpocząć inwigilację Daviny Graham. Zawiadomić Albatrosa. Informować o postępach w realizacji planu zastąpienia Albatrosa. Dodał gniewne postscriptum do starszego oficera KGB w londyńskiej ambasadzie, wyrażając swoje niezadowolenie z powodu powolności jego działań.

Jeśli Harrington nie zostanie odnaleziony i okaże się, że wywiad brytyjski udaremnił ucieczkę, to on, Borysow, złoży

za to odpowiedzialność bezpośrednio na niego. Po wysłaniu teleksów przywołał swego nowego sekretarza - mężczyznę tym razem, młodego porucznika, który wstąpił do służby w chwili objęcia przez niego kierownictwa KGB. Teraz nie było więc obawy, że okaże się on wtyczką Rudzenki. Ale też nie był Natalia. Czasem, gdy pracował do późna, zdawało mu się, że słyszy jej głos lub lekkie kroki, zbliżające się do jego krzesła. Nie wierzył w duchy i w żadne inne nadnaturalne zjawiska, ale Natalia nawiedzała go... Rudzenko będzie się starał wsunąć innego szpiega na jej miejsce i Borysow czekał na ten ruch. A może jakiś już prześlizgnął się i awansował...? Lecz nie Aleksy - Aleksy był jego człowiekiem. Nie był dobrym sekretarzem, ale miał inne zalety i umiejętności. Pewnego dnia zostaną one wykorzystane. Teraz zaś już nie pozostawało mu nic innego, jak pójść do domu. Kiedy minie ten kryzys, a największy kryzys, jaki przyniosła jesień, był już właściwie rozwiązany, to wystąpi o rozwód. Ta nadzieja pozwoliła mu z lżejszym sercem wrócić do swego luksusowego moskiewskiego mieszkania.

Dwaj pomocnicy Sama zostali odnalezieni następnego dnia - jeden rano, drugi w parę godzin później. Zrobiło to nie KGB, ale świat przestępczy. Zadziałała prosta metoda poszukiwań: dano sygnał bossom gangów działających w sąsiedztwie Sama, że jego ludzi trzeba wykopać choć spod ziemi, w przeciwnym razie prostytutka, handel narkotykami, organizacja włamań - wszystko to zostanie poddane wyjątkowym represjom. Nikt nie zadawał pytań - wcześniejsze doświadczenia dowiodły, że groźby pochodzą ze środowiska, które potrafi je wcielić w życie. Tak więc ludzie podziemia odnaleźli chłopców Sama i przesłuchali ich w obecności milczącego obserwatora. Nie trzeba było nawet nadużywać przemocy, by wydobyć z nich prawdę. Obaj mężczyźni, jeden ze złamaną ręką, drugi ze zmiażdżoną

kością goleniową, podawali najdrobniejsze szczegóły na tyle dokładnie, na ile pozwalał im ból. Przechwycenie nie wyszło, jak zaplanowano, Sam został zabity, a „zwierzynę” uprowadzono. Trzymano ich w piwnicy zrujnowanego domu w Hackney. Na złomowisku starych samochodów przy pomocy dźwigowego odnaleziono furgonetkę. Zapach rozkładającego się ciała czuło się z daleka. Dźwig opuścił sprawdzającego z powrotem na dół. Nic nie zostało powiedziane, ale jasne było, że obaj mężczyźni w suterenie wiedzą zbyt dużo. Obserwator przyglądał się, gdy strzelano im w głowy. Informacja o wydarzeniu poszła przez ambasadę do Moskwy, a wraz z nią pobieżny opis mężczyzny, który ogłuszył kierowcę furgonetki i zajął jego miejsce. Dane te wprowadzono do komputera na Łubiance, który podał kilka możliwych wariantów tożsamość napastnika. Trzej podejrzani byli agentami o międzynarodowej sławie, jeden Brytyjczykiem, dwaj inni obywatelami sowieckimi, nie przebywającymi w Europie. Wśród wytypowanych przez komputer, jednak bez pozytywnej identyfikacji ze względu na niewiele danych, był major Colin Lomax.

Colin trzymał się na uboczu. Widział Harringtona raz lub dwa, ale na życzenie Daviny przebywał poza mieszkaniem, w czasie gdy ona prowadziła przesłuchanie. Umówił się na spotkanie ze starym kumplem z SAS i razem poszli do pubu, w którym już wcześniej omawiali plan wyciągnięcia Harringtona z więzienia w Shropwith. Kapitan Fraser nie pytał o nic, gdy Lomax zatelefonował i odwołał przygotowania. Czytał wzmianki w gazetach i zdecydował się poczekać.

Skazany na karę więzienia sowiecki szpieg uciekł z tego samego miejsca, które wymienił jego stary przyjaciel Lomax jako teren realizacji swego planu. Ktoś więc dotarł tam pierwszy. Cóż, Lomax miał pecha. Ale nie należał do tych, którzy znoszą porażki z pogodą ducha. Toteż gdy się spotkali

tego wieczoru, Fraser był zdumiony radością, jaką emanował jego druh, choć ktoś sprzątnął mu spod nosa zdobycz. Pili i rozmawiali przez dłuższą chwilę, gdy wreszcie odważył się zapytać:

- Żadnych nazwisk, żadnych szczegółów, ale czy istnieje jakiś związek między tą sprawą w Lancashire i twoim małym skokiem?

- Nie - odparł Colin i nawet nie próbował udawać, że mówi prawdę. - Nie, Jim, żadnego związku.

- Cieszę się, że to słyszę - powiedział kapitan. - Nie chciałbym być zamieszany w aferę tego rodzaju. Jeślibyś jednak potrzebował pomocy...

- Dam ci znać - potwierdził Lomax. - Po jednym na drogę i muszę się zbierać.

Przyniósł drinki, ale myślami zdawał się być bardzo daleko od zatłoczonego baru. Fraser mu w tym nie przeszkadzał. Zawsze był człowiekiem małomównym: odzywał się tylko wtedy, gdy miał do powiedzenia coś ważnego. Lomax opróżnił szklanekę.

- Być może będzie mi potrzebna ochrona, żeby przypilnować przyjaciela - powiedział w końcu. - Dwóch chłopaków, takich jakich miałeś na myśli poprzednio. Dam ci znać. Z jakim wyprzedzeniem mam cię powiadomić?

- Po prostu zadzwoń - odparł kapitan. - Postaram się, żebyś miał tych samych dwóch, o których wspominałem. Są bardzo dobrzy.

- Przyda im się to - odrzekł Lomax.

Opuścił bar, pozostawiając Frasera przy whisky. Wóz miał zaparkowany dwie ulice dalej. Jechał do domu ostrożnie, koncentrując uwagę na szybkości i ruchu ulicznym. Davina robiła postępy. W ciągu tych dwóch dni zdołała odtworzyć całkiem sporo. Pracujący od dawna sowiecki agent, działał tylko wtedy, kiedy było to absolutnie niezbędne i był zawsze

osłaniany przez dwóch kolegów. Nieokreślony, tajemniczy - przychodziły na myśl konwencjonalne określenia szpiegów i wszystkie pasowały. Ale było jeszcze coś więcej. Bezwzględność i przebiegłość, które czyniły go bardzo niebezpiecznym. Nie było żadnej twarzy, tylko jakiś cień, zarys, o imieniu Albatros. Harrington był pewien, że to on właśnie wskazał KGB miejsce zamieszkania Daviny i Sasanowa. Nowa tożsamość, nowe nazwisko, praca na uniwersytecie w zachodniej Australii. Tysiące mil od Europy i od Stanów, ziemia obiecana odstępców - uciekinierów. Zabójcy jednak wysledzili ich i zastawili pułapkę. Kilka chwil spóźnienia uratowało Davinę od śmierci wraz z mężem. Albatros wywachał ich kryjówkę.

Lomax wstawił samochód do garażu i poszedł do mieszkania. Otworzył frontowe drzwi i zawołał Davinę. Wyszła z kuchni. Pomyślał, że wygląda na zmęczoną i spiętą. Skinął głową w stronę bawialni.

- On jest tam?

- Właśnie - przytaknęła - dałam mu drinka. Mnie też to się przydało. Chodź i usiądź, kochanie. Pomóż mi trochę, bo on zaczyna mi działać na nerwy.

Pocałował ją, Davina zaś oparła się o niego z westchnieniem.

- Ciagle z uporem czepia się Australii. Nie wiem, czy robi to umyślnie, żeby mnie rozdrażnić, czy dlatego, że naprawdę sądzi, iż tam znajduje się klucz do sprawy.

Lomax pocałował ją znowu. Łajdak - pomyślał. - Wredny łajdak, który rozdrapuje rany...

- Idź i zrób sobie kąpiel albo połóż się na chwilę, najmilsza. Jesteś chyba zmęczona. Ja zabawię trochę naszego przyjaciela.

Davina powiedziała pośpiesznie:

- Colin, to, co powiedziałam przed chwilą, nie jest istotne. Nie bądź dla niego nieprzyjemny, dobrze?

- Kochanie - szepnął jej do ucha - gdybym był dla niego nieprzyjemny, tobym mu skreślił kark. Idź już, odpocznij. Obiecuję, że będę słodki jak lukier...

Przygotowywała sobie wannę, gdy zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

- Jedną chwilę - powiedziała i poszła zakręcić krany w łazience.

- Davino...

Usłyszała głos Tony'ego Waldena powtarzający jej imię.

- Tony? Hallo, wybaczyć, ale nic nie słyszałam...

- Dlaczego nie przychodzisz do biura? Byłem w New Yorku. Frieda powiedziała mi, że nie było cię od dwóch dni. Jesteś chora?

- Nigdy nie choruję - odrzekła ze śmiechem. - Jestem zajęta - to wszystko. - Czy jestem ci potrzebna?

Przez chwilę zapanowało milczenie.

- Wiesz, że tak. Jestem w budce telefonicznej po drugiej stronie ulicy.

- Słucham? A co, u licha, tam robisz?

- Miałem zamiar przyjść, kiedy zauważyłem, że wraca twój major. I zobaczyłem jeszcze coś... O, do diabła, kończą mi się drobne... - Usłyszała dźwięk wrzucanej monety i znowu jego głos. - To moja ostatnia pięciopensówka. Słuchaj, mam ci coś do powiedzenia, czy mogę wejść i cię zobaczyć?

- Nie - odparła Davina pośpiesznie. - Nie, lepiej nie. To ja wyjdę do ciebie. Czekać w tej budce telefonicznej.

A więc nie będzie kąpieli. W głosie Waldena usłyszała napięcie, które zmusiło ją do pośpiechu. Wsunęła głowę przez uchylone drzwi. Telewizor był włączony i Lomax siedział spokojnie czytając gazetę, Harrington zaś oglądał wiadomości.

- Wychodzę na chwilę - powiedziała. - Zaraz wrócę. Zbiegła po schodach na ulicę. Budka znajdowała się po drugiej stronie, ale nie było w niej Waldena.

- A niech to diabli! - powiedziała i rozejrzała się dokoła. Taksówka zatrzymała się przy krawężniku. Walden otworzył przed nią drzwi.

- Davina!

Wsunęła się na siedzenie i wóz ruszył.

- Tony, co u licha to wszystko ma znaczyć?

- Przechytrzyłem ich - powiedział i spojrzał do tyłu. Miała ochotę nim potrząsnąć.

- Kogo przechytrzyłeś? - spytała.

Skłonił się do przodu i zasunął szybę dzielącą ich od kierowcy.

Dwóch mężczyzn, którzy obserwują twój dom - odparł spokojnie. - Jeden z nich podążył za majorem. Widziałem go. Drugi przyłączył się do niego. To dlatego telefonowałem. Żeby cię ostrzec.

Zbladła, nie mogąc się opanować.

- O mój Boże! Jesteś pewien?

- Mężczyzna, który śledził twego przyjaciela, wszedł do niebieskiego samochodu zaparkowanego parę jardów w górę ulicy, przy wejściu do waszego domu. W samochodzie był drugi. Nie odjechali stamtąd. To mnie zaintrygowało, dlatego zaczekałem; objechałem potem cały kwartał dokoła i zaparkowałem. Tuż przed moim telefonem do ciebie wymienili się. Niebieski wóz ruszył, a jego miejsce zajęła dostawcza furgonetka. Wtedy zadzwoniłem. Davino, strasznie pobladłaś. Co się dzieje?

- Nic, o czym warto mówić - powiedziała. Spojrzała w tylną szybę.

- Za nami jedzie kremowa furgonetka, czy to ta sama?

- Nie... - odparł. - A więc ktokolwiek prowadzi obserwację, interesuje się budynkiem. Najwidoczniej nie mają instrukcji, żeby śledzić ciebie.

- Ale powiedziałaś, że za Colinem szedł ogon?

- Obawiam się, że tak - odparł. Pochylił się naprzód, odsunął szybę i zwrócił się do taksówkarza: - Proszę do Ritza - a potem znowu ją zasunął.

- W hotelu mam pokój, którego czasem używam. Możemy tam porozmawiać. - Pochylił się i ujął jej rękę. Starła się ją wyrwać, ale trzymał ją tak mocno, że nie chciała się szarpać.

- Jest ci zimno - powiedział. - Przestań się głupio zachowywać i pozwól mi trzymać cię za rękę. Wplątałaś się w coś paskudnego, prawda? Pomyślałem, że mój samochód zbyt rzuca się w oczy, dlatego wziąłem taksówkę. Dobry pomysł, nie uważasz?

- Na dobrych pomysłach robisz interesy - odpowiedziała.

- Na miłość boską, przestań wyobrazać sobie, że jesteś szpiegiem! Mam dość kłopotów bez martwienia się o ciebie.

- Chciałbym, żebyś się o mnie martwiła - odrzekł i dodał:

- Jesteśmy na miejscu. To mój ulubiony hotel.

Spiesznie przeszła przez słynny hall na parterze i podążyła za Waldenem do windy; wysiedli na trzecim piętrze. Specjalnie oznakowanym kluczem ze specjalną etykietką otworzył drzwi apartamentu A. Był to uroczy pokój, utrzymany w jasnoniebieskiej tonacji, elegancko umeblowany, ze świeżymi kwiatami.

Davina rozejrzała się uważnie dokoła. - Pokój? To chyba jest właściwe określenie. Do czego ci służy?

Walden wyjmował szklanki z barku wypełnionego butelkami.

- Przyjmuję gości - odparł. - Dla ciebie wino czy coś mocniejszego?

- Coś mocniejszego - odpowiedziała. - Zabawiasz klientów?

- Damy - Walden podał jej kieliszek z koniakiem. - I czasem klientów, którzy nie chcą, żeby wiadano, iż zatrudniają agencję reklamową. Taki pokój u Ritza daje im poczucie bezpieczeństwa. Piękny stąd widok, nie sądzisz?

- Piękny - zgodziła się.

Pod oknami rozciągał się park - zdawało się, że znajdują się w bogatej wiejskiej posiadłości otoczonej rozległymi gruntami.

- Tony, jesteś pewien, że z tego niebieskiego wozu obserwowano dom?

W pytaniu zadźwięczała prawie prośba, żeby zaprzeczył, on jednak potwierdził:

- Najzupełniej pewien. A jeśli myślisz, że bawią się w policjantów i złodziei, jak to nazwałaś, to muszę ci przypomnieć, że mam pewne doświadczenie w organizowaniu ucieczek ze wschodnich Niemiec. Nie jestem zawodowcem, tak jak ty, moja droga, ale również nie jestem amatorem. Dom znajduje się pod obserwacją i majora Lomaxa śledzono przez cały czas aż do domu. Może lepiej powiedz mi dlaczego, inaczej nie będę ci mógł pomóc.

- Nie potrzebuję żadnej pomocy - odrzekła. - Tak samo Colin, który sam potrafi troszczyć się o siebie.

- Tego jestem pewien - powiedział Walden. - Nie jego miałem na myśli. Davino, dlaczego mi nie ufasz? Mógłbym ci się przydać. Mam pieniądze, możliwości, wszystko, czego potrzebujesz. Powiedz mi chociaż, kto za tym stoi, kto was śledzi?

Usiadła i zaczęła pić koniak małymi łykami. Potrzebowała tego. Minęły zaledwie dwa dni, a dom już był obserwowany. Tony czekał. Milczenie się przedłużało. Wreszcie spojrzała na niego. Miał rację. Walden mógł ich wesprzeć w potrzebie, a

tego im brakowało. Transport, prywatny samolot, pieniądze, choćby ten pokój u Ritza. W ciągu sekundy podjęła decyzję.

- Rosjanie - stwierdziła. - Czytałeś o podwójnym agencie Peterze Harringtonie, który uciekł z więzienia w tym tygodniu? Mamy go w naszym mieszkaniu.

- Chryste Panie! - Niemal podrzuciło go na krzesło. - Chcesz powiedzieć, że wyciągnęliście go z więzienia?

- Nie, to zrobiło KGB, ale Colin im go odebrał. Właśnie dlatego, to, co mi powiedziałeś, jest tak niezmiernie ważne. To znaczy, że oni podejrzewają, iż Harrington jest tutaj albo nawet o tym wiedzą. Jakkolwiek by było, na pewno niebawem dobiorą się do nas.

Przypatrywał się jej uważnie; ściągnął brwi, aż na czole utworzyła się głęboka zmarszczka.

- Nie macie żadnego oficjalnego wsparcia. Było to stwierdzenie i Davina się nie zawahała.

- Żadnego. Nawet ze strony Humphreya. Dlatego zyskasz moją wdzięczność, jeśli będziesz milczał, gdyby on zaczął węszyć.

- A dlaczego nie? - zmarszczka na czole nie zniknęła. - Wydawało mi się, że wykonywałaś służbowe zadanie, pracując w ukryciu. Przecież dlatego załatwiłem ci tę posadę.

- Wykonywałam i wykonuję - odparła Davina wstając. - Prosiłeś mnie przed chwilą o zaufanie, a więc i ja potrzebuję trochę zaufania z twojej strony. Nie musiałam ci nic mówić. Niczego więcej nie muszę wyjaśniać i nie będę tego robić.

- Zgoda, niech będzie - podniósł dłoń do góry. - Dziękuję, że mi zaufałaś. To brzmi tak niebezpiecznie i tak szaleńczo, że prawie tego żałuję. Jak mógłbym ci pomóc?

Davina usiadła z powrotem. Teraz czuła się pewniej i myślała z błyskawiczną szybkością.

- Wiem, co możesz zrobić, ale najpierw muszę ci coś powiedzieć. Masz rację, mówiąc o niebezpieczeństwie. KGB

chce mieć Harringtona. Mam przeczucie, że oni sprawdzą, czy Harrington nie ukrywa się przypadkiem w naszym mieszkaniu i dokonają włamania. Jeśli wtedy go zabiją, to będzie wielka strata. Jedno, czego chcą, to zamknąć mu usta. Ja zaś muszę go wyprowadzić z naszego domu i ukryć tam, gdzie go nie znajdą. Przynajmniej przez tydzień. Czy pozwolisz mi go przywieźć tutaj? - Co za świetny pomysł! Nikomu nie wpadnie do głowy szukać go u Ritza... Davino, jesteś genialna. Szybko też zauważyłaś wielką szansę. Lepiej przenieś się do mnie do pracy na dobre, jak się skończy ta cała afera! - Zapalił papierosa i podał go jej. - Otwieram własną agencję - oświadczył. - Zdecydowałem się na to w czasie podróży do Stanów.

Na chwilę zapomniała o Harringtonie i groźbie, jaką stanowili tajniacy na ulicy.

- Zrezygnowałaś ze stanowiska? Tak mi przykro.

Wzruszył ramionami.

- Utrata arabskiego kontraktu była zbyt trudna do wytłumaczenia. Chcieli mojej głowy na tacy. Podałem im sam, zanim zdolali ją obciąć. Czuję się właściwie uwolniony od ciężaru. Ale to nie ma znaczenia. Dlatego właśnie dziś się zjawiłem u ciebie; chciałem ci o tym powiedzieć.

- Dzięki Bogu, że przyszedłeś - powiedziała Davina. - Tony, ja już muszę wracać, ale najpierw zadzwonię do Colina.
- Szybko wykręciła numer.

- Gdzie jesteś? - usłyszała w słuchawce głos Lomaxa.

- Jestem z Tonym Waldenem. Hallo... Colin? Myślałam, że odłożyłeś słuchawkę. Powiedziałam, że jestem z Tonym. Nie zgadniesz gdzie... Ale nieważne... Nie, oczywiście, że nie jestem!

Walden usłyszał ostry ton w jej głosie i lekko się uśmiechnął. Zazdrosny - pomyślał - a ona tego nie lubi.

- Zaraz wracam do domu. Co robi Harrington? Na miłość boską, nie dawaj mu za dużo pić, on ma słabą głowę. Zapakuj dla niego i dla nas trochę rzeczy. Tak, dobrze usłyszałeś: zapakuj... Powiem ci wszystko, kiedy wrócę. - Odłożyła słuchawkę, i kiedy się odwróciła, Walden zobaczył, że twarz miała lekko zaróżowioną. Zastanawiał się, co takiego mógł powiedzieć Lomax, że oblała się rumieńcem.

- Tony, wydaje mi się, że powinniśmy przewieźć go tu dzisiaj. Nie ma sensu dłużej czekać. Ale będziesz musiał pomóc. Chcę cię ostrzec, że to może być dla ciebie niebezpieczne.

- Ja się nie boję - odpowiedział lekkim tonem. - Jestem tylko drętwy z przerażenia. A propos, umiem posługiwać się bronią.

- Nie będzie okazji - odrzekła. - Potrzebny natomiast będzie płaszcz i kapelusz, najlepiej coś zwracającego uwagę. Trzymasz tu jakieś ubrania?

- Tylko piżamy - odparł - dla zachowania pozorów. Ale płaszcz i kapelusz mogę przywieźć z domu. I co mam właściwie zrobić?

- Przyjeźdź do naszego mieszkania za godzinę - powiedziała - ubrany w ten płaszcz i kapelusz. Resztę obmyślimy na miejscu. A teraz muszę już wracać. Dzięki - podeszła do niego i pocałowała w policzek. - Obiecuję ci, że zrobię coś w sprawie agencji - z tymi słowami wyszła.

ROZDZIAŁ 6

- Wyszprzątałem tu wszędzie - powiedział Ronnie. - Kupiłem też kiełbaski i coś jeszcze na kolację.

Humphrey rozejrzał się po ponurej małej bawialni. Teraz była nieskazitelnie czysta. Ronnie stał oczekując na pochwałę.

- Wygląda bardzo przyjemnie - stwierdził Humphrey. - Dziękuję za zrobienie zakupów. To straszna niewygoda

kupowanie jedzenia w drodze do domu. Zwykle nie zadaje sobie trudu.

- Mógłbym coś ugotować - zaproponował Ronnie. - Jestem w tym całkiem niezły, pomagałem mamie, gdy byłem w domu. Proszę usiąść. Czy mam zrobić drinka?

Humphrey przytaknął. Spoglądał na tę młodą, uśmiechniętą twarz i miał poczucie ciepła i wygody, których nigdy nie zaznał. Taki naprawdę miły chłopak, wdzięczny za wszystko, życzliwy i usłużny. Dotąd nie miał nikogo, kto by się o niego troszczył.

- Z przyjemnością, Ronnie. Proszę o sherry. Wypij ze mną. Dziękuję. A teraz powiedz mi, czy byłeś dzisiaj w biurze pośrednictwa pracy?

- Poszedłem zaraz, jak skończyłem sprzątanie - padła odpowiedź. - Było zajęcie przy zmywaniu naczyń w kawiarni w okolicy Pimlico. Widziałem się z kierowniczką: taka prawdziwa stara krowa. Zapłata dwadzieścia funtów tygodniowo za sześć wieczorów od siódmej do dwunastej.

Humphrey przerwał mu ostro: - Chyba tego nie przyjąłeś?

- Cóż, przyjąłem - chłopak miał zakłopotaną minę. - Zaczynam jutro. Nie mogę przecież naciągać pana dłużej.

- Nie bądź śmieszny - odparł Humphrey stanowczym tonem. - Dwadzieścia funtów tygodniowo nie starczy ci na utrzymanie, nie mówiąc o wszystkim innym. To niewolnicza praca, ot, co to jest. Poza tym jeśli będziesz pracować wieczorami, wcale się nie będziemy widywać.

Ronnie spojrział na niego - wydawał się zawstydzony.

- Rzeczywiście, nie będziemy. Myślałem o tym. Co więc mam robić w tej sytuacji?

Humphrey skończył swoją sherry. Ronnie zerwał się, żeby napełnić mu szklaneczkę ponownie.

- Jutro idź znowu do pośrednictwa - stwierdził - i powiedz im, że ta praca była zupełnie nieodpowiednia. Nie martw się

na zapas, na pewno na coś trafisz, jeśli będziesz tam chodził często. A poza tym pamiętaj, że możesz tu mieszkać, jak długo zechcesz.

Chłopak miał niezwykle zaraźliwy niewinny uśmiech, który rozpląnął mu się po twarzy i zmusił do słabego uśmiechu nawet Humphreya.

- Jest pan dla mnie bardzo dobry - powiedział. - Tak się bałem tej pracy. Ta kobieta wyglądała na prawdziwą jędzę...

- Zapomnij o tym - poradził Humphrey. - Nie chciałbyś pracować dla kogoś takiego nawet i za lepszą płacę. A poza tym - dodał obojętnym tonem - jeśli chcesz mieć jakieś kieszonkowe dla siebie, dopóki nie znajdziesz pracy, ja to mogę załatwić. Utrzymuj mieszkanie w porządku, rób zakupy i wszystkie tego rodzaju rzeczy...

Nie spojrzał na chłopaka. Nie chciał, żeby dostrzegł niepokój ukryty za tą ofertą. Nie mógł zrozumieć, dlaczego tak bardzo martwiło go, że Ronnie mógł znaleźć jakieś zajęcie i zamieszkać gdzie indziej. Ale tak istotnie było. Wcale nie zmartwiłby się, gdyby chłopak nie znalazł żadnego zajęcia tak długo, jak długo pozostawał w jego mieszkaniu i dawał mu powód, aby wracać do domu z radością.

Pomimo młodego wieku Ronnie miał wiele wrodzonego taktu.

- Będę musiał na to zapracować - powiedział łagodnie. - Nie mógłbym brać pieniędzy tak po prostu. Będę dbać o wszystko. A teraz przygotuję kolację...

Wyszedł do malutkiej kuchenki i Humphrey usłyszał, jak pogwizduje. Normalnie zżymałby się gniewnie na takie głupie niemuzyczne odgłosy.

- Jak mam przysmażyć serdelki? - zawołał Ronnie.

- Na brązowo - odkrzyknął.

Podniósł wieczorną gazetę i usiadł wygodnie, by ją przeczytać. Pomyślał, że to ciepło wewnątrz wywołały dwie

szklaneczki „Tio Pepe”, ale to nie było tak. Doznawał zupełnie nowego uczucia: już nie był samotny.

Skończyli kolację i Ronnie zapytał, czy nie będzie mu przeszkadzać włączony telewizor. Humphrey nie cierpiał telewizji, chyba że chodziło o jakiś poważny program. Schronił się więc w gazetę przed przerażającą głupotą rodzinnego quizu, chłopak zaś przykręcił dźwięk tak, aby mu nie przeszkadzać. Słysząc tylko jakiś niezrozumiały pomruk i Humphrey nie zwracał na to uwagi. Wtedy zadzwonił telefon. Ronnie podskoczył na miejscu.

- Czy mam odebrać? Humphrey odłożył popołudniówkę.

- Nie - odpowiedział po chwili. - Ja odbiorę. Przycisz tylko głos, dobrze? - Ronnie wyłączył odbiornik.

Dzwonił sir James White. Był bardzo oszczędny w słowach.

- Przed chwilą otrzymałem teleks od naszych ludzi w Moskwie. Oni nie mają Harringtona. Z najlepszego źródła, tak.

Humphrey Grant powiedział powoli:

- A więc kto go ma?

James White rzucił krótką odpowiedź:

- To właśnie chciałbym wiedzieć. Mam swoją koncepcję. Przyjdź do biura na dwudziestą trzydzieści. Będzie również Kidson. Lepiej spotkajmy się od razu i zabierzmy do rzeczy.

Głos umilkł i Humphrey odłożył słuchawkę.

- Czy coś ważnego? - zapytał chłopak. - Wygląda pan, jakby otrzymał złą wiadomość...

- Będę musiał wyjść - odparł Humphrey. - Wrócę chyba późno.

- To nie ma znaczenia - powiedział Ronnie - będę czekać na pana.

John Kidson z żoną byli na kolacji u przyjaciół, gdy dzwonił telefon z wiadomością od Szefa. Zawsze pozostawiał

numer, pod którym można go było znaleźć, jeśli wychodził z domu. Po odbyciu rozmowy usprawiedliwiał się:

- Ogromnie mi przykro, znowu jakaś głupia afera w biurze. Będę musiał to załatwić.

- Biedaczysko! Nie chcesz chyba powiedzieć, że ktoś dokonał inwazji na wyspę Wight!?! - rzekła współczująco pani domu.

Wywołało to ogólne rozbawienie. Pośród znajomych i przyjaciół Kidson uchodził bowiem za podsekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Jedynie Charlie wiedziała, że tylko coś bardzo ważnego mogło go ściągnąć do biura o takiej porze. Wstała od stołu i, przeprosiwszy resztę gości, wyszła z nim do hallu, pytając:

- Co się stało?

- Teraz nie mogę mówić - odparł poirytowany. - Muszę zaraz tam pójść.

- Kochanie... - Charlie nie była przyzwyczajona do tak obcesowego traktowania. - Chyba mnie możesz powiedzieć...

- Spytaj o to swoją cholerną siostrunię - skrzywił się z niechęcią.

Wyminął ją bez słowa i pospiesznie wyszedł na ulicę.

Spotkali się w gabinecie Humphreya. Budynek był otwarty. Dyżurny oficer, który kiedyś skarżył się Kidsonowi, że nic się tu nigdy nie dzieje, otrzymał teraz rozkaz nawiązania kontaktu z wiceministrem spraw zagranicznych. Sam minister był w Kanadzie, a skontaktowanie się z jego zastępcą okazało się bardzo trudne, ponieważ znajdował się on w drodze do Edynburga, jadąc na ślub kogoś z rodziny. Szef był tym wszystkim zniecierpliwiony, oficer dyżurny mówił później, że czuł się tak, jakby stał pod kranem, z którego kapał kwas siarkowy.

Teleks od rezydenta brytyjskiego wywiadu w Moskwie Przyszedł bezpośrednio przez ambasadę. Harrington został

uwolniony przez KGB, ale w drodze nastąpiła nieoczekiwana interwencja i znikł bez śladu. Nie można było poddać w wątpliwość wiarygodności tej informacji. Przyszła od wysoko postawionego w sowieckim MSZ informatora. Człowiek ów świadomie przekazał ją swemu brytyjskiemu odpowiednikowi.

- Dlaczego? - spytał skwapliwie Humphrey.

- Dlatego, że na górze idzie wewnętrzna walka o władzę - odparł White. - Twardogłowi pod wodzą Rudzenki stoją przeciwko gensekowi Żerkowowi i Borysowowi. Przyczyną przecieku jest chęć zdyskredytowania przywództwa KGB. Mają nadzieję, że my złapiemy Harringtona i tę wpadkę kagebistów podamy do publicznej wiadomości.

- To robota Lomaxa i Graham - wtrącił Kidson. - Mają Harringtona i ona wyciska z niego, co się da, licząc na uzyskanie informacji o Albatrosie.

James White wpatrywał się w niego z uwagą.

- To bardzo poważne oskarżenie, Johnie. Czy wiesz coś, czego nie wiem ja i Humphrey?

- Nie, naturalnie, że nie wiem - odpowiedział ostro Kidson. Wydawał się bardziej spięty niż Grant. White, jak zwykle, pozostawał lodowato chłodny. - To jest po prostu oczywiste. Powiedziała, że dopadnie Albatrosa, a Harrington jest tym, kto pomoże jej to osiągnąć!

- Zgadza się - powiedział spokojnie Humphrey. - Aczkolwiek wygląda to na bardzo skomplikowaną operację. Jeden człowiek, bez pomocy, na pewno nie mógł odebrać Harringtona jego sowieckim wyzwolicielom. To jedyna wątpliwość z mojej strony. Za tym musi stać jakaś organizacja. Ktoś na pewno im pomaga, jeśli mamy rację i rzeczywiście są to Davina i Lomax. Szefie, co pan o tym sądzi?

- Jest prosty sposób na sprawdzenie tej wersji, zanim wciągniemy w to MSZ. Skoro Fuller jest w drodze do Edynburga, to mamy parę godzin dla siebie. Ale nie więcej. Będę musiał podać tę informację do ogólnej wiadomości, a to oznacza ogólnokrajowy alert i poszukiwanie Harringtona na wielką skalę. Myślę - i tu spojrzął na Granta i Kidsona - że wolelibyśmy znaleźć go sami.

- Musimy go znaleźć - powiedział Kidson. - Jeśli mam rację i ta dwójka sama zaczęła egzekwować prawo, trzymając skazanego zdrajcę w ukryciu, to trzeba coś z nimi zrobić!

- Nie martw się o to - zapewnił go White. - Niech tylko znajdę dowody. A teraz proponuję...

- Powiedziałaś mu? - zdumiał się Lomax. - Powiedziałaś Waldenowi o nim? - wskazał głową w stronę zamkniętych drzwi. - Na miłość boską, Davino! - niemal zeszytniał z gniewu.

Patrzyła nań nie odwracając wzroku, ale i jej nerwy zaczynały odmawiać posłuszeństwa.

- Nie wydaje mi się, żebyś zrozumiał, co do ciebie mówię - odparła. - Siedzą nas. Jechali za tobą aż pod dom!

- Bo tak powiedział ten cholerny głupek, który umie sprzedawać mydło i podpaski higieniczne! - wybuchnął Lomax. - A co on może wiedzieć o organizowaniu obserwacji jakiegoś miejsca? Albo o śledzeniu kogoś? Cała ta sprawa jest po prostu śmieszna. Czy wyobrażasz sobie, że nie zauważyłbym ich, gdyby za mną chodzili?

- Cóż, jednak nie zauważyłeś - odparła szorstko. - I wierzę Tony'emu. Ta furgonetka stała tu, gdy wróciłam. Tak czy inaczej poczyniłam już przygotowania i chcę, żeby rzecz została doprowadzona do końca. Teraz pójdę zawiadomić o tym Harringtona.

Podszedł i chwycił ją za ramię.

- Chwileczkę - powiedział pozornie opanowanym głosem.
- Nie będziesz mi wydawała rozkazów.

Stała spokojnie i stanowczo zdjęła jego dłoń ze swego ramienia.

- Colinie - odrzekła - pozwalasz, żeby twoje osobiste uczucia stawały na drodze sprawom zawodowym. To, co mi powiedziałeś przez telefon, jest tego dowodem. Walden nie podrywał mnie. Mówił mi tylko, że lada chwila mogą wdrzeć się do naszego mieszkania. Ty zaś jesteś zazdrosny i zachowujesz się jak głupiec. Zabieram stąd Harringtona i nie możesz mi w tym przeszkodzić - powiedziawszy to, otworzyła drzwi bawialni i weszła do środka.

Harrington był zupełnie rozdygotany. Gryzł wargi i wykręcał palce, podczas gdy ona mówiła.

- Jeśli tego nie zrobisz, przyjdą tutaj i cię aresztują.
- Jak długo byliśmy pod obserwacją? - zapytał. - Dlaczego, u diabła, nie przewidziałaś tego i nie umieściłaś mnie gdzie indziej?

- Dlatego, że sądziłam, iż Szeff uwierzył że zostałeś wywieziony do Rosji - odpowiedziała. - Najwidoczniej jednak podejrzewa, że tak się nie stało, ale nie ma pewności. Dlatego właśnie tylko nasi ludzie pilnują nas tutaj i na razie nic nie robią. Ale to się stanie, Peterze, i wszyscy wpadniemy. Musisz postąpić tak, jak ci powiedziałam. Ja zaś muszę ci zaufać, że wyjdiesz i wsiądziesz do taksówki, która będzie na ciebie czekać. Uwierz mi, że wiem, co jest dla ciebie lepsze.

Zaczął cicho przeklinać, a potem dodał głośno:

- Jezu wszechmogący, dlaczego nie zostałem w Scrubs? Dlaczego w ogóle pozwoliłem ci się namówić do tego wszystkiego?

- Jeśli takie jest twoje zdanie - odważnie zagrała Davina - to masz do zrobienia jedną rzecz: wyjść stąd i oddać się w

ręce tych chłopaczków z furgonetki, która stoi przy krawężniku. Tam są drzwi. Nikt cię nie będzie zatrzymywać.

Było to ryzykowne zagranie, ale spróbowała wiedząc, że obserwatorami są ludzie z KGB. Gdyby to był dawny Peter Harrington, Peter sprzed sześciu lat - nie tak łatwo byłoby go okłamać. Przejrzałyby to oszustwo; gdyby tylko odważył się sam wyjść na ulicę, odgadłby, że w samochodzie są jego przyjaciele. Ale jego nerwy i logiczne rozumowanie sporo ucierpiały w ciągu tych sześciu lat. Już nie był tym samym człowiekiem, który wraz z nią udał się do Rosji i rozgrywał grę sekretów i kłamstw subtelnie i zręcznie. Teraz był oszołomiony i wstrząśnięty, a jej jeszcze udało się go przestraszyć.

- Ktoś dzwoni do drzwi - powiedziała. - Decyduj się. Usłyszała głosy w hallu i wyszła szybko. Stał tam Tony

Walden, a postać Lomaxa majaczyła w głębi. Walden miał na sobie luźny, brązowy, bawełniany płaszcz i kapelusz z szerokim rondem. Z trudem dawało się dostrzec jego twarz, nawet z bliska.

- Strój maskaradowy - zauważył Lomax. - To tak właśnie kazała się panu ubrać?

Walden nic mu nie odpowiedział, tylko zwrócił się do Daviny.

- To wystarczy? Powiedziałaś, żeby było coś rzucającego się w oczy. Taksówka czeka.

- W porządku. - Davina nie traciła czasu. - Daj mi płaszcz i kapelusz. Idź do sypialni. Nie chcę, żeby Harrington cię zobaczył. Dziękuję ci, Tony. Spisałeś się znakomicie.

- Klucz od apartamentu A jest w kieszeni - dodał wchodząc do sypialni i zamykając za sobą drzwi.

Lomax podszedł do niej i powiedział:

- Nie rób tego. Harrington może spróbować ucieczki.

- Major ma rację. - Tony Walden wyszedł z sypialni. - Słuchaj, nie zależy mi, czy on mnie zobaczy, czy nie. Niby dlaczego? - wzruszył ramionami. - Zostawiłem tu mój samochód, pamiętasz? Zejdę na dół i pojedę za nim do Ritza. Jeśli będzie coś kombinował, zatrzymam go.

- Jak? - sarkazm w głosie Colina łączył się z okrucieństwem. - Grasz nie w swojej lidze, Walden. Dlaczego nie pójdziesz do domu, do żony, i nie zostawisz nas?

Walden odwrócił się do niego.

- Zrobię to, kiedy on będzie bezpiecznie umieszczony w hotelu i jedno z was przyjdzie, żeby się nim zająć. I nie martw się o ligę. Ja uczę się reguł bardzo szybko.

Podszedł do drzwi frontowych. Wyglądał zupełnie inaczej niż ten osobnik w amerykańskim stylu, który niedawno przyszedł. Z gołą głową, ubrany w ciemny garnitur - sprawiał wrażenie znacznie starszego.

Davina i Lomax nie rozmawiali ze sobą. Przeszła obok niego dygocząc z irytacji, którą jeszcze potęgowało wyjątkowe napięcie nerwowe. Podeszła do Harringtona i podała mu płaszcz i kapelusz.

- Włóż to na siebie, zejdź po schodach na dół i idź do taksówki, która stoi przed wejściem do budynku. Powiedz taksówkarzowi, żeby cię zawiózł do Ritza. Klucz do swego pokoju masz w kieszeni płaszcza.

- Do Ritza? - Harrington pośpiesznie wkładał płaszcz. Kapelusz nasunął rondem na oczy. - Do Ritza! Czy ty zupełnie straciłaś resztkę rozumu?

- Wychodź już stąd! - krzyknęła na niego.

Opuścił mieszkanie, niepewnym krokiem, szurając nogami, ona zaś zamknęła za nim drzwi i podbiegła do okna bawialni. Spoglądała na ulicę stojąc z boku, by nie być widzianą. W dole mężczyzna w brązowym płaszczu i kapeluszu przeszedł kilka kroków po chodniku, w kierunku

taksówki. Kierowca otworzył przed nim drzwi. Mężczyzna wsiadł i wóz odjechał. Davina nie ruszała się z miejsca, choć wiedziała, że Lomax stoi obok niej. Kiedy niebieski mercedes Waldena pojawił się, jadąc za taksówką, wydała westchnienie ulgi i odwróciła się od okna. Zapanowała ciężka cisza. Zapaliła papierosa i usiadła. Lomax przygotował sobie drinka.

- Zrobić ci też? - powiedział po chwili.

- Nie. Już piłam koniak. Dlaczego nie wyjdiesz po papierosy czy po coś, żeby zobaczyć, czy furgonetka tam jeszcze stoi?

- Dlaczego nie przestaniesz mówić mi, co mam robić? Gdyby nie ja, nie miałabyś tego drania w ręku. A o tym jakoś nic nie słyszę.

- Mówię ci to, ponieważ jesteś taki spięty, że nie potrafisz jasno myśleć. - Odwróciła się na krześle i dodała gniewnie: - Nie mam romansu z Tonym Waldenem! A teraz wyjdź i zobacz, czy oni tam jeszcze są!

- Jeśli nie romansujesz z nim, to nie dlatego, żeby on tego nie próbował - rzucił Lomax. - Wychodzę.

Usłyszała trzaśnięcie drzwi frontowych i powiedziała do siebie głośno: - Och, niech to wszystko trafi szlag! - a potem spojrzała na zegarek. Dojazd z Marylebone do Ritza zajmie około dwudziestu minut, jeśli nie będzie zbyt dużego ruchu, ale chyba nie. Wkrótce powinni dojechać na miejsce.

- I ja też tam powinnam się dostać - powiedziała do siebie głośno. - Musimy wyjść stąd oboje i to bez żadnych ogonów. Nie jestem w stanie nic wymyślić... Nie mogę w ogóle o niczym myśleć w tej chwili. Colinie?

Usłyszała, jak się porusza w hallu, drzwi się otworzyły.

- Dobry wieczór, Davino.

Podniosła się i zobaczyła, że za sir Jamesem White'em stało jeszcze dwóch mężczyzn: John Kidson i Humphrey Grant. Lomax był w głębi.

- Właśnie przechodziliśmy - powiedział SzeF przyjaźnie - i pomyśleliśmy, żeby wstąpić na chwilę. Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy?

- Kim, u diabła, pan jest? - zapytał Harrington. Przeżył chwilę potwornego przerażenia, gdy Walden dołączył do niego w hotelowym foyer i ujął go pod ramię. Jego uśmiech nie poprawił sytuacji, ani też wyrażone szeptem zapewnienie, że jest przyjacielem i że idzie razem z nim do pokoju. Przez chwilę Harrington stał jak wryty i nie mógł się zdecydować, czy ma się wyrwać i uciekać, nie wiedząc kim jest mężczyzna: przyjacielem czy agentem SIS.

- Ma pan na sobie mój płaszcz i kapelusz - powiedział Walden. - Winda jest tam - wskazał.

Gdy znaleźli się w pokoju, Harrington zebrał się na odwagę i zadał to pytanie:

- Kim, u diabła, pan jest?

- Jestem przyjacielem Daviny - odpowiedział uprzejmie Walden. - Niech się pan rozbierze i czuje się jak u siebie w domu. Chce się pan czegoś napić? Ja mam ochotę na wódkę.

- Szkocka z wodą - odpowiedział po chwili nadąsany Harrington. Podeszedł do okna i patrzył na wspaniały widok na park. - No cóż - powiedział - tu jest znacznie lepiej niż w tej norze przy Marylebone.

- Cieszę się, że się panu podoba. - Walden podał mu szklaneczkę. - Czy jadł pan coś?

Harrington pokręcił przecząco głową.

- Nie, lecz chętnie bym coś przegryzł. Chryste! Ale przed •stawienie! Jeszcze teraz trzęsę się jak liść. - Usiadł i przyglądał się, jak Walden podchodzi do telefonu i prosi o połączenie z obsługą.

- Na co ma pan ochotę? - zapytał. - Czy zostawia mi pan wybór?

- Stek - mruknął Harrington. - Od lat nie jadłem steków...
Ma pan jakieś papierosy?

Walden wskazał dużą szkatułkę z kości słoniowej, stojącą na małym stoliku.

- Proszę się częstować.

Były tam papierosy mentolowe z filtrem i bałkańskie Sobranie wraz z firmowymi zapalkami Ritza, na których był oznaczony numer pokoju.

Harrington wyjął czarnego papierosa z charakterystyczną złotą obwódką.

- Tego też nie widziałem od bardzo dawna - zauważył. - Dawniej je paliłem. Ktokolwiek tu mieszka, to ma się bardzo dobrze. Czy to pan?

- Przychodzę tu od czasu do czasu - potwierdził Walden. - Niech pan wejdzie do sypialni, kiedy przyjdzie kelner, dobrze?

Harrington uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- Nie będzie zdziwiony kolacją na dwie osoby, co? Sobranie cieszą się popularnością wśród pedziów, prawda? Kogo pan tu przyprowadza - kobiety, czy też jest pan jednym z „tych”?

- Proszę się nie martwić - odpowiedział spokojnie Walden. - W kimkolwiek gustuję, to na pewno nie w panu. A więc do sypialni, proszę.

Nie podniósł głosu, ale Harrington szybko wykonał polecenie. Wszedł dopiero wtedy, gdy Walden go zawołał.

Pięknie nakryty stół już czekał, a zapach potraw ścisnął mu żołądek chciwym głodem. Nie rozmawiali ze sobą. Harrington pochłaniał jedzenie, zapijając je winem. Widział, że Walden spogląda na zegarek. Davina i Lomax już tu powinni być, ale przecież musieli pozbyć się tajniaka... Walden nie przerywał milczenia; pozwolił Harringtonowi skończyć resztki deseru i wziąć się do sera. Spóźniali się

bardzo. Na dworze było zupełnie ciemno. Może właśnie na to czekali. Jeśli będzie to konieczne, mógłbym pozostać tu przez noc...

- Coś pana niepokoi - zauważył Peter Harrington. Twarz miał obrzękłą, a oczy szklily się od wypitego wina. Usta wykrzywiał złośliwy uśmiezek. - Coś się nie udało naszym drogim przyjaciółom? Ten facet, to prawdziwy oprych, prawda? Ale ona lubi takie typy, jak sądzę... Kiedyś mi się nawet podobała, ale ja jej nie przypadłem do gustu. Nie byłem dość twardy i szorstki - roześmiał się nieprzyjemnie.

- Jeżeli powie pan jeszcze coś podobnego - powiedział cicho Walden - wybiję panu zęby. Nie jestem człowiekiem porywczym, więc niech mnie pan nie zmusza, żebym się nim stał. Teraz proszę iść z powrotem do sypialni, ja zaś zadzwonię, by posprzątać!

Harrington zachwiał się wstając. Przy drzwiach zatrzymał się mówiąc:

- Pardon. Pan jest kochasiem numer dwa. Ale skąd mogłem o tym wiedzieć? - i zamknął za sobą drzwi.

Gdy uprzątnięto ze stołu i kelner się oddalił, Walden wszedł do sypialni. Harrington spał wyciągnięty na łóżku.

Tony znowu spojrzął na zegarek. Jedenasta trzydzieści. Gdzie, na Boga, oboje się podziewają?

- Wiecie, że nie możemy ich zatrzymać - powiedział James White. - Nie mamy cienia dowodu!

Kidson chodził po pokoju tam i z powrotem.

- Stało tam dodatkowe łóżko - tłumaczył. - Było używane. Wiemy, że trzymają go gdzieś w ukryciu!

- Spróbuj się uspokoić - poradził lodowatym głosem Humphrey. - Harringtona w mieszkaniu nie było ani też żadnego dowodu, że tam przebywał. Lomax powiedział, że sypia w gościnnej sypialni. I kto może dowieść, że tak nie

jest? Myślę, że powinniśmy ich zwolnić, Szefie, zanim zrobimy z siebie głupców.

James White ziewnął lekko, jakby był bardziej znudzony niż zmęczony.

- Zgadza się z tobą - rzekł. - I tak wypadliśmy idiotycznie, przeszukując mieszkanie, nie uważacie? Myślę, Johnie, że zbyt pośpiesznie wyciągnąłeś wnioski. To mnie postawiło w niezręcznej sytuacji.

Kidson przestał spacerować i odwrócił się w stronę White'a.

- Obaj z Humphreym myśleliście tak samo, a ty i teraz to robisz. Niezręczne jest tylko to, że ona nas przechytryła. Każ ich śledzić, a to doprowadzi nas do Harringtona; mogę się o to założyć!

- Humphreyu - powiedział Szef. - Zejdź na dół i zaproponuj Davinie i Lomaxowi powrót do domu jednym z naszych wozów. To przynajmniej dla nich możemy zrobić. Postaraj się także jakoś ich ułagodzić. Ja idę do domu. Johnie, czy będziesz mógł mnie podrzucić?

- Wiesz, co możesz sobie zrobić ze swoim wozem? - spytał Lomax.

Koścista twarz Granta nie wyrażała niczego poza chłodną uprzejmością. Zwrócił się do Daviny.

- Szef przekazuje swoje przeprosiny. To była bardzo niezręczna pomyłka. Postara ci się to jakoś wynagrodzić. Pozwól się odwieźć do domu.

- Nie, dziękuję - odpowiedziała. - Złapiemy taksówkę. I powiedz w moim imieniu sir Jamesowi, aby się nie usprawiedliwiał. Chodźmy, Colinie. - Przeszła obok Humphreya i wspólnie z Lomaxem wyszli.

W ślepej uliczce zatrzymali się i spojrzeli na budynek - światła zaczęły w nim wygasać.

- Jak na razie ogona nie ma - mruknął Colin. - To jest nasza szansa. Rozdzielmy się. Ty idź do Ritza, a ja przyłączę się później.

Nie czekając na odpowiedź pospieszył wzdłuż wąskiego przejścia i na moment wynurzył się w świetle ulicznej latarni na Birdcage Walk.

Davina wyślizgnęła się w ślad za nim i prędko skrzyła na lewo. Szybko przeszła około trzydziestu metrów, a potem przyłgnęła do ogrodzenia koszar gwardii. Ze ślepej uliczki nikt nie wyszedł. Nie spieszyła się idąc w górę po Birdcage Walk w stronę Victoria Station, gdzie stanęła w niedługiej kolejce na postojach taksówek i za kilka minut wsiadła do jednej z nich. Dochodziła północ, gdy portier wpuścił ją do hotelu i zadzwonił do apartamentu A. Tony Walden z westchnieniem ulgi zjechał po nią windą.

Tajniacy z Marylebone oddalili się. Nie mieli tu już nic do roboty, po tym jak wdarli się do mieszkania. Dwie osoby, których pilnowali, wyszły razem z trzema mężczyznami; światła wygaszono i nie było świadków włamania. Przeszukanie zajęło im tylko kilka minut. Furgonetka odjechała. W nocy z sowieckiej ambasady przy Kensington Palace Gardens wysłano teleks zawiadamiający, że Harrington nie znajduje się w rękach podejrzanych brytyjskich agentów. Proszono o dalsze instrukcje, a następnie wszyscy rozeszli się do siebie i przespali resztę nocy.

Colin Lomax nie wrócił do mieszkania przy Marylebone. Poszedł w odwrotnym kierunku przez park i wynurzył się w górze Mall, która prowadziła do Trafalgar Square. Tam wsiadł do metra, wyszedł na stacji Euston i wślizgnął się niepostrzeżenie do budki telefonicznej - niestety, była zniszczona. Musiał więc wejść na stację i tam odszukać czynny automat. Wybrał numer i czekał dość długo, zanim odezwał się zaspany głos.

- Fraser? To ja, Lomax. Czy mógłbyś mnie dziś przenocować? Dzięki. Wy tłumaczę się przy spotkaniu.

Przebył pieszo krótki odcinek do Tempie Road i zniknął w domu, gdzie mieszkał z rodziną jego dawny kolega pułkowy. Nie wyjaśniał niczego zbyt obszernie - musi pozostać poza domem przez kilka dni. Fraser zaakceptował to, postawił szklankę piwa; w ciągu dwudziestu minut wszystkie światła znowu były zgaszone, zaspana żona zaś miała dopiero rano dowiedzieć się, co się zdarzyło. Jej mąż prowadził takiego rodzaju interes, że ludzie zjawiali się w środku nocy, a telefon nigdy nie był wyłączany.

Albatros nie mógł spać. Udawał zmęczenie, aby uniknąć pytań. Harringtona nie było w Rosji, a więc jednak nie mógł czuć się bezpieczny. Dopiero rano postara się nawiązać kontakt z KGB. Ale dlaczego go nie zawiadomili? Przez całe lata cieszył się zaufaniem, jakim darzyli go inni, zapominając, że pewnego dnia może się to obrócić w podejrzenie. Dlaczego Borysow nie ostrzegł go, że niebezpieczeństwo nie zostało zażegnane? Czyżby został zostawiony samemu sobie? Myśl ta napęliła go taką paniką, że wyslizgnął się z łóżka i po cichu wszedł do łazienki, zamykając za sobą drzwi. Z lustra spoglądało nań jego odbicie - wpadnięte głęboko oczy, przerażone, gwałtownie szukające możliwości ratunku. Nie może dać się złapać. Nie miał też zamiaru uciekać, jeśli tylko pozostanie choć cień szansy na ocalenie. Zrobi wszystko, żeby się uratować, nawet wtedy, gdy jego mocodawcy wycofają się z przyrzeczonej pomocy.

- Nie wydaje mi się, że powinnaś tu zostać sama - powiedział Tony Walden. - To jest kawał drania.

- A co on znowu opowiadał? - spytała Davina.

Walden wzruszył ramionami.

- Nic szczególnego, ale był pijany, gdy położył się do łóżka, i myślę, że mogłabyś mieć kłopoty, gdyby wiedział, że jesteś z nim sama.

Pokręciła przecząco głową.

- Nie martw się, znam go. Ma paskudny jeźor, ale na tym się to wszystko kończy. Nie będzie niczego próbował. - Głośno wypowiedziała nurtującą ją myśl: - Muszę wydobyć z niego tę informację!

- Jaką informację? - spytał Walden.

Była nieludzko wyczerpana. Spojrzała na niego. To on ich dziś uratował. Bez jego pomocy James White zgarnąłby ich dziś i ostatnia nadzieja na znalezienie Albatrosa przepadłaby na zawsze. Do diabła z Colinem i jego zazdrością! Powinien docenić Waldena, pomimo jawnej niechęci, jaką do niego żywił, jego spokój i inicjatywę.

- Nie mogę ci powiedzieć - odrzekła. - Przepraszam, Tony. Naprawdę nie myśl, że nie chciałabym, ale lepiej tego nie robić. Przynajmniej nie w tej chwili. Tak nam pomogłeś... Nie wiem, jak ci za to dziękować.

- Byłem po prostu we właściwym czasie na właściwym miejscu - powiedział. - To szczęśliwy przypadek, kochanie, i nie ma ze mną nic wspólnego.

Nie mogła pozwolić, by słowo to zostało między nimi; ciągle jeszcze pamiętała oskarżenia Lomaxa.

- Nie mów do mnie „kochanie” - poprosiła.

- W porządku, jeśli ci się to nie podoba. Nie mówię tego każdej kobiecie.

- Wiem - odparła. - Właśnie dlatego nie chcę, żebyś mówił tak do mnie. Powiedziałam ci już, że jestem z kimś związana.

Wyjął czarnego papierosa z pudełka i podał go jej:

- Spróbuj jednego. Są mocne, ale nie ostre. Zapaliła i po chwili powiedziała:

- Smakują mi. Nie wydaje mi się, bym kiedyś ich próbowała.

- Twój przyjaciel Harrington wyrażał się o tych papierosach bardzo pogardliwie - stwierdził Walden. - Mówił, że palą je pederasty.

- Typowe świństwo z jego strony - odrzekła ze znużeniem. - Sam przecież kiedyś je palił. Nie zwracaj na to uwagi.

- Tak też zrobiłem. Ale wiesz, nie jesteś związana z Lomaxem na całe życie.

- Nie powiedziałam, że jestem - zareplikowała. - To ty jesteś żonaty, Tony.

Uśmiechnął się.

- Czy to by cię powstrzymało, gdyby nie było majora?

- Tak, myślę, że tak. Patrz, jest już wpół do trzeciej.

Muszę się trochę przespać. Jutro Harringtona obedrę ze skóry. Nie mamy zbyt dużo czasu. Zastanawiam się, dokąd poszedł Colin? - I odpowiedziała sama na swoje pytanie: - Spodziewam się, że się gdzieś przyczaił na tę noc. Na pewno skontaktuje się ze mną rano. - Ziewnęła i podniosła się z miejsca. - Dobranoc, Tony. Zwinę się tu, na sofie, niech on dziś śpi w łóżku. Jeszcze raz dziękuję ci za wszystko.

Była zadowolona, że nie zbliżył się do niej, wiedziała bowiem, iż pozwoliłaby mu wziąć się w ramiona.

- Zadzwoń jutro - powiedział. - Wszystko ustaliłem z zarządzającym. Będiesz miała to, czego zażadasz. Dobranoc.

Zrzuciła buty i ułożyła się na dużej kanapie. W ciągu kilku minut zapadła w niespokojny sen. Wydawało się jej, że znalazła się w krętych uliczkach bez wyjścia, że prowadziła samochód, który nie miał hamulców i że była naga w ramionach Waldena.

Obudziła się po szóstej. Gdy otworzyła drzwi sypialni, Harrington ciągle spał w ubraniu.

- Obudź się - zawołała głośno. - Śniadanie gotowe. Mamy przed sobą mnóstwo pracy.

Usiadł przecierając oczy i wymamrotał:

- Chryste... która to godzina? - Wreszcie spojrzął na nią. Przypomniawszy sobie, gdzie jest, jak się znalazł w pokoju i położył do łóżka, ale nic poza tym. - Nie musisz stać jak jakaś cholerna nadzorczyńca - warknął. - Najpierw chcę się wykapać. A gdzie jest kochaś?

- Colin będzie tu niebawem - odpowiedziała Davina. Jeszcze nie dzwonił, ale było dość wcześnie.

Harrington uśmiechnął się. Dokoła ust miał ślad wyschniętej śliny.

- Nie jego miałem na myśli. Pytałem o tego bogatego żydowskiego przyjaciela. Spotkamy się za chwilę, Davy.

Usłyszała jego śmiech, zanim odkręcił krany i szum wody zagłuszył wszystkie dźwięki.

- Kochanie - powiedziała Charlie - miałam ci powiedzieć, że dzwoniła mama i pytała, czy nie chcielibyśmy przyjechać na weekend do Marchwood. Myślę, że byłoby przyjemnie wyjechać z domu.

Nie wspomniała ani słowem o poprzednim wieczorze. Spała już, kiedy wrócił do domu. Dziś rano wyglądał na bardzo zmęczonego.

Charlie była zadowolona, że przyjęła wraz z dzieckiem zaproszenie wyjazdu do Marchwood. Była pewna, że taka odmiana nieco zmniejszy napięcie i da Johnowi możliwość odpoczynku. Przy śniadaniu zdawał się być myślami bardzo daleko i pytanie o weekend musiała powtórzyć, aż wreszcie odezwał się z usprawiedliwieniem:

- Wybacz, najmilsza, myślałem o czymś innym. Tak, oczywiście pojedziemy, dlaczego nie? Chętnie wyjadę z Londynu. Bardzo kocham Marchwood. I ciebie. - Przyciągnął

ją do siebie i pocałował. Boże, jakże ją kochał! O tyle rzeczy musiał teraz walczyć.

- Mama chciała, żeby Davina również przyjechała - oświadczyła Charlie obojętnie. - Ale nie mogła jej znaleźć. Nie było jej w pracy i nikt nie odbierał telefonu w mieszkaniu.

Kidson siedział bez ruchu.

- Nie naciskałam zbyt mocno z powodu tego, co powiedziałeś wczoraj wieczorem. „Twoja cholerna siostrunia!” A co ona właściwie zrobiła, kochanie?

Udało mu się roześmiać.

- Nic takiego, po prostu spowodowała sytuację, która przerwała nasz wspólny wieczór. Wybacz, nie chciałem tego powiedzieć. W tej chwili nie jest ona dla mnie najsympatyczniejszą osobą, wiesz o tym.

Charlie odwróciła się, by spojrzeć mu prosto w oczy. - Powiedziałeś, że Davina nie bierze udziału w wyścigu do stanowiska - przypominała mu. - To się nie zmieniło, czy tak?

- Naturalnie - powiedział pospiesznie. - Nie ma w tej chwili żadnych szans. Ale obawiam się, że może mi zaszkodzić i ja również je stracę.

- W jaki sposób? Czy nie możesz jej powstrzymać? - spytała Charlie, wysuwając się z jego objęć.

- Mógłbym - odpowiedział powoli - gdybym wiedział, gdzie ją znaleźć. Wygląda na to, że zniknęła. Prawda jest taka, że ona ciągle gdzieś węszy i stara się znaleźć coś, co mogłoby mnie zdyskredytować. Będzie zadowolona, jeśli wyczuje jakiś smrodek, cień podejrzenia o zdradę. Ona sama zaś odegra rolę anioła zemsty, oczywiście.

Spojrzał na swoje zaciśnięte dłonie, skrzywiwszy się.

Charlie dostrzegła ten wyraz niepokoju i ogarnął ją gniew. Rzadko traciła panowanie nad sobą, ani też nie uzewnętrzniała swojej irytacji. Starła się nie marszczyć czoła, bo z tego robiła się brzydka zmarszczka między brwiami. „Kurze łapki”

przy uśmiechu mogły wyglądać wdzięcznie jedynie w średnim wieku. Od płaczu robią się worki pod oczami. Jej życiową zasadą było śmiać się możliwie najczęściej. Ale obok był mąż, którego kochała. Wyglądał teraz jak kupa nieszczęścia, a winna temu była jej siostra, Davina. Myśl ta obudziła w niej dawny antagonizm, który przez ostatnie lata wyciszył się trochę. Była tak szczęśliwa, że nie chciała pamiętać, jak paskudnie niegdyś traktowała swą siostrę. Przekonywała samą siebie i wszystkich dokoła, że nie czuje się winna z tego powodu, iż odebrała Davinie narzeczonego i wyszła za niego za mąż. Wszystko to zdarzyło się tak dawno temu... Od tamtego czasu była dwukrotnie zameżna... ale poczucie winy pozostało, a wraz z nim jakiś cień nienawiści do osoby, której wyrządziło się krzywdę...

- Mam po uszy Daviny, która stara się ciebie skrzywdzić, Johnie - powiedziała nagle. - Jeśli uda mi się dowiedzieć, gdzie ona jest, czy to w czymś pomoże?

Patrzył na nią ze zdumieniem. Jej oczy błyszczały gniewem.

- Oczywiście, kochanie, że pomoże... ale jak to zrobisz? Jeśli ktoś z takim doświadczeniem jak Davina Graham zdecyduje się ukryć, to w jaki sposób może odnaleźć ją ktoś tak naiwny jak Charlie?

- Pozostaw to mnie - oświadczyła stanowczo jego żona. - Już ja ją znajdę.

- Teraz - powiedziała Davina - podsumujmy, co dotychczas osiągnęliśmy. Mamy przypuszczalną datę jego wstąpienia do Służby - około 1958 - 1960 roku. Opieramy to na dwóch przesłankach. Pierwsza, to usunięcie danych z dokumentacji mniej więcej w dwa lata po tym, druga zaś to uwaga agenta, który cię zwerbował, sugerująca, że na najwyższym szczeblu jest obca wtyczka. Zgadza się?

- Do tego miejsca tak - odparł Harrington. - Tak więc jeśli oba te założenia są słuszne, to Humphrey i Szeff są czyści. Pozostaje twój szwagier. Jak się to spodoba rodzinie?

- Trzymaj się tematu - powiedziała ostro. - Możesz robić swoje uwagi później, jeśli jest ci to do czegoś potrzebne. Ale czy osoba, która fałszowała akta, nie mogła mieć właśnie tego na myśli? Że uniknie podejrzeń przez przesunięcie w czasie, do okresu, kiedy zdrady nie było? Tego nie możemy zignorować.

- Mój kontakt nie miał takich motywów - tłumaczył Harrington. - Ale w porządku, może chciał mnie zachęcić. Znasz taką śpiewkę: „Chodź, chłopcze, nie ty jeden wijesz sobie ciepłe gniazdko”. Myślę jednak, że tak nie było.

- To, co nam przeszkadza - powiedziała powoli Davina - to fakt, że mamy w tych teczkach cały łańcuch śladów, które wcale nie muszą nimi być. Data wstąpienia Albatrosa do Służby stanowi klucz do jego identyfikacji. I to wskazuje w sposób diabelnie oczywisty na jedną osobę.

- Czy nie przyjmujesz fałszywego założenia? - powiedział Harrington. - Ludzie przecież przechodzili na drugą stronę po wstąpieniu do wywiadu, a niekoniecznie przedtem. Wszystko wiąże się z werbunkiem prowadzonym pośród absolwentów Cambridge, którzy mieli zająć wysokie stanowiska w establishmencie. To się zdarzało, ale nie ze mną. Byłem w porządku przez wiele lat. A potem coś się stało i zmieniłem pozycję. Albatros mógł zrobić to samo.

Davina zapaliła papierosa; gardło miała wyschnięte od czarnych papierosów Sobranie.

- Przez cały czas natykamy się na sytuacje, gdzie każdy z trzech podejrzanych może być Albatrosem. Poczynając od rumuńskiej wsypy do Sasanowa i twojego odwołania. I do jego śmierci - musiała dodać z niechęcią.

- Mówiłem ci, że wszystko na to wskazuje - w głosie Harringtona słyhać było zadowolenie z siebie. - Musisz być dzielna, Davy, i dobrze się temu przyjrzeć, jeśli chcesz go znaleźć.

Nie spojrzała na niego, nie mogła znieść tej satysfakcji, jaką zobaczyła na jego twarzy.

- Masz rację - powiedziała w końcu. - Nie wiem, od czego zacząć, w tym cały kłopot.

Harrington przyglądał się jej uważnie. Chryste - pomyślał - ona ciągle jeszcze nie zapomniała tamtego. Żołnierz nie zdołał zastąpić Iwana. I nigdy nie zdoła. Biedna Davy. Suka, dobrze jej tak!

- Ja bym zaczął - zaproponował ostrożnie - od ludzi, którzy wiedzieli, że byliście w Australii. I dalej szedł tym śladem.

Z ulgą usłyszała dzwonek telefonu. Spokojny głos w słuchawce powiedział:

- Davino... tu Colin.

Wyobraziła sobie, z jakim trudem to wypowiadał i pomimo wszystko uśmiechnęła się.

- Halo, kochanie. Nie będę nic mówić przez telefon. Czy jedziesz tutaj?

Odpowiedź nie budziła żadnych wątpliwości.

- Natychmiast. Czy wszystko w porządku?

- Absolutnie - odparła.

Na chwilę zapadło milczenie, a potem znów usłyszała w słuchawce głos Colina:

- Przepraszam za ostatni wieczór.

Zawsze miał trudności z przeprosinami, szczególnie wtedy, kiedy był winien.

- I powinienes - odpowiedziała łagodnie. - Nie bądź idiotą. Spiesz się, pytaj o apartament A, oni mają tam moje nazwisko.

Odwróciła się do Harringtona. „Bądź dzielna i przyjrzyj się najbardziej bolesnemu okresowi swego życia” - powiedział. Miała zamiar to zrobić i pokazać mu, że potrafi, ale dziękowała Bogu, że Colin Lomax będzie przy tym wraz z nią.

- Panie Walden - głos Friedy Armstrong wyrażał lekką dezaprobatę, która zwróciła jego uwagę - jakaś pani Kidson chce z panem rozmawiać. Mówi, że jest siostrą panny Graham.

Tony Walden zawahał się chwilę. Doskonale pamiętał tę rudowłosą piękność.

- Powiedz jej, że panna Graham zadzwoni później - odparł.

- Powiedziałam - rzekła Frieda - ale ona chce rozmawiać z panem. Mówi, że to pilne. Wygląda na to, że nie może się skontaktować z panną Graham.

- Dobrze, połącz ją ze mną - powiedział.

Głos, miała brzmiały tak, jakby dopiero co usłyszała dobry dowcip i chciała się nim podzielić.

- Przepraszam, że sprawiam kłopot - powiedziała Charlie.

- Pamięta mnie pan? Przychodziłam niedawno do pańskiego biura...

- Jakże mógłbym zapomnieć? - jego odpowiedź była niemal instynktowna. - Co mogę dla pani zrobić, pani Kidson?

- Próbuję skontaktować się z Daviną, bo nasza matka nie czuje się najlepiej. Dzwoniłam do jej mieszkania, ale nikt nie odpowiada. Czy wyjechała gdzieś służbowo?

- Tak, właśnie tak - odparł spokojnie Walden. - Ale spodziewam się, że w każdej chwili może zadzwonić. Powiem jej, żeby skontaktowała się z panią natychmiast. Mam nadzieję, że nie stało się nic poważnego?

- Och, nie, tylko gdy się przemęczy, serce zaczyna jej łomotać jak zwariowane... Mama chce po prostu zobaczyć się

z Daviną, a ponieważ nie mogła się do niej dodzwonić, zaczęła się martwić i poczuła się gorzej. Niech pan powie Davy, żeby zatelefonowała do mnie, jak tylko będzie mogła, dobrze? - a ponieważ drugą naturą Charlie było flirtowanie z każdym mężczyzną, nawet na odległość, dodała: - Mam nadzieję, że spotkam pana, kiedy znowu przyjdę do biura.

- A ja mam nadzieję, że pozwoli się pani zaprosić na lunch - usłyszała w odpowiedzi.

Odłożył słuchawkę i przez chwilę rozmyślał. W tej rozmowie dźwięczała jakaś fałszywa nuta. Początkowe nalegania na pilny kontakt zmieniły się w mętne raczej wyjaśnienia. Poprosił więc o połączenie z miastem i zadzwonił do Ritza. Telefon odebrał Colin Lomax. Walden postanowił zachowywać się dyplomatycznie. Zawsze, jeśli to możliwe, należy rozbroić wroga...

- Jak się mają sprawy?

- Wszystko jest okay - krótko odpowiedział Lomax.

- Nie zostałem z Daviną - wyjaśniał Walden, jakby był zobowiązany mu się wytłumaczyć - bo ona stwierdziła, że sama sobie doskonale poradzi. Cieszę się, że pan jest tam z nią. Ten wasz przyjaciel mi się nie podoba.

- Mnie również - odpowiedział Lomax. I wiedząc, że Davina go słyszy, dodał: - Dziękuję za wszystko, co pan zrobił wczoraj wieczorem.

- Nie ma sprawy - głos Waldena brzmiał przyjaźnie. - Chciałbym zamienić z nią kilka słów.

- Proszę poczekać - odparł Lomax - zaraz ją zawołam.

Davina słuchała nie przerywając. Lomax pozostawał w pokoju zastanawiając się, o czym mówi Walden, że słucha go z taką uwagą. W końcu powiedziała:

- Dziękuję, Tony. To oczywiście wszystko bzdury, ona po prostu próbuje mnie odnaleźć. Zadzwonię do niej za chwilę. - Odwróciła się do Lomaxa: - To Charlie. Poprosiła Tony'ego o

kontakt ze mną, podając jakąś mętą historyjkę o chorej mamie, która się zamartwia, bo nikt w naszym mieszkaniu nie odpowiada na telefony. Tony powiedział, że nie uwierzył ani jednemu słowu tej opowieści.

- Widzę, że Walden staje się wyraźnie ekspertem? A skąd on tak dobrze zna Charlie, że może powiedzieć, czy wymyśliła to, czy nie?

Davina spojrzała na niego i odetchnęła głęboko.

- Colinie, na miłość boską, co w ciebie wstąpiło?

- Ja mu nie ufam - powiedział Lomax stanowczo. - Nie ufam mu, gdy chodzi o ciebie, i w ogóle mu nie ufam. Nie dlatego, że jestem zazdrosny. Wyrzucę go na zbity pysk w ciągu dwóch sekund, jeśli zobaczę, że zaczyna jakieś nieczyste zagrania. - Skrzywił się niechętnie, wcisnąwszy do kieszeni Pięści, kołysząc się jednocześnie na piętach. Davina знаła go dostatecznie dobrze, żeby zrozumieć wymowę tych gestów - przyjął pozycję gotowości do walki. Był zazdrosny i to określało wszystko. Powodem nieufności wobec Waldena był lęk, że może ją utracić. Taka postawa Colina spowodowała, że po raz pierwszy od czasu, gdy byli razem, poczuła brak szacunku do mężczyzny, którego do tej pory szanowała wyjątkowo.

- Nie ma sensu się sprzeczać - powiedziała po chwili milczenia. - Zadzwońię do Charlie i dowiem się, czego ona chce ode mnie.

Siostra była miła i przyjazna, i wyjaśniała z właściwym sobie wdziękiem:

- Nie, Davy, nic złego się z mamą nie dzieje. Wymyśliłam to i udramatyzowałam nieco, bo myślałam, że twój uroczy szef będzie zły, iż tak wydzwaniam. Ale on był bardzo miły, John i ja jedziemy na weekend do Marchwood, mama mówi, że od wieków nie widziała ciebie i Colina. Czy nie moglibyście się wybrać razem z nami?

Davina uśmiechnęła się na to zaproszenie. Charlie doskonale wiedziała, jak czarować i jak prześlizgnąć się nad sprawami niewygodnymi. Rodzice nigdy nie zapraszali jej i Colina razem z ulubioną córką i jedynym wnukiem. Pomysł rodzinnego czułego weekendu zrodził się w głowie Charlie, która umiała owinać rodziców dokoła palca.

- Nie sądzę, żeby Colin mógł przyjechać - odpowiedziała powoli. Podniosła dłoń, aby uprzedzić jego protest. - Ma jakieś spotkanie pułkowe w tym czasie. Ale ja mogłabym przyjechać na jedną noc. Chyba lepiej, żebym do nich zadzwoniła, nie uważasz? - Aby się upewnić, że będę mile widziana - pomyślała - bo nie zawsze chcieli mnie widywać u siebie, aczkolwiek teraz stosunki trochę się polepszyły. - To ciebie, Charlie, zawsze chcieli mieć przy sobie, chociaż tak ich zaniedbywałaś...

Była zdziwiona i zagniewana na siebie, że po tylu latach ciągle jest w niej tak dużo goryczy. Że zapomniała, jak opiekowali się nią po Australii, jak dobrze przyjęli Colina i dbali o niego, kiedy wrócili z Meksyku. Czy rany z dzieciństwa nigdy do końca się nie goją? Wiedziała doskonale, dlaczego wchodzi do pułapki zastawionej na nią przez Charlie. Wiedziała też, dlaczego Charlie to robi. „Bądź dzielną dziewczyną” - przypomniała sobie kpiący ton i słowa Harringtona. - „Wróć do przeszłości i dowiedz się, jak to było z Australią”. Na początek trzeba będzie pojechać do Marchwood.

- To ja już zadzwonię do mamy - powiedziała Charlie. - Kiedy przyjedziesz?

- Jutro wieczorem - odparła. - Kiedy wrócę do Londynu - odłożyła słuchawkę, zanim siostra zdążyła zapytać, gdzie się teraz znajduje.

Zostawiła Harringtona z Colinem, zamknęła się w luksusowej sypialni, do której Walden sprowadzał swoje

kobiety, i włączyła magnetofon. Jej własny głos podawał daty i komentarze wybrane z teczek, które sfotografowała. Były tu uwagi o niej samej i Sasanowie, o ich urządzeniu się w bezpiecznym miejscu. Ale nie było tu wzmianki o Australii i ten fragment dokumentacji należał do tych, które nie zostały sfalszowane. Informacje o tym, gdzie znajdował się sowiecki uciekinier i jego żona, nie były przechowywane w tajnych teczkach. Prawdopodobnie zawierał je tylko specjalny kod komputerowy, który miał swoją bliźniaczą kopię w MSZ. Były dostępne jedynie dla Szefa i ministra spraw zagranicznych, a przez nich dla premiera, jeśliby tego zażądał. A więc znowu James White. Jak by nie krążyła dokoła tej niewiadomej stojącej przy Albatrosie, ciągle wracała do tej samej osoby. Lomax podejrzewał Johna Kidsona; Harrington wahał się między tymi trzema. Ona starała się być bezstronna, ale wszystkie ślady miały jeden wspólny element. Środki do zniszczenia operacji wywiadowczych SIS tak jak na przykład w Rumunii, doprowadzenie zabójców do Iwana Sasanowa, przekształcenie operacji „Pierzasty wąż” w Meksyku w sukces, zamiast w niepowodzenie ZSRR - wszystko to mógł zrobić za każdym razem tylko jeden człowiek: sir James White.

- Znajdziesz się tam razem z Kidsonem - zaprotestował Lomax. - On chce mieć cię pod ręką i namówił do tego Charlie!

Nie mogła oprzeć się pokusie, żeby zapytać złośliwie:

- Czyżbyś zgadzał się z Tonym? Myślałam, że nie podobała ci się jego sugestia!

- Zmieniłem zdanie - odrzekł z uporem. - Nic mnie nie obchodzi, czy on ma rację, czy nie, choć tobie tak się wydaje. Jedno, o czym myślę, to twoje bezpieczeństwo. Dlaczego powiedziałaś, że nie mogę z tobą przyjechać? Chyba powinnaś najpierw mnie o to zapytać?

Stał odwrócony tyłem do okna sypialni, zasłaniając widok na zalany słońcem park - barczysty, agresywnie nastawiony wydawał się Davinie bardziej przeciwnikiem niż współtowarzyszem.

- A kto miałby pilnować Harringtona? - spytała.

- Walden - odparł gwałtownie. - Jeśli chce się bawić w cholernych tajnych agentów, to może tu przyjechać i popilnować tego drania, gdy my będziemy w Marchwood!

- On nie ponosi odpowiedzialności za Harringtona - przypomniała mu chłodno. - To nasza sprawa. Jeśli wydałoby się, gdzie go ukrywamy, to Walden byłby bez szans. Nie możesz go w jednej chwili znieważać, a w drugiej wykorzystywać. Musisz tu zostać, a ja pojedę jutro wieczorem do rodziców. Tam powinnam mieć okazję do zadania paru pytań i obserwować, czy coś z tego wyniknie.

- A co takiego, u diabła, może wiedzieć twoja rodzina, co mogłoby nam być pomocne? - zapytał.

- Nie wiem dokładnie - odparła Davina. - Ale oni wiedzieli, gdzie myśmy się podziewali. Byli jedynymi osobami, które o tym wiedziały, poza Jamesem Whitem oczywiście. Dlatego mam zamiar zacząć stamtąd. Charlie dała mi doskonały pretekst - odwróciła się, żeby wyjść z pokoju. Napięcie między nimi groziło wybuchem. Brakowało tu tylko iskry. Najpierw była na Lomaxa zła, a teraz, nieoczekiwanie, poczuła smutek i zmieszanie. Pragnęła odejść od niego, być raczej nawet w towarzystwie Harringtona, lecz nie widzieć zawziętości na jego twarzy i skrytego za nią bólu.

Wśród tego chaosu uczuć pojawiła się myśl: Co się z nami dzieje? Nie umiała na to odpowiedzieć. Resztę dnia spędziła z Harringtonem, raz jeszcze omawiając przeanalizowany materiał, odbijając jego ciosy i złośliwości, które wyraźnie pomagały mu rozładować wewnętrzne napięcie. Cały czas miała uczucie, że nie robi żadnego postępu w swoich

poszukiwaniach. Czas zdawał się stać w miejscu; rzadko kiedy dzień tak się dłużył. Konieczne zamknięcie w czterech ścianach apartamentu działało jej na nerwy, aż wreszcie miała wrażenie, że więźniem nie był Harrington, lecz ona sama. O piątej trzydzieści czuła, że jeśli nie wyjdzie na przechadzkę, to rzuci się na Harringtona i Lomaxa i zacznie krzyczeć na nich obu. Park był zielony, wieczór po ciepłym czerwcowym dniu łagodny. Wędrowała ścieżkami w dół, w stronę Mall, a potem, przypomniawszy sobie, że może być śledzona i ryzykuje, zawróciła, trzymając się mniej uczęszczanych alejek. Przy końcu parku znajdowało się duże wzgórze prowadzące do Hyde Park Corner z majestatycznym zarysem kwadrygi, znajdującej się na szczycie bramy triumfalnej, wieńczącej aleję. Poszła na szczyt wzniesienia i usiadła na ławce. Obok bawiło się dwoje dzieci. Jedno z nich staczało się po zboczu, krzycząc radośnie. Wieczór był piękny, pełen ludzi spacerujących leniwie. Dawno już nie czuła się taka samotna.

Nie pomogła jej nawet myśl, że osobą, z którą teraz bardzo chciałaby być, nie był już Colin Lomax.

W piątek po południu James White skończył spotkanie w MSZ około trzeciej trzydzieści pięć i zdecydował się wpaść jeszcze na godzinę do swego biura, zanim uda się do domu w Kent. Spotkanie było trudne. Wiceminister wrócił wcześniej ze Szkocji, rezygnując z dalszego udziału w uroczystości rodzinnej, i był w podłym nastroju. Wiadomość, że Harrington nie znajduje się w rękach sowieckich, właściwie nikogo nie ucieszyła. Uciekając mógł się w końcu odnaleźć w Moskwie i zrobić dokoła siebie trochę szumu, udzielając wywiadów. Na szczęście nie miał żadnych aktualnych informacji, oprócz wiadomości z pierwszej ręki o warunkach życia w brytyjskich więzieniach. Prawdopodobnie udało mu się ostrzec Albatrosa przed grożącym mu niebezpieczeństwem. W nagrodę zorganizowano Peterowi ucieczkę. Obecność Harringtona w

Anglii, w rękach jakiejś nieznanej organizacji, stwarzała zupełnie nowe problemy, z których żaden nie był łatwy do rozwiązania.

Przeciek na ten temat mógł wprawić w zakłopotanie rząd i jego służby bezpieczeństwa. Jeśli zaś nie udał się do Rosji, to jak się to stało, że dotąd nie został schwytany? To właśnie pytanie stawiane było ze szczególną napastliwością przez urzędnika MSZ nazwiskiem Fuller i sir James odparowywał je swym szerokim uśmiechem i wymijającymi odpowiedziami. Robił wrażenie, że wie, ale nie może powiedzieć, gdzie dokładnie znajduje się zbiegły zdrajca i że wszystko to wcale go nie niepokoi.

Nie padła też żadna wzmianka o ewentualnym sowieckim agencie noszącym kryptonim - imię wielkiego morskiego ptaka, przynoszącego nieszczęście. Ta sprawa, jak wcześniej uzgodnili sir James i Humphrey Grant, może wcale nie będzie ujawniona.

Do biura wrócili razem i poprosili Kidsona. Przed weekendem odbyli krótką konferencję.

- Jak przebiegło spotkanie? - zapytał Kidson.

- Było trudne, ale poradziliśmy sobie - odparł James White. - Prawda, Humphreyu? Ten Fuller to napastliwy człowiek. Muszę o nim porozmawiać z ministrem. Żadnych wiadomości o Davinie?

- Dziś wieczorem przyjedzie do Marchwood - powiedział Kidson.

Na chwilę zapadło milczenie.

- Oni nie wrócili do mieszkania. Nasi ludzie dyżurowali tam od wczoraj wieczorem. Chcę również dodać, że nikt inny nie prowadzi obserwacji ich domu. Jak tylko tam przyjedzie musimy zacząć ją śledzić. To nas powinno na coś naprowadzić.

- Ciągłe wierzysz, że ona i Lomax mają Harringtona? - powiedział White.

Kidson zacisnął zęby. Humphrey się nie odzywał, wodził tylko od jednego do drugiego swymi jasnymi oczyma.

- Jestem tego pewien - odpowiedział Kidson. - Pewne jest również i to, że Lomax go pilnuje, bo nie przyjeżdża na wieś. Jakaś gadka o pułkowym spotkaniu.

- Co zresztą zaraz sprawdzisz - wtrącił Szef.

- Naturalnie. Nic takiego nie ma.

- Davina musi się tego spodziewać - powiedział niewyraźnie Grant, jakby mówiąc do siebie. - Dlaczego ona tak się wystawia, Johnie?

- Może myśli, że jej się uda albo że skłoni mnie do jakichś kroków - odpowiedział. - Ale się ujawniła i na to właśnie czekaliśmy.

- Strasznie poważnie to traktujesz, prawda? - powiedział James White. - Czy nie powinieneś najpierw przekonsultować swoich spostrzeżeń ze mną i Humphreym?

- Byliście w Whitehallu - odparł Kidson. Spojrzał na zegarek. - Jeśli zaraz nie wyjdę, spóźnię się na pociąg - oświadczył.

- Jedziesz z Waterloo - zauważył Humphrey. - Nie cierpię tej stacji, jest zawsze taka zatłoczona. Gdyby coś wyskoczyło, Szefie, to jestem u siebie w mieszkaniu.

- Ja też będę w domu - powiedział sir James. - John zaś zrobi dobrą robotę w Marchwood. Życzę wam obu udanego weekendu.

Obdarzył ich swoim zdawkowym uśmiechem i obaj wyszli. White przez dłuższą chwilę siedział jeszcze przy biurku i robił jakieś notatki, które potem wrzucił do krajarki papierów. Twarz jego była posępna, dopóki nie wyszedł z gabinetu i nie przeszedł do innego pokoju. Oficer dyżurny

otrzymał instrukcje, które od razu zrujnowały całe jego weekendowe plany.

Następnie sir James wsiadł do swego samochodu, stojącego w podziemnym garażu, który znajdował się obok trzeciego budynku za urzędem i skierował się na okreśną drogę prowadzącą z centralnego Londynu za miasto. Nie udał się jednak w kierunku Kentu.

ROZDZIAŁ 7

Kapitan Graham wraz z żoną pili herbatę w ogrodzie. Czerwcowe róże zachwycaly swoją krasą, a ich zapach dopełniał ciężki aromat ulubionego krzewu pani Graham - philadelphusa. Jego wdzięcznie opadające białe kwiaty, potocznie nazywane „falszywą pomarańczą” z powodu ich słodkiego zapachu, otaczały ceglastą czerwień tarasu starego domu w stylu królowej Anny. Całe to otoczenie tchnęło spokojem, niemal teatralną angielskością: para starszych ludzi cieszących się popołudniową herbatą w ciszy swego pięknego ogrodu, otaczającego pełen uroku dom z początku osiemnastego wieku. Pracownicy agencji reklamowej Tony'ego Waldena byliby tym zachwyceni.

- A ja jednak żałuję - powiedział kapitan Graham. Żona skarciła go łagodnie, może nawet łagodniej niż zwykle, bo zgadzała się z nim.

- Nie możesz tak mówić, kochanie. Davina ma takie samo prawo odwiedzać nas tutaj, jak Charlie. Nie widzieliśmy jej przecież od tak dawna.

- O to mi właśnie chodzi - odparł cierpko. - Spędziła tu z Colinem parę miesięcy, a potem oboje zniknęli, nie dając znaku życia. Opuściła Służbę i przyjęła pracę w jakiejś parszywej agencji reklamowej. Nawet nie wpadło im do głowy, żeby nam o tym powiedzieć. A teraz, prawdopodobnie dlatego, że tak jej jest wygodnie, decyduje się tu zjawić, kiedy przyjeżdża Charlie z rodziną. To przecież jest dodatkowa praca dla ciebie!

- To nie ma znaczenia - odpowiedziała Betty Graham. - Poza tym zostanie tutaj tylko na jedną noc. Szkoda jednak, że Colin nie może przyjechać.

Kapitan zachnął się ze zniecierpliwieniem.

- To nie znaczy, że nie jestem do niej przywiązany - stwierdził. - Ale wszystko, co ona robi, rozczarowuje nas,

czyż nie tak? A kiedy spotyka naprawdę porządnego człowieka, takiego jak Colin, nie chce za niego wyjść i wreszcie się ustatkować. To Charlie uważano zawsze za fruującego motyla, ale właśnie nie kto inny, tylko Davina nie chce wziąć na siebie odpowiedzialności i założyć rodziny.

Betty Graham nie zaprotestowała. Dawno temu pogodziła się z zaślepieniem męża i faworyzowaniem przez niego młodszej córki. Kapitan nie miał nic wspólnego z Daviną, a szczerze mówiąc, ona również. Łączyło ją z córką jedynie życzliwe poczucie obowiązku.

Oboje byli ofiarami wdzięku i pogody, jakie emanowały z Charlie, byli dumni z jej urody i przymykali oczy na jej wysoki. Dwa małżeństwa i liczne romanse zostały wybaczone i zapomniane, gdy teraz się ustatkowała i obdarowała ich uroczym wnukiem, którego mogli rozpieszczać.

Inaczej było ze starszą córką. Zawsze powściągliwa, trudna, niezależna, stanowiła jednocześnie dla nich swoisty wyrzut, bo otrzymała tak mało miłości, podczas gdy Charlie dali wszystko, co mogli. Wyrzuty sumienia były tym bardziej bolesne, że mieli powody, by podziwiać Davinę i być dumni z jej osiągnięć. Po śmierci Sasanowa wszyscy troje nieco się do siebie zbliżyli, ale znowu rozdzieliła ich nieobecność Daviny. Rozdźwięk był tym głębszy, że nie poddawał się racjonalnemu wyjaśnieniu. Mieli szczerą nadzieję, że córka wyjdzie za Colina Lomaxa, który bardzo przypadł do serca kapitanowi. Teraz jednak on nie przyjedzie z Daviną. Kapitan Graham był niepokieszony.

- Charlie powiedziała, że będą tu około szóstej - oznajmiła Betty Graham. - Ale nie wiedziała nic pewnego o Davinie.

- Mam nadzieję, że zdąży na kolację - mruknął mąż. - Nie lubię spóźnionych posiłków.

- Nie lubisz spóźniać się gdziekolwiek - zauważyła pani Graham. - I Davina tak samo jest bardzo punktualna. Przestań więc marudzić, Fergusie, i weź tacę.

Wstała, a po chwili on zebrał naczynia na tacę i zaniósł ją do kuchni. Był niewątpliwie panem domu, ale doskonale rozpoznawał te chwile, gdy żona traciła cierpliwość. Pomagał jej przy zmywaniu, kiedy usłyszeli ujadanie psów. Pośpieszyli oboje do frontowych drzwi, spodziewając się zobaczyć zaparkowane na podjeździe czerwone volvo Kidsona. Zamiast tego jednak zobaczyli Davinę, która wchodziła po schodach, aby się z nimi przywitać.

Starszy stopniem pracownik KGB w londyńskiej ambasadzie oficjalnie zajmował stanowisko drugiego sekretarza przy radcy handlowym. Był to bardzo doświadczony i mający na swym koncie wiele udanych operacji pułkownik, który poprzednio pracował w Toronto oraz, przez krótki czas, w Teheranie, za panowania ostatniego szacha. Miał trzydzieści osiem lat, mówił biegle pięcioma językami. Nominacja do Londynu była awansem. Borysow bardzo go zaktywizował. Jego poprzednik, gdy należało użyć przemocy, posługiwał się kryminalistami. Nowo mianowany pułkownik wysłał pełen gorzkich oskarżeń raport nalegając, aby w przyszłości do wykonywania zadań używać wyłącznie własnych agentów. Zawiadamiał, że zespół obserwacyjny nie tylko niczego nie znalazł, ale nawet zgubił ślad „zwierzyny”. Za to nie mógł jednak winić swego poprzednika. Do domu przy Marylebone przybyła druga grupa i pośpiesznie zawiadomiła, że na miejscu znajdują się ludzie z SIS. Pułkownik był z tego zadowolony - obie służby, jak widać, szukały tej samej zguby. Innymi słowy, Harrington się ulotnił, ale nie wpadł w ręce SIS. Pułkownik pośpiesznie wysłał do Moskwy teleks z zapewnieniem, że Harrington zostanie odnaleziony. Pytał też, jakie będą dalsze instrukcje dla

Albatrosa. Po czym postanowił czekać na odpowiedź Borysowa i na wiadomość o miejscu pobytu Harringtona. Nie miał żadnych wątpliwości, że niedługo i tak go dosięgnie.

Różnica czasu między Moskwą i Londynem wynosi dwie godziny. Igor Borysow otrzymał raport z Londynu o pierwszej w południe. Przeczytał go i z przyzwyczajenia zadzwonił na sekretarza.

Natalia zawsze przynosiła mu o tej porze południową szklankę herbaty. Rozmawiał z nią, jeśli zdarzyło się coś ważnego. Wtedy też zazwyczaj umawiali się na wieczór. Teraz wszedł młody oficer KGB, Aleksy, i zbliżył się do biurka. Borysow podniósł wzrok i zmarszczył brwi. Przyzwyczajenie kazało mu oczekiwać widoku Natalii. Zamiast niej ujrzał nad sobą twarzą, o grubych rysach twarzy swego specjalnie wybranego pretorianina, który nie odzywał się, czekając na słowa przełożonego. Borysow odegnał od siebie zjawę, uśmiechnął się do Aleksego i powiedział przyjaźnie, choć stanowczo:

- Mam do wysłania teleks do Londynu. Ponieważ jest to sprawa supertajna, chcę, żebyś sam to nadał, Aleksy.

- Dziękuję, towarzyszu generale. Czy tekst jest na taśmie?

- Nie - odparł Borysow. - Musisz zapamiętać. Słuchaj i powtarzaj; gdy go wyślesz, zniszcz kopię. A teraz siadaj; nie zachowuj się tak sztywno, mówiłem ci już o tym.

Młody mężczyzna poruszył się z zakłopotaniem. Nie był przygotowany do dziwnego wymogu generała, by zachowywać się swobodnie. Wiedział, że poprzednio na jego miejscu była kobieta, o której mówiono, że popełniła samobójstwo. Natychmiast odsunął od siebie te myśli, tak jak go tego nauczono. Co się stało, to się stało i nigdy więcej nie należy o tym wspominać. Myśli o tej kobiecie mogły dręczyć generała i skłaniać go do szukania kontaktów z innymi ludźmi, nawet z podwładnymi, ale on, Aleksy, wyrzuci ją z

pamięci. To on wlewał jej do gardła wódkę, nie potrafił jednak nawet opisać jej twarzy.

- Wiadomość - powiedział Borysow - jest przeznaczona dla Albatrosa.

Dziesięć minut później Aleksy był już w obszernym dziale szyfrów, znajdującym się na pierwszym piętrze podziemnej części gmachu. Zasiadł przy urządzeniu typu „A” i zaszyfrował polecenie generała supertajnym kodem w celu przekazania go do Londynu.

Igor Borysow rozmyślał spokojnie w swoim gabinecie. Oprócz informacji, którą mu z taką ulgą przysłał z Londynu pułkownik, dokonał sam bardzo ważnego odkrycia. Harrington nie znajdował się w rękach SIS. Fakt, że szukano go i śledzono Davinę Graham, mógł dać naszej wtyczce w londyńskiej ambasadzie czas na złapanie oddechu, ale też stawiał pewne pytanie, które dostrzegł tylko Borysow. Skąd wywiad brytyjski wiedział, że Harrington nie dotarł do swego rodzinnego kraju? Nasz agent był przy egzekucji jedynych dwóch świadków, którzy mogli poinformować ludzi Jamesa White'a.

Skąd więc Brytyjczycy wiedzieli, że operacja uprowadzenia się nie udała? Z Dublina - bo Harrington tam nie przybył? Borysow w to wątpił. Dublin wiedział tylko, że Harrington do nich nie dotarł. Dalszych informacji nie otrzymali. Ktokolwiek więc pozwolił na przeciek tej informacji do SIS, zrobił to wprost z Moskwy.

Gdy tak rozmyślał, kreślił w notatniku abstrakcyjne figury. Linie, przecinające się kąty, a na tym spirale i kręgi nakładające się na siebie... a następnie zarys twarzy.

Wąska twarz z ciężkimi brwiami i opadającymi sumiastymi wąsami; oczy jak kropeczki, usta tworzące cienką linię. Nie wystarczyło mu, że zmusił go do zabicia Natalii. Teraz przekazywał informacje wrogom, starając się w ten

sposób zdyskredytować KGB i jego szefa. Borysow pociągnął kreskę z lewego rogu twarzy i przeciął ją na ukos. Nowa siatka linii doprowadziła do tego, że posępna karykatura wyglądała, jakby została pocięta na strzępy. Wreszcie Borysow oderwał z bloku dwie następne strony, pamiętając, że długopis zostawia silne wgłębienia, i wszystko wrzucił do krajarki. Zdrada czaiła się wszędzie. Jego blok do notatek mógł zostać zbadany i dowód przekazany wrogom. Nawet te ważne instrukcje zawarte w teleksie, przekazane zwykłym sposobem, były ryzykiem. Żadnych taśm, żadnych kopii - nic, tylko pamięć Aleksego, któremu można było ufać. Co do tego nie miał wątpliwości. Im prędzej spełni obietnicę daną Żerkowowi, tym szybciej będzie się mógł zabrać do zmian w organizacji KGB - w jego rozgałęzionej strukturze wewnętrznej, a także do czystki w szeregach ekstremistów. Do czystki tak dokładnej i tak bezlitosnej, że starzy stalinowcy będą umierać z zachwytem.

Zostaw tę szkocką w spokoju - rzekł spokojnie Lomax. - Masz już dosyć. Harrington spojrzał na niego z niechęcią. W telewizji nie było nic ciekawego, a czas włókł się niemiłosiernie. Czuł się niepewnie w towarzystwie Lomaxa, gdy jedyną formą komunikacji było spojrzenie pełne pogardy i długie godziny milczenia.

Wypił dwie duże whisky i teraz dawało to o sobie znać. Czuł się silny i odważny, chętny do starcia ze swym opiekunem. Starcia słownego, oczywiście. Harrington był pewny swej umiejętności prowokowania kogoś i ranienia.

- Będzie to wesoły wieczór - zauważył i dolał sobie jeszcze, podczas gdy Lomax podnosił się z krzesła. - Pozbyłem się uśmiechniętej Davy i zostałem z tobą, a ty przypatrujesz mi się, jakbym był potworem! Jeśli mam ochotę się zalać, zrobię to!

Opadł na sofę ze szklanką w dłoni i przyglądał się z paskudnym uśmiechem, jak Lomax zamknął barek i klucz schował do kieszeni.

- A dlaczego nie zajął się mną kochaś numer dwa? - zapytał. - Był znacznie lepszym towarzyszem od ciebie. - Zobaczył, że Lomax zeszywniał, i pomyślał z uciechą: - Udało mi się go dotknąć... Nie podoba mu się to...

- Zamknij się! - krzyknął Colin. Kołysząc się delikatnie na piętach patrzył z góry na Harringtona. - Jeśli chcesz rozmawiać, to mów coś ciekawego! Na przykład opowiedz o Albatrosie.

- Powiedziałem Davy wszystko, co mogłem - odrzekł Harrington z udawaną szczerością. - Teraz ona musi się tym zająć.

- Ja sędzę, że wiesz znacznie więcej, niż powiedziałeś - rzekł Lomax powoli. - Myślę, że właśnie jej nie chcesz powiedzieć wszystkiego. Dlaczego więc, przyjacielu, nie otworzysz serca przede mną?

Harrington nagle otrzeźwiał. Ze strachu zakrztusił się whisky. Lomax nie może zacząć gry ostro; nie w takim miejscu jak to... nie podejdzie i nie użyje tych zaciśniętych pięści. Ale pięści były zaciśnięte, a Lomax zbliżał się powoli... Harrington upuścił szklankę i zaczął się podnosić.

Lomax podszedł i popchnął go na sofę.

- Siadaj! - warknął.

Harrington zaryzykował. Whisky rozlała mu się na ubranie, pot spływał po nim strumieniami, ale szare komórki pracowały sprawnie - jak zawsze wtedy, gdy groziło mu niebezpieczeństwo.

- Nie mogę ci powiedzieć niczego więcej i ty dobrze o tym wiesz. Chcesz jedynie znaleźć powód, żeby mnie zbić - oskarżył go. - Robisz to tylko dlatego, że wspomniałem o tamtym facecie.

- Nie potrzebuję szukać powodu - odparł Lomax spokojnie. - Myślę tylko, że wpakowałaś Davinę w paskudną sytuację. Jeśli powiesz mi wszystko, będę mógł ją z tego wyciągnąć. Tylko tego chcę. A więc, jak myślisz, kto jest Albatrosem?

Grając na zwłokę Harrington nie odpowiadał.

Na rany Chrystusa, nie prowokuj go już więcej - pomyślał. - Dlaczego, cholerny idioto, w ogóle wspomniałeś przy nim o tamtym facecie? Głośno zaś powiedział:

- Sądzę, że to Szeff, ale nie powiedziałem jej tego. Ona ma nadzieję, że tak właśnie jest, lecz nigdy go nie zdemaskuje, jeśli z góry przyjmie takie założenie.

Lomax odwrócił się bardzo powoli i usiadł naprzeciw. Harrington był czujny.

- Dlaczego on? - spytał Lomax.

- Dlatego, że był jedyną osobą, która wiedziała, gdzie w Australii ukrywają się Davina i Sasanow. To jest klucz do całej sprawy. Ona jednak musi mieć dowód, a ja nie mogę jej go dostarczyć.

- Davina myśli, że znajdzie coś w domu rodziców - rzekł Lomax. - To może być niebezpieczne, jeśli nie masz racji. Gdyby wtyczką sowiecką okazał się Kidson, będzie zupełnie bezbronna w jego obecności. To on ją tam ściągnął.

- Jeśli podejrzewasz Kidsona - odpowiedział Harrington - to dlaczego nie tego starego bęcwała Humphreya? Miał te same możliwości, co każdy inny. Ale o Australii wiedział nie więcej niż Kidson.

- Na miłość boską - Lomax zerwał się gwałtownie z miejsca - oczywiście, że miał! Jest, do cholery, mężem jej siostry! Oto jak Kidson mógł się o tym dowiedzieć! Prawdopodobnie ożenił się z nią po to, żeby wydobyć tę informację!

- To sprzeczne z dokumentacją - zaprotestował Harrington. Mówił to jednak bez przekonania: - Nie wyciągaj zbyt daleko idących wniosków...

Lomax zwrócił się do niego:

- Zostawię cię tutaj. Będzie cię pilnować dwóch chłopców. - Zauważył na jego twarzy niepokój i wyjaśnił: - Nie potrzebujesz się martwić, oni cię nie skrzywdzą. Z nimi będziesz znacznie bezpieczniejszy niż z tym facetem z ubiegłej nocy, który nie wiedziałby co zrobić, gdyby się zjawili tu ludzie z SIS. Ci chłopcy doskonale znają swoje obowiązki.

Poszedł do sypialni i zadzwonił do Frasera. Godzinę później były sierżant SAS i były dowódca marines rozsiadli się przed telewizorem i posadzili między sobą na kanapie Harringtona. Byli jowialni, gawędzili z nim o programie telewizyjnym i zgodnie z poleceniem Lomaxa, nalali mu jedną whisky. Kelner obsługujący piętro przyniósł tacę z kanapkami, butelki piwa, z trudem ukrywając swoje zdziwienie. Co za ludzie zaczęli się pojawiać w tym hotelu!

- Ogród wygląda ślicznie - zauważyła Davina.

- Tak - odparła Betty Graham - ale, jak dobrze wiesz, wymaga dużo pracy. Tyle że to taka przyjemność patrzeć, jak wszystko rośnie. Wyglądasz na zmęczoną, czy dużo pracujesz?

- Sporo - odpowiedziała - ale praca jest bardzo ciekawa.

- Nie mam właściwie pojęcia, co robisz - wtrącił kapitan Graham.

- Opiekuję się niektórymi klientami, wyjaśniam im program kampanii reklamowej, zbieram informacje i pomysły dla szefa do innych, większych kampanii.

- To znaczy, robisz coś takiego, jak te okropne reklamy telewizyjne? - spytał z nie ukrywaną niechęcią ojciec. - Zawsze pojawiają się w środku ciekawych programów.

Betty Graham włączyła się szybko do rozmowy.

- Jak się ma Colin? Bardzo żałujemy, że nie mógł z tobą przyjechać.

Davina powtórzyła kłamstwo o spotkaniu z dawnymi kolegami pułkowymi.

- Czy on rzeczywiście wrócił całkowicie do zdrowia? - głos kapitana wyraźnie zrobił się cieplejszy, gdy pytał o Lomaxa. Wspaniały chłop! A Davina wygląda nie najlepiej. Pora, żeby się zdecydowała, bo może go stracić - pomyślał.

- Jest w doskonałej formie - odpowiedziała. - Bardzo ciężko pracuje, starając się wrócić do dawnej formy. Prosił, żeby przekazać pozdrowienia. - A potem dodała: - O której przyjedzie Charlie?

- Powinni być w każdej chwili - odpowiedział ojciec z radością.

- Pójdę i zajmę się kolacją - rzekła matka wstając. Davina podążyła w ślad za nią. Wahala się, bo nigdy nie zbliżyły się do siebie, nawet gdy była dzieckiem, ale teraz musiała porozmawiać z matką o czymś niezmiernie ważnym i jednocześnie bardzo osobistym. Nie wiedziała, jak zacząć. Czy powiedzieć: „Kochana mamo, czy pamiętasz jak pisałyśmy do siebie, gdy byłam z Iwanem w Australii? A może powiedziałaś komuś, że tam jesteśmy? Czy wiedziała o tym Charlie lub John?” Mogła sobie wyobrazić wyraz zdumienia na ładnej twarzy matki, uniesione z wyrzutem brwi, że mogła ją posądzić o nieostrożność lub niedyskrecję i że dlatego Iwan Sasanow zginął... Mogła też sobie wyobrazić, że słyszy przyjemny niski głos, pytający, dlaczego nagle podejmuje tak niezwykle temat. Oczywiście, powinna wiedzieć, usłyszy w odpowiedzi, że żadne z rodziców nigdy nie wspomniało słowem o tym do nikogo. I czy czasem nie zachowuje się trochę obsesyjnie - to już będzie powiedziane łagodniejszym tonem - ciągle wracając do przeszłości, gdy ma

u swego boku takiego mężczyznę jak Colin i nowe życie przed sobą?

Wszystko to powiedziane zostanie w najlepszej wierze i będzie bardzo rozsądne, a ona będzie miała ochotę krzyknąć na matkę, wziąć ją za ramiona i potrząsnąć, żeby straciła ten wygląd zadowolonej z siebie osoby.

Obie krzątały się w kuchni; Davina zajęła się przygotowaniem sałaty. Czuła się skrępowana, nie potrafiła z matką rozmawiać. Narastało w niej uczucie goryczy.

- Davino - odezwała się matka - o co chodzi? Co cię gnębi? Powiedz mi o tym.

Było to tak nieoczekiwane, że łzy napłynęły jej do oczu. Patrzyły na siebie przez chwilę i Davina poczuła, że się rumieni. Zupełnie zapomniała, jak życzliwi i pomocni byli rodzice, gdy wróciła z Australii. Osądzała wszystko tylko w kategoriach przeszłości.

- Mamo - powiedziała - muszę cię o coś zapytać. To zabrzmie okropnie, więc obiecaj, że się nie pogniewasz.

- Nie, oczywiście, że się nie pogniewam - odparła Betty Graham. - Pytaj, o co tylko chcesz.

Davina przygryzła na moment wargę - nabrała tego zwyczaju w Meksyku i Lomax zawsze ją przedrzeźniał.

- Mamo, czy nigdy nikomu nie powiedziałaś, że byliśmy w Australii?

- Nie - odparła matka zdecydowanie. - Twój ojciec i ja wiedzieliśmy, że od tego zależało życie was obojga. Nigdy nie powiedzieliśmy nikomu ani słowa.

Davina zadała pytanie najgorsze:

- Nawet Charlie?

Betty Graham pokręciła przecząco głową.

- Charlie byłaby ostatnią osobą, której bym się zwierzyła - odparła z lekkim uśmiechem. - Ona nigdy nie umiała dochowywać sekretów, a już na pewno nie przed Johnem.

- Och, dzięki Bogu! - Davina wydała głębokie westchnienie ulgi.

- A dlaczego o to pytasz, moja droga? Co się stało, że znowu wracasz do tej sprawy?

- Nie mogę ci tego wytłumaczyć; przepraszam, mamó. Ale to niezmiernie ważne. Chciałam być pewna - podeszła do matki bliżej i pocałowała ją.

Betty Graham ujęła córkę delikatnie za ramiona i powiedziała:

- Tak naprawdę, to nie pracujesz w reklamie, czy mam rację, kochanie? To ma coś wspólnego z twoją dawną pracą?

- Tak, mamusiu, to właśnie jest tak. Dziękuję ci. Jesteś zbyt bystra, by można cię było oszukać.

- Wcale nie jestem bystra - odpowiedziała. - Mam nadzieję, że nie robisz nic niebezpiecznego?

- Nie, nie martw się o to.

- Zresztą masz obok siebie Colina, który się o ciebie troszczy. To wielka ulga.

- Cieszę się, że pani to mówi, pani Graham. - Obie odwróciły się, gdy Lomax wszedł do kuchni. Podeszedł do Daviny i pocałował ją. - Słyszałaś, co powiedziała twoja matka? - zapytał. - Nie musisz więc być taka smutna. Mam nadzieję, pani Graham, że nie sprawiłem państwu kłopotu tym nieoczekiwanym przyjazdem?

- Absolutnie nie - odparła uszczęśliwiona. - Ale co z tym spotkaniem w pułku?

- Zdecydowałem się z niego zrezygnować. Charlie i John właśnie przyjechali.

- Och, w takim razie muszę iść i się przywitać - zawołała pani Graham. - Davino, nie kłopotz się sałatą, przygotuję ją później... - i pośpieszyła do wyjścia, pozostawiając Davinę i Lomaxa samych.

- Kto jest z Harringtonem? - nie miała zamiaru powiedzieć tego tak szorstko, ale Lomax zeszywniał.

- Dwaj bardzo kompetentni żołnierze z mego dawnego pułku - odpowiedział, zapominając o byłym marines. - Jest w dobrych rękach, więc się nie martw. Bałem się o ciebie, dlatego zdecydowałem się przyjechać. Z tego, co usłyszałem, wynika, że matka domyśla się, że coś się dzieje.

Davina przytaknęła. Wymiana zdań między nimi stawała się coraz bardziej niezręczna. Nie miała pojęcia, co zrobić, żeby przeskoczyć tę barierę, która pojawiła się, jak tylko wszedł do kuchni.

- Domyśliła się - rzekła. - W każdym razie odpowiedziała mi na podstawowe pytanie. Oboje z ojcem nigdy nie wspominali o Australii ani Charlie, ani nikomu innemu.

- To właśnie dlatego tu przyjechałem - powiedział Lomax. - Myślałem bowiem, że Kidson mógł być jedyną osobą, która miała szansę dowiedzieć się o tym.

- Nie mógł tego zrobić - odparła Davina. - Jesteśmy na fałszywym tropie. John nie miał nic wspólnego z wystawieniem Iwana ludziom KGB. Chodźmy lepiej stąd i przywitajmy się ze wszystkimi.

Odwróciła się i przeszła obok Lomaxa, który chwycił ją za ramię. Gdy spojrzała na niego, zobaczyła w jego oczach wyraz prawdziwego bólu.

- Nie bądź dla mnie taka - powiedział. - Kocham cię. Nie pozwól, żeby to się popsuło.

Powinna odpowiedzieć; powinna odwrócić się i objąć go. Nie zrobiła tego jednak i nie wiedziała dlaczego. Powiedziała tylko:

- Colinie, porozmawiajmy o tym później. Za dużo mam w tej chwili na głowie. Później, proszę cię.

- Dobrze, niech będzie - pozwolił jej wyjść i gdy się to stało, wiedział już na pewno, że ją stracił.

W chwilę później wszyscy zebrali się na zalanym słońcem tarasie na tyłach domu, gdzie główną postacią była Charlie, a jej rodzice cieszyli się swym maleńkim wnukiem.

- Ronnie, jesteś pewien, że mogę cię tak zostawić?

- Oczywiście - odpowiedział chłopiec. - Nie martw się o mnie. Będę siedział przy telewizorze. Jeśli masz coś do prania, mogę to zabrać razem z moimi rzeczami; idę do pralni samoobsługowej.

Humphrey pokręcił przecząco głową:

- Ja zawsze oddaję wszystko do prania.

- Cóż, w przyszłości już nie będzie to potrzebne - Ronnie pokazał w szerokim uśmiechu piękne zęby. - Zrobię to za ciebie. Bardzo lubię prasować, to takie spokojne zajęcie. - Zawahał się na chwilę i dodał. - A co mam powiedzieć, jeśli ktoś zadzwoni?

Grant poklepał go po ramieniu:

- Powiedz, że jesteś przyjacielem, który się u mnie zatrzymał i zapisz, co przekażą. Ja sam też zadzwonię do ciebie, żebyś nie czuł się zbyt samotny. W każdym razie będę z powrotem w niedzielę. Uważaj na siebie.

- Ty też - odpowiedział Ronnie i wyszedł go pożegnać do małego przedpokoju.

- O, to prawdziwa niespodzianka.

Kapitan Graham był w pogodnym nastroju. Irytacja z powodu Daviny zniknęła, gdy przyjechała Charlie z wnukiem. Szczerze ucieszył się, widząc Lomaxa i wyraźnie złagodniał, dostrzegłszy harmonię panującą między żoną i starszą córką. Od czasu, gdy wróciła z Australii złamana przeżytą tragedią, nie słyszał, aby zwracała się do matki dziecięcym słowem „mamusia”.

I nagle nieoczekiwany gość wszedł przez furtkę z kutego żelaza w towarzystwie pary domowych psów, które go rozpoznały i przywitały. Sir James White zbliżył się do nich.

Ostatnie promienie słońca zamieniły jego siwe włosy w lśniącą aureolę. Był w doskonałym humorze, pocałował Betty Graham, uścisnął rękę starego przyjaciela i powiedział z ujmującą prostotą:

- Przejeżdżałem tędy i nie mogłem się oprzeć pokusie, żeby nie wpaść na chwilę. Jak to przyjemnie znaleźć was tu wszystkich razem. Jak się masz Davino, moja droga?

Kidson mienił się na twarzy; Lomax przyglądał mu się uważnie i zobaczył, jak jego opalona twarz to blednie, to czerwienieje. Nie spodziewał się tu zobaczyć swego Szefa. Widział, jak Davina wyciągnęła ramiona, gdy sir James zbliżył się do niej.

- Mam się doskonale - powiedziała spokojnie. - Przypuszczam, że za chwilę zobaczymy również Humphreya?

- A czy on też ma przyjechać? - wykrzyknęła pani Graham. - Dlaczego więc nie zadzwonił? Oczywiście, że będziemy radzi go zobaczyć.

- Och, wątpię w to - Szef roześmiał się cicho. - To tylko, moja droga Betty, specyficzne poczucie humoru twojej córki. Zawsze miała je trochę wypaczone. Charlie, piękna jak zawsze, chodź i pocałuj staruszkę.

- Wcale nie jest pan staruszką - oświadczyła Charlie i uścisnęła go.

- O, jestem, jestem - upierał się, trzymając w ręku drinka. Wszyscy usiedli przyglądając się, jak zapada zmrok.

- Jak wicie, wkrótce odchodzę na emeryturę. Nareszcie idę na zieloną trawkę. - Spojrzał z ukosa na Johna Kidsona i znowu się roześmiał. - Trzeba zrobić miejsce komuś młodszemu.

- Zostaniesz na kolacji - powiedziała Betty Graham. - Jaka szkoda, że nie ma z tobą Mary.

- Ona nie lubi opuszczać domu na weekend - wyjaśnił. - Mówi, że dwie noce tygodniowo w Londynie zupełnie jej

wystarczą. Nie może się doczekać, kiedy wreszcie odejdę ze Służby.

Nie może przestać nudzić na ten temat - pomyślał Kidson.
- Dręczyć, to będzie lepsze słowo. Dręczy mnie, bo jestem jedynym cholernym kandydatem. Ale to już nie robi żadnej różnicy. To dlatego tu się zjawił: żeby przeszkodzić mi Przyłapać Davinę, przeszkodzić w schwytaniu Harringtona. Chce to zrobić sam. Ale to mu się nie uda.

Kidson zajął się nalewaniem trunków. Betty Graham weszła do domu, a za nią poszła Charlie z dzieckiem. Davina siedziała między ojcem i Lomaxem.

Szef zaproponował jej papierosa. Rzadko dzielił się z kimś swymi cennymi sub rosami.

- Nie, dziękuję. Wolę te - powiedziała i pokazała paczkę Balkan Sobranie.

- O, to jakiś nowy kaprys, Davino. Nie widziałem, żebyś kiedyś je paliła.

- To nie kaprys - odparła. - Po prostu mi smakują. Pan lubi sub rosy.

- Rzeczywiście - zgodził się. - I myślę, że jest to raczej zabawne, biorąc wszystko pod uwagę. Niewiele osób jednak rozumie, w czym tkwi ten dowcip. Pozwól podać sobie ogień.

- Mam tu zapalniczkę - odparła Davina.

Nie chciała nic od niego, nawet zapałki. John nie mógł wiedzieć o Australii ani Humphrey. To ten siedzący obok niej uśmiechnięty Judasz posłał zabójców z KGB ich tropem, kiedy uznał, że sam jest bezpieczny. Przypomniała sobie gorzkie oskarżenia, jakie rzuciła mu w twarz rok temu w tym samym ogrodzie. „Wycisnął pan z niego wszystko, a potem przestało pana obchodzić, co się z nim stanie”. Coś w tym wszystkim było jednak nie tak. Przecież Albatros mógł zamknąć Iwanowi usta dużo wcześniej, zanim ten ujawnił to,

co zniszczyło sowieckie plany strategiczne na Bliskim Wschodzie.

- Wybaczcie mi - wstała. - Pójdę, pomogę mamie.

Lomax i kapitan stali z tyłu, John Kidson zaś grał rolę publiczności i słuchał błyskotliwej konwersacji sir Jamesa White'a.

Humphrey wyjechał o szóstej piętnaście z Waterloo pociągiem, który był zatłoczony, musiał więc kupić bilet pierwszej klasy, żeby mieć miejsce siedzące. Zazwyczaj oszczędny, niechętnie myślał o niespodziewanym wydatku, ale też nie chciał, aby go poszturchiwano lub wciągano do rozmów. Chciał pozostać nie zauważony. Na szczęście znalazł miejsce w przedziale dla niepalących. Skulił swoje długie ciało na siedzeniu w rogu i zasłonił się wieczorną gazetą jak tarczą między sobą i resztą pasażerów. Nie przeczytał ani słowa ze środkowych stron, gdzie mieściły się informacje o teatrach, sztuce, jakieś złośliwe recenzje książek, trzykolumnowy artykuł o damskiej modzie z fotografiami pięknych dziewcząt, które wyglądały okropnie w dziwacznych fryzurach i nie nadających się do noszenia strojach. Przez chwilę myślał o Ronnim i skrzywił usta w skąpym uśmiechu. Chłopak, w miarę, jak pogłębiała się ich przyjaźń, stawał mu się coraz bardziej drogi. Taki młody, naiwny, a jednocześnie bezpośredni tą bezpośredniością wyniesioną z rodzinnego domu i ciepłym charakterem, przypominającym wdzięcznego i oddanego psiaka, budził w Humphreyu nie znaną dotąd czułość. Chłopak wniósł w jego życie ciepło i jasność, a jego pogodne usposobienie skłaniało Humphreya do uśmiechu. Impuls życzliwości zrodził nieoczekiwane poczucie szczęścia. Byli obaj podobni do siebie i bardzo różni. Świat zewnętrzny mógł ich dostrzegać, ale nigdy nie zdoła rozpoznać, jacy byli naprawdę. Nie martwił się tym, że Ronnie może nie znaleźć pracy. Chciał, aby został z nim i czekał w mieszkaniu na jego

powrót. A potem pomyślał o Davinie. Wykręciła mu jakiś numer - tego był pewien. Wyraz pogardy w oczach był dokładnie czytelny, gdy odmawiała propozycji odwiezienia do domu i gdy odrzuciła nieszczerze przeprosiny. Wiedziała, gdzie znajduje się Peter Harrington. A Peter Harrington zaprowadzi ją do Albatrosa. Kidson wepchnął się ze swoim planem, używając do tego powiązań rodzinnych. Musi chyba być głupcem, jeśli pomyślał, że on, Humphrey, stanie spokojnie z boku i ustąpi mu miejsca. Ale Humphrey działał po cichu, nie rzucając się w oczy. Nie na darmo był agentem operacyjnym przez tyle lat, chociaż potem długo siedział za biurkiem, zależny od Jamesa White'a. Ale niczego nie zapomniał z dawnych doświadczeń. I on dołączy do rodzinnego spotkania, tylko że oni nie będą o tym wiedzieć. Wysiadł w Salisbury, o jedną stację dalej, niż należało; tam czekał na niego samochód, który wynajął przed opuszczeniem Londynu.

- Proszę wejść - zawołała Charlie. - Och, to ty, Davy...

Davina weszła do pokoju siostry i zamknęła za sobą drzwi.

Był to duży pokój gościnny; wygodna, z kretonowymi obiciami sypialnia, którą, jak pamiętała z dzieciństwa, zawsze przeznaczano dla przyjaciół rodziców. Teraz należała do Charlie i Johna, a dziecko spało w stojącym w rogu przenośnym składanym łóżeczku.

- Czy kolacja nie była doskonała? - zapytała Charlie, odwracając się do lustra z pomadką w ręku. - Mamunia jest znakomitą kucharką; nigdy jej nie dorównam.

- Jest dobra we wszystkim - stwierdziła Davina, siadając na brzegu łóżka. - I przy tym wcale nie robi dokoła siebie żadnego zamieszania. Dlaczego tak nagle zaproponowałaś, żebym przyjechała tu na weekend?

Charlie nie było łatwo zaskoczyć.

- Mama skarżyła się, że dawno już cię nie widziała. Davina machała nogą, patrząc na swą stopę przez kilka chwil, zanim podniosła wzrok na siostrę.

- Nie kłam, Charlie - powiedziała. - Oni nigdy nie zapraszają nas razem. To John chciał się ze mną spotkać, prawda?

Charlie skończyła malować usta i odłożyła pomadkę.

- Dlaczego nie zapytasz więc o to jego?

- Ponieważ chciałam, żebyś wiedziała, w co się wtrącasz - odrzekła Davina.

- Ależ ja wiem - przerwała ostro Charlie. - Wiem, że starasz się zniszczyć szanse Johna na zajęcie stanowiska po sir Jamesie. Dlaczego, u diabła, to robisz, Davino?! Dlaczego nie uporządkujesz swojego zabałaganionego życia i nie zostawisz mojego męża w spokoju?

- Tego właśnie chciałby - odparła Davina. - On, sir James i Humphrey. Wszyscy oni pragną, żebym ich zostawiła w spokoju, ale jeden z nich ma ku temu szczególny powód. I ja dowiem się, który z nich. O tej sprawie też chyba wiesz?

Charlie zbliżyła się do niej.

- Wiem - powiedziała głośno - że John nie jest rosyjskim szpiegiem. Czy to starasz się mi zasugerować?

- Ja to udowodnię, tak czy inaczej - odrzekła Davina. Wyjęła czarnego papierosa i zapaliła. Zapaliła go ostatnią zapalką.

Jasna skóra Charlie pokryła się gniewną czerwienią rumieńca. Wpiła się wzrokiem w siostrę.

- Zawsze mi cię było żal - powiedziała. - Nigdy ci się nic nie udawało, czyż nie? Biedna Davy, nie umiała zatrzymać przy sobie mężczyzny i zła siostra uciekła z nim. Przez całe lata zbijałaś na tym kapitał. A potem straciłaś męża. I co myśmy wszyscy zrobili? Zajęliśmy się tobą. Nikt nie okazywał ci więcej współczucia, niż John. Kto cię wypchnął

do Meksyku, gdy miałaś kłopoty? John. A ty, co teraz robisz, smutna krowo? Starasz się mu złamać karierę, aby potwierdzić jakąś niedorzeczną teoryjkę, którą sobie wymyśliłaś. Dlaczego nie chcesz tego zobaczyć: z kimkolwiek byś spała, i tak ciągle jesteś tak samo sfrustrowana i wewnętrznie skołowana jak dawniej!

- Przekaż Johnowi wiadomość, dobrze? - rzekła Davina wstając. - Powiedz mu, że jutro wieczorem będę miała Albatrosa. Dobranoc, Charlie. Nie powinnaś tak głośno krzyczeć. Obudziłaś dziecko.

Otworzywszy drzwi, stanęła twarzą w twarz z Kidsonem.

- Gawędziłyśmy sobie z Charlie - powiedziała.

Gdy wróciła do bawialni, sir James wstał. W pokoju nie było nikogo. Ojciec wsunął głowę przez uchylone drzwi i powiedział:

- Kawa jest w drodze. Czego się napijesz, Jamesie: brandy czy cointreau?

- Nie mogę, mój drogi. Jestem wozem i mam spory kawałek drogi przed sobą.

- Davino, czy coś ci przynieść?

- Nie, dziękuję, ojcze.

- W porządku, będę tu za chwilę.

Nie usiadła, ale sir James zajął miejsce w rogu dużej sofy.

- Cóż - powiedział - zastanawiam się, dlaczego Humphrey nie zjawił się, by dołączyć do szczęśliwej gromadki?

- Nigdy nie był towarzyski. On myśli, że znajdzie Harringtona w inny sposób. A jak pan, Szefie, chce go znaleźć?

- Myślę, że ty mi to powiesz - odpowiedział ze spokojem sir James - gdy zdasz sobie sprawę, że nie jestem tą osobą, której szukasz.

Davina spojrzała odważnie w zimne niebieskie oczy. Nie drgnęły nawet. Żadnych nerwów. Musiała przyznać, że był

diabelnie opanowany. I ten chłód, który robił na niej wrażenie, że rozmawia z kimś, kto nie jest całkowicie człowiekiem.

- Wszystkich informacji, jakich pan zażąda dostarczę jutro wieczorem - powiedziała. - Być może jednak nie podziękuje mi pan za nie.

- Możliwe - potwierdził. - Będę niepokieszony, gdy się dowiem, że ktoś, komu ufałem, okazał się zdrajcą. Jesteś aż tak blisko Albatrosa? Sprytna dziewczyna. A jakże się miewa pan Anthony Walden? Wiesz, spotkaliśmy się w towarzystwie, na kolacji. Cały czas upierał się, by mówić do niego „Tony”. Jaka szkoda, gdy ma się takie piękne chrześcijańskie imię.

Davina trzymała się w karkach i powiedziała tylko:

- On jest Żydem.

- Wiem. Sam mi to powiedział. - White uśmiechnął się do niej.

Usiadła na jednym z krzeseł z prostym wysokim oparciem. Wygładziła cienką jedwabną spódnicę, skrzyżowała nogi, ukazując zgrabne kostki i szczupłe stopy. White przypatrywał się tym przemyślanym ruchom i czekał.

- Zrujnował pan jego plany - wykonanie zamówienia dla księcia, prawda?

Zareagował natychmiast, niemal niezauważalnie: źrenice lodowatoniebieskich oczu nieco się rozszerzyły; uśmiechnął się równocześnie pod wąsem, ale uśmiech ten był wymuszony. Moja droga Davino, ty rzeczywiście musisz sobie wyobrażać, że jestem wpływowym, by oskarżać mnie, że kogoś zrujnowałem.

Ale przecież pan to zrobił. Dlaczego?

- Jakie to dziwne - lekko wzruszył ramionami - jesteś tak samo przeczulona na jego punkcie, jak on był na twoim. Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że zaczynasz odczuwać zmęczenie naszym niezrównanym Colinem?

- Jestem zmęczona patrzeniem na to, jak rani pan ludzi - odpowiedziała spokojnie. - Nie ma pan nawet tyle poczucia przyzwoitości, by mi powiedzieć, dlaczego to zrobił.

- Powiem ci wtedy - zareplikował - gdy mi zdradzisz, kto jest Albatrosem. I jeszcze: gdzie mogę znaleźć Petera Harringtona. To zaczyna być dla nas kłopotliwe, jak się chyba domyślasz. Nie mogę ci dać więcej czasu. Chociaż... - odwrócił się, gdy kapitan Graham wszedł z zastawą do kawy. Za nim widać było jego żonę, Charlie i Johna. - Chociaż - ciągnął dalej - powiedziałaś, że jutro wieczorem, więc będę cię trzymać za słowo. Ach, drogi Fergusie, co za wspaniała kolacja. Mam czas tylko na filiżankę kawy, aby nie zasnąć w drodze, i zaraz muszę ruszać. Tak się cieszę, że się znowu spotkaliśmy. Muszę namówić was na wizytę w Kent.

Powiódł wzrokiem od Daviny do państwa Graham, a potem uśmiechnął się również do Kidsona i Charlie. Lomaxa ledwo zauważył.

- Jedna duża szczęśliwa rodzina, prawda? - dodał.

Humphrey zaparkował samochód na wzniesieniu w kępie drzew. Mógł bez trudu siedzieć nie zasypiając. Miał ze sobą termos z gorącą słodką kawą i trochę czekolady, a także dwie lornetki - jedną zwyczajną i drugą z przetwornikiem obrazu do obserwacji w nocy. Tak więc w pilnowaniu Marchwood nie mogły przeszkodzić mu ani noc, ani dzień. Widział, jak przyjechał samochód Jamesa White'a i jak w domu zapaliły się światła. Mógł sobie wyobrazić jego wnętrze. Piękna boazeria w bawialni i duże oszklone drzwi prowadzące do ogrodu. Jadalnia. Portrety przodków i pejzaż z końmi nad kominkiem. Ciepły pokój o czerwonych ścianach, gdzie doskonałe jedzenie i wina uspokajały gości, kapitan Graham zaś zasiadając u szczytu stołu, był w roli gospodarza idealnym angielskim dżentelmenem. Humphrey znał ten dom tak dobrze, że mógł śledzić w nim wszystkie ruchy na podstawie

tego, w którym oknie zapalało się światło - kończąc na wachlarzowatym okienku nad eleganckim portykiem.

Ktoś wychodził. Szkła na podczerwień pokazały mu sir Jamesa White'a, gdy wóz skręcił z podjazdu na drogę. Kierował się w stronę Kentu dłuższą trasą. Tak więc w domu wraz z Kidsonem zostawali Davina i Lomax.

Musi sobie gratulować sukcesu - pomyślał Humphrey z niechęcią - sądzi na pewno, że przechytrył swego rywala, biedną ofiarę, Humphreya, z karykaturalną twarzą i niezgrabnym ciałem. Wieczny zastępca. Ale Kidson jeszcze się dowie, jak się pomylił, nie doceniając go. Współcześni nie uważali Robespierre'a za postać komiczną.

Popijał kawę pogryzając czekoladę. Raz jeszcze sprawdził wszystko dokoła przez lornetkę z przetwarzaczem obrazu, chociaż od rana nie oczekiwał żadnej aktywności. Ale światła w domu ciągle były zapalone i dopóki nie zgasło ostatecznie z nich, pozostawał czujny. Czujność ta została nagrodzona, gdy pół godziny po odjeździe Jamesa White'a, kilka minut po jedenastej, samochód Daviny wyjechał na drogę i skręcił w stronę Londynu. Widział ją i Lomaxa wyraźnie przez szkła noktowizora. Humphrey nie tracił czasu. Szybko zjechał po trawiastym zboczu, a potem na wąską boczną drogę, gdy tylne światła wozu Daviny były jeszcze widoczne w oddali. Znalazł się za nimi na drodze do Andover. Nie było tu prawie wcale ruchu, więc chociaż trzymał się od nich z dala, cały czas miał ich samochód w polu widzenia, gdy mknęli wzdłuż pustej autostrady do centrum Londynu.

Davina pojechała przez Gloucester Road i skręciła w boczną ulicę. Po lewej stronie stały tu dwa obskurne hotele ze świecącymi arabskimi napisami w oknach. Humphrey skręcił w ślepy zaułek i wyszedł z samochodu. Przypatrywał się, jak oboje weszli do drugiego hotelu. Czekał przez dwadzieścia minut. Co za pomysł! I jak sprytnie wybrane miejsce!

Brudnawy półpensjonat, który obsługiwał biedaków z Bliskiego Wschodu. Mało kto mówił tu po angielsku. Nie zwracano też uwagi na to, kto wchodzi i kto wychodzi. Sprytnie to wymyśliłaś, Davino, ale niewystarczająco sprytnie! Twarz Humphreya ściągnęła się, wąskie usta skrzywiły się - z brzydkiej zmieniła się w okrutną. Zapuścił motor i powoli pojechał do domu. Wszedł po cichu, nie chciał bowiem niepokoić Ronniego. Zamknął drzwi bawialni i podszedł do telefonu.

Po przyjeździe do domu James White nie zadawał sobie trudu, by zachowywać się cicho. Było bardzo późno, ale wiedział, że żona i tak nie śpi, tylko go oczekuje. Wstawił wóz do garażu, chwilę zatrzymał się w ogrodzie podziwiając pełnię księżyca, a potem sprężystym krokiem poszedł do drzwi frontowych. Pogwizdując wszedł do kuchni. Zrobił dwie filiżanki herbaty, zgrabnie ułożył na każdym spodeczku po jednym ciastku. Mary White czytała w łóżku, kiedy wszedł na górę. Dostrzegła błysk triumfu w jego oczach. Kochała go bardzo, ale była osobą, która nie uznawała prawa jednej istoty ludzkiej do zbyt głębokiego przenikania w duszę drugiej - niezależnie od tego jak blisko ze sobą były. W tym, co otaczało jej męża, zbyt wiele było takich spraw, o których wolałaby nie wiedzieć. Jego praca i sposób jej wykonywania, to jej nie interesowało.

- Cóż - przywitała go, odkładając książkę i zdejmując okulary - chyba dobrze się bawiłeś, mój drogi? Świetny pomysł z tą herbatą! Skąd wiedziałeś, że jeszcze nie śpię?

- Przecież nigdy tego nie robisz, dopóki ja się nie położę do łóżka - odpowiedział. - Wszyscy w Marchwood przesyłają ci pozdrowienia i bardzo żałują, że nie przyjechałaś ze mną.

- Zrobiłabym to, gdybyś mnie wziął ze sobą - odrzekła. Pieszczotliwie pogłaskała ją po ramieniu.

- Nie tym razem - powiedział. - Wszystko to stało się zupełnie nieoczekiwanie. Ale było warto.

- Powiedz mi, kto tam był oprócz Betty i Fergususa? - zapytała.

- John i Charlie, Davina i jej przyjaciel, major Lomax. Spotkanie odbyło się jak należy, wszyscy jak zwykle udawali, że bardzo się lubią. Nie ma nigdzie na świecie bardziej sztywnych zebrań, niż spotkania rodzinne - zauważył gryząc herbatnik. - Te są bardzo dobre. Lubię, jak są takie chrupiące.

- Jesteś straszliwie cyniczny - oświadczyła Mary. - Zastanawiam się nieraz, co ludzie o nas mówią.

Roześmiał się krótkim radosnym śmiechem.

- Dokładnie to samo, tak mi się przynajmniej wydaje. „Ci White'owie wyglądają na taką zżytą parę, ale czy zauważyłaś...” Mary, moja droga, gdy Philip żył, sprzeczałyśmy się przecież często. Pamiętam, jak biedny Humphrey siedział w kącie i próbował udawać, że go tu w ogóle nie ma. Jakież on był niezgrabny, nawet wtedy... Zresztą do dziś się nie zmienił ani on, ani jego problemy.

- Jakże mógł się zmienić - odparła - jeśli nigdy nie próbował ich rozwiązać. Z wyjątkiem jednego razu, gdy przyszedł ze swymi kłopotami do ciebie.

- I ja mu pomogłem - dodał James White. - A więc nie jestem tak całkiem cyniczny. Bądź sprawiedliwa.

- Nonsens - odparowała Mary. - Skłoniłeś tego biedaka, żeby zaczął dla ciebie pracować, i to wszystko. Ale wyglądasz teraz na zadowolonego. Nie będę jednak o nic pytać, bo strasznie chce mi się spać. Powiedz tylko, czy dostałeś to, czego chciałeś?

Jej mążonek wstał i z lekka się przeciągnął.

- Tak, moja droga, myślę, że dostałem. Dobry Boże, spójrz, która godzina!

John Kidson rozbierał się bardzo powoli.

- Nie powinniście się kłócić - powiedział. - Nie chciałem wbijać między was klina.

Charlie usiadła na łóżku; jasnoróżowa nocna koszula prowokacyjnie rozsunęła się na udzie.

- Kochanie, już o tym mówiliśmy, więc po co do tego wracać? Nigdy nie żyłyśmy najlepiej. Zawieszenie broni wzięłam omyłkowo za coś innego. Myślałam, że przestała mnie nienawidzić, dopóki nie zdałam sobie sprawy z tego, co chce zrobić tobie. Powiedziałam więc, co o niej myślę, i nie żałuję ani jednego słowa! Johnie, czy dowiedziałeś się czegoś? Czy jej przyjazd tutaj był ci w czymś pomocny?

Podszedł i usiadł obok, objąwszy ją w pól.

- Oczywiście, że tak - powiedział ciepło. - Ona o tym nie wie, ale powiedziała mi sporo. Wiesz, że nie jestem głupcem. Davina zaś jest pewną siebie damą, która przestała się liczyć z innymi. A to jest pierwsza oznaka utraty panowania nad sobą.

Charlie przytuliła się do niego; miała ochotę się kochać.

- I myślisz, że nie zmniejszyła twoich szans na zajęcie tego stanowiska i że wszystko ułoży się dobrze?

- Tak - odparł John Kidson. - Nie tylko nie pomieszała mi szyków, ale, powiedziałbym nawet wprost przeciwnie, pomogła mi.

- Sir James robił bardzo przejryste aluzje - Charlie objęła go ramionami. - Wszystko będzie dobrze - powtórzyła. - Był taki miły dla mnie dzisiaj. Wiem, że dostaniesz tę posadę.

Kidson nic nie odpowiedział. Całował swą śliczną żonę i starał się sprostać jej pragnieniu, ale wewnętrznie czuł się pusty i oziębły. Namiętność w nim zamarła i po raz pierwszy, odkąd byli małżeństwem, rozczarował ją. Jego myśli zaprzątnięte były zupełnie czym innym.

- Myślisz, że nas śledzono?

- Zauważyłem jakiegoś forda escorta na przejeździe. - Lomax zawahał się. - Był spory kawałek za nami, ale gdy

skręciliśmy, ciągle go widziałem. - Podeszedł do okna wychodzącego na ulicę i ostrożnie uchylił firanę. - W tej chwili nie widzę nikogo, ale może kierownika hotelu czeka jakaś niespodziewana wizyta.

- Co za przygnębiające miejsce - zauważyła Davina. Wszędzie unosił się przenikliwy zapach gotującego się jedzenia i niedomytych ludzkich ciał. Pokój był czysty, ale urządzony tanio, w jaskrawych barwach; panował w nim taki sam zaduch, jak w całym hotelu.

- Wyjrzyj raz jeszcze - poprosiła, spojrzawszy na zegarek. Lomax znowu podeszedł do okna.

- Nie, nawet nie widać wracających samochodów. Gdyby jakiś samochód przejeżdżał obok parę razy, to na pewno byłby to ogon.

- Myślę, że możemy już jechać - stwierdziła Davina. - Jesteśmy już tutaj godzinę.

- Nie ma sensu czekać na gości, jeśli w ogóle się zjawia - zauważył Lomax.

Była pierwsza po północy. Ulice opustoszały, tylko w oddali zadźwięczał smutno jakiś pojedynczy samochodowy klakson.

Prowadził Lomax; większość drogi przebyli w milczeniu.

- To, że Humphrey pozostał na uboczu, oczyszczałoby go z podejrzeń - Davina odezwała się nagle. - Jeżeli nic się w hotelu nie wydarzy, będzie to znaczyło, że nas nie śledzono. To pozostawia w kręgu podejrzeń Szefa i Johna.

- To rzeczywiście ogranicza poszukiwania - zgodził się Colin. - Ale co będzie, jeśli i oni nie zareagują? Co wtedy zrobimy?

Odpowiedziała szorstko zirytowana tym, że głośno wyraził jej własne wątpliwości:

- Nie mam pojęcia! Będę dalej przyciskać Harringtona.

- Powiedziałem ci, że to jest bardzo ryzykowny plan - odezwał się spokojnie Lomax. - Ale zgodziłem się w nim uczestniczyć. Czułbym się znacznie lepiej, gdybym wrócił do Ritza.

- Gdybyś to zrobił - zareplikowała - Albatros wiedziałby, że to pułapka. I nie wykonałby żadnego ruchu. Musisz pozostać na uboczu, ja zresztą też. Powiedziałeś, że ludzie Frasera będą wiedzieli, co robić.

- Będą trzymali Harringtona pod kluczem - odparł. - Będą też czujni. To powinno wystarczyć. Ale mimo wszystko to mi się nie podoba. A co na to wszystko powie twój przyjaciel Walden?

- On to zrozumie - odpowiedziała, pragnąc jednocześnie, aby przestał wreszcie podkreślać możliwości niepowodzenia, z której sama doskonale zdawała sobie sprawę.

- Być może... - Lomax zjechał z autostrady i skierował samochód na drogę do Andover. - Ale czy zrozumie to jego żona?

Davina milczała. Trzy tropy i tylko jeden z nich prowadził do Harringtona. Trzej współpracownicy, z których jeden pośle nie ludzi ze służby specjalnej, by aresztowali zdrajcę, lecz kagebistów, aby go uwolnili. I w ten sposób zdemaskuje się.

Wjechali na podjazd i weszli do domu tylnymi drzwiami, które nigdy nie były zamykane.

Ostrożnie weszli po schodach na piętro i rozdzielili się. Lomax spojrzał na nią z góry, ale nie mogła w półmroku zobaczyć jego twarzy.

- Przyłóż głowę do poduszki i staraj się zasnąć - powiedział.

- Zrobię to - czuła wdzięczność za to, że nie próbował iść za nią. - Dobranoc, Colinie.

Ten pokój należał do niej od dzieciństwa i nic się w nim nie zmieniło. Te same meble, te same chińskie zwierzątka -

ozdoby. Na tym wąskim łóżku pierwszy raz kochali się z Iwanem. Colin Lomax miał rację. Plan był i ryzykowny, i niepewny, ale nie miała innego wyjścia, jak mieć nadzieję na wygraną.

Nie spodziewała się, że zaśnie, ale usnęła i nic jej się nie śniło. Był piękny letni poranek, gdy matka zastukała do drzwi.

- Davino, jest wpół do dziewiątej. Czy zejdziesz na śniadanie?

John Kidson zaproponował spacer. Zaniósł na górę tacę z jedzeniem dla Charlie, która nigdy nie schodziła na śniadanie tak wcześnie. Potem zwrócił się do Daviny:

- Chciałbym z tobą porozmawiać. Chodźmy na przechadzkę do lasu, dobrze?

Zauważyła podejrzliwe spojrzenie Lomaxa i dała mu znak, by pozostał na miejscu.

- Dlaczego nie, chętnie - zgodziła się. - Ranek jest taki piękny.

Doszli do pól rozciągających się za domem i minęli nieduże pasmo drzew. Gdy stamtąd wyszli, roztoczyła się przed nimi wspaniała panorama równiny Salisbury.

- Zawsze ten widok przenika mnie dreszczem - powiedział Kidson. - Jest tak niespodziewany, gdy wychodzi się z gęstwiny drzew.

Davina zapytała go cicho:

- Co mi chciałeś powiedzieć, Johnie?

Ujął ją pod ramię i powoli zaczęli iść wzdłuż obrzeża lasu.

- To chodzi o ciebie i Charlie - odparł. - Nie mogłem nie słyszeć waszej wczorajszej kłótni. I nie chcę, żeby się to powtarzało. Pracowaliśmy razem długo i zawsze byliśmy w dobrych stosunkach. Pomiedzy wami były jakieś nieporozumienia na długo przedtem, nim ją poznałem. Nie chcę więc, żeby teraz znowu wybuchwały z mego powodu.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że Charlie w związku z tobą ma takie ambitne plany - odpowiedziała Davina. - Chce, żebyś zajął miejsce po Szefie. I ty też tego chcesz, prawda?

Nie zdołał ukryć wrogości, gdy odpowiedział:

- Oczywiście, że chcę. Jestem jedyną osobą, która powinna przejąć to stanowisko. Wspomniałem o tym Charlie i powiedziałem, że ty raczej nie kwapisz się z pomocą. Nie spodziewałem się jednak, że ona wybuchnie w taki sposób. Bardzo chciałbym, żebyś przerwała to swoje prywatne węszenie i pozwoliła Służbie załatwić sprawę Albatrosa jej własnymi metodami.

Davina przystanęła i uwolniła ramię z przyjaznego niegdyś uścisku:

- To znaczy, że chcesz pozwolić temu łajdakowi, który pomógł zabić mego męża, aby się ukrył? Nic z tego, Johnie!

- A więc jednak powód jest osobisty - rzucił wyzywająco.
- Nic z tych altruistycznych, patriotycznych gadek. Dlaczego po prostu nie zostawisz przeszłości w spokoju? Nic przecież nie przywróci martwych do życia. Dlaczego nie zajmiesz się swoją nową pracą i nie podejmiesz decyzji w sprawie Colina? Naprawdę, mówię teraz jak przyjaciel. Nie przypuszczam, byś mi uwierzyła, ale tak jest. Troszczę się o swoje sprawy i jestem pewien powodzenia, ty zaś pakujesz się w to wszystko sama. Wiesz, gdzie ukrywa się przestępca, a to może cię postawić w bardzo niekorzystnym położeniu: wszyscy wiemy, że go gdzieś ukryłaś. Opowiadasz, że wyciągniesz Albatrosa, jak królika z kapelusza, a ja nie wierzę, że ci się to uda. To tylko tworzenie iluzji, Davino. Pomyśl o tym i jeśli będzie ci potrzebna moja pomoc, jestem tu, szczerze zatroskany o ciebie.

Szła szybko, dotrzymując mu kroku. Zawrócili i weszli do lasu, kierując się w stronę domu.

- Dziękuję - odrzekła krótko. - Będę o tym pamiętać. Ale na twoim miejscu nie byłabym tak pewna siebie. To ja jestem tą osobą, która rzuci wyzwanie wszystkim waszym zadufanym twierdzeniom.

Wiadomość przekazano Borysowowi na daczę, gdzie spędzał z rodziną weekend. Dacza była jednym z dodatkowych przywilejów, związanych z jego stanowiskiem, i znajdowała się w odosobnieniu, pośród pięknego sosnowego lasu w pobliżu Moskwy. Stała niedaleko domu przeznaczanego dla samego prezydenta; Borysow udawał się tam na spacer w towarzystwie swego ochroniarza Aleksego, który chodził za nim krok w krok. Obok dreptał pies.

Dzień był upalny, bardzo spokojny. Ostry zapach sosen nappełniał powietrze. Borysow miał na sobie skromną koszulę, spodnie i sandały: jak zwyczajny obywatel. Wyglądał na przeciętnego mężczyznę dobiegającego pięćdziesiątki, dobrze zbudowanego, sympatycznego, niczym się nie wyróżniającego. Mógł być jednym z wielu mieszkańców Moskwy, spacerującym z przyjacielem po lesie. Z wyjątkiem tego, że spacerował po terenie Żukowej, zastrzeżonym dla ważnych funkcjonariuszy partyjnych. Żaden zwyczajny obywatel nie miał tu prawa wstępu. Zaś cała ta idylliczna okolica - pola i lasy - przecięta wstęgą rzeki Moskwy, ukrywała dyskretnie umieszczone wokół każdej daczy strażę.

Borysowa poprowadzono do prywatnego basenu, w którym Żerkow uprawiał niezbyt intensywne ćwiczenia pływackie. Władca Rosji leżał teraz owinięty obszernym szlafrokiem kąpielowym i wygrzewając się w słońcu popijał chłodną lemoniadę.

Borysow odesłał Aleksego, a Żerkow, spoglądając za oddalającą się postacią, powiedział:

- Twój nowy sekretarz? Czy bardziej godny zaufania niż poprzedni? Siadaj, Igorze Igorowiczu. Poczęstuj się

lemoniada. Jest bardzo smaczna; zalecił mi ją doktor. Masz dla mnie jakieś nowiny?

- Znaleźliśmy Harringtona - powiedział Borysow.

- To dobrze - mruknął Żerkow, mrużąc oczy przed słońcem.

- Musimy chronić Albatrosa i wyciągnąć go stamtąd jak najprędzej - rzekł Borysow. - Już zacząłem rozglądać się za jego zastępcą.

- To wszystko, co masz mi do powiedzenia, synu? - zapytał łagodnie starszy mężczyzna.

- Nie - odpowiedział Borysow. - Tylko w takiej sprawie nie naruszałbym waszego wypoczynku. Albatros przesłał nam pewną ważną informację. Mamy u siebie własnego Albatrosa.

Starszy mężczyzna gwałtownie uniósł głowę, senne spojrzenie ustąpiło zainteresowaniu i skupieniu.

- Gdzie on jest i czy wiemy, kto to?

- Pracuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych - odparł Borysow.

Przez chwilę między nimi zapanowało milczenie. Żerkow nacisnął ukryty w oparciu swego fotela dzwonek. Przy wejściu do basenu pojawił się jakiś człowiek. Żerkow nawet na niego nie spojrział, tylko rzucił krótko:

- Przynieś jeszcze lemoniady.

- Moja organizacja jest inwigilowana - kontynuował Borysow, a monotony rytm głosu czynił jego słowa jeszcze poważniejszymi. - Szpiedzy są w moim własnym biurze. Jeden z nich przekazał informację do MSZ, a stamtąd zdrajca przesłał ją do ambasady brytyjskiej.

- Co to była za informacja?

Przyniesiono dzbanek świeżej lemoniady, w której pływały kostki lodu i napełniono szklanki.

- Informacja dyskredytująca KGB - odrzekł Borysow. - Informacja niebezpieczna dla Albatrosa, a celem jej było

zrobienie z nas pośmiewiska w oczach Zachodu. Na szczęście Albatros ostrzegł mnie o tym przecieku, więc przedsięwziąłem pewne posunięcia, które są w tej chwili w stadium realizacji.

- Igorze Igorowiczu, czy masz na to dowody?

- Dowód ma Albatros - odpowiedział Borysow. - I to jest jedna z przyczyn, dlaczego musi on być dobrze strzeżony i ewakuowany z Wielkiej Brytanii. Wtedy sam opowie nam o tym wszystkim.

- To był atak skierowany przeciwko tobie - zauważył Żerkow. - A wyszedł z MSZ.

- Istotnie - potwierdził Borysow. - Lecz walka o władzę w kraju to jedna sprawa, i obaj dobrze wiemy, że taka walka się toczy. Ale kiedy w celu polepszenia swej pozycji działa się na korzyść wroga, to już jest zdrada.

- I tego nam właśnie trzeba - powiedział w zamyśleniu Żerkow.

Borysow nic nie dodał. Mijały minuty, podczas gdy najpotężniejszy człowiek w Związku Sowieckim przyglądał się słonecznym odbłaskom na tafli basenu i rozmyślał o upadku swoich wrogów.

- Dostarcz mi dowodu - rzekł wreszcie. - Sprowadź do mnie Albatrosa. Wtedy nie będziemy musieli czekać do jesieni na rozpoczęcie sesji Rady Najwyższej. W Polsce zapanuje spokój, bo z naszej strony nie będzie tam żadnej prowokacji. A i ten drugi problem da się rozwiązać. Teraz idę się ubrać.

Podniósł się powoli, a Borysow mu pomógł.

- Zwyciężymy - dodał. - Związek Radziecki nie powróci w mroki średniowiecza. Złóż mi raport, jak tylko wszystko zostanie wykonane.

- Zrobię to, ojczulku.

Borysow poszedł z nim w stronę domu. Posłużył się starym rosyjskim zwrotem, jakiego używano wobec carów. Żerkow nie zganił go za to.

- Dwie porcje rostbefu z dodatkami i jedną porcję poledwicy jagnięcej, a także dwie szklanki lekkiego jasnego piwa i pół butelki czerwonego wina. Ten pan prosi, żeby wybrać dla niego coś dobrego.

- Zwrócę się do kelnera, zajmującego się winami - powiedział służący. - Jasne ma być butelkowe czy z beczki, proszę pana? - wyraz jego twarzy wyrażał dezaprobatę, gdy zadawał to pytanie.

Rostbef był bardzo soczysty i delikatny. I do tego jasne piwo... Ściągnął wargi z niechęcią. Eks - komandos zawołał przez ramię.

- Bob, butelkowe czy z beczki dla ciebie?

- Butelkowe - odpowiedź doszła z bawialni.

- Dobra, więc dwie butelki jasnego - powiedział mężczyzna i znowu starannie zamknął drzwi, a potem wrócił do bawialni.

- Żadnych kłopotów? - zapytał drugi.

- Nie, nikt się nie kręci w pobliżu. Ten stary był taki sam, jak tamten wczorajszy młodziak. Wyglądał, jakby mu ktoś pierdnął pod nos. Podaj mi skręta. - Usadowili się w oczekiwaniu lunchu. Po jednym z każdej strony drzwi, które pozostawiono uchylone. Harrington widział jednego ze swoich strażników przez dziurkę od klucza. Mężczyzna trzymał rękę w kieszeni, swobodnie, nie starając się zbytnio ścisnąć broni. - Dużo by mu to pomogło - mruknął do siebie i powrócił na swoje miejsce: na wygodny fotel po drugiej stronie łóżka.

Czuł napięcie w żołądku. Już pierwsza. Kiedy wreszcie coś się wydarzy? Czy będzie tu musiał tak siedzieć aż do wieczora? Nie wiedział, czy to łatwo zniesie. Zastukał do drzwi i zawołał:

- Chciałbym jedną szkocką.

- Już się robi - zabrzmiała odpowiedź.

Wziął drinka, nie mówiąc „dziękuję”, i zaczął chodzić po pokoju, pociągając ze szklanki. Pierwsza trzydzieści. Chryste, wcale nie był głodny, ale chciał coś jeść dla zabicia czasu... Za zamkniętymi drzwiami usłyszał chrobot stolika na kółkach.

Drzwi się otworzyły i starszy z mężczyzn podał zamówione potrawy.

- Przyjemnie pachnie - dodał.

Harrington patrzył, jak stawia tacę na stoliku. Sam nalał sobie szklankę wina z otwartej i napełnionej do połowy butelki. Pommard '75. Wybrali doskonały rocznik. Podniósłszy srebrną pokrywę z półmiska nałożył sobie jarzyny i mięso z jagnięcia.

Mężczyźni obecni tam, w pokoju bawialnym, jedli na zmianę. Jeden stał na straży za drzwiami prowadzącymi do małego przedpokoju, podczas gdy drugi pałaszował wołowinę, popijając piwem.

Kelner obsługujący piętro zdjął swój mundur w schowku na szczotki. Było to ciasne pomieszczenie, wypełnione odkurzaczami, więc ciało młodego kelnera leżało w kącie z kolanami skurczonymi pod brodą. Pokojówki wpadną jutro rano w histerię - pomyślał, ale się nie uśmiechnął, nie miał bowiem poczucia humoru. Wciągnął na siebie marynarkę wiszącą na drzwiach, ściągnął szpakowatą perukę i wepchnął ją do kieszeni. Jakiś czas spędził w małym teatrze objazdowym, ale nigdy nie wyszedł poza role halabardników. Od tamtego czasu stał się jednak lepszym aktorem. Kiedy wsiadał do windy jadącej do głównego hallu, był już młodym człowiekiem w dobrze skrojonym ubraniu, z grubymi okularami na nosie. Przeszedł przez foyer, a następnie po schodach wyszedł na Arlington Street, gdzie uprzejmym „Nie, dziękuję” odmówił propozycji przywołania taksówki przez starszego portiera. Skręcił na lewo w Piccadilly i zniknął w

wejściu do stacji kolejki podziemnej „Green Park”. Na stacji podszedł do budki telefonicznej i wykręcił numer.

- Colinie - zawołał kapitan Graham - telefon do ciebie!

Lomax nie spieszył się. Nie spojrzał na Davinę; ona zaś poprosiła matkę o drugą filiżankę kawy. Jego nieobecność była krótka; gdy wrócił do pokoju, poinformował:

- To był Jim Fraser. Chce, żebyśmy przed teatrem wstąpili do nich na drinka i przekąskę.

- To znaczy, że musimy wyjechać wcześniej - Davina w lot chwyciła, o co chodzi.

Lomax zwrócił się do pani Graham.

- Przykro mi z tego powodu, ale na dziś wieczór jesteśmy umówieni do teatru na sztukę „Inny kraj”. Nasi przyjaciele są strasznymi teatromanami i twierdzą, że to najlepsza rzecz, jaką wystawiono od lat.

- Czy nie jest to sztuka o zdrajcach? - dopytywał się Kidson. - Coś takiego obilo mi się o uszy.

- Będziemy musieli niebawem ruszyć w drogę - Lomax zupełnie zignorował jego uwagę. - Szkoda tak sobie skracać popołudnie... - wzruszył ramionami i spojrzał z przepraszającym wyrazem twarzy.

- Zbiorę swoje rzeczy - powiedziała Davina.

Oboje nie wykazywali żadnych oznak pośpiechu czy niepokoju. W hallu szepnęła do niego:

- Ritz?

Lomax skinął twierdząco.

- Chłopcy skontaktowali się z Fraserem. Zobaczyła jego twarz i powiedziała:

- Colinie... - a potem zamilkła.

- Harrington nie żyje - oznajmił. - W jego winie był cyjanek. Robią to bezbłędnie, prawda?

Zatrzymała się na schodach, mówiąc:

- O, mój Boże, co ja narobiłam?

- Znalazłaś Albatrosa - odparł. - A przecież tego właśnie chciałaś. Pozwól, że ja się teraz tym zajmę.

Nic na to nie odpowiedziała. Oni go zabili. Postawiła na uprowadzenie... Rozdała trzy karty i jedna z nich okazała się dla Harringtona damą pikową. Weszła do swego pokoju, wrzuciła rzeczy do torby. W lustrze zauważyła swoje odbicie: zmęczona, kredowo blada po przeżytych szoku twarz. Teraz już wiedziała, kim jest Albatros. Odwróciła się do drzwi. Aby go znaleźć, zabiła Petera Harringtona. To było tak pewne, jakby sama wsypała mu do wina tę truciznę.

- Telefon do ciebie, Humphreyu - powiedział Ronnie z uśmiechem. - Zrobię ci filiżankę kawy - dodał i wyszedł do kuchni.

Humphrey słuchał spokojnie, a potem powiedział:

- Przykro mi z tego powodu. - Odłożył słuchawkę i usłyszał wołanie Ronniego.

- Kawa gotowa.

Głęboko wciągnął powietrze i przywołał się do porządku.

- A więc wypijmy ją - powiedział.

Wsunął rękę pod ramię chłopca, gdy ten wszedł do pokoju i wziął od niego tacę.

- O, Boże - wykrzyknęła Mary White - a więc musisz jechać do Londynu? Cokolwiek to jest, czy nie może poczekać do poniedziałku?

James White pokręcił głową.

- Obawiam się, że nie, moja droga. Ale ty nie musisz jechać ze mną.

Spojrzała na niego i szybko odpowiedziała;

- To nie jest coś szczególnie ważnego?

- To się okaże - odparł. - Będę musiał sprawdzić.

- Żałuję, że mamy telefon - rzekła Mary White. - Oczywiście, pojedę z tobą. Inaczej będziesz tkwił w biurze bez przerwy. Lepiej zatrzymajmy się w naszym mieszkaniu.

Podszedł do niej i lekko pocałował.

- Wyjeżdżam natychmiast. Dlaczego nie miałabyś spędzić tu spokojnie reszty dnia i przyjechać później? I tak nie będę wolny do wieczora. To chyba najlepszy pomysł.

Opuścił dom pół godziny później.

- Takie to moje szczęście - poskarżył się John Kidson. - Zawsze w czasie weekendu coś się zdarzy.

- Jaka szkoda - powiedział Fergus Graham, widząc, że ukochana córka odjeżdża dzień wcześniej, niż planowała. - Ale dlaczego Charlie i mały Fergie nie mogą tu zostać? Zawiózłbym ich jutro wieczorem.

- To byłoby najlepsze rozwiązanie - odparł John Kidson. Podszedł do żony i objął ją ramieniem. - Zostań tu, kochanie. Jaki sens ma wyjazd do Londynu, gdy i tak na pewno będę jutro cały dzień w biurze. Zostań więc tutaj, a ja zadzwonię wieczorem.

Zatelefonowano do niego późnym popołudniem. Poszedł na górę zabrać brzytwę i piżamę, a za pół godziny był już na autostradzie. Jechał bardzo prędko, z napiętą uwagą. Po raz pierwszy, odkąd byli małżeństwem, nie pocałował żony na pożegnanie.

Stephen Wood bardzo żałował, że plany, jakie mieli z żoną na niedzielę, rozleciały się. Wyjaśnił, że jeden z jego podopiecznych rzucił się na strażnika więziennego, więc on musi zostawić wszystko i udać się do Pentonville, by postarać się jakoś pomóc. - Biedny nedorozwinięty facet - powiedział do żony ze współczuciem - umie wyrażać swe uczucia tylko w formie gwałtu. - Żona cmoknęła językiem, co było, jego zdaniem, bardzo niemiłym zwyczajem, i powiedziała, że naturalnie ona rozumie, że on musi pojechać, ale co za utrapienie, akurat wtedy, gdy mieli zaplanowane takie ładne popołudnie w londyńskim ZOO.

Wood otrzymał informację telefoniczną zaraz po pierwszej trzydziści. Następnie spędził jakiś czas przy aparacie, podczas gdy żona martwiła się o ich zmarnowane popołudnie. Do Wooda dzwoniono z budki telefonicznej na stacji kolejki podziemnej „Green Park”. On zaś przekazał wiadomość przez biuro usług telefonicznych do firmy hydraulicznej w Battersea. Taśm pilnowano tam dzień i noc, aby wyłapywać takie właśnie wiadomości. W ciągu godziny została ona przekazana do właściwego miejsca w sowieckiej ambasadzie w Londynie, która wydała instrukcje, dla Wooda. Kiedy to zrobiono, musiał odwołać wyprawę do ZOO i słuchać wyrażającego rozczarowanie żony mlaskania językiem. Któregoś dnia, oczywiście bardzo taktownie, będzie musiał jej na to zwrócić uwagę...

Misja została spełniona z powodzeniem. Albatros był bezpieczny. Teraz należało przejść do ostatniej fazy operacji. Stephen Wood miał być w najbliższym czasie bardzo zajęty.

Davina pojechała do mieszkania przy Marylebone. Wewnątrz było bardzo cicho; zadrżała, gdy weszła do bawialni. Czowała się zziębnięta i chora. Zapaliła ostatniego balkan sobranie i usiadła wpatrując się nieruchomo w ciemny ekran telewizora. Nie chciała pojechać z Colinem do Ritza. Nie chciała spotkać obu tych mężczyzn, którym nie udało się ustrzec Harringtona. Przede wszystkim jednak nie chciała zobaczyć jego ciała, niezależnie od tego, jak dokładnie było przykryte. Gdy zadzwieczał dzwonek u drzwi, niemal podskoczyła. Zadzwonił dwukrotnie, raz za razem, jak gdyby przybysz bardzo się niecierpliwił. Wstała i poszła do przedpokoju.

- Kto tam?

- To ja! - powiedział głośno Walden. - Wpuść mnie, Davino!

Wszedł tak szybko, że nie miała możliwości się odezwać, zanim nie zatrzasnął drzwi i pociągnął ją do bawialni.

- Dzwoniłem do Ritza. Był tam Lomax i powiedział mi, co się stało. Chryste, ale sfuszerowaliśmy sprawę! Wyglądasz okropnie. Usiądź, proszę...

- Czuję się strasznie - powiedziała powoli. Natychmiast się zaniepokoił i chciał przygotować coś do picia, ale zaprotestowała ze zniecierpliwieniem.

- Tony, przestań. Nie chcę drinka i nie potrzebuję pocieszeń. Wszystko jest w porządku, po prostu daj mi spokój - odwróciła się i usiadła.

Walden nie ruszył się z miejsca.

- To nie twoja wina - powiedział. - Staralaś się go ochronić. Nie możesz się obwiniać za to, co się stało.

Podniosła głowę i odpowiedziała ze spokojem:

- Wykorzystałam go jako przynętę. Wystawiłam im go. Po prostu nie liczyłam się z tym, że oni go zabiją. I teraz powiedz mi, że nie muszę się obwiniać - znowu odwróciła się od niego.

Walden usiadł obok, wyciągnął rękę i ujął jej dłoń, która lekko drżała.

- Nie znam przyczyn tego wszystkiego - powiedział - i, mówiąc szczerze, nic mnie to nie obchodzi. Ty też nie powinnaś tak się dręczyć. Spójrz na mnie przez chwilę.

Nie chciała tego zrobić, ale jednocześnie poczuła pokusę, aby się nie opierać, nie uciekać. Raz już to zrobiła, gdy przyjechała na Marylebone, pozostawiając Colina samego, by zbierał to, co zostało z ludzkiego życia.

Miał wyraziste brązowe oczy, które chciały jej coś przekazać.

- Jeśli on nie żyje, to dlatego, że na to zasłużył. Był zdrajcą, śmierdzącym podwójnym agentem, pracującym dla najstraszniejszej z tyranii. Do diabła z nim! Jeśli go

wystawiłaś, no to co? Czy zdobyłaś, to co chciałaś? To jest przecież najważniejsze.

- Tak - odparła po chwili Davina. - Zdobyłam to, co chciałam. Wiesz, Tony, pracujesz w niewłaściwej branży. To ty się powinieneś tym zajmować.

- Wiem, że to nie miał być komplement - odpowiedział - ale ja przyjmę, że właśnie jest. Znam Rosjan, kochanie. Zapomniałaś, że jestem Polakiem. Nie będę więc z ich powodu lał łez, ani też z powodu kogoś, kto dla nich pracował. A teraz zbierz siły. Miałaś wykonać zadanie i zrobiłaś to. Chodź tu do mnie i pozwól, żebym ci powiedział, jaką jesteś wspaniałą kobietą.

Nagle była w jego ramionach. Całował ją, przełamując opór zwykłą siłą fizyczną. Wkrótce się uspokoiła i uległa. Żadne z nich nie słyszało, jak Colin Lomax wszedł do mieszkania. Stał na progu i zobaczył jej ramiona oplecione wokół szyi Waldena, jej usta przy jego ustach, jej dłoń pieszczotliwie gładzącą jego włosy...

Nie odezwał się słowem, odwrócił się i opuścił mieszkanie tak cicho, że oboje nie zdawali sobie sprawy, iż w ogóle tam był.

- Przyszłaś wcześniej - zauważył sir James White. Gabinet zalewały promienie zachodzącego słońca; pobłyskiwała zawieszona nad staroświeckim kominkiem akwarela, przedstawiająca jego bladoróżowy domek w Kent. White siedział za biurkiem otoczony błękitną mgłą dymu z sub rosa. Wyglądał na całkowicie zrelaksowanego. Gdy zobaczył Davinę, podniósł się z uśmiechem i powiedział:

- Usiądź, moja droga.

Nie usiadła jednak na wskazanym krześle, lecz podeszła do okna i spojrzała na brukowany kamieniami dziedziniec przed frontonem domu z osiemnastego wieku.

- Nie chciałam, żeby pan na mnie czekał - powiedziała wreszcie. - Wiem, że punktualność ceni pan na równi z lojalnością.

- To cecha, która nas łączy, jak mi się wydaje - odparł. - Powiedziałaś, że dziś będziesz miała Albatrosa. Mam nadzieję, że dotrzymałaś obietnicy.

Spojrzała na niego, ale wydawała się jakaś daleka i zamknięta w sobie. Zauważył też, że była wyjątkowo blada.

- Były jedynie trzy osoby, które mogły być Albatrosem - odpowiedziała. - Pan, Humphrey i John. Każdemu z was podczas ostatniego weekendu poddałam inny trop. Tylko jeden był prawdziwy. Powiedziałam, że zdemaskuję zdrajcę dzisiaj, dlatego że chciałam go przestraszyć i sprowokować do działania. I to mi się udało. Ale też zaryzykowałam, że zostanie podjęta próba uwolnienia Petera Harringtona. Wszystko musiało wyglądać bardzo przekonująco, więc nawet wkalkulowałam to, że on naprawdę ucieknie.

- Czy tak się stało? - zapytał James White. Davina pokręciła przecząco głową.

- Nie - odparła - został zamordowany.

- Ach! - okrzyk zdawał się brzmieć bardzo długo. - A więc Albatros wpadł w panikę. Kto to jest, Davino?

Lodowate oczy wpiły się w nią z napięciem, lekko pochylił się do przodu, a głos stracił swój łagodny ton. Położyła przed nim na biurku kartonik z zapalnikami.

- Takie zapalniki zostawiłam w sypialni mojej siostry. Położyłam je na łóżku. Albatrosem jest mój szwagier, John Kidson.

Zapalniki leżały przed nim; wziął je do ręki. Czarnozłoty kartonik z numerem apartamentu wybitym pod napisem: „Hotel Ritz”.

James White przez chwilę obracał je w palcach, po czym odłożył na biurko.

- Co za sprytnie wybrana kryjówka! Jak oni to zrobili? Czy były inne ofiary? - mówił bardzo rzeczowo i spokojnie.

- Truczizna - odparła. - Zabito też młodego kelnera, a zabójca zajął jego miejsce. Nie było żadnego zamieszania; kierownictwo hotelu jeszcze nic nie wie. Colin to wszystko załatwia.

- Kidson - mruknął. - Jak to się mogło stać? John Kidson...

- Staralam się odpowiedzieć sobie na to pytanie - rzekła. - Ożenił się z moją siostrą, wślizgnął się do mojej rodziny... dowiedział się, gdzie mieszkaliśmy z Iwanem. Wszystko, czego potrzebował, to zbliżenie, możliwość dyskretnej obserwacji. Australijski znaczek, kawałek koperty. Ojciec myślał, że zniszczył moje listy, ale nie miał szans ukrycia ich przed zawodowcem takim jak John. Och, mój Boże, co za cholerna, paskudna katastrofa...

Zauważyła, że James White podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu i powiedział:

- Zdobądź mi skądś szklaneczkę koniaku. Tak, na pewno jest... Wiem, że kadry zawsze mają coś na wszelki wypadek. - Zwracając się do Daviny, powiedział ze współczuciem: - Ten aspekt sprawy jest dla ciebie bardzo przykry, wiem o tym.

- Nigdy nie sądziłam, że Harrington może zostać zabity - powiedziała. - Wystawiłam im go jako przynętę. I to też jest okropne.

- Tym się nie przejmuj - rzekł stanowczo. - KGB zaoszczędziło nam mnóstwa kłopotów. Nie muszę ci przypominać, ile litości okazał tobie, gdy byliście w odwrotnej sytuacji. Pamiętaj o tym, jeśli czujesz się winna. Osobiście uważam, że jest to najlepsze rozwiązanie bardzo niewygodnej sytuacji. O, tu jest twój koniak. Wypij to, zaraz poczujesz się lepiej.

- Musi go pan aresztować - powiedziała. - Był jeszcze w domu, gdy wyjeżdżaliśmy.

- Myślisz, że będzie próbował ucieczki? Nie ucieknie daleko.

Davina zawahała się.

- Nie jestem pewna. Dziękuję za koniak, Szefie. On myśli, że dostanie pańskie stanowisko, strasznie mu na tym zależy. O tym właśnie rozmawiałam z nim wczoraj. Starał się mnie przekonać, żebym zaniechała śledztwa. Musiał już wiedzieć, że oni zajmą się Peterem. Możliwe, że Kidson nie będzie uciekał. Możliwe, że zechce zaryzykować i zobaczyć, jak się dalej wszystko potoczy. On pragnie tego stanowiska: to warte ryzyka.

- Może należy pozwolić, by myślał, że mu się udało - powiedział White. - My też powinniśmy grać na zwłokę. Zadzwoń do Marchwood i zapytam, czy tam jeszcze jest. Dlaczego nie pójdziesz do domu, Davino? Będę cię informował o tym, co się dzieje.

- A ja myślałam, że to pan jest Albatrosem - powiedziała.

- Oczywiście, że tak myślałaś - skinął twierdząco. - Mam też nadzieję, że nie jesteś zbyt rozczarowana z tego powodu. Ale a propos, ten mały podstęp z papierosami Bałkan Sobranie był nieco poniżej twoich możliwości.

- Dlaczego?

Wstała i zamilkła. Zupełnie o tym zapomniała, jak również o Humphreyu Grancie.

- Dlatego, że wiedziałem, iż palił je Harrington. Również twój przyjaciel Walden zajmował się ich reklamą kilka miesięcy temu. Trudno jest dziś nie zauważać reklam.

- Był pan w Agencji Arlington? - zapytała. - Wiedziałam, że pan to robi.

- Nie, ale złożyliśmy wizytę w mieszkaniu Waldena przy Grosvenor Square. Nie był z tego zbyt zadowolony.

- Z pana jest naprawdę kawał drania - powiedziała spokojnie. - Doskonale pan się orientował, że on tam nie ukrywa Harringtona.

- Musiałem się upewnić - odparł, spojrzawszy na nią niewinnie. - Przecież i tak na wszelki wypadek mieliśmy oko na jego biuro. Wygląda też na to, że Humphrey śledził was wczoraj wieczorem. Było straszne zamieszanie w pewnym hotelu obsługującym dżentelmenów z Bliskiego Wschodu, gdy służby specjalne spadły im o świcie na głowę. Czy masz tu swój samochód?

- Nie - odpowiedziała Davina. - Tony Walden przywiózł mnie tu i czeka na ulicy. Nic nie wspomniał o dzisiejszej waszej wizycie!

- To bardzo mądrze z jego strony - powiedział bez zażenowania James White. - Przepraszę go osobiście. A teraz muszę złapać Humphreya, żeby uporządkował ten bigos u Ritza. Sam zaś odbędę poufną rozmowę z moim szanownym kolegą Kidsonem.

Spojrzała nań pytająco, odpowiedział więc:

- Dwadzieścia lat zdrady. Zapłaci za to, tego możesz być pewna.

W żadnej z gazet nie było wzmianki na ten temat. Pierwsza zmiana sprzętacek hotelowych nie znalazła w schowku na szczotki niczego poza zwykłym sprzętem. Ludzie sir Jamesa szybko opanowali sytuację. Zamordowany kelner został znaleziony na jednej z ulic w zachodnim Londynie - przejechany przez samochód. Gość z apartamentu A, który zmarł na atak serca, został wyniesiony bocznym wyjściem. Współpracownicy Frasera poszli do domu po podpisaniu oświadczenia, że nie wspomną nikomu o sprawie, pod groźbą oskarżenia o naruszenie specjalnej ustawy o tajemnicy państwowej.

John Kidson przyłączył się do Humphreya na spotkaniu w biurze, które odbyło się bardzo późnym wieczorem w niedzielę. Sir James zdumiał ich, przynosząc butelkę whisky i proponując drinka.

- Biedna Davina - powiedział. - Widziałem się z nią wcześniej. Cała ta sprawa skończyła się porażką. Ludzie Borysowa dotarli do Harringtona i uprowadzili go. Ale nie z kraju - obrzucił ich obu spojrzeniem wyrażającym zadowolenie z siebie. - Zaoszczędzili nam mnóstwa kłopotów - dodał. - A tej damie utarli nosa. Nie będzie już nic robiła za naszymi plecami, nawet gdyby ktoś okazał się na tyle nierozsądny, by jej to zasugerować.

Przez chwilę miazdżył wzrokiem Humphreya, a potem się odwrócił.

- A co z Albatrosem? - dopytywał się Kidson. - Co z tą sprawą?

- Nic - odpowiedział James White. - Nie będzie mogła rozwikłać tej łamigłówki bez Harringtona. Obawiam się, że spadnie to na nas. Załatwimy to sami, bez rozgłosu na zewnątrz, tak jak zawsze.

- Jak oni znaleźli Harringtona? - zapytał Humphrey powoli.

Pytanie to zawisło w powietrzu.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - powiedział z irytacją Kidson. - Prawdopodobnie była pod obserwacją, popełniła jakąś nieostrożność. Chodzi jednak o to, że ciągle pozostaje podejrzenie. I to musi zostać wyjaśnione - spoglądał z uporem, jakby spodziewał się jakichś sprzeciwów.

- Tak się w swoim czasie stanie - odpowiedział Humphrey. - Nie chcemy przecież skandalu, a Davina by go spowodowała. Nasze kłopoty powinny zostać w tych czterech ścianach.

- Oto jak mówi dobry pracownik Firmy - przyklasnął sir James. - Nie pozwolimy Albatrosowi odfrunąć. Wypijmy za to.

John Kidson tego wieczoru nie poszedł wprost do domu. Opuścił Anne's Yard z uczuciem, że wypita whisky przytępiła bolesne skurcze żołądka, które dręczyły go przez ostatnie trzydzieści sześć godzin. To była jego słabość: żołądek reagujący na stresy.

Wywinał się z tego. Harrington był martwy, a Davina nie rozszyfrowała go. Była skończona i w dodatku skompromitowana. On wiedział też, co oznacza procedura wewnętrznego śledztwa w SIS. Wiedział, jak wiele czasu trzeba i jak trudno jest zdemaskować kogoś, kto może się zasłonić przy każdym ruchu. Od lat kontrolował dokumenty; komputer, gdy sprawdzą pamięć, wykaże te same braki. Żadnego skandalu. Uśmiechnął się, z trudem próbując pozbyć się napięcia. Zbyt wielu rywali znajduje się pośród innych sekcji służb bezpieczeństwa, zawsze zazdrosnych o nagrody i przywileje, jakimi cieszy się SIS. Philby wyrzucił swemu następcy przysługę, powodując taki upływ krwi ze Służby. Teraz nie będą chcieli tego powtarzać. Miał dużo czasu, nie było więc teraz powodu do paniki. Jeśli zachowa spokój i opanowanie, może tyle zyskać. Jaka nieprawdopodobna korzyść dla jego przyjaciół w Moskwie. Dyrektor brytyjskiej Secret Intelligence Service. Była to oszalamiająca perspektywa, która przyprawiała go o zawrót głowy, gdy myślał o przyszłym triumfie. Co za historyczny cios zadany siłom kapitalistycznego społeczeństwa! A on, jak to zawsze było jego zamiarem, zabierze to swoje osiągnięcie ze sobą na cichy angielski cmentarz, szanowany przez ludzi, których zdradzał.

Podjechał do pubu w pobliżu King's Road, zapelnionego rozbawionymi młodymi mężczyznami i kobietami. Było tu

sporo różnych cudaków chętnych do zwracania na siebie uwagi, wymalowanych jak Indianie z westernu, z wystrzyżonymi włosami ufarbowanymi w kolorach tęczy. Kidson obserwował ich bez zainteresowania. Młodzi czuli się rozczarowani. Ich obsesja brzydoty była oznaką buntu przeciwko zgniłemu społeczeństwu, w którym wyrastali. Nie ganił ich. Jako dziewiętnastolatek czuł tak samo. Rozczarowany, szukający jakiejś wiary, gwałtownie antyfaszystowski, przerażony koszmarami holocaustu przenikającymi jego sny. Bardzo zdolny, o analitycznym umyśle student, którym opiekował się profesor historii, wyczuwający w nim ten brak życiowego ukierunkowania i gorące pragnienie bycia pożytecznym dla innych.

Proces jego politycznej edukacji dokonywał się z dużą ostrożnością, taktownie, aby w finale okazać się iluminacją bliską ekstazie. Jego droga do Damaszku zaczęła się w bawialni profesora na uniwersytecie Cambridge. Był ślepy, a przy pomocy tego przyjaciela po raz pierwszy przejrzał. Taki był właśnie początek i nigdy już nie zawrócił z tej drogi. Nigdy też nie miał wątpliwości, nigdy nie ugiął się pod straszliwą presją schizofrenicznej egzystencji. Nigdy się nie ożenił, dopóki nie spotkał Charlotty Graham i nie zakochał się pierwszy raz w życiu. Kochał tę kobietę i pragnął jej; doznał nieprawdopodobnego szczęścia we współżyciu z nią.

Nie przeżywał żadnego konfliktu, szukając zdrajcy Sasanowa. Listy były niszczone: darte, starannie palone i spłukiwane w w.c., lecz nie koperty. Widział ślady popiołu w łazience w Marchwood. Tego, że kopert nie niszczone, nie dostrzegł w ciągu pierwszego roku. Potem znalazł strzępy w koszu na papiery. Tyle, że mógł odcyfrować stempel na znaczku. Perth, zachodnia Australia. Wcale nie czuł się zakłopotany, gdy przekazywał tę informację. W niczym to nie zmieniło ani jego uwielbienia dla żony, ani szczerzej sympatii

dla jej rodziny. Mógł nawet okazywać współczucie Davinie, gdy jako wdowa wróciła do domu, cierpiąc z powodu utraty męża i dziecka.

Te dwie strony jego życia były oddzielone przepaścią, której nigdy nie należało przekraczać. Wykonywał swoją pracę z entuzjazmem i wyjątkową zręcznością. Zdobył uznanie jako najlepiej prowadzący przesłuchania agentów pracownik Służby, który nigdy nie używał gróźb ani przemocy. Wydawał swoich ludzi bez żadnych skrupułów, dlatego że nie mógł sobie pozwolić na porażkę. Ze względu na wysoką ocenę swej pracy awansował, a co za tym idzie, miał dostęp do najbardziej tajnych informacji. Chłodno rozumował, że cel uświęca środki nawet wtedy, gdy chwytał sowieckich agentów, którzy wędrowali do więzienia. Dla przekupnych zdrajców, takich jak Peter Harrington, żywił tylko pogardę. Pieniądze dla Kidsona nigdy nie miały znaczenia, nie bał się też ryzyka. Wierzył święcie w swój obowiązek służenia sowieckim ideałom i dla nich poświęcał życie innych ludzi. Zresztą sam też nie wahałby się z tego powodu umrzeć. Ale nie heroiczne wyczyny, lecz subtelność działania, była jego specjalnością. Harrington mógł się więc i wyzionąć ducha jak bezański pies, rola zaś Kidsona polegała na tym, by służyć z ukrycia i unikać zdemaskowania do samego końca.

Wypił drinka w pubie i spojrzął na zegarek. Jego kontakt zjawił się tuż przed zamknięciem lokalu. Zobaczył go, gdy wchodził w narzuconym na ramiona jaskrawożółtym swetrze. Kidson podszedł do baru kupić papierosy. Mężczyzna w swetrze przecisnął się ku niemu.

- Już zamykamy - powiedziała barmanka do przybysza.

- Jest jeszcze czas na jedno jasne - nastawał Stephen Wood. Szturchnął Kidsona łokciem i wymamrotał. - Przepraszam. Strasznie dziś gorąco, prawda?

Kidson wziął swoje papierosy i resztę, a potem wypowiedział zdanie, będące sygnałem rozpoznawczym: „Lepsze to niż deszcz”.

Zawrócił do swego stolika, skąd dochodził go monotony śmiech mężczyzny przy barze. Działał mu na nerwy.

To był kontakt w nagłych wypadkach; zawodowy nudziarz zagadujący barmankę i siorbiący piwo. Kidson nigdy przedtem się z nim nie zetknął, aż do momentu, gdy na łóżku Charlie znalazł kartonik zapalek. Nie zobaczy go też nigdy więcej, kiedy opuszczą pub, a Kidson otrzyma instrukcje.

Zmieszali się z innymi i powoli zaczęli wychodzić.

- Ma pan jechać do domu - powiedział Wood. Kidson otworzył usta ze zdumienia. „Dom” oznaczał Moskwę.

- Nie mogę. Jestem czysty. Mam otrzymać stanowisko po W. Powiedz im to.

Wood zatrzymał się, naciągnął jaskrawy sweter i zaczął go zapinać. Wreszcie minęła ich grupa przechodniów.

- Brr. Zrobiło się zimno. Dobrze, że wziąłem to ze sobą. Żadnych sprzeciwów! Wyrazili się jednoznacznie. Ma pan się udać do domu. Przez Paryż. Może pan wziąć żonę. Dobranoc.

Kidson wrócił do pustego domu. Charlie urządziła go ze smakiem. Tworzył znakomite tło dla jej osoby. Fotografie jej i dziecka, zdjęcie ślubne - uśmiechnięci stoją przed Urzędem Stanu Cywilnego w Kensington. Wazon pełen kwiatów - bardzo lubiła kwiaty i wydawała na nie mnóstwo pieniędzy. Ich sypialnia. Poczul przyływ pożądania i rozpacz. Charlie z nim nie pojedzie. Wiedział to. Jeśli zrobi, co mu przykazano, straci ją i syna. Usiadł na łóżku. „Jedź do domu! Zabierz żonę do Paryża”. To nie będzie trudne. Charlie chętnie skorzysta z okazji. Nie wzbudzi niczyich podejrzeń, gdy pojedą razem na weekend. Ale jednak nie pozwolono mu zostać i zakończyć długich lat pracy wzniosłym finałem.

Rozumiał, co to znaczy. Zrobiło mu się zimno, znowu poczuł skurcze żołądka. Zabicie Harringtona nie wystarczyło. Zawsze był posłuszny. Będzie i teraz, ale wie, że cena, którą zapłaci, będzie wyższa niż zdemaskowanie i wyrok dożywocia. Jego żona nie pojedzie z nim do Związku Radzieckiego.

Charlie uważała, że każdy, kto zdradził ojczyznę, powinien zostać rozstrzelany. Bardzo dokładnie pamiętał tę rozmowę w restauracji nad rzeką. Takie było jej przekonanie. Przez chwilę wtedy przypomniała mu swą siostrę i to go zabolalo. Odwróci się od niego z obrzydzeniem, jeśli się dowie, co zrobił. Zabierze ją do Paryża, by osłonić swą ucieczkę, ale tam będzie musiał ją zostawić. Siedział na łóżku z twarzą ukrytą w dłoniach. Płakał.

Lomax pozostawił uporządkowanie spraw w hotelu w rękach Humphreya i wrócił na noc do Frasera. Nie chciał widzieć Daviny. Nie mógł zapomnieć widoku swojej ukochanej w ramionach Waldena. W tym uścisku nie było nic platonicznego; był namiętny, pełen erotyzmu. Gdyby się natychmiast nie odwrócił i nie wyszedł, to zaatakowałby Waldena. Nie zadzwonił do Daviny tego wieczoru. Siedział ze swym starym druhem i upijał się powoli, rozmawiając o armii i wspólnej służbie.

Fraser nie miał pojęcia, że coś z nim jest nie w porządku. Raz po raz usprawiedliwiał się za to, że jego ludziom nie udało się zapewnić Harringtonowi bezpieczeństwa. Stał się nawet trochę męczący, w miarę jak ubywało z butelki.

Lomax zapewnił go, że wykonali swą pracę najlepiej, jak się dało.

- To dobrzy, prości faceci - mamrotał. - Podeślij im paru bandziorów, zacznij strzelaninę, a zobaczysz, że okażą się lepsi. Ale drański cyjanek! Stary kelner z butelką wina

zatrutego cyjankiem... Oni nie byli przygotowani na taką okoliczność, Jim. Ja też nie byłem - dodał.

Gdy na niepewnych nogach wchodzili na górę, odwrócił się do przyjaciela. Był otepiały i wyglądał nieszczęśliwie, Fraser jednak sądził, że jest zwyczajnie pijany.

- To śmierdząca robota - powiedział głośno Lomax. - Wszystko w tej robocie śmierdzi i każdy przesiąknięty jest tym smrodem. Mam tego dosyć...

Następnego ranka obudził się z bólem głowy, ale kąc męczył go tylko do śniadania. Już podjął decyzję. Spytał Jima Fräsera, czy nie miałby zamiaru wziąć do swego interesu wspólnika, potem zadzwonił do Daviny i powiedział, że niebawem przyjdzie.

- Dlaczego nie wróciłeś do domu? - spytała go. - Czekałam na ciebie, myślałam, że zadzwonisz. Co się z tobą działo?

Robi wrażenie szalenie spiętej - pomyślał. - Zmęczona, ciemne kręgi pod oczami, ale jednocześnie całkowicie opanowana. Już przeszła do porządku nad tym, co się wydarzyło. Z pomocą tego łajdaka! Wyczałował jej kłopoty. A ona mu pozwoliła to zrobić.

Poczuł, jak ogarnia go fala gorącego gniewu, a potem powoli odpływa. Wraz z nią odpłynęła i umarła jego miłość do Daviny Graham. Doznał uczucia, że stracił coś ważnego, jakby część jego samego rozplynęła się w nicości. Po gniewie przyszedł ból, a potem rozzalenie. Zawsze jest tak, że jedno kocha, a drugie pozwala się kochać. On kochał ją zawsze - ona odwzajemniała uczucie, ale nigdy całkowicie do niego nie należała.

- Spędziłem noc u Jima Fräsera - odpowiedział. - Wiedziałem, że nie będziesz sama.

Davina zauważyła wyraz jego twarzy i powiedziała łagodnym tonem:

- Masz na myśli Tony'ego. Colinie, bardzo mi przykro on tu po prostu wstąpił.

- Nie martw się - odparł, lekko wzruszając ramionami. - Od dłuższego czasu wiedziałem, że to się stanie. Jeśli pamiętasz, mówiłem ci o tym. On postanowił cię zdobyć, Davino: jest mężczyzną, który nigdy nie daje za wygraną. Wczoraj wróciłem do domu, żeby zobaczyć, jak się czujesz. On tu był, więc nie chciałem wam przeszkadzać.

Widział, jak spuszcza wzrok i rumieni się.

- Nie chciałam, żeby to się stało - powiedziała. - Naprawdę nie chciałam, uwierz mi, proszę cię. Staralam się... Nigdy nie wierzyłam, że nie można tym kierować. Teraz już wiem, że to prawda. - Zapaliła papierosa. Już nie były to Balkan Sobranie.

- Co znaczy, że go kochasz - powiedział. - Widać lubisz Słowian. Szkoda, że ja jestem Szkotem. Pójdę spakować swoje rzeczy, to mi nie zajmie dużo czasu.

Zbliżyła się i chwyciła go za ramię. Miała łzy w oczach, gdy się odezwała:

- Tak mi przykro. Nigdy nie chciałam cię zranić. Tyle razem przeżyliśmy, byliśmy ze sobą szczęśliwi. Nie musisz odchodzić, kochany. Daj mi trochę czasu, Golinie...

Spojrzał na nią i pokręcił głową. Pieszczotliwy zwrot zrobił mu przykrość. „Golinie, kochany”. Zawsze tak się do niego zwracała. Pragnął, aby nie mówiła tak teraz, kiedy odchodził od niej, bo wszystko było skończone.

- Mnie też jest przykro - powiedział. - Nie mogę jednak dzielić się kobietą, powinnaś to wiedzieć. Miałem nadzieję, że się pobierzemy i zostawimy wszystko za sobą, gdy załatwimy sprawę Albatrosa. Naprawdę miałem taką nadzieję, ale musiałem być szalony. Ty lubisz tę pracę. Ja zaś jej nienawidzę. Nienawidzę tego, co się wczoraj stało w hotelu. Skóra mi cierpnie na myśl o tym, ty zaś czujesz się jak ryba w

wodzie. Ja uznaję czystą walkę. Te metody postępowania, to nie dla mnie, i cieszę się, że zdaję sobie z tego sprawę. Ty uważaj jednak na siebie, pamiętaj.

Pochylił się i lekko cmoknął ją w policzek. Poczuł spływające po nim łzy. Wyszedł z pokoju, nie oglądając się za siebie.

Igor Borysow i jego towarzysz polecili specjalnym samolotem do Jałty. Tam czekał służbowy samochód, który zawiózł ich na wspaniałą nowoczesną daczę z basenem i szeroką panoramą na Morze Czarne.

Przywódca Związku Radzieckiego powitał ich, mając u boku żonę. Zasiadli do obiadu podanego przy basenie. Wznoszono toasty miejscowym białym winem, słynącym ze swego delikatnego smaku. Atmosfera była rozluźniona, pozbawiona sztywnej formalności. Żerkow opowiadał ciężkawe dowcipy, a jego żona i goście serdecznie się śmiali.

Kąpano się w luksusowym basenie, a przez korony palm przenikały gorące promienie słońca. Piękno tej scenerii było wręcz idylliczne; dacza jaśniała białym marmurem, z tarasem schodzącym nad brzeg morza.

Gość Żerkowa mówił poprawnie po rosyjsku, ale wydawał się skrepowany, choć robiono wszystko, by czuł się dobrze i wiedział, że go cenią. Przyszłość miał zapewnioną. Mieszkanie w centrum Moskwy, w specjalnym domu przeznaczonym dla wysokich rangą funkcjonariuszy partyjnych, mała dacza w Żukowej, praca w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i towarzystwo podobnych sobie Anglików.

John Kidson miał również otrzymać za wierną służbę upragnione radzieckie odznaczenia, ale to była niespodzianka. Wieczorem pani Żerkow udała się na spoczynek, a w prywatnym gabinecie prezydenta na tyłach willi odbyła się konferencja, w której brali udział: stary otyły człowiek w

cienkim, letnim ubraniu, z wielką głową, zapadniętą w ramiona jak u odpoczywającego bawołu, szczupły przewodniczący KGB w białych spodniach i modnej bawełnianej koszuli, sprowadzonej z Rzymu - Borysow gustował we włoskiej odzieży, oraz Anglik, który zabrał żonę do Paryża i opuścił ją na drugi dzień, obiecując spotkanie na lunchu w znanej restauracji „Petit Escargot”. Zamiast tego wsiadł w samolot do Berlina Zachodniego, a stamtąd został przywieziony do Moskwy. W tym samym czasie Charlie już otrzymała list i wracała do Londynu. Prosił ją o przebaczenie i wyjaśniał, co ma zrobić, jeśli zechce się z nim połączyć. Nie żywił jednak żadnej nadziei na to, że otrzyma jakąś odpowiedź. Miał ze sobą zdjęcie żony i synka zrobione w ogrodzie w Marchwood. Zdjęcie już teraz było zmięte od ciągłego wyjmowania.

Borysow zapytał go, skąd Londyn otrzymał informację o Harringtonie. Nim odpowiedział, wyczuł, że nie było to zwyczajne rutynowe pytanie. Obaj mężczyźni wyczekiwali odpowiedzi w skupionym milczeniu. Powiedział im, że przez brytyjską ambasadę w Moskwie i że przeciek pochodził wprost z radzieckiego MSZ. Oczywiście z oficjalnym poparciem i zgodą samego ministra. Informacja nie przeszła przez brytyjskie kontakty wywiadowcze. Borysow się nie odzywał, a Żerkow przytaknął i westchnął kilka razy.

Kidson nie na próżno przez dwadzieścia lat analizował ludzkie postęпки i ich motywacje. Widział teraz, że dostarczył to, czego oczekiwano. Dał im mocny dowód przeciwko zwolennikowi twardej ręki, Rudzence. Nagle zdał sobie też sprawę, że to właśnie dlatego go tu sprowadzono. Potrzebne im było jego osobiste świadectwo. Ogarnęła go fala rozpacz, gdy uświadomił sobie jakie motywacje spowodowały ruinę jego życia. Jest narzędziem, za pomocą którego oni usuną z drogi rywala. To z tego powodu, a nie dla swojego bezpieczeństwa,

został wyrwany spośród wszystkiego, co bliskie. Z tego też względu będzie musiał resztę życia przeżyć w samotności...

Odprowadzono go do pokoju, Borysow i Żerkow zaś pozostali w gabinecie. Poczucie osamotnienia i izolacji było tak wszechogarniające, że Kidson miał wrażenie, iż znajduje się w więziennej celi.

- Wszystko zostało zarejestrowane - powiedział Żerkow. - Teraz możemy wykonać nasz ruch. Co masz zamiar zrobić, synu? Tylko pamiętaj, żadnych skandali, żadnych rozłamów w partii. Rany muszą się zabiżnić przed zjazdem.

- Proszę mi zaufać - odparł Borysow. - Mam człowieka, który to załatwi. Jeśli potem będą jakieś pytania, to mamy przecież dowody.

Żerkow westchnął. Był zmęczony, ale gościa należało bawić.

- On wygląda jakoś smutno - zauważył, robiąc głową ruch w stronę drzwi, przez które wyszedł Kidson. - Jego żona powinna tu przyjechać. Mężczyznom takim jak on trudno pozostawać w samotności. Jaka ona jest?

- Rudowłosa - powiedział Borysow - bardzo piękna. Mają malutkiego synka.

- Znajdź mu kogoś - mruknął stary człowiek. - Potrzeba mu pocieszenia. A co z jego następcą?

- Powie mu się, co ma robić - odparł Borysow. - Nie będzie śmiał odmówić, gdy się dowie, o co toczy się gra. Wszystko, czego będziemy potrzebowali, to lekkie pociągnięcie za sznurek od czasu do czasu, żeby mu się przypomnieć.

- Szantaż - zauważył Żerkow. - Cena, jaką istoty ludzkie płacą za swoją głupotę.

- Albo za miłość - odparł Borysow. - Dałem mu kryptonim Skorpion. Zmieniłem imiona z ptaków na znaki zodiaku. I myślę, że wybrałem odpowiednie imię. Proszę się

nie martwić o naszego przyjaciela. Pośród Rosjanek jest wiele pięknych rudych dziewcząt, jeśli takie mu się podobają. Będzie zadowolony ze swego nowego życia u nas.

Wstał, a stary człowiek spojrzął na niego i słaby uśmiech wypłynął mu na usta.

- Dobrze to zostało rozegrane - powiedział. - Teraz tylko pozostaje pozbyć się Rudzenki. A potem mogę spać w spokoju, tak samo nasz kraj. Kolacja będzie za godzinę.

Lato tego roku było długie. Piękna pogoda utrzymywała się do późnej jesieni, odwlekając przejście natury do zimowego snu. Liście pozostawały na drzewach; kwiaty kwitły dłużej niż zwykle. Była połowa października, kiedy Davina przeszła przez wąski pasaż z Birdcage Walk w zaułek zwany Anne's Yard. Była opalona i wyglądała młodo. Jej wejście do głównego hallu przyciągnęło liczne spojrzenia - ciekawe i zarazem pełne uznania. Weszła do staromodnej windy, która zawiozła ją na drugie piętro, a potem korytarzem udała się do znanego sobie biura, gdzie sekretarka Jamesa White'a, Phyllis, wstała na jej powitanie.

- Dzień dobry, panno Graham. Doskonale pani wygląda.

- Dziękuję - odpowiedziała Davina. - Mieliśmy wspaniałą pogodę.

- Szef oczekuje pani - rzekła Phyllis i wróciła za biurko. Gdy weszła do gabinetu, czytał „Telegraph”, wygodnie wyciągnięty w jednym ze skórzanych foteli przeznaczonych dla gości. Odłożył gazetę i podniósł się na jej widok. Ujął wyciągniętą dłoń i, ku jej zakłopotaniu, zatrzymał w swojej. Zauważył, jak niezręcznie się czuje, i roześmiał się.

- Mogę ci gratulować, moja droga, ale nie mam zamiaru cię całować. Wiem, że nie byłabyś tym zachwycona - lodowate oczy iskrzyły się rozbawieniem. Wskazał na swoje biurko. Był to gest bardzo teatralny, który ją zaniepokoił. -

Gotowe i czeka na ciebie - powiedział. - Siadaj i zobacz, jakie to uczucie.

- Sir Jamesie - rzekła cicho Davina - nie muszę się zachowywać jak idiotka i przymierzać do biurka. Jak się udały wakacje?

- Znakomicie - odparł. - Oboje z Mary zakochaliśmy się w Hiszpanii. Ona nawet daje mi do zrozumienia, żebyśmy tam kupili mieszkanie i przeczekiwali w nim angielskie zimy. A ja nie muszę pytać, czy dobrze się bawiłaś na Florydzie. Najwyraźniej ci to posłużyło. Dużo żeglowałaś?

- Popłynęliśmy wokół Keys i to było fantastyczne - odpowiedziała. - To wspaniałe miejsce na wakacje.

- A więc wróciłaś wypoczęta i gotowa zdjąć mi ciężar z pleców - powiedział. - Co myśli o tym twój przyjaciel?

- Myśli, że jestem pomyłona - Davina uśmiechnęła się nieznacznie. - Zaproponował mi trzykrotnie wyższą pensję, żebym została w jego firmie. Oprócz wyjazdów na Florydę, do Australii i wszędzie tam, gdzie zajdzie potrzeba.

- Cieszę się, że nie dałaś się skusić - powiedział James White. - Chyba dobrze mu się wiedzie w tym nowym interesie.

- O, tak. - Usiadła i zaczęła szukać w torebce papierosów. Podał jej ogień piękną złotą zapalniczką od Cartiera.

- Prezent od Humphreya i personelu - powiedział, widząc jej pytające spojrzenie. - Bardzo ekstrawagancki jak na nich. Humphrey przyjdzie się z tobą zobaczyć później. Chciałem tę pierwszą godzinę mieć dla siebie. Zatrzymasz Phyllis, prawda?

- Tak długo, jak ona sama będzie chciała - rzekła Davina. - Być może ona nie zechce pracować dla kogoś innego, po tak długiej współpracy z panem.

- W każdym razie na pewno pomoże ci się tu urządzić - powiedział. - Jest bardzo zacną osobą i myślę, że będziecie pasować do siebie. Jak się ma rodzina?

Davina wzruszyła ramionami.

- Pochłonięta Charlie i dzieckiem - odpowiedziała spokojnie. - Ciągłe jeszcze nie mogą się zdecydować, kogo mają winić: mnie czy Kidsona.

- Przykro mi z tego powodu. Pojadę tam i zobaczę się z nimi, jeśli tego chcesz.

- To nic nie pomoże. Jedyne, co chcą widzieć, to moją opuszczoną siostrę z maleńkim dzieckiem. Nie podziękują, gdy im pan powie, że zdemaskowanie Kidsona było tylko po części moją winą. Ale dziękuję za dobre chęci.

- Przyjdą w końcu do siebie - stwierdził. - Tak zawsze dzieje się z ludźmi. A ty postąpiłaś właściwie. Poza tym, jeśli twoja siostra tak się czuje bez niego samotna, to może jechać do Rosji. Nie będziemy jej robić żadnych przeszkód. Ona o tym wie.

Davina spojrzała na niego.

- Może pan sobie wyobrazić Charlie w Moskwie? Ja nie mogę.

- Ona też nie może - powiedział to krótko i zdecydowanie. Kończąc ten temat dodał. - Znajdzie sobie nowego męża i cała ta afera zostanie zapomniana. A propos, wiadomości o nim są zadowalające. Zapija się tam na śmierć. Nawet nie mogą mu dać żadnej pracy.

- Dlaczego pozwolił mu pan zbiec? - zapytała Davina. - Musiał pan przecież wiedzieć, że wyjazd z Charlie do Paryża to tylko pierwszy etap ucieczki. Dlaczego go nie zatrzymano?

James White przechylił się do tyłu, złączył palce obu rąk, tworząc zgrabny łuk.

- Musiałem dokonać wyboru - powiedział po chwili milczenia. - Wyboru, jakiego i ty będziesz musiała dokonywać

w przyszłości. Współpracownik, który nas zdradzał, czy korzyści polityczne. Nie tylko dla nas, lecz dla Zachodu w ogóle. Poproszono mnie o wypuszczenie Kidsona.

- Poproszono? - wlepiła w niego oczy. - Kto to zrobił?

- Mój odpowiednik z tamtej strony, Igor Borysow. Oczywiście, nie bezpośrednio. Potrzebny im był jako potwierdzenie dowodów przeciwko człowiekowi, który przesłał nam informację. Również niebezpośrednio. Chodzi o Jurija Rudzenkę.

- Który zmarł w ubiegłym miesiącu - dodała powoli Davina.

- Właśnie. Wróg odprężenia, najgorszy rodzaj stalinowca - fanatyka. Pomyślałam sobie, że pozwolić Kidsonowi uciec i zamieszkać w Moskwie, to dobra cena za pozbycie się go. Chyba się z tym zgodzisz?

- Tak - rzekła po chwili zastanowienia. - Zrobiłabym to samo.

- Wiem, że tak byś zrobiła - powiedział James White. - Po tym, jak został zabity Harrington, wiedziałem, że potrafisz podejmować właściwe decyzje.

- Nie rozumiem dlaczego, przecież wszystko poszło na opak. Nie tak to zaplanowałam - zmarszczyła brwi.

Pokręcił głową:

- Wszystko poszło, jak należy - uspokoił ją. - Podjąwszy ryzyko w głębi duszy wiedziałas, że mogą zamordować Harringtona. Wiedziałas, jeśli nawet przed sobą nie przyznawałas się do tego. Musiałas zdemaskować Albatrosa i zrobiłas to, rzucając mu na przynętę Harringtona. To właśnie ta umiejętność wyboru, która będzie ci potrzebna, jeśli masz kierować Służbą.

- Bezwzględność - powiedziała wolno. - To pan ma na myśli. Tego właśnie nie mógł znieść Colin. Nie mógł znieść tego, co się stało z Harringtonem.

- Colin nie mógł znieść swojej odpowiedzialności za to, co się stało - odrzekł James White. - Tylko nieliczni mężczyźni potrafią sobie z tym poradzić. A jak odbiera to twój przyjaciel? Czy myślałaś o tym?

- Między mną i Tonym istnieje zupełnie inny układ - odpowiedziała Davina. - On ma swoje życie, swoją rodzinę, swoje interesy. Ja mam moją pracę. Nie chcemy łączyć tych spraw. Będziemy razem, kiedy to będzie możliwe. To powinno się udać.

- Mam nadzieję - powiedział bez zbytniego przekonania. - A teraz... jeśli chodzi o Humphreya...

- Tak - odparła. - Proszę mi o nim opowiedzieć. Czy pozostanie tutaj?

- Przekonałem go, by tak zrobił. - Oczywiście, był bardzo przybity, ale, jak wiesz, to porządny facet. Bardzo odpowiedzialny i bardzo lojalny. W końcu przekonałem go, że bez niego nie dasz sobie rady. I chyba naprawdę byłoby ci ciężko przez długi czas - stwierdził to tonem nie dopuszczającym sprzeciwu, - Będiesz go potrzebowała, żeby sobie zorganizować zespół. Przygotowałem listę osób, które mogłabyś wziąć pod uwagę. Na marginesach komentarze. Jest też ktoś z zewnątrz, z uniwersytetu w Bristolu. Młody człowiek, bardzo inteligentny. Mogłabyś go wypróbować jako swego pomocnika, jeśli zechcesz. Ma moją rekomendację.

- Wygląda na to, że zrobił pan za mnie całą pracę - powiedziała. - Czy nie obrazi się pan, jeśli jednak sama znajdę sobie pomocnika? Ale oczywiście zobaczę się i z pańskim kandydatem.

- Miałem nadzieję, że to zrobisz - odparł. - Nazywa się Johnson. To jeden z tych raczej szorstkich typów, ale umysł ma niezwykle bystry. Myślę, że ci się spodoba.

- Wątpię w to - odpowiedziała Davina. - Za bardzo przypomina mnie samą. - Zobaczyła, jak na jego twarzy pojawia się zniewalający uśmiech.

- Złagodniejesz, Davino. Nauczysz się manipulować ludźmi, zamiast stawiać im czoła wprost. Czuję, że obserwowanie tego procesu da mi sporo radości. Humphreyowi okaż cierpliwość; będzie się dąsał przez jakiś czas, ale on cię nigdy nie zawiedzie. No, muszę się już zbierać. Czy jeszcze chciałabyś coś wiedzieć? Może potrzebujesz mojej pomocy?

Wstała z fotela. Był to dla niej moment bardzo niezręczny, dlatego czuła się nieswojo.

- Niech mi pan powie - odezwała się nagle. - Wiedział pan, jaki mam do pana stosunek, Szefie. Dlaczego więc polecił mnie pan na to stanowisko?

Przechylił głowę i przyglądał jej się z błyskiem w oku, uśmiechając się zdawkowo.

- Dlatego, że ty jesteś najbystrzejsza ze wszystkich kandydatów - odparł. - Ja wierzę w to oklepane powiedzenie, że kobiety są bardziej zacięte niż mężczyźni. Zalejesz sadła za skórę Borysowowi. Kto wygra? Warto to będzie obserwować. A teraz do widzenia, moja droga. Idę na zieloną trawkę, ale pozostanę z wami w kontakcie. Życzę powodzenia.

Wyciągnął rękę, a ona ją ujęła: uścisnęli sobie mocno dłonie. Nagle wszystko stało się oficjalne, niemal jak na scenie. Podeszedł do drzwi, zamknął je za sobą i Davina została w gabinecie sama. Stała przez chwilę nieruchomo; w pokoju panowała absolutna cisza - nie dochodziły tu żadne odgłosy ruchu ulicznego. Akwarela przedstawiająca dom White'a znikła, podobnie sztychy o tematyce myśliwskiej. Zastanowiła się, co mogłaby powiesić na ich miejscu. Potem podeszła, wysunęła fotel i usiadła za wielkim mahoniowym biurkiem.

Ronnie doszedł do wniosku, że Humphrey wygląda bardzo posepnie. Gdy on sam był w depresji, to Grant użył właśnie tego trochę staromodnego przymiotnika. Chłopak nie lubił oglądać Humphreya oklapniętego w fotelu - ciało zgięte, nogi założone jedna na drugą. Przyniósł mu więc sporego drinka i obaj usiedli, by, zgodnie z przedkolacyjnym zwyczajem, porozmawiać o tym, co się wydarzyło w ciągu dnia.

Dzień Ronniego przebiegał typowo, według ustalonego latem schematu. Wziął na siebie zajęcia domowe do najdrobniejszych szczegółów. Był obiecującym kucharzem ze skłonnością do eksperymentowania; porządki robił niezwykle starannie. Bardzo ostrożnie też dysponował pieniędzmi swego przyjaciela. Drobiazgi, o które zadbał - jaskrawe poduszki, rośliny w doniczkach - przyjemnie ubarwiły surowe dotychczas mieszkanie. Ronnie robił dla Humphreya wszystko; uznawał, że zawdzięcza mu tyle, iż żaden wysiłek nie jest zbyt duży. Nie było też już więcej mowy o szukaniu pracy. Nie wspominał o tym, bo to tylko niepokoiło, a nawet gniewało jego przyjaciela.

Spędzili razem dziesięć dni wakacji w północnej Francji i Ronnie nie przestawał o tym mówić. Nie miał pojęcia, na czym polega praca Humphreya i zaakceptował wyjaśnienie o posadzie w urzędzie państwowym, nie pytając o szczegóły.

- Miałeś dziś zły dzień?

Humphrey pokręcił głową. Nie chciał martwić Ronniego, chłopak bowiem był bardzo wrażliwy i skłonny myśleć, że to on właśnie był przyczyną jego złego nastroju.

- Nie bardzo - odpowiedział. - A co u ciebie? Ronnie jednak tym razem nie pozwolił się zwieść.

- Tak jak zawsze - odpowiedział. - Ale co się z tobą dzieje? Źle się czujesz?

Humphrey spojrział na młodą zaniepokojoną twarz chłopca. Nigdy w swoim życiu nikomu się nie zwierzał. Nie

mógł i nie chciał zrobić tego teraz, ale jednak trochę ustąpił: tyle, by Ronnie przestał się o niego kłopotać.

- Cóż, powiem ci, o co chodzi. Mam nowego szefa. To było dla mnie duże zaskoczenie, myślałem bowiem, że ja otrzymam to stanowisko. I to wszystko. Nie ma się czym przejmować. - Uśmiechnął się i ciągnął dalej: - Wypiję jeszcze jedną sherry. To mi trochę poprawi nastrój.

Ronnie podniósł się i pospieszył napełnić mu szklaneczkę. Wyraz zasepienia na twarzy jeszcze się pogłębił, gdy usiadł z powrotem.

- Humphreyu - zaczerwieniony zwrócił się do niego - czy nie stało się to z mojego powodu? Mam na myśli to, że nie dostałeś tego stanowiska?

- Wielkie nieba! - Humphrey wyprostował się gwałtownie. - Nie bądź głuptasem! Oczywiście, że nie. Dlaczego miałoby tak być?

Ronnie spuścił wzrok i poruszył się z zakłopotaniem.

- Cóż, mogło tak być - naciskał. - Mieszkam tu z tobą. Nie chciałbym być przyczyną jakichś kłopotów... Jesteś dla mnie taki dobry...

Odwrócił się, a Humphrey ku swemu przerażeniu zobaczył, że chłopak płacze. Zerwał się z krzesła. Wrócił z pracy po rozmowie z Daviną, niosąc swe rozczarowanie, jak transparent. Nic dziwnego, że Ronnie czuł się przygnębiony i uznał, że to z jego powodu.

Objął chłopca ramieniem.

- Posłuchaj - powiedział. - Stanowisko, na które liczyłem, otrzymała kobieta i to mnie bardzo dotknęło. Nie lubię jej, a będę musiał pracować jako jej podwładny. Ale przyzwyczaję się do tego. To po prostu moja duma, nic więcej. Przysięgam ci, Ronnie, iż to, że tu mieszkasz, nie dotyczy nikogo oprócz nas. Jesteśmy przyjaciółmi i nikomu nic do tego... Co ja bym teraz robił bez ciebie?

- Ktoś inny by się tobą zajął - odparł Ronnie z prostotą.
- Ale nie tak, jak ty to robisz - odparł łagodnie Humphrey.
- Znaczysz dla mnie więcej niż każda praca. No, a teraz idź i weź chusteczkę, a jak wrócisz, to wypijemy drinka razem tak jak zawsze. Zresztą zostań - wyciągnął z kieszeni starannie złożoną chustkę. - Masz, weź moją, jeszcze jej nie używałem.

Odwrócił się i sięgnął po kieliszek. Nie mógł znieść widoku łez chłopaka - sprawiało mu to fizyczny ból, jakby cios w żołądek. Czuł, że Ronnie miał rację. Nie musiał znać prawdy o pracy Humphreya, by wiedzieć, jaki w istocie był otaczający ich świat. Zimne, pełne nietolerancji miejsce, w którym żaden z nich nie czuł się u siebie.

Odezwał się po chwili.

- Pamiętaj, nic na świecie nie zmusi mnie do zrezygnowania z naszej przyjaźni. I nie mówmy o tym więcej. Mnie też to działa na nerwy.

Jest jak dziecko, pomyślał, łzy zniknęły i znowu uśmiecha się pogodnie.

- Tak bardzo się cieszę - powiedział Ronnie. - Wypijmy więc za miły domowy wieczór.

Podniósł swój kieliszek z odrobiną wytrawnego sherry, którego zbytnio nie lubił i Humphrey w milczeniu spełnił toast.

- Będziesz musiała zmienić mieszkanie - stwierdził Tony Walden. - Coś ci znajdę.

Odwróciła się do niego i położyła mu głowę na ramieniu. Lubiała rozmawiać z nim, gdy się przestawali kochać. Wydawał się jakby odświeżony, jego niezwykła energia wzmagała się, zamiast zmaleć.

- Przestań organizować moje życie - wyszeptała. - Sama sobie znajdę mieszkanie. A zresztą, czy to jest złe?

Przedtem się nie skarżyłeś. - Zamknęła oczy i zaczęła zapadać w leniwą drzemkę. Była zmęczona i do głębi szczęśliwa.

- Jest nieprzyjemne, smutne - odparł Walden. - Podaruję ci ładne mieszkanie dla uczczenia twojego awansu, kochanie. Będiesz w nim mieszkała ze mną. Nie zasypiaj.

Podniosła głowę i uśmiechnęła się:

- Niby dlaczego nie? Jest druga nad ranem.

- Mieszkanie w pobliżu Belgrave Square - mówił dalej. - Niedaleko twego biura i również niedaleko mojego. Każę je urządzić. Czy nie sądzisz, że będzie to przyjemne?

- Nie - odpowiedziała sennie Davina. - Ja lubię Marylebone.

- A ja nie - odrzekł. - Za dużo tu Colina Lomaxa. Gwałtownie przestała być senna.

- Nie mówisz tego poważnie?! Przychodziliśmy tu od miesięcy, jeszcze przed wyjazdem na Florydę, i nigdy nic o tym nie wspominałeś.

Usiadła na łóżku i popatrzyła na niego w świetle zapalanej nocnej lampki - nie chciał, by kochali się w ciemności.

- Nie chciałem dotykać delikatnych spraw - powiedział. - Chciałem najpierw być pewien ciebie, twoich uczuć. Nie czuję się tu u siebie, znajdziemy więc coś innego, mieszkanie, które zacznie się od nas obojga, a nie od ciebie i kogoś innego.

- Zgoda - odpowiedziała. - Jeśli tak to odczuwasz, to się przeprowadzę. Powinieneś być mi powiedzieć o tym wcześniej. Ale, kochanie, ja nie wezmę od ciebie mieszkania w prezencie, nie chcę brać niczego. Nowe mieszkanie wybierzemy oboje, to ci obiecuję.

- Dlaczego nie chcesz dać mi się trochę porozpieszczać? - Uniósł jej twarz ku sobie i pocałował. - Zarabiam tyle pieniędzy, a ty nie pozwalasz sobie niczego podarować.

- Tony, kochanie - wyszeptała. - Ja nie należę do kobiet będących z mężczyznami za norki i brylanty. Twoja koncepcja wygodnego małego mieszkania trochę mnie przeraża. Nie chcę życia w stylu milionerskim. Chcę po prostu być z tobą wtedy, kiedy to będzie możliwe. Jeśli źle się czujesz tutaj, przeniesiemy się gdzie indziej.

Głaskał jej włosy. Wiele razy mówił Davinie, jak są jedwabiste i jak bardzo lubi ich czerwony odcień. Prawił komplementy na temat jej twarzy i ciała tak często, aż rzeczywiście poczuła się piękna, bo on twierdził, że tak jest w istocie. Wciągnął ją w wir swojej niewyczerpanej energii i entuzjazmu i ciągle powtarzał, jak bardzo ją kocha. Dyskutował z nią o wszystkich swoich sprawach - od domowych nieporozumień do strategicznych decyzji w jego rozwijającej się doskonale agencji. Wszystko, czego Walden się dotknął, kończyło się sukcesem. Stracił jeden kontrakt z naftowym szejkiem, odebrał za to inny swemu najdawniejszemu rywalowi. Swoją klęskę zmienił w triumf. Jedyna sprzeczka, jaka wynikła między nimi, była spowodowana odmową przyjmowania przez Davinę prezentów - od pierścionka z brylantem do mercedesa.

- Dlaczego nie jesteś taka jak inne kobiety? - dopytywał się. - Dlaczego nie jesteś choć trochę chciwa?

- Jestem - odpowiedziała. - Skoro nie dajesz mi spać, to daj mi coś innego... - Później, gdy już się rozwidniło, powiedziała mu: - Boję się czegoś, Tony.

- Niczego się nie boisz - skarcił ją - z wyjątkiem pajaków. Pamiętasz, ile szumu narobiłaś, gdy znalazłem jednego tam na ścianie? Powiedziałem ci przecież, że pajaki przynoszą szczęście, a mimo to kazałaś mi się go pozbyć. Czego się boisz, kochanie? Powiedz mi, a wygonię te strachy.

Założyła ręce pod głowę. Na suficie, w miejscu, gdzie zdjęto lampę, widać było smugę kurzu. Miał rację - było to

marne mieszkanie. Tę samą smugę widziała, ilekroć leżała z Colinem Lomaxem.

- Obawiam się tego, co moja praca może ze mną zrobić - odezwała się nagle. - Nie chcę zamienić się w kobiecą wersję Jamesa White'a. Nie pozwól, żeby to się ze mną stało, dobrze?

- Nie wiem, jak mogłoby się to stać - odparł łagodnie. - Ale jeśli nawet, to jak mógłbym w tym przeszkodzić? Masz najbardziej odpowiedzialne stanowisko w kraju. I jesteś pierwszą kobietą, która je osiągnęła. Teraz już nie pora na skrupuły, Davino. Nie będziesz Jamesem White'em, będziesz Daviną Graham.

Nie zgodziła się z tym i westchnęła ciężko:

- Gdybyś jednak coś dostrzegł, to, na miłość boską, powiedz mi o tym, Tony. Czy mi się to będzie podobało, czy nie.

- Obiecuję - odparł - jeśli mówisz poważnie. Spojrzała mu w oczy i rzekła:

- Mówię bardzo poważnie. Pewnie byś mnie nie akceptował, gdybym się zmieniła. Wszystko to może być bardzo trudne. Przewiduję takie sytuacje i to mnie martwi. Nie chcę, by ktoś nienawidził mnie tak, jak ja nienawidzę Jamesa White'a.

- Ciągle jeszcze?

- Zawsze - odpowiedziała. - Nic tego nie zdoła zmienić.

- Muszę wstać - oświadczył Walden. - Mam spotkanie o ósmej piętnaście. - Położyła się z powrotem, gdy on odsłaniał okna. Do pokoju wdarło się światło dnia.

- Dziś są moje urodziny - powiedział. Wyciągnął ramiona i rozluźnił mięśnie. Miał piękne muskularne ciało z potężną klatką piersiową. - Czterdzieści sześć lat. Cztery lata do pięćdziesiątki. Czy nie uważasz, że jestem dla ciebie za stary?

Zsunęła się z łóżka i podeszła do niego.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Wszystkiego najlepszego, kochanie.

- Chciałem spędzić ten dzień z tobą, ale nie mogę - powiedział i przytulił ją do siebie. - Na dziś wyznaczono rodzinne przyjęcie. Będzie mi ciebie brakowało.

Gdy ją całował, dostrzegła w jego oczach smutek. Zawsze przebijał spod dowcipu i ozywienia. Przypomniła sobie innego mężczyznę, którego nastroje też zmieniały się tak gwałtownie. To właśnie dlatego go pokochała - z powodu tego smutku wyzierającego spod uśmiechu.

- A jutro? - zapytała. Skinął twierdząco głową.

- Jutro. I to będą moje prawdziwe urodziny.

Do biura wyszła nieco wcześniej. Trudno było dla niego coś kupić, dlatego dość długo wędrowała po sklepie Dunhilla odkładając portfele, drogie i eleganckie drobiazgi, których i tak miał trzy razy więcej, niż potrzebował.

Wybór prezentu pomógł jej rozstrzygnąć sprzedawca.

- Na urodziny - powiedział - teraz to cieszy się największym wzięciem.

Wiedziała, że jest to bezużyteczne, ale było takie ładne. Lśniło wewnątrz ciężkiej kryształowej kuli.

Mogą służyć jako bardzo efektowne przyciski do papierów - wyjaśnił. - 24 października. To będzie ta. Wydaje mi się że jest jedną z najładniejszych. - Davina wzięła ją do ręki. Mała złota figurka pobłyskiwała w kryształowej klatce.

- Skorpion. Jego znak - powiedziała. - Myślę, że mojemu przyjacielowi to się spodoba.

Mogła sobie pozwolić na taki prezent przy swojej nowej pensji Zrozumiała też, dlaczego zawsze chciał ją czymś obdarowywać. W dawaniu prezentów kochanej osobie jest jakaś szczególna przyjemność.